

***Karen Hawkins***  
***Niezwykły dar losu***

Z angielskiego przełożyła Anna Wojtaszczyk

*Powiadają, że pierścień-talizman St. Johnów jest dziełem wróżek i że podarowały go one najprzystojniejszemu w całej Anglii mężczyźnie nazwiskiem sir Gervase St. John. Zaczarowały przy tym pierścień tak, by ten, kto będzie go miał w swoich rękach, musiał zakochać się do szaleństwa. Jakże bym i ja chciała znaleźć taki pierścień!*

Madame Blanchard,  
francuska garderobiana lady Burlington,  
do swojej pani, układając włosy milady przed balem w Marchmont

**1**

*Zaufać jej? Ha! Nie dopuściłabym, by ta kobieta zbliżyła się do mnie na dziesięć stóp, gdybym przedtem nie przeliczyła wszystkich guzików i koralii.*

Lady Burlington do wicehrabiny Hunterston po spotkaniu z lady Caroline Lamb w holu w Marchmont

Wiecznie te kłopoty z pieniędzmi, a raczej z ich brakiem. Och, nie dlatego, by on sam miał mało funduszy. Prawdę mówiąc, był bardzo zamożny. Ale niewymownie dokuczała mu namolna żebranina jego towarzysza.

Chase St. John sięgnął do kieszeni i wyciągnął złożony plik banknotów. Położył je przed sobą i przesunął po gładkim blacie stołu.

- Masz. Tak jak prosiłeś.

Harry Annesley dotknął banknotów czubkami palców i zawahał się.

- Wiesz, jak tego nienawidzę. Gdyby tylko prawnikowi mego ojca udało się znaleźć jakiś sposób, by scedować na mnie fundusze, nie byłbym zmuszony prosić cię o pomoc. -Zdobył się na pełen zażenowania uśmiech i uniósł ramiona, jakby chciał zapytać, w jaki sposób sam mógłby usunąć zaistniałe przeszkody.

Był czas, kiedy Chase wierzył w jego przekonujące kłamstwa. Był czas, kiedy poczułby się tak nimi poruszony, że nakłaniałby swego jowialnego przyjaciela, by pieniądze wziął. A nawet na to nalegał.

Ale ten czas dawno już minął.

I nigdy nie miał wrócić.

Pochylił się do przodu i przesunął dłoń po blacie w stronę pieniędzy.

- Jeżeli nie potrzebujesz tych funduszy, to...

Dłoń Annesleya zamknęła się konwulsyjnym ruchem na pliku banknotów.

- No cóż. - Chase odchylił się do tyłu na fotelu. - Otrzymałem odpowiedź. I to stanowczo zbyt jednoznaczna, by mi się miała spodobać.

Twarz Annesleya pociemniała, ale szybko zgarnął banknoty i schował je do kieszeni.

- Sam zaproponowałeś.

- Zawsze proponuję. A ty zawsze prosisz o więcej. Wszedł nam ten zły nawyk w krew. Trzeba będzie z nim skończyć.

Po twarzy Annesleya przemknął blady uśmiech.

- Wiele przeżyliśmy razem. - Popatrzył na Chase'a znacząco. - Więcej niż komuś mogłoby się wydawać.

To była groźba. Podła i śliska, równie nikczemna jak mężczyzna, który wypowiadał te słowa. Mimo rozczarowania Chase'owi udało się wzruszyć ramionami.

- Muszę ci oddać sprawiedliwość: cholernie dobry z ciebie aktor. Był czas, kiedy wierzyłem, że jesteś oddanym mi przyjacielem.

- Jestem twoim przyjacielem.

- Nie. Jesteś przyjacielem mojego konta bankowego. A nie moim.

Annesley się skrzywił.

- Nie mam pojęcia, co cię dziś ugryzło. Zachowujesz się tak, jakbyś uważał, że w ten czy inny sposób uchybiłem dobrym manierom albo...

- Nic nie uważam przerwał mu Chase bez urazy. - Po prostu wiem. Wiem, kim i czym jesteś.

Annesley przez dłuższą chwilę wpatrywał się Chase'owi w oczy. Siedzieli u White'a, w tym najbardziej ekskluzywnym ze wszystkich klubów dla mężczyzn, wszystko aż ociekało tu aurą szacowności. Wokół ciężkich, mahoniowych stołów porozstawiano skórzane fotele, szmer głosów i ciche pobrzękiwanie sreber wzmagaly jeszcze nierealny nastrój.

Chase zastanawiał się, co za idiota poparł prośbę Harry'ego Annesleya o członkostwo, a potem doszedł do wniosku, że właściwie go to nie obchodzi.

- Podjąłem wczoraj wieczorem decyzję, nieodwołalną. Kiedy następnym razem będziesz potrzebował funduszy, musisz ich szukać gdzie indziej.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Wyjeżdżam z Londynu. I nie zamierzam tu wracać.

- Dlaczego? Za tydzień zaczyna się sezon.

- Nic mnie to nie obchodzi. A wyjeżdżam nie tylko z Londynu; wyjeżdżam w ogóle z Anglii. - Chase wyciągnął rękę i podpisał rachunek, który kelner zostawił na stole przed przybyciem Annesleya. - Nie wiem, dokąd się udam. Może do Włoch. A może nie.

- Do Włoch? Co za niemądry pomysł. Włochy są daleko, a wszystko, z czym czujesz się związany, jest tu, gdzie...

- Tak, Włochy są daleko. Na tyle daleko, że nie zdołasz dłużej niczego ode mnie „pożyczać”. Będziesz sobie musiał znaleźć następnego ptaszka do oskubania.

Ramiona Annesleya zeszytniały.

- Czuję się urażony.

Chase uniósł w górę brew.

- Nie, wcale nie czujesz się urażony - powiedział powoli, przyglądając się z namysłem mężczyźnie, który siedział na przeciw niego. - Ale powinieneś tak się poczuć, ponieważ moja wypowiedź miała znaczenie najgorsze z możliwych.

Przez chwilę podejrzewał, że Annesley rzuci się na niego. Właściwie nawet liczył na to, że tak się stanie - dałoby mu i o okazję, by okładać drania, dopóki nie zostanie po nim tylko mokra plama oraz kilka bolesnych kości.

Ale sukinsynowi nawet na to nie starczyło dumy, by się na Chase'a porwać. Zaciskał tylko usta, aż wargi zwały się w ciekłą linię i pobielaly.

Chase czekał, gotów na wszystko.

Minęła chwila i Annesley odprężył się z głębokim westchnieniem, odchylił na oparcie skórzanego fotela i skrzyżował ręce na piersiach.

- Co się stało, St. John? Co spowodowało tę zmianę poglądów?

Tymi prostymi słowy przyznawał się do wszystkiego. I tak właśnie Chase jego wypowiedź przyjął.

- Bardzo to dziwne, Annesley. W zeszłym tygodniu udzieliłem ci „pożyczki” na kolejne tysiąc funtów, a potem dokonałem kilku obliczeń. Uświadomiłem sobie, że tylko przez ostatnie dwa miesiące pozwoliłem ci „pożyczyć” ode mnie ponad pięć tysięcy funtów. - Jego spojrzenie skierowało się na kieszeń Annesleya. - A raczej nawet sześć tysięcy.

Sukinsyn Annesley ani na moment nie przestał się uśmiechać. Wzruszył tylko ramionami.

- Po to ma się przyjaciół, czyż nie? Żeby pomagali sobie nawzajem.

- Przed tamtym wypadkiem nigdy niczego ode mnie nie pożyczalesz. Och, wydawałem może na nasze rozrywki więcej, niż by na mnie po sprawiedliwości przypadalo. Ale po wypadku sytuacja się zmieniła. Sam dobrze wiesz, że od tamtej chwili usiłowałeś mnie puścić z torbami.

Harry się zachmurzył.

- Jeżeli nawet nie zwracałem ci gotówki, odpłacałem za wszystko przyjaźnią.

- W jaki sposób? Zachęcając mnie do pijaństwa? Wprowadzając mnie do najgorszych jaskiń gry w Londynie? Nalegając, bym zapomniał, kim i czym jestem, aż wreszcie... - Chase zacisnął szczęki, słysząc głuchy, narastający szum w uszach. Mignęło mu przed oczami wspomnienie... zobaczył zalaną deszczem ulicę. Swoją własną, zataczającą się po pijacku powóz. Zaskoczona twarz tamtej dziewczyny, jej wielkie oczy, które rozszerzyły się jeszcze z przerażenia, kiedy powóz wypadł z zakrętu i... Nie!

Na miłość boską, nie chciał sobie o tym przypominać. Nie teraz. Nigdy.

Annesley skinął na kelnera i kazał podać butelkę portwajnu. Jak tylko się pojawiła, nalał trochę do kieliszka Chase'owi i w milczeniu mu go podsunął.

Chase gwałtownie wypił haust wina. Potem jeszcze jeden.

- Przykro mi, St. John. Przykro mi z tych wszystkich powodów. Ale... - tu Annesley napełnił własny kieliszek. - To nie ja przejechałem tamtą młodą kobietę.

Jego słowa, wypowiedziane przyciszonym głosem w zadymionej sali, wydawały się lgnąć do uszu Chase'a, lepić się do nich. Poczul, że ściska go w piersiach, i musiał się przemóc, by rozluźnić mięśnie szczęk, zanim coś zdołał powiedzieć.

Harry machnął ręką.

- Do niczego cię też nie zmuszałem, ani do picia, ani do hazardu, nic takiego. Wszystko robiłeś z własnej nieprzymuszonej woli.

- Wiem - wycedził przez zaciśnięte zęby Chase. - Przyjmuję pełną odpowiedzialność za swoje czyny. To moja wina, że za dużo piłem. To moja wina, że powoziłem z taką szybkością. Za wszystko to ponoszę winę ja. Ale ty ponosisz winę za to, że od tamtej pory nie przestajesz mnie szantażować.

Annesley wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę.

- „Szantaż” to takie nieładne słowo. A przecież ja powiedziałem tylko i wyłącznie tyle, że nie wyobrażam sobie, jak zareagowałby twój brat Marcus, gdyby dowiedział się o tym konkretnym incydencie. - Tu jego spojrzenie zrobiło się bardziej twarde. - Gdyby dowiedział się, że zabiłeś tę kobietę.

Na te słowa Chase'a boleśnie ścisnęło w gardle. Kobieta mogła przeżyć. Niewykluczone nawet, że przeżyła, niewykluczone, ale...

Nie. Musiała zginąć. Był tego pewien. A chociaż od wypadku starał się topić smutki w alkoholu i uchylać się od odpowiedzialności, pora już, by stawił czoło faktom. Jest St. Johnem, na Boga, i najwyższy już czas, by sobie o tym przypomniał.

Annesley przechylił głowę na bok.

- Czy przed wyjazdem powiesz o wszystkim swoim braciom?

Chase'owi stanął przed oczami najstarszy z braci, Marcus, surowy i nieprzystępny. Wyobraził sobie głębokie rozczarowanie, malujące się w jego oczach. Na sekundę zachwiał się w swoim postanowieniu. Jak łatwo przyszłoby mu symulować, że wcale nie uświadomił sobie, czym tak naprawdę jest jego zacny przyjaciel, Harry Annesley. Gdyby tylko mógł udawać, że w tamtą noc ponad rok temu nie wydarzyło się nic złego.

Ale skończył już z udawaniem. Żądało tego od niego poczucie honoru, poza tym miał dość kłamstw.

- Kiedy już osiądę gdzieś na kontynencie, prześlę im list, w którym wszystko wyjaśnię. Napisanie listu będzie męczarnią. Ale nie da się tego uniknąć; przynajmniej tyle jest winien swojej rodzinie. Są do niego przywiązani, zawsze wierzyli, że jest lepszy, niż był. Bez drgnienia napotkał znaczące spojrzenie Annesleya.

- Chociaż nawet w najmniejszym stopniu nie powinno cię to interesować. Annesley spuścił wzrok na swoje doskonale utrzymane paznokcie.

- Czy aby?

Chase zaciskał szczęki, aż go rozbolewały. Zadawał sobie pytanie, jakim, u diabła, cudem mógł być na tyle głupi, by uwierzyć, że Harry Annesley jest zabawnym kompanem. Znał zresztą odpowiedź: brandy. I jeszcze więcej brandy. Nie zdołałby zliczyć, w ilu karafkach oglądał dno przez te kilka miesięcy, które upłynęły od wypadku.

- Marcus to bardzo inteligentny mężczyzna. Przypuszczam, że zna już moje grzechy. Nigdy niczego nie umiałem przed nim zachować w sekrecie, nawet w dzieciństwie. Annesley nagle uśmiechnął się, a w jego prawym policzku pojawił się głęboki dołeczek.

- A sekretów miewałeś pewnie bardzo wiele... Jednak sądzę, że ten należy do nieco innej kategorii. Chase z najwyższym i rudom opanował się, by nie chwycić tego obślizgłego sukinsyna za gardło i nie cisnąć nim na drugą stronę sali. Ale gdyby coś takiego zrobił, zaczęłoby się jeszcze więcej gadania, a i tak dosyć już go będzie. Większość osób z towarzystwa uważała Harry'ego Annesleya za przystojnego, dobrze ułożonego dżentelmena, zawsze nieskazitelnie ubranego i o doskonałych manierach. Gdyby tak wiedzieli, jaka jest prawda. Odepchnął fotel od stołu i podniósł się.

- Zrobione. Wyjeżdżam jeszcze dziś. Uśmiech Annesleya przybladł.

- Ależ, St. John...

- Do diabła z tobą... Jeżeli zamierzasz donosić moim braciom, proszę cię uprzejmie. Nawet ci to ułatwię. Brandon wciąż jeszcze nie wrócił z miodowego miesiąca, ale przyjeżdża jutro. Marcus i Anthony zamierzali odwiedzić klub Tattersalla. A Devon jest w salonie bokserskim Dżentelmena Jacksona. Czy mam wezwać dla ciebie powóz? Jeżeli się pospieszysz, może uda ci się przynajmniej Devona złapać.

Annesley odchylił się do tyłu w fotelu, przez jego ruchliwą twarz przemknął wyraz pogardy.

- Pożałujesz tego.

- Zważywszy, ilu rzeczy powinienem żałować, twoje akurat pogrożki mogę uznać za błahe. Żegnaj, Annesley. I niech cię diabli. - Chase odwrócił się na pięcie i wyszedł. Jak tylko znalazł się na zewnątrz, przystanął, wystawił twarz na orzeźwiający wiaterek i głęboko, przeciągle odetchnął. Wokół niego wrzało londyńskie życie, powozy turkotały po ulicach, chłopcy z pochodniami krzyczeli, ludzie mijali go z tupotem, pochylając głowy przed wirującym kurzem i pyłem, który wisiał w powietrzu. Taki był Londyn wiosną, kiedy budził się po długim i przejmującym chłodem okresie i otrząsał się z cuchnących oparów ściskającej mrozem zimy, którą utrzymywano w ryzach dzięki posępnej determinacji oraz całym tonom posępnych węglowych wyziewów.

Chociaż brzydki, był niemniej jego domem. Miejscem, w którym dorastał. Szkoda, że musi go zostawić za sobą. Londyn i swoją rodzinę. Czując w piersiach dziwny ucisk, Chase odwrócił się i ruszył ulicą, oddalając się od White'a. Od swoich apartamentów. Od wszystkich i wszystkiego, co kiedykolwiek znał.

A to dopiero początek. Aby dobrowolne wygnanie miało sens, musi stawić czoło sobie oraz swojej przeszłości. I robi to. W taki czy inny sposób.

Harry Annesley wciąż siedział u White'a rozparty wygodnie w fotelu, popijał portwajn i wpatrywał się w puste miejsce naprzeciwko. Chase St. John przynajmniej w jednej sprawie się nie mylił - Harry Annesley nie był tym, za kogo się podawał. Chociaż strój miał wspaniały i także obycie, wcale nie należał do ludzi zamożnych. Nie pochodził z Wiltshire. Nigdy nie odziedziczył domu po swoim wuju. A jego majątek nie był uwikłany w legalistyczne spory. Także ojciec nie zostawił mu niczego poza sporym gronem wierzycieli i wspomnieniami dzieciństwa, skalanego sińcami i krwią.

Annesley piął się w górę wyłącznie dzięki własnemu sprytowi i urokowi, przez cały czas przyglądając się z zaciekawieniem, jak awansuje pewien pan o nazwisku Beau Brummel, syn krawca, który zrobił wyłom w najwyższych kręgach towarzyskich, chociaż pochwalić mógł się tylko

ciętym dowcipem i nieskazitelnym strojem. Harry sądził, że uda mu się przeskoczyć o szczebelek wyżej, kiedy sfałszował listy polecające, dzięki którym mógł dostać się do takich miejsc jak klub White'a czy Almack. Został tam przyjęty, ale tylko dlatego, że był młodym mężczyzną o ujmującej powierzchowności i że wiedział dokładnie, jak powinien się ubierać i zachowywać.

Na początku Harry ograniczał swe kontakty do mężatek, które miały dostęp do majątku swoich mężów i bez oporów, w zamian za pewne przysługi, godziły się na to, by zapewniać mu środki na zapłatę czynszu i na zaopatrzenie się w najwytworniejsze stroje. Harry bardzo się pilnował, by nigdy nie przekroczyć granic przyzwoitości, a przynajmniej nie zrobić tego publicznie, i stał się ulubionym towarzyszem polowy mężatek z towarzystwa. Kiedy któryś z tolerancyjnych mężów żądał informacji, z kim żona wybiera się na bal, otrzymywał nonszalancką odpowiedź: „Och, to tylko Harry Annesley”, i reagował na to pobłażliwym: „No, dobrze, pani małżonko. Może pani iść. Dopóki jest to Harry Annesley i nikt inny”.

Tego rodzaju komentarze otwierały przed Harrym dostęp do miejsc, do których normalnie by go nie wpuszczono, ale równocześnie ostrym bólem przesywały mu serce, ponieważ raz za razem dowodziły, że nie jest tak ważny, jak sobie życzył, choćby się nie wiedzieć jak pięknie ubierał. Z coraz większą determinacją pragnął odnieść sukces w towarzystwie, które dopuszczało go tylko na margines swych kręgów.

Ale żeby wspiąć się na te upragnione wyżyny, musiał zdobyć na tyle mocną pozycję, by móc ożenić się z odpowiednią kobietą - bogatą, pożądaną, o dobrych koneksjach. Harry uznał, że zna już taką damę, a mianowicie córkę bogatego wicehrabiego. Flirtował z nią od tygodnia i wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega pewne zaangażowanie.

Chociaż uczucia damy nie miały dla niego większego znaczenia. Chciał tylko, by rodzina, którą wybierze, przyjęła go z otwartymi ramionami. Jak równego sobie. A na to potrzebne były poważne fundusze.

Pragnienie to przerodziło się w obsesję. Jedząc, pijąc i śpiąc, Harry o niczym innym nie marzył. Ale dopóki nie spotkał przed rokiem Chase'a St. Johna, nie miał pojęcia, jak dotrzeć do upragnionego celu. Jak zdobyć tę wielką ilość funduszy, których tak rozpaczliwie potrzebował.

Szkoda, że u Chase'a obudziło się nagle sumienie.

- Krańcowa niewygoda - wymamrotał Harry w głąb kieliszka.

Kelner przystanął przy nim i cicho zapytał, czy jasnie pan będzie jeszcze czegoś potrzebował. Harry potrząsnął głową niecierpliwie i odprawił go. Kelner ukłonił się z szacunkiem i sięgnął po rachunek, który Chase St. John podpisał przed niecałymi dziesięcioma minutami.

Rachunek przyciągnął wzrok Harry'ego.

- Proszę zaczekać.

Kelner cofnął rękę i czekał cierpliwie.

- Tak, sir?

- Proszę to zostawić. Może jednak będę jeszcze czegoś chciał.

- Oczywiście, sir. - Kelner ukłonił się i odszedł.

Harry wyciągnął rękę i podniósł rachunek, a potem przez dłuższą chwilę przyglądał się zamaszystemu podpisowi. Niesłychanie powoli, po odrobinie, jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. Chase St. John może wyjedzie z Londynu, ale jego bracia zostaną na miejscu. I przynajmniej przez jakiś czas nie będą wiedzieli, gdzie podziewa się ich ukochany młodszy braciszek. To była dokładnie taka okazja, na jaką Harry czekał.

- Tak, zaiste - mruknął, składając rachunek na pół. - Będę jeszcze w końcu musiał podziękować memu drogiemu przyjacielowi Chase'owi, mimo wszystko.

Wetknął rachunek do tej samej kieszeni, do której wcześniej schował banknoty, cicho pogwizdując dopił portwajn i zawołał, by mu podano płaszcz. Po kilku chwilach wyszedł z klubu i skierował się do swojej kwatery przy 10th Street.

Nie jest łatwo przygnębić takiego człowieka jak Harry Annesley. Wzbraniał się zrezygnować z nadziei. Dzięki Bogu istnieje więcej niż jeden sposób, by oskubać ptaszka. Zwłaszcza tak zamożnego jak Chase St. John. Pogwizdując cicho pod nosem, Harry szedł zatłoczoną ulicą, kapelusz zawiadaczko przekrzywił sobie na bakier, a na jego przystojnej twarzy nie było śladu zatroskania.

## 2

*Słyszałam, że wyraziła życzenie, by pochowano ją w liliowej sukni porannej, jako że będzie ona*

*pasowała dobrze do jedwabnej wyściółki trumny. Ale rodzina odmówiła, twierdząc, że suknia ma zbyt śmiały dekolt. Wie pani, człowiek powinien chyba, do cholery, móc po śmierci ubrać się w to, co mu się podoba.*

Wicehrabina Hunterston do lady Birlington podczas pogrzebu lady Agathy Tallwell

- Robi mi się niedobrze.

Harriet Ward spiorunowała siostrę spojrzeniem.

- Sophio, jeżeli zwymiotujesz na wozie, osobiście opowiem wszystkim znajomym o tym całym wydarzeniu. I nie oszczędzę im żadnych obrzydliwych szczegółów.

Sophia przycisnęła dłoń do policzka i pisnęła fałszywym głosikiem podrzędnej aktorki z Drury Lane:

- Jestem cierpiąca, a ty wszak drwisz ze mnie. Okrutna jesteś.

- Wcale nie - odparła Harriet. Zauważyła, że chociaż oświetlona jasnym słońcem siostra dokłada starań, by wyglądać na chorą, wcale jej się to nie udaje. Mimo wszystkich swoich górnolotnych tonów i omdlewających min Sophia była zdumiewająco zdrowa i przez całe życie nie chorowała na nic poważniejszego niż katar.

- A ja uważam, że jesteś okrutna, i Ofelia uważa tak samo.

Ofelia, która siedziała na tylnej ławce, prychnęła.

- Nie wciągaj mnie w to, Sophio. Dobrze wiesz, że zgodzę się z Harriet.

Sophia rzuciła płonące oburzeniem spojrzenie na ich najmłodszą siostrę.

Ofelia spokojnie poklepała Maxa, olbrzymiego psa, będącego równocześnie pracującym psem pasterskim oraz domowym pieszczochem.

- Soph, przestań nas obie przeszywać wzrokiem. Harriet i ja byłybyśmy z wielkim zadowoleniem wybrały się do miasteczka we dwójkę. Ale nie. Uparłaś się jechać z nami. I kazałaś nam czekać, aż znajdziesz swój kapelusik. A teraz musimy wysłuchiwać twoich narzekań. Mam więc nadzieję, że naprawdę zwymiotujesz, byle nie w moim kierunku.

Sophii dech zaparło. Otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale Harriet pospiesznie ją uprzedziła:

- Dość już tego, jedna i druga. Nie mam ochoty ani oglądać, ani słuchać, jak będziecie wymiotować czy narzekać. Poza tym, jeżeli narobicie zamieszania, to zdenerwujecie owce. Zerknęła przez ramię na trzy jarki, które jechały na tyłach wozu, żałośnie pobekując. Co za szkoda, że trzeba je sprzedać, ale Wardom potrzebne były pieniądze, by zapłacić za dodatkową pomoc w okresie strzyżenia.

- Nic mnie nie obchodzi zdenerwowanie owiec - oznajmiła majestatycznie Sophia. - Właściwie to one mnie denerwują.

- Czym?

- Śmierdzą.

- To są owce - piskliwie zaprotestowała Ofelia, poprawiając sobie okulary na nosie. Młodsza i bardziej pulchna niż pozostałe dwie siostry, zawsze była trochę mołem książkowym. Dopiero ostatnio odkryła, jakie cuda kryją się w stodole, i rozwinęła się w niej fatalna sympatia do owiec, które traktowała jak domowe zwierzątka.

Harriet uznała, że mają szczęście, iż hodują owce na wełnę, a nie na kotlety. Czułe serduszko Ofelii nie pozwoliłoby przerobić ich na baraninę. Nie minęły dwa tygodnie, od kiedy kupili stado, a już Ofelia nadała wszystkim owcom imiona i, co gorsza, pozawiazywała im wstążki na uszach.

Na szczęście zrezygnowała z tej niegodnej hodowcy działalności, kiedy uświadomiła sobie, że pozostałe owce nie tylko nie są pod wrażeniem tak barwnych ozdób, ale traktują je jak pyszne smakołyki. Odwróciła się teraz do siostry.

- Sophio, owce nic na to nie mogą poradzić, jak pachną, ale ty... - Pociągnęła zadartym noskiem, potem go zmarszczyła. - Co to za okropny smród? Pachniesz jak babcia Elbert, cała zatęchła i stara, i...

- Co? - Policzki Sophii poczerwieniały - Wcale nie pachnę jak babcia Elbert! To bardzo kosztowna *eau de cologne*, którą dostałam od mamy na ostatnią Gwiazdkę.

- Nie wiem, ile kosztowała, ale jeżeli więcej niż jednego pensa, to ktoś mamę paskudnie oszukał.

- Och! - wykrzyknęła Sophia i wykręciła się na ławeczce, żeby spiorunować wzrokiem młodszą siostrę. - Ja przynajmniej nie pachnę jak owca, czego nie można powiedzieć o pewnych osobach, które mogłabym wskazać, a które spędzają cały swój wolny czas, płacząc się po stodole, jakby były

jej stałymi mieszkańcami!

Bródka Ofelii wysunęła się do przodu, brązowe oczy za okrągłymi okularami zabłyśły.

- A cóż ty przez to rozumiesz?

Harriet zdusiła westchnienie. Jeżeli cokolwiek mogło być gorsze od jazdy na targ śmierdzącym, drabiniastym wozem, to tylko jazda tymże śmierdzącym, drabiniastym wozem, z ładunkiem, na który składały się jeszcze mocniej śmierdzące owce, duży, pachnący mokrą sierścią pies oraz dwie kłócące się siostry.

- Dość tego, jedna i druga! Zdenerwujecie owce.

- A cóż za znaczenie mają owce? - zapyłała Sophia, której uwagę udało się chwilowo odwrócić od drażnienia Ofelii.

- Ogromne, i dobrze o tym wiesz. Chcę, żeby nasze owce wyglądały jak najlepsze, najmilsze owce na całym świecie.

Wszystko, żeby tylko dostać dobrą cenę. Bóg świadkiem, że była im ona potrzebna.

Sophia obejrzała się przez ramię i z powątpiewaniem przyjrzała się owcom.

- Nie wiem, po czym można by poznać, że są zdenerwowane. Wszystkie dla mnie wyglądają tak samo. Takie bardzo wełniste i... - Przechyliła głowę na bok. - Ale te chyba rzeczywiście mają jakiś nastrój. Tyle że na pewno nie jest on dobry.

- Bzdura - wtrąciła z niezłomnym przekonaniem Ofelia. - One są radosne. Przecież to widać.

- Po czym poznałaś? - zapytała Sophia.

Ofelia przyglądała się przez chwilę jarkom, potem nagle bardzo szeroko się uśmiechnęła.

- Może po tym, że nie są złe... eee.

Harriet wzdrygnęła się, a jej siostry zaczęły chichotać bez opamiętania.

- Ofelio, i ty, i Derrick to już za dużo na mnie jedną. - Derrick był ich młodszym, szesnastoletnim bratem i miał wielkie szanse na najlepszego kawalarza w rodzinie Wardów, co było zaiste wyjątkowym wyróżnieniem.

Sophia poprawiła ładne, niebieskie wstążki, przyszyte do starego kapelusika.

- Przepraszam, Harriet. Nie powinnam się śmiać, ale ona to tak dobrze robi.

Ofelia wyszczerzyła zęby w uśmiechu, na jej okrągłych policzkach pokazały się dwa dołeczki.

- Prawda, że dobrze? Przepraszam za te złe... eee żarty. Jedna z owiec na tyle wozu uniosła łeb i odpowiedziała. Sophia znowu zachichotała.

- Beczysz nawet lepiej niż owce.

- Ty też jesteś uzdolniona - odpowiedziała Ofelia bez śladu wcześniejszej urazy. - Powinnaś być na scenie. Nikt nie potrafi odegrać Julii tak jak ty.

Twarz Sophii poczerwieniała z radości. Uniosła ładną buzię do nieba i przyłożyła dłoń do czoła.

- „Cóż to jest? Czara w zaciśniętej dłoni mego kochanka? Truciznę więc zażył!”\*

Jedna z owiec zabeczała głośno, niemal boleśnie, a pies Max zaczął się kręcić w kółko, najwyraźniej pragnąc wydostać się z wozu. Ofelia zachichotała i nawet Harriet z trudem powstrzymała się od śmiechu.

Twarz Sophii oblała się rumieńcem.

- Nie do takich warunków zostałam stworzona.

- Podobnie jak reszta z nas - zwróciła jej sucho uwagę Harriet, popędzając konia, który ruszył kłusem. - Ja również nie zostałam stworzona do tego, żeby powozić śmierdzącym, drabiniastym wozem.

- A ja wiem, do czego zostałam stworzona - oznajmiła Sophia z triumfalnym uśmieszkiem. - Zostałam stworzona na narzeczoną kapitana Johna Frakenhama.

Harriet zeszywniała.

- Nie mów przy mnie o tym człowieku!

Sophia i Ofelia wymieniły rozbawione spojrzenia.

- Słowa więcej nie chcę na jego temat słyszeć - ciągnęła stanowczo Harriet. - A jeżeli usłyszę, całą resztę drogi do miasteczka przemaszerujecie.

Ofelia pochyliła się ku Sophii i powiedziała scenicznym szeptem:

- Harriet zawsze jest w złym humorze, kiedy kapitana Frakenhama nie ma w porcie.

- To prawda. Usycha z tęsknoty za nim. Za jego męskimi ramionami i szeroką pierśią...

- Dość! - Harriet zmarszczyła brwi. - Co też ta mama wymyśliła?

\*W. Szekspir „Romeo i Julia” tłum. J. Paszkowskiego.

Sophia westchnęła.

- Och, próbowała tylko ocalić Garrett Park. Gdyby nie przekonała banku, że masz zamożnego konkurenta, który właśnie wraca z morza z kuframi pełnymi złota, nigdy nie daliby nam dość czasu, żebyśmy zebrali wełnę na spłatę.

Harriet w duchu przyznała Sophii rację. Pan Gower, nowy asystent dyrektora banku, pojawił się bez uprzedzenia pewnego dnia późnym popołudniem w Garrett Park z dosyć niesympatycznie sformułowanym żądaniem pieniędzy. Zdrowy rozsądek matki, który zwykle dobrze jej służył, został wystawiony na ciężką próbę, bo otumaniła go duża porcja laudanum. Matka zażyła je, bo właśnie bolał ją ząb. Ogarnięta paniką, wdała się w nieskładną, choć najwyraźniej przekonującą opowieść o tym, że pieniądze wkrótce pojawią się w towarzystwie zamożnego kapitana statku, który na dodatek weźmie jej najstarszą córkę za żonę.

Najstarsza panna Ward była całkowicie pewna, że matka zaczerpnęła ten pomysł z którejś wypożyczonej z biblioteki powieści. Malownicza bajeczka spełniła jednak swój cel. Bank zgodził się na przesunięcie terminu spłaty.

Sophia złożyła dłonie i westchnęła rozmarzona.

- Kapitan Frakenham to najprzystojniejszy człowiek na świecie.

- I najbogatszy - dodała Ofelia z psotnym uśmiechem. - Doszły do mnie słuchy, że ma tyle pieniędzy co jakiś książę. A może nawet więcej!

- Też coś! - prychnęła Harriet. Kłamstewko matki nie byłoby samo w sobie takie złe, gdyby ludzie zechcieli je uprzejmie zignorować. W końcu rodzina potrzebowała tylko trzech dodatkowych miesięcy, by zebrać fundusze na ostatnią spłatę kredytu hipotecznego.

Ale matka nie pomyślała o jednym - nikt tego zresztą nie przewidział ani nie planował - a mianowicie, że pracownicy banku, zapoznawszy się z tymi kilkoma szczegółami, które matka zdołała wymamrotać odrętwiałymi od laudanum wargami, wrócą do domu i powtórzą wszystko słowo w słowo swoim zaciekawionym żonom. A te zacne damy podczas zebrania kościelnej kasy zapomogowej wspomną oczywiście o sprawie swoim znajomym, które z kolei przekażą wiadomość przyjaciom, sąsiadom, siostram, córkom i tak dalej, i dalej, aż całe miasteczko dowie się o tajemniczym kapitanie Frakenhamie.

Historię tę opowiadano sobie wciąż na nowo, jedna miasteczkowa plotkara o obrotnym języku przekazywała ją następnej. Powoli osoba kapitana zaczęła obrastać w szczegóły. Takie, jak fakt, że jest on wysokim, przystojnym brunetem. I że Harriet czuje się załamana, jeżeli jej nie przyśle jednej ze swych cotygodniowych epistoł. I że zacy kapitan jest sierotą, i że chociaż zaczynał bardzo skromnie, to wydzwignął się własnymi siłami, a potem, żeglując po morzach wokół Indii i jeszcze dalej, znalazł nieprzebrane skarby.

Każda nowa pogłoska dodawała wiarygodności całej opowieści, aż wreszcie kapitan Frakenham stał się dla mieszkańców Sticklye-By-The-River postacią równie realną, jak rzeźnik, który w swoim sklepiku na rogu sprzedawał im mięso. Wyjąwszy Wardów. Oni mieli podstawy, by we Frakenhama nie wierzyć.

- Żałuję, że kapitan John nie istnieje naprawdę - szepnęła Sophia, rozkosznie wzdychając. - Jest absolutnie doskonały.

Ofelia przytaknęła, jej okrągłą twarzyczkę opromienił rozmarzony uśmiech.

- Nikt nie ma takich gęstych, czarnych włosów i takich niebieskich oczu...

- Niebieskie oczy? Kto wam to powiedział? - zapytała Harriet.

- Charlotte Strickton. Spotkałam ją kilka dni temu w miasteczku. Mówiła, że dowiedziała się o tym od pani pastorek.

A niech to, cała sprawa wymknęła się całkowicie spod kontroli.

- Cieszę się, że ja nie jestem taka płytką - rzekła wyniośle Sophia. - Osobiście cenię kapitana za jego odwagę, a nie za wygląd. Kiedy pomyślę, jakie miewał przygody, aż omdlewam od...

- Na miłość... - fuknęła Harriet, rzucając pełne irytacji spojrzenie na siostry. - Żaden kapitan Frakenham nie istnieje!

- Przecież wiemy - powiedziała Ofelia; na jej twarzy malowało się zdumienie.

- Oczywiście, że wiemy - dodała Sophia, trzepocząc niewinnie długimi rękami. - Daję słowo,

Harriet, jesteś zbyt poważna.

- To irytujące, że teraz, kiedy rzekomo jestem zaręczona; wszyscy traktują mnie inaczej. Wcale nie jestem zaręczona i nigdy nie będę.

Sophia potrząsnęła głową.

- Nonsens. Któregoś dnia pojawi się ten jeden jedyny, a wtedy zmienisz zdanie.

Harriet nie była taka pewna. Przez całe dwadzieścia cztery lata swego życia nie spotkała mężczyzny, który zdołałby obudzić w niej jakieś uczucie inne niż intensywne rozdrażnienie. Przygnębiała ją ta myśl, ale nie miała ochoty dzielić się nią ze swoim gadatliwym rodzeństwem.

- Nie po to się urodziłam, żeby poślubić jakiegoś pana.

Ofelia nastroszyła się jak sowa i zamrużyła oczami.

- A po co się urodziłaś?

- Urodziłam się, żeby się cieszyć życiem, wylegiwać całymi dniami w łóżku, zajadać cukierki i popijać je gorącą czekoladą. Ale los chyba o mnie zapomniał, więc jest, jak jest.

Sophia przyglądała się starszej siostrze z nabożnym szacunkiem.

- Cukierki w łóżku. Podoba mi się to. Wszystko zresztą byłoby lepsze niż te owce, która brzydko pachną, nawet jeżeli Ofelia jest zbyt tępa, by to przyznać.

- Wiem, że brzydko pachną - oświadczyła Ofelia urażonym tonem. - Ale one nic na to nie mogą poradzić i ja, w przeciwieństwie do ciebie, nie będę ich za to karcić.

- Tak naprawdę to wcale nie owce nam pachną - przerwała Harriet, zanim jej siostry zdążyły się znowu pokłócić -tylko zyski. Dodatkowe pieniądze pozwolą nam znaleźć zastępstwo za Stephens na czas strzyży.

- Biedny Stephen - powiedziała Ofelia, a oczy jej pociemniały ze współczucia.

Sophia prychnęła.

- To była jego własna wina. Nie wiem, co sobie wyobrażał, żeby tak huśtać się na linie w stodole nad klepiskiem. Skończył osiemnaście lat i jest dużo za stary, by się tak zachowywać. A już z pewnością nie ma prawa podobnym postępowaniem wytrącić mamy z równowagi.

- Próbował zrobić wrażenie na panie Strickton - wyjaśniła Harriet. - I jestem pewna, że była pod ogromnym wrażeniem, kiedy lina się odwiązała, a on uderzył w ścianę.

Sophia zachichotała.

- Żałuję, że tego nie widziałam.

- Ja też - zawtórowała jej Ofelia. - Może uda nam się namówić Charlotte, by nam o tym opowiedziała, jak się z nią następnym razem zobaczymy.

Chociaż Harriet rozumiała rozbawienie sióstr na myśl o niedoli napuszonego starszego brata, jej samej udało się zdobyć tylko na błądy uśmiech. Ta sztuczka z liną wiele ich kosztowała. Nie tylko musieli poświęcić cenny czas, by ponaprawiać w stodole to, co trzeba, ale na dodatek Stephen miał nie nadawać się przez najbliższe dwa miesiące do pracy, dokładnie wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny.

Skręciła na wąską gruntową drogę, obrzeżoną po jednej stronie malowniczymi polami, a po drugiej zagajnikiem. Wyjechali zza zakrętu i Harriet pospiesznie zatrzymała wóz.

- Boże!

- Co się sta... - Oczy Sophie się rozszerzyły.

Na skraju wąskiej drogi stał piękny, kary koń, głowę miał opuszczoną, skórę pocętkowaną pianą; ciężko robił bokami.

- Dobrze nieba - powiedziała Harriet, zaciągając hamulec. Zebrała spódnicę w dłoń, zeszła z kozła i zeskoczyła na drogę. - Czyj może być ten wierzchowiec?

Ofelia podniosła się, wstała na paluszki, kapelusik zsunął jej się z głowy, ukazały się spod niego gęste brązowe loki.

- Jakie piękne zwierzę! - Wgramoliła się na bok wozu i zeskoczyła. Jej buty melodyjnie stuknęły w twardą ziemię. Max podążył w ślad za Ofelią. Dreptał teraz przy jej boku, sięgając wielkim łbem do łokcia dziewczynki.

Koń cofnął się, kiedy pies się zbliżył.

- Do licha! - szepnęła Harriet. - Trzymaj Maxa z daleka.

- Siad - poleciła Maxowi Ofelia. Pies niechętnie opadł na zad i zamarł w bezruchu. Max stanowił dla Wardów czyste błogosławieństwo. Był psem pasterskim z urodzenia, jako że chował się z ostatnim

miotem jagniąt. Dla niego stodoła była tak samo domem jak dla nich. Nawet sypiał w tym samym boksie, kiedy padało. Owce ufały mu bezgranicznie i nic w tym dziwnego. Żadnemu zbłąkanemu psu nie udało się porwać jagnięcia czy jarki, którą opiekował się Max. Za samo to wart był tyle złota, ile ważył.

Sophia z zainteresowaniem przyglądała się koniowi.

- Jest piękny. Jego właściciel pewnie go szuka jak szalony.

Ofelia z niedowierzaniem prychnęła.

- Właściciel tego konia leży przypuszczalnie gdzieś w błocie. Popatrz, jakie skręcone są strzemiiona. Podejrzewam, że świadczą o gwałtownym upadku jeźdźca.

Harriet podeszła o krok bliżej i powoli sięgnęła po wodze. Koń uskoczył, a potem z uniesioną głową i strachem w oczach cofnął się poza jej zasięg.

Panna Ward opuściła ręce.

- Ofelio, ty spróbuj. Masz dobre podejście do zwierząt, a ten koń jest okropnie przerażony.

Ofelia powoli podeszła do wierzchowca, przemawiając do niego niskim, cichym głosem. I chociaż zmęczony koń demonstracyjnie potrząsał głową, tym razem nie drgnął nawet, kiedy się zbliżyła. Dziewczynka wyciągnęła rękę i z łatwością chwyciła za wodze.

- No dobrze już, dobrze - nuciła, gładząc zwierzę po karku.

- Ciekawe, czy to nie któryś z tych nowych wierzchowców, jakie niedawno kupił baron Whitfield - zastanawiała się Harriet. - Przywiąż go na razie z tyłu do wozu, wpadniemy do barona po drodze do miasteczka.

Ofelia westchnęła.

- Żałuję, że nie możemy go zatrzymać. Ależ by Stephen nam zazdrościł, gdybyśmy znalazły...

BUM! Powietrze rozdarł ostry huk. Koń niemal stanął dęba, ale Ofelia mocno trzymała wodze. Max okręcił się tak, że pyskiem celował w las, i postawił uszy sztorcem.

- Ktoś strzelił - odezwała się Sophia w zapadłej ciszy.

- Z pewnością tak to brzmiało - zgodziła się z nią Harriet. - Ktoś musi polować w pobliżu. - Wdrapała się z powrotem na kozioł.

Max uniósł nos pod lekki wiaterek, zawarczał i błysnął białymi zębiskami. Owce wierciły się niespokojnie. Ofelia przywiązała konia z tyłu do wozu.

- Zastanawiam się, o co chodzi Maxowi? Czy myślicie, że zwęszył wilka?

- Miej tego psa lepiej na oku, bo nie mam ochoty gonić go przez...

Zanim Harriet zdołała skończyć zdanie, Max z wściekłym ujadaniem skoczył do przodu i popędził drogą. Owce zaczęły głośno beczeć, jeszcze bardziej go tym przynaglając.

- Max! - zawołała Harriet. Wstała i z przygnębieniem przyglądała się, jak pies skręca w las i znika między drzewami. - Do licha! Musimy złapać tego głupka, zanim go ktoś zastrzeli. Przecież on z daleka przypomina dużą sarnę.

A niech to, jeszcze tego ranka plan wydawał się całkiem nieskomplikowany: miały tylko zawieźć trzy owce na targ. Harriet przywiązała lejce i z rosnącą irytacją przygotowała się, by ponownie zleźć z wozu.

- Chodź, Ofelio, ty i ja pójdziemy po Maxa. Sophio, siedź tu, dopóki nie wrócimy.

Chyba nigdy nie dojadą na targ. Nigdy nie sprzedadzą owiec. A kiedy przyjdzie czas strzyżenia, nie starczy im pieniędzy, by nająć dodatkowego pomocnika, w związku z czym nie zdołają zapłacić bankowi i na zawsze stracą Garrett Park.

Póki ja żyję, nie stanie się tak, myślała Harriet, zacinając zęby. Energicznym krokiem weszła w las, uderzając z mocą podeszwami trzewików o ubitą ziemię. Ofelia podążała za siostrą.

Że też przyszło mu umierać w taki paskudny sposób, ściągający na człowieka szaleństwo i strzępy koszmarnych snów. Chase St. John był już tak znękany i jednym, i drugim, że z wdzięcznością czekał na coraz bliższą ciemność.

Jechał sobie po wąskiej gruntowej drodze, która miała być skrótem, prowadzącym do Dover, gdzie chciał wsiąść na płynący na kontynent statek. Słabo znał tę okolicę. Gdzieś w pobliżu znajdował się dwór jego brata, Devona. Chase przyjechał tu raz na polowanie. Z tamtej wizyty zapamiętał tylko jedno, a mianowicie, że przez cały czas lało.

Zakrawało to na ironię, że akurat dzisiaj pogoda była niezwykle piękna - niebo nieskazitelnie

niebieskie, a pagórki intensywnie zielone. Nowy kary wąż brykał w ciepłym słońcu, chłodny wiaterek rozwiewał jeźdźcowi włosy, butelka z brandy dotykała warg. W sumie był to sympatyczny sposób na uśmierzenie tęsknoty za domem, która już zaczynała go dręczyć na myśl, że zostawia za sobą londyńskie życie. Ze zostawia braci i siostrę.

Zamiast myśleć o nich, starał się skupić wzrok na kojącym widoku i jechał przed siebie, popijając trunki; w miarę upływu czasu cierpienie stawało się mniej dokuczliwe. Chase minął zakręt i w mgnieniu oka jego przesiąknięty brandy spokój pierzchnął. Zapanował chaos, posypały się kule. Do zmaconego umysłu St. Johna doszły ochryple okrzyki, spłoszony koń skoczył w stronę lasu, potem stanął dęba. Jeździec poczuł palący ból, kula wyorała gorącą bruzdę wzdłuż jego skroni.

Zapadł w kuszącą ciemność. W jakiś czas później ocknął się na dźwięk szorstkich, podniesionych podczas kłótni głosów. To napastnicy sprzeczali się o bogatą zawartość jego mieszka i juków.

Powolutku, stopniowo zaczynał się orientować, że leży na chłodnej, wilgotnej ziemi w lesie i że napastnicy musieli go tam porzucić w przekonaniu, że ich ofiara nie żyje, na co chyba wskazywała krew, która ciekła mu po czole i zalewała oczy.

Od ziemi robiło mu się chłodno w policzek, słodkawy zapach gnijących liści czepiał się nozdrzy. Zaciśnął mocniej oczy i usiłował się poruszyć. Głowę przeszył mu tak mocny ból, że Chase aż cicho krzyknął. I natychmiast w powietrzu rozszedł się mocny zapach brandy.

Boże, wszystko by oddał za jeszcze trochę brandy. Za całą baryłkę. Za taką ilość, która uśmierzyłaby ból i powstrzymała ogarniający go lęk.

Głosy zrobiły się bardziej donośne. Chase, któremu wzrok przysłaniała krwawa mgiełka, zamrugał powiekami i przymrużył je, bo raził go jaskrawy blask, przesiewający się przez liście. Zuchwali byli ci rozbójnicy, żeby tak atakować w biały dzień.

Z boku, niemal na granicy pola widzenia, przycupnęło obok siebie dwóch mężczyzn i kłóciło się o jego dobytek. Chase z trudem szukał w pamięci, co miał właściwie przy sobie - kilka banknotów o dużym nominale, kilka gwinei, złoty zegarek, kilka spinek do krawatów... właściwie nic cennego. A przynajmniej nie dla niego. Wybierał się do piekła, więc po co mu bagaże. Nie zamierzał obciążać się pamiątkami, które tylko przyczyniłyby mu więcej bólu, przyniosły więcej smutku.

Jeden z mężczyzn wstał, wielki i ociężały, proste brązowe włosy opadły mu tłustym pasmem na oko.

- No. Tyle jes wszystkiego.

Ten drugi też się podniósł. Był niższy, miał na sobie wypłowiałą, czerwoną kurtkę z poplamionym i wystrzępionym dolnym skrajem.

- Słuchaj no! Więcej masz niż ja!

- Moje prawo dostać więcej. Ja żem zaplanował cały ten skok, co, nie? Zaraz potem, jakżem zobaczył, że panisko ładuje się do gospody i prosi karczmarza o butelkę najlepszej wódki, jaką ma na składzie. Wiedział żem, że jeszcze przed południem będzie miał w czubie. - Olbrzym podniósł do światła jakiś drobiazg, na polance coś błysnęło.

Błysk przyciągnął spojrzenie Chase'a: przymrużył oczy w pocętkowanym cieniach liści światło i na jedno mgnienie wzrok mu się wyostrzył. *Pierścień matki. Boże, tylko nie to.* Nie pamiętał, że miał przy sobie tę cholerną błyskotkę, a wszystko przez Brandona, brata, który podstępem nakłonił go, by pierścień przyjął. Niewiele więcej rzeczy im po matce zostało. A ona wysoko ceniła swój pierścień.

Resztę dobytku zdoła czymś zastąpić. Właściwie nawet każdą z ukradzionych rzeczy, ale tej nie.

Mężczyzna uniósł pierścień do ust i przygryzł go, potem prychnął zniesmaczony.

- Nawet ze szczerego srybra nie jes. Chcesz go? Rabuś w czerwonej kurtce potrząsnął ponuro głową.

- Nie ja. Dość mam już nic nie wartego śmiecia po kieszeniach.

- We łbie też ci rupieci nie brakuje.

Jego kolega ukazał w uśmiechu bezzębne dziąsła, wepchnął plik banknotów za pazuchę i splunął na ziemię.

- Jakby był ze złota, to bym się z tobą o niego bił.

- I przegrałbyś. - Potężniejszy ze złodziei zmarszczył nos. - Ja też tego świecidełka nie chcę. Nawet szylinga bym za niego w niedzielę nie dostał. Ale mimo wszystko ładny jest. Jakiś taki rzeźbiony.

Mężczyzna w czerwonej kurtce przyjrzał się pierścieniowi, ale nie starał się go dotknąć. Przez chwilę milczał, potem zduszonym głosem zapytał:

- Myślisz, że może być magiczny?

- Magiczny, patrzcie państwo. W tym właśnie cały kłopot, Davy. Chodzisz z głową w chmurach.

- Wcale nie chodzę z żadną głową w chmurach. Pytałem tylko, czy... - Davy gwałtownie zamknął usta, bo jego potężniejszy kolega ryknął śmiechem. - A niech cię diabli! Ciepniej od razu to cholerstwo gdzie niebądź. Gupie świecidełko i tyle.

Ten drugi pochichotał jeszcze chwilę, potem niedbale cisnął pierścień na porośniętą mchem ziemię. Chase obserwował zafascynowany, jak pierścień leci, wirując i połyskując w słońcu. Każdy dźwięk wydawał mu się niesamowicie głośny, każdy zapach go oszałamiał. Przyglądał się, jak pierścień uderza w ziemię, jak podskakuje raz... drugi... za każdym razem głośno pobrzękując, jakby trafiał na kamień, a nie na miękkie, zasypany liśćmi grunt.

Gdzieś z głębin pamięci przyplłynął głos matki. *To mistyczny pierścień, Chase Ten, kto go posiada, spotka prawdziwą miłość.* I chociaż te słowa wydawały się niemądre, matka naprawdę w nie wierzyła.

Chase oczywiście nie miał takiego zaufania do magii. Ani w ogóle do niczego. Już nie.

- To i tyle - mruknął ten potężniejszy, zbierając łupy i chowając je po wielkich kieszeniach. - Zmywamy się. Czegoś zaczęło mnie suszyć, a nic nas tu nie trzyma.

- A co z tym paniskiem?

- Zostaw go. Tyle krwi z niego uszło, że nie dociągnie do wieczora.

Chase zaciął zęby na myśl, że będzie umierał w lesie, z twarzą wciśniętą w przesiąkniętą krwią błoto. Na Boga, przeżyje i już. Przeżyje, nawet gdyby na czworakach miał wypełznąć z lasu. Lekki wiatr przyniósł poskrzypywanie kół jakiegoś wozu i ciche postukiwanie kopyt końskich. Chase'owi serce zabiło mocniej.

Złodziej w czerwonej kurtce odwrócił się gwałtownie w stronę, z której słychać było turkotanie.

- Co to jest?

Wiatr przyniósł współbrzmiające żeńskie głosy.

- Szlag by to trafił najjaśniejszy! - Złodziej w czerwonej kurtce rzucił się zbierać łupy, ale ten potężniejszy chwycił go za ramię i przycisnął do ziemi za krzakami.

- Siedz teraz cicho - wyszeptał ochryple. - Nie zobaczą z drogi naszych koni. Może pojedą dalej, a wtedy...

Wrrr....

Gardłowe warczenie zabrzmiało nienaturalnie głośno na cichej polance. Chase głęboko zaczerpnął powietrza i usiłował coś dojrzeć przez zarośla.

Usłyszawszy warczenie, wielki złodziej powoli się odwrócił. Za ich plecami przycupnął olbrzymi pies. Rudawobrazowa sierść zjeżyła mu się w grubą grzywę nad potężnym łbem, zęby połyskiwały wrogo w niepewnym świetle.

- Nie ruszaj się! - wymamrotał większy rabuś pełnym napięcia szeptem.

Chase przesłał słowa wdzięczności nieznannej mocy, która przypadkiem akurat w tej chwili nad nim czuwała. Bóg mu świadkiem, że nie zasługiwał na interwencję nieba. Już nie.

- Max! Max! Gdzie się podział ten piekielny pies? - dobiegł z drogi jakiś głos.

Wielki złodziej nie spuszczał oczu ze zwierzęcia.

- Davy, trzeba nam będzie brać nogi za pas.

Pies zbliżył się nieco. W głębi jego gardła głucho grzmiało warczenie, z pyska kapąła biała piana.

- Ty parszywy kundlu - syknął ten większy, wstając. - Jak doliczę do trzech lecimy do koni. Raz. Dwa. T... - Okręcił się na pięcie, przedarł przez krzaki i popędził w las.

Kiedy jego kumpel uświadomił sobie, że został sam, krzyknął zdumionym głosem, przerażony. Przez krótką, pełną popłochu chwilę wpatrywali się sobie z psem w oczy.

Potem pies skoczył. Chase przyglądał się temu zmałomowanym wzrokiem. Wydawał mu się, że pysk zwierzęcia w chwili skoku otworzył się jeszcze szerzej, a olbrzymie szczęki tak się rozwarły, że pieściłyby się w nich cała głowa mężczyzny.

Z przeraźliwym krzykiem Davy rzucił się do ucieczki i, przebierając szaleńczo nogami, przedzierał się przez poszycie. Pies popędził za nim, kłapiąc paszczą.

Chase chciał się temu przyglądać. Zobaczyć, czy pies dopadnie złodzieja, na co miał szczerą nadzieję. Ale głowa go bolała, a umysł zaćmiewała coraz gęstsza mgła. Oczy wydawały się uparcie same zamykać, chociaż czuł się dziwnie rozluźniony i wyostrzonym słuchem wyłapywał każdy dźwięk.

Usłyszał coraz bliższe kroki, pełen zaskoczenia okrzyk, a potem delikatny, kobiecy głos, który

wydawał polecenia zdumiewająco spokojnym i surowym tonem.

Gdyby niebem rządził jakiś anioł, komenderujący chmurami i słońcem to miałby taki właśnie głos, doszedł do wniosku Chase. Chłodna, niewzruszona stał pokryta cieniutką warstwą miodu. Rozkoszował się tym jedwabistym tonem, lgnął do niego, a równocześnie wyęczał wszystkie siły, by nie zasnąć, by się utrzymać przy życiu.

Los jednak jest okrutny i kapryśny. Straszliwa cisza okrywała go niczym całun, rozkoszny głos robił się coraz cichszy, zmysły Chase'a, które ledwie ledwie czepiały się jawy, poddały się i zaniechały wysiłku. Nie zaprzestając walki o zaczerpnięcie jeszcze jednego oddechu, Chase St. John osunął się w atramentową ciemność, z której chyba nie było odwrotu.

### 3

*To byli sir Royce Pemberley i Liza. Całowali się w jego faetonie, jakby nikt ich nie mógł zobaczyć. Na dodatek są małżeństwem, co jeszcze pogarsza sprawę! W całym mieście rozbudzą nadzieje tym swoim postępowaniem i dopiero będzie awantura!*

Lady Burlington do swego siostrzeńca, Edmonda Valmont, kiedy ten młody człowiek podążał za nią do wypożyczalni książek, z trudem oganiając ramionami pękającą wprost w szwach torebkę ciotki, dużą futrzaną mufkę, dwie poduszeczki, szal z orientalnymi frędzlami, trzy nieprzeczytane książki oraz mopsa z poważną nadwagą

- Dobry Boże - powiedziała Harriet, przysiadając na piętach u boku leżącego mężczyzny. Serce nierówno tłukło jej się w piersiach.

Nieznajomy leżał na plecach, skroń przecinała mu zaogniona rana, twarz miał z jednej strony zalaną krwią. Ziemia pod jego głową była mokra, wyglądała jak czarniawa aureola.

Poszycie zaszeleściło i na polankę wyszła Ofelia.

- Czy znalazłaś... dobie nieba!

- Jest ranny, stracił mnóstwo krwi. - Harriet przełknęła, słysząc, jak głos jej drży. Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i przycisnęła ją do rany. - Ofelio, wracaj do wozu i przynieś wiadro z wodą, którą zabraliśmy dla owiec. I poślij Sophię po jakąś pomoc.

- Ale czy on...

- Już!

Harriet nigdy nie widziała takiej ilości krwi. Chusteczka przesiąkła od razu i do niczego się już nie nadawała. *A niech to, przecież on się wykrwawi na śmierć, jeżeli czegoś nie zrobię.*

Rzuciła bezużyteczną już chustkę na ziemię, uniosła spódnice i zaczęła odrywać pasy płótna od halki. To była stara halka; wszystkie jej halki były stare. Ale uszyto ją z porządnego, nadającego się do użytku płótna, i niedawno została wyprana.

Harriet zrobiła z materiału prowizoryczny opatrunek i przycisnęła go mocno do rany.

Krwawienie trochę zelżało, ale nie zanikło, bandaż szybko zrobił się czerwony.

- Pospiesz się, Ofelio - wymamrotała Harriet.

Wolną ręką otarła nieznajomemu policzek z czepiających się go suchych liści i ziemi, mimochodem zwracając przy tym uwagę na zawile zawiązany krawat. Koń, na którego się wcześniej natknęły, musi należeć do tego człowieka. A już na pewno ubranie, które miał na sobie, pasowało do wierzchowca tak wyśmienitej rasy. Surdut uszyto ze znakomitego materiału, krawat był z najdelikatniejszego płótna, buty w najmodniejszym stylu. Wszystko idealne, bez zarzutu. Poza tym... wzrok jej prześlizgnął się na twarz rannego i Harriet mimo woli westchnęła.

W życiu nie widziała jeszcze tak atrakcyjnego mężczyzny. Szczeka i wargi były doskonale ukształtowane, niczym w greckiej rzeźbie. Skóra miała piękny, złocisty kolor. Gęste czarne włosy, lepkie i mokre od krwi po jednej stronie, wiły się nad czołem.

Przycisnęła mocniej bandaż, siłą woli starając się powstrzymać krwotok. Powieki mężczyzny zatrzepotały, potem uniosły się, ukazując oczy błękitne jak niebo.

Dobry Boże, ależ on ma piękne oczy. Harriet aż dech zaparło. Zdumiewająco piękne. I chociaż aż czuła się zażenowana, że serce tak jej się tłucze w piersiach, przemogła się i spokojnie uśmiechnęła.

- Został pan ranny, ale pomoc jest już w drodze.

Chyba ją zrozumiał, bo coś zamigotało w jego oczach.

- Czy może pan mówić?

Nie próbował odpowiedzieć, tylko wpatrywał się w nią, jakby nigdy nie miał przestać, spojrzenie miał tak przepaściste, tak fascynujące, że Harriet mimo woli pochyliła się do przodu. Ciągnęło ją do tych oczu, do tych pięknie rzeźbionych ust. Ciągnęło nieubłagane, aż...

Wargi nieznanego rozchyliły się - cudownie ukształtowane wargi, świadczące o zmysłowej naturze i stanowczości.

Harriet przyłapała się na tym, że się im przygląda.

- Jak pan się nazywa? - wyszeptła. - Kim pan jest?

Czoło nieznanego zmarszczyło się, usiłował coś powiedzieć.

Harriet pochyliła się jeszcze niżej. - Tak?

- Ja... nie... wiem. - I stracił przytomność, powieki opadły mu na oczy, głowa odwróciła się na bok, a świadomość, której czepiał się resztkami sił, ulotniła się.

- Ostrożnie, panienko - mówiła kucharka, otrzepując ręce o fartuch. Mąka uniosła się w powietrze migotliwą chmurą. - Ta woda jest gorąca. Nie chciałabym, żeby ją panienska rozlała tak samo, jak tę owsiankę, co to ją panienska upuściła na nowy dywan.

Incydent z owsianką miał miejsce przed ponad dwudziestu laty, kiedy Harriet liczyła sobie całe cztery wiosny życia. Była dosyć pewna, że nie ma niebezpieczeństwa, by rozlała gorącą wodę, którą zamierzała właśnie zanieść na górę do ich podopiecznego.

Przywiozły tego biedaka do Garrett Park. Szukały czegoś, co pomogłoby im ustalić jego tożsamość, ale nie znalazły przy nim ani skrawka papieru jak również żadnych pieniędzy, co doprowadziło Harriet do przekonania, że padł ofiarą brutalnego rozboju.

- Będę bardzo ostrożna. Obiecuję.

Twarz starej kobiety odrobinę złagodniała.

- Wiem, że pani będzie, panienko Harriet. Szkoda, że ten dżentelmen nie miał przy sobie żadnych listów ani nic, kiedy go panienki znalazły. Ot i tajemnica.

- Posterunkowy przekonany jest, że ktoś napadł na tego biedaka i zostawił go w lesie, by się wykrwawił na śmierć.

Kucharka cmoknęła z dezaprobatą. Była chudą kobietą o gładko uczesanych, siwych włosach, praktycznym stosunku do życia i żywym uśmiechu. Cechowała ją też nieugięta lojalność.

- Tak się porobiło, że nawet za próg bezpiecznie wyjść nie można. Niech no panienska już idzie. Zaopiekuje się pacjentem. Doktor właśnie wyszedł i jestem pewna, że panienki matka będzie miała dla nas jakieś wiadomości.

Harriet przystanęła.

- Kiedy doktor przyjechał?

- Jak panienska poszła do ogrodu, żeby nazbierać trochę nawłoci do zaparzenia. Miałam paniencie powiedzieć, ale zapomniałam w tym całym zamieszaniu.

- Dziękuję. - Harriet odwróciła się, pospiesznie wyszła z miską z kuchni i wąskim korytarzykiem skierowała się do głównego holu. Już miała stanąć na pierwszym stopniu schodów, kiedy na podeście pokazała się matka i zaczęła schodzić na dół. Podązał za nią w zamyśleniu młodszy brat Harriet z nosem utkwionym w książce.

Harriet nie raz już zastanawiała się, jak Derrick może chodzić po schodach, nie przerywając czytania, nie wywracając się i nie rozbijając sobie głowy, ale jakoś mu się to zawsze udawało.

Odsunęła się na bok, uważając, by nie rozlać gorącej wody.

- Jak się czuje nasz pacjent?

Brwi matki ściągnęły się w zatroskaniu.

- Jeszcze się nie ocknął.

Derrick oparł się o ścianę, oczu nadal nie odrywał od kartek książki. Chodził zawsze przygarbiony, pochylając się, jak zbyt wyrosnięte źdźbło pszenicy.

- Pewnie śpi.

- Minęło wiele godzin. - Matka westchnęła. Jej włosy, niegdyś tak samo brązowawe jak u Harriet, były teraz śnieżnobiałe i delikatnie wiły się wokół gładkiej twarzy. - Mam szczerą nadzieję, że nie umrze.

Derrick podniósł na moment oczy znad książki, w jego głosie pobrzmiwała nuta niesmaku.

- Nie wygląda na kogoś, kto miałby niedługo umrzeć. Ma stanowczo zbyt zdrową cerę.

- Co powiedział doktor? - zapytała Harriet. Brat wzruszył ramionami.

- Niewiele mówił. Kiedy przebieraliśmy naszego pacjenta w jedną z nocnych koszul Stephena, nie znaleźliśmy niczego poza kilkoma siniakami i tą raną na głowie.

W łagodnych, brązowych oczach matki zamigotała troska.

- Lekarz powiedział, że istnieje ryzyko uszkodzenia mózgu.

- Niewielkie ryzyko - upierał się Derrick. Matka spojrzała na niego z wyrzutem.

- Kiedy mowa o uszkodzeniu mózgu, każde ryzyko jest zbyt wielkie. Mam nadzieję, że ten biedak nie skończy tak jak pani Billingsworth. Niecałe dwa lata temu spadła z konia, uderzyła się w głowę i zmarła.

Harriet zmarszczyła brwi.

- Pani Billingsworth umarła dopiero w zeszłym miesiącu.

- Tak, ale nigdy nie odzyskała pamięci. - Matka nachyliła się bliżej ku córce i oznajmiła poufnym szeptem, który z łatwością można było usłyszeć w całym holu: - Kiedy się ocknęła, była zbulwersowana, że jest żoną pana Billingswortha. Ja również czułabym się tym zbulwersowana.

- Dobry Boże, to chyba naturalne! - poparł ją Derrick, któremu najwyraźniej nowy temat rozmowy bardziej odpowiadał. - Ten człowiek nigdy się nie kąpie i ma bardzo szczególny zwyczaj zgrzytać zębami po każdym wypowiedzianym zdaniu.

- Sama tracę pamięć na wzmiankę o czymś takim - zapewniła go Harriet, marszcząc nos.

Matka pokiwała głową, przy czym ładny koronkowy czepeczek zjechał jej na ucho.

- Gdyby mnie coś takiego spotkało, udawałabym, że nie pamiętam męża, ale bardzo wyraźnie przypominam sobie dzieci.

- No i proszę! - Derrick znowu otworzył książkę. - Jeżeli mama kiedyś straci pamięć, będzie już mama wiedziała, jak się zachowywać.

- Bez wątpienia - matka smętnie się uśmiechnęła. Zerknęła na Harriet. - Derrick i ja wybieramy się do stodoły zobaczyć, czy Stephen przywiózł już siano.

- Wydawało mi się, że to Derrick miał przywieźć siano?

Derrick nie odrywał oczu od książki.

- Miałem, ale Stephen najwyraźniej chciał, żeby zrobione to zostało wcześniej, niż mogłem się za robotę zabrać. Kiedy poszedłem do stodoły, wyładował już jarki i odjechał.

Matka westchnęła.

- I pewnie na dodatek jest o to zły. Chodź, Derricku. Powinien już być z powrotem. Mam nadzieję, że nie uszkodził sobie nogi przez te figle.

Harriet odwróciła się w stronę schodów. Trzymając parującą miskę w jednej ręce, drugą zebrała spódnicę i zaczęła powoli, ostrożnie wspinać się na wąskie schody.

Gdyby miała pieniądze, na pewno kazałaby wymienić te główne schody. Były zdradliwie strome. We frontowym, obszernym holu pomieściłaby się bez trudu jakaś bardziej imponująca, nie mówiąc już o tym, że bezpieczniejsza konstrukcja.

Ale ta zmiana, podobnie jak inne, o których marzyła, będzie musiała poczekać. Można jednak mieć nadzieję, że już niedługo. Harriet przystanąła w pół drogi i przełożyła miskę do drugiej ręki. Palce piekły ją od gorąca. Drzwi do pokoju gościnnego były uchylone, na korytarzu dały się słyszeć dwa głosy.

- A ja uważam, że on jest przystojny - doszedł do niej zadyszany szept Sophii. - Nie mam pojęcia, jak mogłaś myśleć inaczej.

- Nie mówiłam, że nie jest przystojny - Głos Ofelii brzmiał tak, jakby się boczyła. - Powiedziałam, że jest uderzający, a to znaczy przystojny, tylko jeszcze bardziej.

- Och. Dobrze. No to w porządku.

Zapanowało milczenie, jakby obie się nad czymś zastanawiały. Harriet wchodziła dalej po schodach.

- Doktor mówił, że powinien się lada chwila ocknąć - odezwała się w końcu Sophia.

- Mam nadzieję - odpowiedziała Ofelia. Znowu przez chwilę panowała cisza, a potem:

- Ofelio, czy nie myślisz, że mógłby się obudzić szybciej... jakby go pocałować?

Harriet, która właśnie wchodziła na górny stopień, o mało się nie potknęła.

Natomiast Ofelia chyba się zaciekawiła.

- Jak w tej sztuce, w której występowałaś w zeszłym roku?

- No właśnie - potwierdziła z wyraźnym podnieceniem Sophia. - Spróbujmy obydwie! Ja pierwsza. Potem, jeżeli się nie obudzi, możesz spróbować ty.

- Dlaczego ty miałabyś być pierwsza? - zapytała Ofelia. Teraz w jej głosie dźwięczało oburzenie.

- Powinnam być pierwsza, bo jestem od ciebie starsza.

- Ale tylko o jedenaście miesięcy! To się właściwie nie liczy.

Harriet pospiesznie szła korytarzem do pierwszych drzwi.

- Gotowa? - Nastąpiła pełna napięcia cisza, potem rozległ się zduszony kaszel.

- Och, na litość boską, Sophio! - wybuchnęła Ofelia. - Tak się nie całuje! Daj temu biedakowi odetchnąć!

Harriet pchnęła drzwi.

- Co tu się dzieje?

Jej siostry stały po dwóch stronach łóżka. Sophia pospiesznie się wyprostowała, twarz miała zaróżowioną. Napotkała spojrzenie Harriet i zaczerwieniła się mocniej.

- Nic... nic takiego. W ogóle nic. My tylko rozmawialiśmy.

Ofelia stała po drugiej stronie łóżka. Na jej okrągłej buzi malowała się wyraźna dezaprobata.

- Rozmawialiśmy? Ty coś takiego nazywasz rozmową? To istny cud, że on nie wyzionął ducha!

Dłonie Sophii zacisnęły się w pięści.

- Problem w tym, że nigdy nie widziałas prawdziwego pocałunku.

- Ty też nie! Mało brakowało, a byłabyś biedaka udusiła!

- Dość! - przerwała im Harriet. - Jedna i druga!

Ofelia przyglądała się misce z gorącą wodą, oczy jej się nagle zaświeciły.

- Przyszłaś go wykąpać?

Sophia również się rozpromieniła.

- Och, świetnie! Ofelia i ja z radością ci pomożemy.

- Nie wątpię - powiedziała Harriet, stawiając miskę z wodą na pomocniku, przy czym porcelana głośno brzęknęła. - Ale nie potrzebuję waszej pomocy. Zamierzam umyć mu tylko twarz i ręce.

Ofelia się przygarbiła.

- Co za szkoda.

Sophia westchnęła potakująco.

- Jeżeli nas nie potrzebujesz, to pójdziemy chyba do stodoły. Pracujemy nad „Snem nocy letniej”.

- Ja jestem Pukiem - oznajmiła z dumą Ofelia. Harriet przez moment przyglądała się siostrze.

- Jak już będziecie w stodole, może byście sprawdziły, czy Jem nie potrzebuje pomocy przy dojeniu krów. Miał przeprowadzić je dzisiaj na wschodnie pastwisko.

Ofelia klasnęła w dłonie.

- Będę prawdziwą pasterką!

- Krowy nie miewają pasterek. - Czoło Sophii się zmarszczyło. - Będziesz... Hmm. Jak można by to nazwać?

Harriet zanurzyła szmatkę w wodzie i porządnie ją wyżeła.

- Nie wiem, jak można by to nazwać, ale wy dwie na pewno potrafiłybyście nawet świętego wyprowadzić z równowagi. Już was tu nie ma. I nie wracajcie, dopóki Jem nie powie, że nie jesteście mu potrzebne.

Sophie kiwnęła głową, ale na krok się nie ruszyła od łóżka. Przesunęła palcami po skraju kołdry, przykrywającej ich gościa, jej jasne loczki tworzyły oprawę dla twarzy, na której malowało się rozmarzenie.

- Nie sądzisz, że pocałunek byłby wspaniałe cudownym sposobem na obudzenie mężczyzny? Dotykasz tylko raz ustami jego warg i...

- Sophio! - Ofelia nerwowo zerknęła na Harriet. - Dość już.

Sophia rzuciła jej triumfalny uśmiech.

- Jesteś zmartwiona, bo nie tobie udało się go pocałować.

Ofelia zeszywniała, okulary zsunęły jej się odrobinę niżej na nosie.

- Byłabym go pocałowała, gdyby nie to, że rzuciłaś się na niego i niemal go zadusiłaś, aż się biedak rozkaszał i...

- To on kaszlał? - zapytała Harriet, patrząc na Sophię. - Myślałam, że to ty kaszlałaś.

Sophia rzuciła głową.

- Takie tam kaszlenie. Ale ja go wcale nie dusiłam. To znaczy... mogłam mu się troszkę oprzeć łokciem na żebrach. Ale tylko leciutko!

Harriet przymknęła oczy.

- Doprowadzacie mnie obie do szału. Idźcie do stodoły i pomóżcie Jemowi.

Siostry niechętnie wyszły z pokoju, po drodze usprawiedliwiając się i broniąc. Harriet zaczekała, aż wyjdą, potem zamknęła za nimi drzwi.

Zduśnięta westchnieniem, podeszła do łóżka i spojrzała na nieznanego. Wydawał się spać mocno, twarz mu ani drgnęła, oddychał równo i głęboko.

- Sophia lubi dramatyzować. - Harriet wzięła szmatkę, którą wcześniej umoczyła w wodzie, i przysiadła na skraju łóżka.

Już wcześniej wydawał się przystojny, a teraz, kiedy trochę go oczyściły, zrobił się niebezpiecznie przystojny. Zmarszczyła znowu brwi. Czy on naprawdę śpi? Przechyliła głowę na bok, pochyliła się i przyjrzała mu się z bliska, z nosem oddalonym o cal od jego nosa.

Nic się nie wydarzyło. Odetchnęła nieco śmieiej, dmuchając mu przy tym na usta. I znowu nic. Nieznajomy oddychał nadal miarowo, jego rzęsy nawet nie drgnęły.

*Na miłość boską, co ja wyprawiam?* Ale gdyby nie spał, utworzyłby przecież oczy, poprosił o coś do jedzenia, chciałby dowiedzieć się, co z jego koniem... a nie leżał tu jak kłoda.

Harriet wyprostowała się, nieco się odprężyła i przyłapała się na tym, że przygląda mu włosy. Były gęste i miękkie w dotyku, ich czarne fale prześlizgiwały się jej przez palce. Spał nadal mocno, rzęsy miał opuszczone na policzki, wargi lekko rozchylone...

Popatrzyła na jego usta. Samo niebo nie zdołałoby stworzyć czegoś bardziej doskonałego. Nigdy.

Sophia całowała te usta. Harriet przez króciutką chwilę zastanawiała się, co siostra musiała poczuć. Bóg jej świadkiem, że nigdy nie całowała tak pięknego mężczyzny. I pewnie nigdy nie będzie mieć po temu okazji.

Poczuła się przygnębiona. Co za szkoda, że nie istnieje prawdziwy kapitan John Frakenham. Gdyby istniał, chciałaby, żeby wyglądał jak ten mężczyzna, z jego ciemnymi włosami i niebieskimi oczami... Westchnęła i sama siebie skarciła za takie głupie myśli.

Ale palce jej z własnej woli sunęły po jego włosach, potem prześlizgnęły się z czoła na policzek. Pod ich czubkami czuła ciepłą skórą, ocienioną całodniowym zarostem.

Gdyby to był kapitan, mogłaby go bezkarnie pocałować. Mogłaby go pocałować dlatego, że był mężczyzną i że należałby do niej. Aż ją zaczęło w środku mrowić na tę myśl i już bez zastanowienia pochyliła się i przycisnęła usta do warg nieznanego.

Przeszedł ją dreszcz, delikatne włoski na rękach się zjeżyły; na moment zapało jej dech w piersiach. Poczuła się tak, jakby dmuchnęło na nią gorące powietrze i jakby jej ciało wchłonęło w siebie to ciepło.

A potem coś się wreszcie wydarzyło. Wrażenie gorąca nasiliło się. Harriet otworzyła oczy i przekonała się, że przecucie jej nie myliło. Rzeczywiście ogarnął ją żar - żar, który bił z niesłychanie niebieskich oczu. Nieznajomy się ocknął.

Jak w bajce, obudziła księcia pocałunkiem.

#### 4

*Znalazłem w zeszłym tygodniu czterolistną koniczynkę i nagle okazało się, że żadna kobieta nie potrafi mi się oprzeć. Nigdy nie wierzyłem w takie bzdury, ale teraz... tylko w zeszłą niedzielę panna Hobbinton powiedziała mi, że podoba jej się mój kapelusz, a potem we wtorek lady Danbury „przypadkowo” upuściła mi prosto pod nogi chusteczkę, a ja ją przydepnąłem. Ale najlepiej było wczoraj wieczorem, kiedy wlałem na nogę lady Whistelsmithe, próbując z nią tańczyć walca, a ona nawet nie krzyknęła, tylko oczy trochę zaczęły jej łzawić. Słowo daje, całkiem mocno siedzę teraz w siodle.*

Edmund Valmont do księcia Wexford  
podczas przypadkowego spotkania na St. James Street

Chase tak naprawdę nie był wcale pewien, co mu się tylko śni, a co jest jawą. Jeszcze przed chwilą nurzał się w morzu ciemności, czując bolesny ucisk za oczami, i z wielkim wysiłkiem starał się znaleźć drogę na powierzchnię. A zaraz potem wywabiła go z mroku para miękkich kobiecych warg. Wargi te wydawały się bardzo realne. Przeniósł na nie wzrok. Były pełne i wilgotne, i zdumiewająco

zmysłowe w twarzy właściwie raczej nieładnej. Nie da się ukryć: mała służąca czy pokojówka, która go właśnie pocałowała, nie trafiłaby normalnie na listę jego zainteresowań.

Po pierwsze była dużo za chuda - całkowicie pozbawiona urzekającej pulchności i bujnych kształtów, których zwykle szukał. Miała brązowe oczy, brązowe włosy i zbrązowiałą cerę, jakby wiele czasu spędzała na dworze. Nic go w niej nie pociągało.

Ale... była blisko. Można by nawet powiedzieć, że była łatwo dostępna.

Przesunął znowu dłońmi po jej rękach w górę i w dół, bufki wyprasowanej płóciennej sukienki zaszeleściły mu pod palcami, w nos polechtał świeży, słodki, cytrynowy zapach. Chase nie wahał się - i, mimo dokuczliwego bólu za oczami, przyciągnął ją do siebie.

Dziewczyna krzyknęła cicho i zaczęła się wyrwać, oczy jej rozszerzyły się z zaskoczenia, ale Chase trzymał ją mocno. Nie był pewien, kim jest ta dzierlatka, ale musiał przyznać, że na niego działa. Z sekundy na sekundę robiło mu się coraz cieplej i narastało w nim podniecenie, jakby na kolanach trzymał jakiś pierwszorzędnny kasek, a nie taką myszkę. Co za cudowny sposób na odwrócenie uwagi od dosyć irytującego bólu głowy. Musiał wypić za dużo portwajnu poprzedniego wieczoru.

- Niech mnie pan puści - powiedziała, nie podnosząc głosu, tonem równocześnie miękkim i nieustępliwym.

Jej głos obudził w pamięci Chase'a jakieś echa. Nie był pewien, gdzie go wcześniej słyszał, ale słyszał niewątpliwie. Pewien był tylko jednego, że gdyby kobieta, którą trzymał teraz na kolanach, okazała się chociaż w połowie tak uwodzicielska jak jej głos, czekałaby go szalona noc.

Pocałował ją znowu. Mocno. Wpił się w jej wargi, tłumiąc słowa dziewczyny, wchłaniając w siebie jej oddech. Nie walczyła z nim, ale leżała w jego ramionach sztywno, jakby z trudem tolerowała te pieszczoty.

Jej reakcja polechtała ciekawość Chase'a. Pogłębił pocałunek, mocniej przywierając ustami do jej warg. Zdobywał, plądrował, brał i żądał. Dziewczyna zeszywniała w jego ramionach, a potem... bardzo, bardzo powoli odprężyła się i poddała najgorszemu.

A to, co Chase potrafił zrobić najgorszego, było bardzo dobre. A nawet jeszcze lepsze... postępował po mistrzowsku i wiedział o tym, bo przecież ciężko pracował, by swe dokonania doprowadzić do perfekcji. Jako St. John mógł zawieść pod wieloma względami, ale w sypialni - nigdy.

Zakosztował już rozkoszy z całym mnóstwem pięknych kobiet i zwykle znajdował upodobanie w bardziej wyrafinowanych związkach. Ale oto los rzucił go w sam środek jakiejś zabitej deskami wiochy, a takie dziewczątka, ta niczym nie wyróżniająca się pokojówka nie tylko w zdumiewający sposób działa mu na zmysły, ale na dodatek wcale nie reaguje na jego pieszczoty. Ani trochę.

To było wyzwanie pierwszej klasy.

Zabrał się do dzieła ze wzmożonym zapałem, przy czym jego własne podniecenie narastało z chwili na chwilę. Głowa bolała go jak wszyscy diabli, ale było to nic w porównaniu z burzą, która żarem kipiała w żyłach i wlewała się w lędźwia, kiedy trzymał tę kobietę w objęciach. Na Boga, udzieli jej jednej albo może i dwóch lekcji.

Pogłębiał pocałunek, przeciągał go, przedłużał, aż zapomniał o wszystkich swoich bólach i dolegliwościach i świadom był tylko palącego, słodkiego ciepła ściskanej w ramionach kobiety, jej smaku, jej zapachu i tego, jak gorącą miała w dotyku skórę.

Panienska ze swej strony zaczęła się w reakcji na jego zabiegi nerwowo poruszać. Jeszcze trochę i z zapałem oddawała mu pocałunek, chociaż jakoś niewprawnie. Była pełna wahania, można by rzec: onieśmielona. Jakby może nigdy jeszcze...

Diabli nadali, całował się z dziewicą! Na tę myśl rozjaśniło mu się w głowie, a rozpalona krew zaczęła stygnąć. Chase nie miał pojęcia, dlaczego był tego taki pewien, ale postawiłby całą resztę życia, jaka mu jeszcze została, na stwierdzenie: tej dziewczyny nikt przed nim nie całował. Nikt jej nigdy nie tulił w taki sposób. Nikt jej nigdy w ogóle nie.

Niechętnie uniósł głowę i popatrzył na nią. Przez moment leżała nieruchomo, w jej brązowych oczach malowało się oszołomienie, wargi miała rozchylone i wilgotne. Chase przekonał się nagle, że jest ujmująca, wcale nie taka brzydka, jak w pierwszej chwili sądził. Z bliska widział, że ma delikatne rysy, nos ślicznie zarysowany, że oczy jej okalają gęste rzęsy, a szczupłe jak u charta ciało jest miejscami łagodnie zaokrąglone.

Właściwie była nawet całkiem niczego sobie. Szkoda, że jest dziewicą. Chase unikał niewinnych kobiet jak zarazy. W najmniejszym stopniu nie pociągała go nerwowa paplanina, do której miały

wielką skłonność. Rozluźnił ramiona, i dziewczyna natychmiast wygramoliła się z jego objęć i zeskoczyła z łóżka. Dotknawszy stopami podłogi, okrzykiem się gwałtownie twarzą do niego. Oczy jej miały płomień.

Doszedł do wniosku, że potargana i podenerwowana wygląda jeszcze ładniej. Oczy panny płonęły oburzeniem, w ich aksamitnie brązowych głębinach połyskiwały drobinki złota. Niemodnie ogorzała twarz zabarwiła się teraz rumieńcem.

Chase przyłapał się na tym, że nie wie, czemu szeroko się uśmiecha.

- Starczy chwilowo tych igraszek. W końcu jestem ranny.

- Igraszek? - Dziewczyna mało się nie zakrzuszyła. - Pan to nazywa igraszką?

- Między innymi. Ale czas się przedstawić. - Pochylił na powitanie głowę. - Kim pani jest?

- Miałam zadać panu to samo pytanie - odparła. - Kim pan jest?

- Ja zapytałem pierwszy - zwrócił jej łagodnie uwagę Chase. - Więc pani musi mi pierwsza odpowiedzieć.

Dziewczyna przyglądała się spódnicę gestem zdumiewająco opanowanym, jeśli wziąć pod uwagę, że była dziewczicą i przed chwilą siedziała mu niemal na kolanach. Doświadczenie podpowiadało Chase'owi, że powinna być w tej chwili... wytrącona z równowagi. Tymczasem przyglądała mu się z czymś absurdalnie bliskim niesmaku, chociaż wargi miała wciąż nabrzmiałe od pocałunków.

- Panna Harriet Ward. A pan, sir, znajduje się w moim domu, w Garrett Park.

A więc jednak nie była pokojówką. Garrett Park... ta nazwa nic mu nie mówiła.

- Gdzie to jest?

- North Walton. W pobliżu wybrzeża.

Wybrzeże. Pamięć powróciła szeroką falą. Był w drodze na statek. Zostawił dom, rodzinę, wszystko. Nie dlatego, że chciał, tylko że musiał. Ponieważ utracił prawo, by mówić o sobie: St. John.

Na tę myśl ścisnęło go w gardle i z trudem udało mu się wykrztusić:

- Skąd się tu wziąłem?

- Znalazłyśmy pana w lesie. - Dziewczyna zerknęła na jego czoło i znowu spojrzała w oczy. - Pamięta pan?

Chase dotknął ostrożnie czoła. Miał wrażenie, że coś je uciska, prawie jakby... palce trafiły na bandaż. Przymknął oczy i pozwolił napłynąć wspomnieniom. Atak. Rabunek. Widok pierścienia matki, spadającego na ziemię...

Otworzył oczy i przekonał się, że panią przygląda mu się bacznie. Jak jej było na imię? A, tak. Harriet. Harriet Ward. Panna Harriet Ward.

Przerwała jego zadumę.

- Czy przypomina pan sobie? - zadała to pytanie z delikatnym naciskiem.

Chase już otwierał usta, by jej odpowiedzieć, ale się powstrzymał. Jeżeli panią dowie się, kim jest, wieść o tym na pewno się rozejdzie, zwłaszcza że jego brat, Devon, ma gdzieś w tej okolicy swój dom. A Chase za nic w świecie nie pragnął widzieć swoich braci - nie miał najmniejszych wątpliwości, że przyjechaliby, i to wszyscy czterej, by zapakować go do powozu i zabrać do Londynu. Podjął decyzję i nie zamierzał od niej odstąpić mimo tego drobnego niepowodzenia.

Zerknął spod rzęs na kobietę, która stała przy łóżku. Zaciśnęła razem dłonie, wyprostowała się, ściągnęła ramiona. Wyglądała, jakby gotowa była stanąć przed plutonem egzekucyjnym, chociaż dostrzegł też, że delikatne wargi leciutko jej drgają. Na ten widok jemu również uniosł się kącik ust w uśmiechu. Mogła być niedoświadczona, ale miała w sobie wielkie pokłady namiętności.

- No i? - zapytała panna Harriet Ward. Głos jej nadal przypominał miękki płat jedwabiu, po brzegach pojawiło się jednak obszycie z kłującej koronki. - Jak pan się nazywa? Ja się panu przedstawiłam.

Chase oparł się o poduszki. Poza tym, że okropnie bolała go głowa i był ogólnie znużony, wcale nie czuł się tak źle.

- Panno Ward, podałbym pani moje nazwisko, gdybym mógł, ale nie mogę.

Na twarzy panią zamigotało niedowierzenie.

- Nie wie pan, jak się pan nazywa?

- Nie pamiętam.

- Och. A czy... czy wie pan, skąd pan przyjechał?

Chase zastanawiał się przez chwilę w milczeniu.

- Nie, tego też nie wiem.

Oczy Harriet się zwięzły. Twarda jest, uświadomił sobie z lekkim poczuciem uznania.

- A czy pan pamięta, dokąd pan jechał?

Chase wyduł wargi, jakby niemal sobie to przypominał. Ale po chwili potrząsnął głową.

- Nie.

- Czy jest pan żonaty?

- Nie! To znaczy - dodał pospiesznie - nie sędzę. *Cholerny świat, będzie musiał uważać, albo go ta dziewczyna zdemaskuje.*

Panna Ward wymamrotała coś pod nosem. Szumiało mu w uszach, ale jeżeli się nie przestyszał, powiedziała chyba „do licha”.

- Słucham panią? - zapytał.

- Nic. Zastanawiałam się. - Skrzyżowała ramiona, wpatrując się w niego tak, jakby był jakimś szczególnie niesympatycznym owadem, którego trzeba przyszpilić do planszy. - Czy pamięta pan, jak pana zaatakowano?

Chase zmarszczył brwi. Może powinien udać, że to pamięta? A może nie? Najlepszą odpowiedzią będzie jej brak.

- Przypuszczam... myślę... mówiła pani, że znalazłyście mnie w lesie?

- Tak. Niedaleko stąd. Nawiasem mówiąc, panu koniowi nic się nie stało.

Chase rozpromienił się, przechwycił spojrzenie panny i uświadomił sobie, że popełnił błąd.

- Koń? A więc musiałem gdzieś jechać.

- A po drodze pić.

Oczywiście, że pił. Rozpaczliwie pragnął uśmierzyć bolesną tęsknotę za domem. Ale... do tego na pewno nie zamierzał się przyznawać przed stojącą tuż obok purytanką - a panna Ward niewątpliwie musiała być purytanką. Nikt inny nie potrafiłby patrzeć z taką przyganą, i to nie mając poważniejszego ku temu powodu niż kilka łyków brandy.

Chase zdecydował się na niewinne uniesienie brwi.

- Jest pani pewna, że piłem?

- Śmierdział pan brandy, a w pobliżu znaleziono pustą butelkę.

- Może miałem ją w jukach i się wylała - poddał łagodnie.

- Hm. - Panna wydawała się nie przekonana. Całkowicie nie przekonana.

Rozbawienie Chase'a szybko się ulatniało, jego miejsce zajmowała ostrożna fascynacja. Panna Harriet Ward najwyraźniej nie była idiotką. A stroszyła się jak zmokła kura, kiedy się ją wyprowadziło z równowagi. Nie wiedzieć czemu Chase przekonał się, że dosyć podoba mu się jej pełna oburzenia mina. Bardzo mu się podoba. Tak bardzo, że miał ochotę znowu wyciągnąć ręce, chwycić pannę w objęcia i całować, dopóki zmysłów nie postrada.

Dotknął czoła i zastanowił się, jak mocno go uderzyli.

- Powinienem zobaczyć się z lekarzem.

Panna Ward odwróciła się, wzięła jakąś szmatkę i zanurzyła ją w misce, która, parując, stała obok łóżka.

- Doktor Blackthorne niedawno wyszedł. Powiedział, że nic panu nie będzie.

Chase nie miał wątpliwości, że ten Blackthorne musi być jakimś wiejskim łapiduchem, który więcej wie o zerwanych ścięgnach koni niż o leczeniu ludzi.

- A co dokładnie powiedział zacny doktor?

Harriet zerknęła na niego spod rzęs, zupełnie jakby dotarł do niej sarkazm, który Chase usiłował zataić. Wyżeła ściereczkę, pochyliła się i przycisnęła mu ją do czoła.

- Będzie pan mógł osobiście porozmawiać z doktorem, kiedy przyjdzie następnym razem.

Ciepły okład podziałał na Chase'a jak czary. Przymknął oczy, wypełniło go ociężałe rozleniwienie. Ból za oczami zaczął ucichać.

Harriet ze swej strony miała pewne trudności z zachowaniem stoickiej postawy. Niech ją dobre nieba mają w swej opiece, ależ to jest piękny mężczyzna. A świadomość, że ten okaz doskonałości trzymał ją w ramionach i całował jak szalony, namiętnie, jakby była jedyną kobietą na świecie... Harriet bała się, że lada chwila może buchnąć płomieniem. Nie z zażenowania, chociaż gdyby miała choć odrobinę rozumu, to przynajmniej trochę powinna się czuć zażenowana, tylko z czystej, nieokielzanej żądz.

Nie były jej obce pocałunki. Spotkało ją coś takiego już wcześniej. Nawet dwa razy. Pierwszy trzy

lata temu na targu rolniczym w Newmarket. Szła wzdłuż kramów z koszykiem na ręce, kiedy jakiś chłopak, przebiegając obok niej, chwycił ją, pocałował mocno w usta i uciekł.

A potem, przed dwoma laty, pocałował ją wnuk pułkownika Hillbrighta, pan Landry, kiedy przyjechał z wizytą z Londynu.

I pierwszy pocałunek, i drugi rozczarowały Harriet. Ucieszyła się jednak, że coś takiego w ogóle miało miejsce, bo sądziła, że w żaden inny sposób nigdy nie zasmakuje namiętności - że tylko tak będzie mogła poznać jej żar. Ale najwyraźniej się myliła. Pocałunek pana Landry, nad którym przez ostatnie dwa lata udawało jej się romantycznie rozmarzać, nagle zbladł i stracił na znaczeniu. W obliczu tego nowego pocałunku został zdegradowany do licznych cmoknięć w policzek.

Uświadomiła sobie, że dopiero teraz dowiedziała się, co znaczy prawdziwy pocałunek. Od prawdziwego mężczyzny.

Takiego, który bez wątplenia był w tych sprawach bardzo doświadczony.

Zanurzyła znowu szmatkę w misce i zobaczyła, że jej pacjent niechętnie otwiera oczy. Uśmiechnął się do niej sennie, powieki mu opadły.

- To było takie miłe.

Panna Ward rezolutnie starała się opanować gorący dreszcz, który przebiegł jej po plecach. Co ten mężczyzna ma w sobie, że rozpala w niej takie emocje? Może to ta jego tajemniczość. Tak, na pewno o nią chodzi. Harriet należała do osób, które lubią, by wszystko znajdowało się na swoim miejscu, jak figury na szachownicy. A pan, który leżał przed nią, niewątpliwie na swoim miejscu nie był. Przyłożyła mu znowu ciepłą szmatkę do twarzy.

- Lepiej? - zapytała najbardziej rzeczowym i praktycznym tonem, na jaki było ją stać.

- Nieco. - Palce Chase'a zamknęły się na nadgarstku Harriet i uniosły jej dłoń do policzka, niebieskie oczy aż migotały od żaru. - Gdyby pani naprawdę chciała, żebym poczuł się lepiej, pocałowałaby mnie pani znowu.

Harriet cofnęła się na tyle, na ile mogła, bo przecież trzymał jej nadgarstek w nieustępliwym uścisku.

- Doprawdy, panie... - Urwała. - Jeżeli nie wie pan, jak pan się nazywa, jak mamy się do pana zwracać?

- Dobre pytanie. Zastanowimy się nad tym, kiedy się będziemy całowali. - Z błyskiem w oku przyciągnął jej nadgarstek do warg i ucałował go. Mokra szmatka zwisała bezużytecznie z dłoni Harriet. - Potrafię robić jedno i drugie, wie pani. Myśleć i całować. Jestem bardzo utalentowany.

Panna Ward usiłowała odebrać mu rękę, przerażona falą żaru, która znowu spływała jej po kręgosłupie.

- Nie jestem w nastroju, by pana całować, i nie mam najmniejszej ochoty wymyślać dla pana imienia. Chase przyciągnął ją jeszcze bliżej, jego usta wygięły się w uśmiechu, któremu równie trudno było się oprzeć jak cynamonowym bułeczkom kucharki. Harriet przyłapała się na tym, że ma ochotę odpowiedzieć mu uśmiechem, ale szybko tę chęć zdusiła. Nie wiedziała, czym jeszcze jest ten mężczyzna, ale nicponiem był na pewno. Czego jak czego, ale zachęty to on nie potrzebował.

- Proszę puścić moją rękę.

- Najpierw proszę mnie pocałować. - Poruszył brwiami. - Lepiej niech pani to zrobi. Jestem przecież ranny. Gdybym zaczął uganiać się za panią, mógłbym sobie zaszkodzić.

Było to tak absurdalne, że Harriet prawie nie udało się powstrzymać uśmiechu.

- Niech pan posłucha, panie... jak się pan zowie, ja... - Urwała i ściągnęła brwi, bo nagle coś wpadło jej do głowy. - Jak na kogoś, kto właśnie uświadomił sobie, że stracił pamięć, jest pan w doskonałym humorze.

Przez krótką chwilę Chase patrzył na nią niepewnie, ale nie przestał się uśmiechać i nie puścił jej nadgarstka.

- To dlatego, że wiem, iż niedługo mi pamięć wróci.

Harriet przyglądała mu się podejrzliwie.

- Skąd pan wie?

Ranny milczał przez kilka sekund, a ona niemal słyszała, jak obracają się kółeczka w jego mózgu. Coś jej tu nie grało.

Wreszcie wydał wargi, gładząc poufale kciukiem wewnętrzną stronę jej przegubu.

- Wiem, bo wiem - oświadczył z wielkim naciskiem, jakby próbował wyjaśnić coś komuś ciężkiemu na umyśle. - Niektóre rzeczy pamiętam. Na przykład jak wkładać buty. I jak całować kobietę.

- Pożyteczne umiejętności.

Zignorował jej oschłą uwagę.

- Wiem, że odzyskam pamięć w taki sam sposób, jak wiem, że robiąc to - tu pokazał głową na miejsce, które pocierał kciukiem, od czego po ciele Harriet rozchodziło się rozkoszne mrowienie - doprowadzam u pani do tego. - Jego spojrzenie przeniosło się na pokrytą gęsią skórą rękę panny Ward.

Chociaż ściereczka, którą trzymała w dłoni, była gorąca, to zaciśnięte na nagiej skórze nadgarstka palce nieznanego wydawały się palić żywym ogniem.

Dobre nieba, co się z nią dzieje? Usiłowała się uwolnić, ale palce tylko zacisnęły się mocniej, a mężczyzna podniósł na nią oczy, wyraźnie rzucając jej wzrokiem wyzwanie.

- Boi się pani?

- Czego? Człowieka, który stracił pamięć? Też coś. - Gwałtownie zastanawiała się, co by tu powiedzieć dowcipnego, ale nie przyszło jej na myśl nic oprócz zdania: - A więc z jakiegoś bliżej niewyjaśnionego powodu wierzy pan, że odzyska pan pamięć. Czegoś równie głupiego w życiu nie słyszałam.

Uniósł w górę brew.

- A czy pani straciła już kiedyś pamięć?

- Nie, ale...

- No to skąd pani wie, jak to jest?

- Wiem, ponieważ... - Zacisnęła mocno usta, uświadamiając sobie, że właściwie nie potrafi powiedzieć, dlaczego reakcje nieznanego wydają jej się fałszywe. Zadowolona mina pacjenta koszmarne ją irytowała.

Otworzyła usta, by stanąć w obronie swego punktu widzenia, ale Chase zacisnął mocniej palce i szarpnął ją ku sobie.

Harriet uderzyła nogami o łóżko i wywróciła się, padając znowu na niego.

- O to chodziło - wyszeptał, więzając ją w uścisku. - Już się lepiej czuję.

Panna Ward szamotała się, próbując się podnieść. Odrzuciła szmatkę na podłogę, by móc posłużyć się oboma rękami.

- Dość już tego, naprawdę...

Ktoś pchnął drzwi.

- Harriet, kochanie! - odezwała się pogodnie jej matka. - Doktor Blackthorne mówi, że... O mój Boże! Panna rzuciła triumfalne spojrzenie na irytującego mężczyznę, który więził ją w objęciach, i czekała, aż matka upomni go za naganne zachowanie.

- Harriet! - zawołała matka pełnym oburzenia tonem. - Co ty wyprawiasz z naszym nieszczęsnym pacjentem!

## 5

*Kobiety to właściwie całkiem zwyczajne stworzenia. Całkiem zwyczajnie nieodgadnione, chciałem powiedzieć.*

Księżę Wexford do księżnej Wexford, kiedy w niedzielne popołudnie wracali z kościoła do domu

- Mamo, ja... ja wcale... to on... to nie ja... Do licha!

Elvira Ward, mrugając z niedowierzaniem powiekami, patrzyła na swą zwykle stateczną i spokojną córkę - tę samą córkę, która w tej chwili z zaczerwienioną twarzą leżała jak długa w poprzek ich pacjenta.

- No dobrze!

Nie to zamierzała Elvira powiedzieć. Nie przyszło jej nawet na myśl, że coś takiego powinna powiedzieć. Ale chwilowo niczego więcej nie udało jej się wykrztusić.

Była pewna, że wymyśli doskonałą ripostę, tyle że później. Niestety, zawsze się tak działo.

Harriet, z ciemnym rumieńcem na twarzy, próbowała podnieść się znowu do pozycji stojącej, ale nie szło jej to najlepiej, bo łóżko było takie miękkie, a nieznanomy, chociaż przyglądał jej się ze spokojem, nawet palcem nie kiwnął, żeby w czymś pomóc. Wykręcała się to w jedną, to w drugą stronę, aż wreszcie pozbierała się na nogi, przy czym coś głucho łupnęło i zaraz potem rozległ się stłumiony okrzyk.

Elviria nie była pewna, ale odniosła wrażenie, że córce wyrwał się dosyć barwny komentarz. Boże, z dnia na dzień ta dziewczyna robi się coraz bardziej podobna do swego ojca. Harriet, stanąwszy wreszcie na nogi, spiorunowała nieznajomego wzrokiem.

- Och, utrudniał mi pan to ze wszystkich sił!

Chase skrzyżował ręce na szerokiej piersi i pokazał w uśmiechu zęby.

- Jeżeli chciała pani, by jej pomóc, wystarczyło poprosić.

Harriet wymamrotała coś niezrozumiałego, potem odwróciła się twarzą do matki. Elviria nigdy jeszcze nie widziała na obliczu swojej córki tego dokładnie odcienia czerwieni.

- Mamo, wiem, jak to musiało wyglądać, ale my nie... to znaczy, ja tylko...

- Panna Ward upadła na łóżko, a ja ją złapałem - wtrącił pacjent z dosyć władczym wyrazem twarzy jak na kogoś, kto leżał ubrany w koszulę nocną Stephena, a głowę miał owiniętą bandażem. Nie wydawał się w najmniejszym stopniu skruszony, że pozwolił sobie na coś, co z pewnością, zdaniem Elvirii, musiało być wielką impertynencją.

Zerknęła na córkę. Czy jednak na pewno była to impertynencja? Harriet wyglądała na wytrąconą z równowagi, ale się nie złościła, ściśle rzecz biorąc. Tylko była poirytowana i rozwścieczona, i oburzona.

Jakież to... niezwykle.

Pacjent posłał pannie Ward leniwy uśmiech i brwi Elvirii podjechały w górę. Dobrze nieba. Nawet jej serce drgnęło na ten uśmiech. A serce biednej Harriet musiało bić chyba w takim tempie, jak serce ściganego przez sforę lisa.

- Panno Ward - odezwał się obcy z szelmowskim błyskiem w niebieskich oczach - mam nadzieję, że nie zrobiła pani sobie krzywdy.

- Krzywdy? - zapytała Harriet sztywno. - Oczywiście, że nie.

- Czy nie uderzyła się pani w łokieć?

Czerwone policzki Harriet wydeły się na moment w czystym oburzeniu.

- W nic się nie uderzyłam, dziękuję panu.

Od słów tych ziało lodowatym wręcz chłodem, ale powietrze między normalnie stateczną córką Elvirii a przystojnym nieznajomym aż migotało od żaru. Ojej, ależ to interesujące! Harriet nigdy dotąd nie dawała się ponieść złości. Nawet kiedy była malutka i nie umiała się jeszcze sama wdrapać na swoje krzeselko, reagowała spokojnie, okazując zdrowy rozsądek i rozwagę.

I właśnie dlatego Elviria nie przestawała wpatrywać się w swoją najstarszą córkę szeroko otwartymi oczami.

Harriet zauważyła spojrzenie matki i zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

Spojrzenie Elvirii przeniosło się znowu na nieznajomego.

- Muszę przeprosić pana, że się nie przedstawiłam. Jestem Elviria Ward, a pan musi być...

Nie usłyszała żadnej odpowiedzi. Popatrzyła na rannego, na córkę, znowu na rannego. Żadne z nich nawet nie drgnęło. W końcu nieznajomy westchnął.

- Obawiam się, że nie pamiętam.

Elviria zamrugła powiekami.

- Nie może pan sobie przypomnieć?

- Nie.

*O Boże. To okropne.*

- W ogóle niczego?

- Niczego. Po prostu *tabula rasa*.

- Bardzo niewielka *tabula* - mruknęła pod nosem Harriet cicho, ale tak, by ją usłyszeli.

- Harriet! - zawołała Elviria.

- Przepraszam - wymamrotała Harriet i zerknęła na nieznajomego z uśmiechkiem, w którym skruchy nikt by się nie dopatrzył.

Pani Ward z wielkim trudem ukryła niespodziewane rozweselenie. Nieznajomy nie wydawał się jednak rozbawiony. Jego przystojna twarz przybrała zdecydowanie drapieżny wyraz, jakby starał się zapamiętać tę uwagę, by za nią później odplacić.

Elviria nie była pewna, czy zadowolona jest, że takie spojrzenie skierowane było na jej córkę. Dobry Boże, ranny nieznajomy rzeczywiście zaczyna przysparzać kłopotów. Ale

nie na długo. Po śmierci swego męża, Randalla, który umarł przed siedmiu laty, Elviria nauczyła się,

że z każdym problemem trzeba uporać się jak najszybciej. Może wyśle tego pana do Langleyów, żeby tam odzyskiwał pamięć. Langleyowie mieli tylko jedno dziecko, syna, mniej więcej w wieku Stephena. Będzie to dużo bardziej właściwe posunięcie, niż gdyby przygarnęła przystojnego rozpustnika pod swój dach, pod którym mieszkają trzy atrakcyjne panienki do wzięcia.

Nie wiedzieć czemu przekonana była, że ten pan może nie pamiętać, jak się nazywa, ale przystojnym rozpustnikiem jest na pewno.

Nieznajomy, zupełnie jakby chciał dowieść, że pani Ward się nie myli, nie spuszczał wzroku z Harriet.

- Panno Ward, jestem przekonany, że uderzyła pani łokciem o zagłówek. Słyszałem wyraźne łupnięcie.

Elviria musiała przyznać, że Harriet rzuciła leżącemu pierwszorzędne spojrzenie z rodzaju „już ja ci dam łupnięcie”.

- Czy to było bardzo głośne, solidne łupnięcie? - zapytała, mrugając niewinnie powiekami. - Takie, jakby kamień uderzył w drewno?

Uśmiech zastygł nieznajomemu na ustach, a jego spojrzenie zrobiło się bardziej skryte.

- Może. Dlaczego?

- Jeżeli brzmiało to tak, jakby kamień łupnął w drewno, w zagłówek musiał pan uderzyć głową, a nie ja łokciem.

Elviria wyrwała z kieszeni chusteczkę i udawała, że kaszle. Wargi pacjenta drgnęły, ale udało mu się powiedzieć opanowanym tonem:

- Nie. Brzmiało to dużo bardziej jak łokieć.

- Brzmiało jak łokieć? A jakże to brzmi łokieć?

- Jeżeli użyczy mi pani na chwilkę swego łokcia, nie omieszkam pokazać jej, jak on brzmi - odparł ze swobodą. No, pomyślała Elviria. Jedno wiemy na pewno. Ten miody człowiek musi mieć rodzeństwo. Gdyby nie miał, nie zdołałby zareagować tak szybko. Nie była pewna, dlaczego ta informacja ją cieszy, ale ucieszyła.

- Pod warunkiem, że pan użyczy mi do tego samego doświadczenia swojej głowy - odparła Harriet.

- Harriet - wtrąciła Elviria, chowając chusteczkę z powrotem do kieszeni. - Ten biedak w żaden sposób nie może pozwolić, byś stukała jego głową w zagłówek tylko po to, żeby przekonać się, jak to będzie brzmiało. On jest ranny.

Harriet przyjrzała się zabandażowanej głowie nieznajomego, jakby dopiero w tej chwili ją zobaczyła.

- Przypuszczam, że mama ma rację. Ale jak mu już będzie lepiej...

- Jestem pewna, że dużo szybciej dojdzie do zdrowia, jeżeli nie będziesz używała jego głowy w charakterze bębna. - Elviria podeszła do łóżka, starannie ustawiając się pomiędzy nim a córką. - Proszę wybaczyć Harriet. Ostatnio żyła w wielkim stresie.

- Och? - Mroczne spojrzenie mężczyzny przeniosło się na moment za Elvirię, a potem do niej wróciło. - Tak jak my wszyscy. Przykro mi, że niczego nie pamiętam...

- A przynajmniej tak pan twierdzi - wtrąciła Harriet zza pleców Elvirii.

- Twierdzi? - Matka odwróciła się, by spojrzeć na córkę. - Nie wierzysz mi? Ale dlaczego...

- Matko! - W drzwiach pojawił się Derrick, jego ciemnobrązowe oczy były zatroskane.

Elviria zauważyła, że syn głową niemal sięga framugi. Chociaż, miał dopiero szesnaście lat, był już sporo wyższy od niej.

- Tak, kochanie?

- Przyjechał pan Gower z banku.

Dobry humor Elvirii ulotnił się z pośpiechem. Dobry Boże, chyba jeszcze nie pora...? Żołądek zaczął jej się ścisnąć. Nienawidziła długów. Gdyby miała jednego pensa za każdą bezsennie spędzoną od śmierci Randalla noc, kiedy leżała, zastanawiając się, jakim cudem uda jej się znaleźć fundusze, by zachować Garrett Park dla dzieci, byłaby naprawdę bogatą kobietą.

Derrick przeciągnął ręką po włosach, potrącając przy tym ramieniem drzwi. Wszedł niedawno w tykowały i niezdarne okresy swego życia. Elvirii udało się uśmiechnąć do niego uspokajająco, chociaż najmniejszej na uśmiechy nie miała ochoty.

- Powiedz, proszę, panu Gowerowi, że niedługo zejść na dół.

Derrick zmarszczył brwi.

- Czy jest mama pewna? Gdyby mama wołała, mógłbym poprosić Stephena, żeby z nim

porozmawiał.

Oj, tego na pewno należy unikać. Stephen był co prawda starszy niż Derrick, ale miał dużo bardziej porywczy temperament i skłonność do przekonywania, że to on kieruje światem.

- Nie, nie. Nie życzę sobie, by trudzić Stephena.

- No więc ja to zrobię. Powiem temu staremu bałwanowi, żeby poszedł się utopić w jeziorze...

- Nie! - przerwała synowi pospiesznie Elviria. - Ale dziękuję ci za propozycję pomocy. Sama zajmę się panem Gowerem.

Ktoś położył rękę na jej ramieniu. Elviria odwróciła się i zobaczyła u swego boku Harriet. Udało jej się uśmiechnąć.

- Mam wrażenie, że ledwo uda nam się spłacić jedną ratę, a już przychodzi pora na następną.

- Wszystko będzie w porządku - pocieszyła ją córka, lekko ściskając za ramię. - Pójdę i porozmawiam z nim. Mama niech tu zostanie z naszym pacjentem.

- Nie, nie, ja pójdę i...

- Do licha! Powiedziałam, że pójdę, i postawię na swoim. Niech mama tymczasem zaopiekuje się pacjentem. Z nas dwóch to mamie przypadnie trudniejsze zadanie, jak sądzę.

Pacjent prychnął lekceważąco, co Harriet bezzwłocznie zignorowała. Mrugnęła pospiesznie do matki, a potem wyszła z pokoju, krocząc dumnie jak jakaś królowa.

Elviria wiedziała, że zachowała się tchórzliwe, ale nie miała ochoty spotykać się z żadnym pracownikiem banku, a już zwłaszcza z panem Gowerem. Był jednym z asystentów dyrektora, a na dodatek miał skłonność do ekstremalnie apodyktycznego zachowania. To właśnie przez niego musiała wymyślić tę absurdalną historyjkę o kapitanie Frakenhamie.

Ależ się narobiło. Jedno wielkie pomieszanie z poplątaniem. Elviria nigdy nie zamierzała doprowadzać do tego, by jej pozornie nieszkodliwe, niewinne kłamstwo zwróciło na siebie tyle uwagi. A koszty całej historii musiała ponosić Harriet.

Oczywiście zawiniła nie tylko Elviria. Jakąś małą cząstkę winy można było przypisać laudanum, które zażyła, by uśmierzyć ból zęba. Tak, poczuła lekką ulgę, kiedy przypomniała sobie o laudanum. Właśnie dlatego wymyśliła tę całą historię. Przez to lekarstwo. A nie dlatego, że pan Gower trochę ją przerażał. Uwagę jej zwróciło pytające spojrzenie Derricka, który nadal podpierał drzwi.

- Myślę, że Harriet poradzi sobie z panem Gowerem, prawda?

Derrick przytaknął, przy czym brązowe włosy opadły mu na czoło.

- Jeżeli ktokolwiek zdoła sobie z nim poradzić, to tylko Harriet. Nawiasem mówiąc, pan Gower wspomniął o kapitanie.

Elvirii serce podeszło do gardła.

- Co mówił?

- Zadawał pytania. Mnóstwo pytań. Odpowiadałem najlepiej, jak umiałem, ale nie wydaje mi się, żeby on wierzył... -Derrick zerknął na łóżko, zobaczył, że obcy się w niego wpatruje, i zamknął usta.

- Ojej - powiedziała Elviria. - Wcale mi się to nie podoba.

- Mnie również nie - zgodził się z nią Derrick. Odepchnął się od framugi. - Będę w bibliotece, gdyby mnie mama potrzebowała.

Elviria przyglądała się, jak jej najmłodszy syn oddala się w podskokach. Nie miała wątpliwości, że zaraz pograży się w lekturze. Żałowała, że sama nie może się pograżyć w lekturze... albo zagubić w wielkim ciemnym lesie, jak już o tym mowa.

Wcześniej Wardowie rok po roku skupiali wszystkie swoje wysiłki na uprawie kukurydzy. Ale ceny spadały tak szybko, że nie mieli wyjścia, musieli poszukać innego źródła dochodów. Harriet przestudiowała rozmaite możliwości, rozważając wszystko, od pszenicy do koni. Na przeszkodzie stała zarówno konieczność uzyskania szybkiego zysku, jak i ograniczony kapitał inwestycyjny.

Tak więc Harriet po długich rozważaniach zakupiła dużą ilość owiec. Wycucie jej nie zawiodło: w tym roku był wielki popyt na wełnę i jeżeli tylko uda im się ostrzyć owce i dostarczyć runo na coroczne targi do Birmingham, to płatność zostanie uiszczona.

Pacjent odchrząknął.

- Przepraszam, czy zechciałaby mi pani podać trochę wody?

Elviria uświadomiła sobie ze skruchą, że zaniedbała swego biednego gościa.

- Oczywiście! - Przeszła do umywalni, nalała trochę wody do szklanki. Przyniosła ją do łóżka i podała pacjentowi. - Proszę!

Pociągnął łyk, nie spuszczać mrocznego spojrzenia z jej twarzy. Po chwili powiedział cicho:

- Zakładam, że pan Gower bywa tu częstym gościem.

Było oczywiste, że z twarzy pani domu odczytał, jaka jest zmartwiona. Elviria się zarumieniła.

- Pan Gower przyjeżdża nas odwiedzać częściej, niż byśmy chcieli. To bankier, a my jesteśmy winni bankowi straszliwą sumę pieniędzy i... - Opanowała się i przyłożyła rękę do czoła. - Proszę mi wybaczyć! Nie będzie chciał pan słuchać o naszych problemach. Tak naprawdę to nic ważnego.

Oczy chorego się zwięzły.

- Nie może to być nic ważnego. Za bardzo jest pani znękana.

Elviria odebrała od niego pustą szklankę i wróciła do umywalni. Nie powinna mu o niczym mówić. Ale czuła, że przyniesie jej to ulgę, jeżeli zwierzy się komuś z tych wszystkich zmartwień, które nie dawały jej spać po nocach.

- Mój mąż zaciągnął kredyt hipoteczny na Garrett Park, sądząc, że spłaci go zaraz w następnym roku. Ale zachorował i umarł. A nam zostały spłaty. Rok w rok Harriet udaje się zebrać fundusze, ale w tym roku nie zdążyliśmy jeszcze ostrzyc owiec. I do tego ta nieszczęsna noga Stephena...

- Stephena?

- Mojego najstarszego syna. Miał pomagać przy strzyży, ale w zeszłym tygodniu spadł ze stryszku i złamał nogę. Nie stać nas na jeszcze jednego parobka, tak więc... - Głos jej ucichł na chwilę, obracała w umyśle ten drażliwy problem. Po chwili odsunęła go od siebie. Pomyśli o tym później. Może jakoś się sprawy ułożą. - Ale to nie ma nic do rzeczy. Przecież nie mogą pana interesować nasze smętne kłopoty.

- Może mógłbym jakoś służyć pomocą.

- Bardzo bym tego pragnęła, ale mógłby pan nam naprawdę pomóc tylko w jeden jedyny sposób, a mianowicie, gdyby pan był... - Elviria popatrzyła na leżącego na łóżku mężczyznę. Po raz pierwszy bacznie mu się przyjrzała. A to, co zobaczyła, spowodowało, że dała się ponieść imaginacji.

Miał ciemne włosy. Był chyba wysoki. Tak sobie zawsze wyobrażała kapitana Frakenhama, a jego wygląd wzorowała na portrecie pirata, który widziała w pewnym londyńskim domu.

Poskromiła panujący w umyśle zamęt. Czy odważy się na coś takiego? Gdyby udało się nakłonić leżącego na łóżku mężczyznę, by zechciał udawać Johna Frakenhama przez krótki czas - nie dłużej niż tydzień - wystarczyłoby to, żeby uspokoić bank i zyskać czas potrzebny, by dostarczyć wełnę na targ.

Ale... czy on zechce? Jak mogłaby go o coś takiego prosić? Nie zna nawet tego biedaka, a on na pewno odmówi, motywując to absurdalnością jej pomysłu. Nie ma przecież wobec nich żadnych zobowiązań.

Spojrzała na niego ukradkiem i zmarszczyła czoło. Pod pełną uprzejmości powierzchowności wyczuwała w nim coś twardego, coś nieustępliwego, co źle wróżyło jej planowi.

Może... może nie powinna go prosić. Może po prostu powinna mu to zakomunikować. Powiedzieć mu, że jest kapitanem Johnem Frakenhamem.

Pomysł był tak zuchwały, że po prostu wrosła w podłogę, zastanawiając się nad nim intensywnie. Co za czelność! I jaki... doskonały koncept.

Przypomniała sobie nagle o Harriet, która w tej chwili siedziała w salonie z tym okropnym panem Gowerem; myśl o córce umocniła Elvirię w postanowieniu. Dlaczego miałaby napotkać jakieś trudności przy przekonywaniu nieznanego, że jest kapitanem? On przecież nie wie, kim jest, więc będzie mu to chyba obojętne? Może nawet biedaczysko poczuje pewną ulgę, kiedy dowie się, że jest kimś. Kimś ważnym.

Chase przyglądał się z łóżka, jak po wyrazistej twarzy pani Ward przemykają w chaotycznym pośpiechu różne emocje. Coś się działo. Była zdumiewająco milcząca, wpatrywała się w niego, jakby ulegał na jej oczach jakiejś przemianie. Dotknął bandaża, by sprawdzić, czy rana się znowu nie otworzyła, ale materiał był gładki i suchy.

Pani Ward uśmiechnęła się promiennie. Zbyt promiennie.

W głębi umysłu Chase'a obudziło się przeczucie, że coś mu grozi. Miał siostrę. Wiedział, co taki uśmiech oznacza. Pani Ward czegoś chciała. A napięcie promienności w jej uśmiechu kazało mu podejrzewać, że chodzi o coś bardzo kłopotliwego.

Z matczyną czułością poklepała go po ręce.

- Przypuszczam, że zastanawia się pan, dlaczego moja córka, Harriet, wydawała się tak tracić przy

panu opanowanie.

- Ja... hm. Nie. Tak naprawdę to nie. Nie starczyło nam czasu, byśmy się sobie odpowiednio przedstawili, a przypuszczam, że mogłem ją zirytować tak, że wyszła z siebie.

- Och, Harriet nigdy nie wychodzi z siebie. - Pani Ward urwała, a potem dodała znaczącym tonem: - Ale pan przecież o tym wie.

Skąd miałby cokolwiek wiedzieć o Harriet Ward? Przecież dopiero ją poznał. Poważnie już zaniepokojony Chase upewnił się, czy ma wolne od przykrycia ręce. Mogą być mu obydwie potrzebne, jeżeli trzeba będzie wyrwać się stąd i rzucić do ucieczki.

- Jeżeli panna Ward była podenerwowana, to na pewno przeze mnie. Kiedy się obudziłem, nie byłem w najmiłszym nastroju.

- To, co pan mówił, nie miało najmniejszego wpływu na sytuację. Harriet martwi się, ponieważ... - Pani Ward przełknęła. Robiła takie wrażenie, jakby zbyt trudno było jej ubrać swoją myśl w słowa.

Chase zastanawiał się, czy powinien nakłaniać ją, by kontynuowała. Może lepiej zostawić sprawę tak, jak się mają, powiedzieć tej damie, że jest zmęczony, i mieć nadzieję, że zapomni, czego chciała. Ale jakoś nie miał wątpliwości, że to, co chciała powiedzieć, powie mu na pewno. Albo teraz, albo później. Tak więc z westchnieniem zapytał:

- Czym przyczyniam zmartwienia pannie Ward?

Pani Ward spojrzała wprost na niego, potem pospiesznie wyrzuciła z siebie:

- Harriet martwi się, bo pan jej nie pamięta.

Chase dotknął bandaża.

- Przepraszam panią bardzo. W uszach mi chyba dzwoni. Czy powiedziała pani, że pani córka przekonana jest, iż powinienem ją pamiętać?

- Tak! Dokładnie tak! Pan może nie pamiętać, kim pan jest, mój drogi panie, ale my to z pewnością wiemy.

Ciche dzwonięcie w uszach przerodziło się w monotony ryk.

- A kimże takim jestem? - usłyszał swój własny, osłupiały głos.

- Jest pan kapitanem Johnem Frakenhamem, narzeczonym Harriet, i spadł nam pan, drogi panie, jak z nieba!

## 6

*Jeżeli już masz się do miłości zbliżyć, to najlepiej tak, by cię nie zauważyła. W ten sposób, jeżeli przypadkiem na nią wpadniesz, nie mając takiego zamiaru, może uda ci się uciec, zanim ona ze swej kolei cię złapie.*

Księżna Wexford do wicehrabiny Brandford, racząc się na kolację pieczoną rybą i galaretką z nóżek w Brandford House

To muszą być halucynacje. Tak, na pewno majaczy. Coś mu się śni. A tak naprawdę leży w kałuży własnej krwi w lesie i złodzieje kłócą się o jego dobytek. Wcale nie znalazł się w tajemniczym dworze o nazwie Garrett Park, w otoczeniu obłąkańczych wariatek, które tylko na pierwszy rzut oka wydawały się normalne. Jak na przykład ta kobieta o anielskim wyglądzie, w koronkowym czepeczku na głowie, która właśnie oznajmiła, że nie tylko jest kimś o nazwisku John Frakenham, ale jeszcze narzeczonym jej córki.

Co gorsza, panią Ward do tego stopnia obrał z rozumu atak szaleństwa, któremu uległy jej władze umysłowe, że, wygłosivszy to piramidalne kłamstwo, nawet nie wyglądała na zawstydzoną. Wręcz przeciwnie, patrzyła na niego rozpromieniona, jakby właśnie ofiarowała mu jakiś wspaniały dar.

Chase zauważył jej pełne zapału spojrzenie i westchnął.

To jednak nie są halucynacje. To dzieje się naprawdę. *Szlag by to najjaśniejszy, co ja mam teraz zrobić?*

Przecież ta dama nie spodziewa się chyba, że uwierzy w takie banialuki. A nawet gdyby naprawdę stracił pamięć i dał się nabrać na tę nieprzekonującą historyjkę, to co, jej zdaniem, powinno się stać, gdy pamięć odzyska?

Kiedy Chase miał dziesięć lat, jego młodszy brat, Devon, spadł z konia, skacząc przez wyjątkowo paskudny płot podczas jakiegoś zwariowanego polowania. Ocknąwszy się, przez niemal cały dzień nie pamiętał, kim jest.

Dla Chase'a i jego starszych braci, kiedy już przekonali się, że Devonowi nic nie jest, a tylko ma mętlik w głowie, wydarzenie to stało się źródłem wielkiej radości. Bez wiedzy rodziców zakradali się do pokoju, gdzie leżał, i usiłowali wmówić mu, że w rzeczywistości jest synem - z nieprawego łoża - koniucha, wielkiego, przysadzystego parobka z krzywym spojrzeniem i okropną blizną na twarzy.

Ależ była awantura, kiedy ich na tym przyłapano; wszyscy musieli za karę uprzętać gnój ze stajni pod surowym okiem tegoż koniucha, ale mimo to było warto.

Pani Ward podeszła do okna, pod którym, w powoli rozszerzającym się paśmie słońca, stało krzesło. Przyciągnęła to krzesło do łóżka, odwróciła w stronę Chase'a, a potem usiadła. Spódnica jej wydeła się i opadła, a ona utkwiała wzrok w twarzy rannego.

Chase pożałował, że tak postąpiła. Łoże było dosyć wysokie, a pani domu nie bardzo. Siedząc na krześle, wpatrywała mu się teraz prosto w twarz szeroko otwartymi oczami, nawet powiekami przy tym nie mrugała, jakby podjęła mocne postanowienie, że nigdy nie odwróci wzroku. St. John odchrząknął, zastanawiając się, od czego zacząć.

- Pani, obawiam się, że nastąpiła jakaś pomyłka...

- O, nie! Jest pan kapitanem Frakenhamem, chociaż pan tego nie pamięta.

- Naprawdę nim jestem?

- O, tak! - Pokiwała głową z taką energią, że koronkowy czepeczek o mało jej nie zleciał. - Znam pana już od dawna.

Chase uniósł w górę brwi.

- Od jak dawna?

- Od bardzo dawna! Można by chyba powiedzieć, że znam pana dłużej niż ktokolwiek inny.

Wydawała się niezachwianie ugruntowana w przekonaniu, że uda jej się wmówić w swego gościa, iż jest tym jakimś wspaniałym kapitanem; Chase niemal poczuł skruchę, że wie, kim jest naprawdę. Dziwne, chociaż próbowała go omamić, nie potrafił uwierzyć, by rzeczywiście miała być kimś niegodnym zaufania - a przynajmniej nie na co dzień. Posiadała tak pogodny charakter, że musiała być szczerą. A do tego, uczciwie mówiąc, wcale nie umiała dobrze kłamać.

Ale co, na Boga, chciała przez to oszustwo osiągnąć?

- Pani, porozmawiajmy może lepiej otwarcie.

Pani Ward zamrugała powiekami raz. Potem drugi. Następnie odchrząknęła.

- Otwarcie?

- Twierdzi pani, że jestem tym... kapitanem Frakenhamem?

- Tak.

- Który jest zaręczony z pani córką?

- Tak.

- A więc dlaczego pani córka zachowywała się w taki sposób, jakby mnie nigdy przedtem na oczy nie widziała?

- Och, zna pan Harriet! - powiedziała niefrasobliwie pani Ward. - Potrafi być czasami trochę uparta.

Chase przypomniał sobie stanowczy wykrój ust panny Harriet i pomyślał, że pani Ward chyba trochę za bardzo bagatelizuje tę cechę córki.

Pani Ward położyła mu dłoń na rękawie.

- Panie kapitanie, niedawno odniósł pan poważne obrażenia i wcale nie jestem zachwycona, że już składam tak ciężkie brzemie na pana ramiona. Ale Garrett Park znalazł się w tragicznym położeniu.

Chase oparł głowę o poduszkę. Teraz się dowie - z jakiego powodu ta dama chce, by był kimś, kim nie jest.

- Na ile tragicznym?

Uśmiechnęła się do niego z zażenowaniem.

- Bardzo. Ale wszystko układało się nieźle, dopóki w banku nie zaczął pracować pan Gower. Chociaż wspominałam mu o pana istnieniu i o funduszach, które pan zapewni...

- Funduszach?

- Zyski z żeglugi. Wie pan, jest pan bardzo dobrym kapitanem.

- Miło mi to słyszeć.

- Tak sądziłam - powiedziała, nieświadoma jego sarkazmu. - Chociaż pan istnieje, pan Gower nie przestaje nas niepokoić.

Wargi Chase'a drgnęły. Jego zaciekawienie narastało, mile przy tym łechzcząc poczucie absurdu.

- Zakładam więc, że istnieją pewne wątpliwości co do istnienia majątku zacnego kapitana?

- Cóż... może nie dokładnie wątpliwości. Bardziej pytania. I chodzi nie tylko o majątek. - Pani Ward przygryzła wargę. - Widzi pan... wspomnieliśmy... to jest, ja wspomniałam o pana istnieniu tym bankierom... a konkretnie panu Gowerowi... sądząc, że może dzięki temu bank przedłuży nam kredyt hipoteczny.

- Mam nadzieję, że byli pod wrażeniem.

- Och, ogromnym! Pan, drogi panie, dowodzi wielkim statkiem! Bardzo wielkim. Bardzo dochodowym, wielkim statkiem.

- To także miło mi słyszeć. Nawiasem mówiąc, jak nazywa się ten statek?

Pani Ward zamruwała oczami.

- Ja... ja nie...

- A z jakiego portu pływałem?

- Ja... my nigdy...

- A moja załoga? Czy przyłączy się do mnie tutaj? Czy też mam się z nimi spotkać gdzie indziej?

- O Boże! - Pani Ward przycisnęła dłoń do policzka. - Na pewno znam odpowiedzi na pana pytania, ale jakoś w tej chwili nie potrafię ich znaleźć. Widzi pan, czuję się trochę wytrącona z równowagi. Pan Gower jest w Garrett Park, a wtedy zawsze mąci mi się w głowie.

Chase wpatrywał się w nią bacznie. Działo się tu coś dziwnego. Bardziej dziwnego niż sobie na początku uświadamiał. Nie dość że ta kobieta wmawia mu, iż jest kimś, kim nie był, ale na dodatek chyba wcale nie jest pewna, kim powinien być. Zupełnie jakby ten kapitan Frakenham był wytworem czyjejs wyobra...

Brwi Chase'a podjechały do góry. Czyżby o to chodziło? Czy Wardowie wymyślili kapitana, starając się zażegnać grożące im ze strony banku niebezpieczeństwo?

W milczeniu rozważał tę koncepcję, iskierka zrozumienia rozjarzyła mu się w umyśle.

- Zobaczmy, czy wszystko zrozumiałem. Bank żądał pieniędzy, więc państwo zasygnalizowali mu istnienie osoby kapitana Frakenhama...

- To znaczy pańskiej - wtrąciła pani Ward z pełnym nadziei wyrazem twarzy.

- ... jak pani twierdzi, mojej... - odparł Chase nieustępliwie - starając się tym samym odwlec trochę termin spłaty?

- Tak. I poza panem Gowerem wszyscy byli całkiem usatysfakcjonowani. Ale teraz, kiedy pojawił się u nas pan, możemy te jego uprzykrzone zastrzeżenia rozwiązać. Wystarczy, że pozwolimy, by pan Gower się z panem zobaczył... nie na długo, w końcu jest pan ranny.... ale na tyle długo, by przestał zadawać tyle pytań.

- Zakładam, że nie życzy pani sobie, bym ujawnił, że nie pamiętam, kim jestem?

- Gdyby to panu nie przeszkadzało! Byłoby najlepiej, gdyby zechciał pan udawać, że pamięta pan, iż naprawdę jest pan kapitanem. - Złożyła ręce. - Och, to rozwiąże wszystkie nasze problemy! Teraz starczy nam czasu, żeby dostarczyć wełnę na targ...

- Wełnę?

- O, tak. Harriet kupiła setki owiec. Zamierzamy je ostrzyc i dokonać ostatniej spłaty. Wtedy Garrett Park będzie nasz.

*Diabli nadali, trafił do jakichś hodowców owiec.* Wyjaśniałoby to, dlaczego panna Harriet Ward, przemawiająca ze ślicznym, arystokratycznym akcentem, opalona jest przy tym jak pierwsza lepsza praczka.

Wardowie mogli być dobrze urodzeni, ale wprost w oczy biło, że nie są zamożni. A teraz, zmuszeni przez swoje ubóstwo do zarabiania na życie, wymyślili dla panny Harriet fikcyjnego narzeczonego, żeby trzymać bank na dystans.

Było to zuchwałe posunięcie. Chase przyjrzał się pani domu z nowym szacunkiem.

- Nie we wszystkim dopisywało państwu szczęście.

- Och, ma pan, na Boga, rację! Mój mąż zmarł kilka lat temu. Zostałam tylko ja, moje trzy córki i dwaj synowie. Do tej pory radziliśmy sobie sami. Ale teraz... - Położyła mu dłoń na ręce, w jej oczach malowało się nieskrywane błaganie. - Kapitanie Frakenham, potrzebna nam jest pana pomoc. Chase popatrzył na dłoń pani Ward, spoczywającą niewinnie na jego rękawie. Dobry Boże, zachowywała się tak, jakby uważała go za szlachetnego rycerza na białym koniu.

Na nieszczęście Chase wiedział, kim i czym jest. Nie był rycerzem i nie czuł się wcale szlachetny.

- Pani Ward, nie jestem kapitanem Frakenhamem.

- Nie? To kim pan jest?

Chase już otwierał usta, by udzielić odpowiedzi. Ale w ułamku sekundy znowu je zamknął. Miał rzekomo stracić pamięć. Jeżeli chciał, by Wardowie mu uwierzyli i nie zadawali mu pytań, raczej nie powinien wyklócać się o to, kim nie jest, prawda?

Do cholery z tą całą sytuacją! Może należałoby udać, że nagle przypomniał sobie, jak się nazywa... ale nie. Nie minąłby dzień, a może nawet godzina, a wiadomość dotarłaby do jego braci. Poza rym szkoda zostawiać Wardów w tak ciężkim położeniu. A gdyby tak... zmarszczył brwi. A gdyby... Dobry Boże, sam nie mógł uwierzyć, że w ogóle się nad tym zastanawia... ale gdyby tak zgodził się zostać kapitanem Frakenhamem? Przynajmniej na kilka dni. Ogromnie pomógłby Wardom, a do tego mógłby u nich bezpiecznie wracać do zdrowia, a bracia nie mieliby pojęcia, że jest tak bliźniutko Londynu.

Ten pomysł miał swoje dobre strony. Wcale nie pociągała go perspektywa podróżowania z bólem głowy. Poza tym, chociaż bardzo nie chciał się do tego przyznać, nie podobała mu się myśl, że panna Harriet Ward musi użerać się z tym bankierem. Nie miał wątpliwości, że sobie poradzi, ale jakim kosztem? Każda cena wydawała mu się zbyt wysoka. Panienska była dużo za młoda, by płacić za krótkowzroczność własnego ojca. Chase miał siostrę mniej więcej w tym samym wieku, na jaki oceniał Harriet, i cała ta sytuacja była dla niego po prostu nie do przyjęcia.

Spojrzał na panią Ward.

- Proszę mi powiedzieć coś więcej o kapitanie Frakenhamie.

Pani Ward poprawiła koronkowy czepeczek.

- Coś więcej? Ależ oczywiście! Chwileczkę, nazywa się pan John Frakenham i ma pan duży statek.

- To już wiem. A czy mam jakieś rodzeństwo?

- Nie jestem pewna. - Pani Ward przygryzła wargę.

- Gdzie się urodziłem? Ile mam lat?

Zastanawiał się, czy obstawać przy tym temacie i zmusić ją, by przyznała się do oszustwa, ale wydało mu się, że widzi błysk łez w jej łagodnych, brązowych oczach.

Jego dobry humor się ulotnił. Tylko nie łyż. Nigdy nie potrafił poradzić sobie z płaczącą niewiastą. To była jedyna słabość Chase'a. Kiedy dorastał i jego mała siostra Sara płakała, zawsze jej ustępował. Zawsze.

Sara była teraz mężatką, hrabiną i matką dwojga dzieci. Ale do dziś, gdyby przyszła do Chase'a ze łzami na policzku, zrobiłby wszystko, o co prosiła. Między innymi to właśnie doprowadzało go do szaleństwa, kiedy myślał o kobiecie, którą przejechał powozem. Czy płakała? Czy ktoś ją słyszał? Pomógł jej?

A może umierała samotnie na środku zimnej, zalanej deszczem ulicy?

W gardle go ścisnęło. Głowa znowu zaczęła boleć. Jak zdoła żyć ze świadomością, że zrobił coś takiego? Jak może oczekiwać, że pogodzą się z tym jego bracia? Dotknął obolałego miejsca na czole. Zastanowi się jeszcze, jak postąpić. Kiedy tylko poczuje się lepiej.

- Cholerny świat - mruknął, czując przyływ irytacji.

- Przepraszam pana?

- Proszę mi wybaczyć - poprawił się szybko. - Nie chciałem, by mi się to wymknęło.

Na wargach pani Ward pojawił się lekki uśmiech.

- Nic się nie stało. Pan "Ward znany był z takich właśnie lapsusów.

Chase przyłapał się na tym, że patrzy na panią domu z sympatią. Trudno było zresztą patrzeć na nią inaczej: słońce migotało w jej siwych włosach, tworząc okrytą koronką aureolę wokół głowy, oczy miała zdumiewająco podobne do oczu córki.

- Kapitan John Frakenham - usłyszał swój własny głos, brzmiący tak, jakby przymierzał to nazwisko, czy będzie pasowało na niego rozmiarem.

Pani Ward rozpromieniła się, znowu przypominając Chase'owi Harriet. Harriet, która w tej właśnie chwili była na parterze, gdzie naprzykrzał się jej pan Gower. Chociaż Chase na oczy go nie widział, nie miał wątpliwości, jakim człowiekiem musi być ten bankier.

- Chyba się na to zgodzę.

- Dziękuję panu! Będzie z pana doskonały kapitan Frakenham!

Chase popatrzył na panią Ward.

- Och... chciałam powiedzieć, że ponieważ jest pan kapitanem Frakenhamem, to oczywiście poradzi pan sobie doskonale.

- Hm. No cóż, skoro mam spotkać się z Gowerem, proszę mi lepiej opowiedzieć wszystko, co pani wie o zacnym kapitanie. A raczej co wszyscy o nim wiedzą.

Brwi pani domu ściągnęły się w zamyśleniu.

- Kapitan jest bardzo przystojny.

Chase czekał, ale pani Ward wydawała się nie mieć nic więcej do dodania. Po chwili przynaglił ją: - I?

Pani Ward wydeła wargi.

- Jest pan również bardzo zamożny, ale chyba to już panu mówiłam.

- Wielokrotnie.

- Tylko dlatego, że to bardzo ważne.

- Zaiste. Co jeszcze?

Pani Ward z namysłem postukała się palcem po brodzie.

- Och, już wiem! Lucinda Carleton twierdzi, że kapitan zrobił majątek, kiedy pływał na morza wokół Indii, a mnie wydało się to bardzo interesujące, bo...

- Lucinda Carleton? - Chase zmarszczył brwi. - Kto to jest?

- Przyjaciółka.

- Kapitana?

- Nie, nigdy nie spotkała się z kapitanem. Nikt go nigdy nie widział. Oczywiście poza Harriet - dodała pospiesznie, rzucając mu pełne skruchy spojrzenie - która spotykała się z nim... chciałam powiedzieć: z panem... całkiem często. No i my wszyscy tu w Garrett Park znamy go... to znaczy pana... bardzo dobrze.

- Jak to się stało, że ta Lucinda Carleton dowiedziała się, że kapitan... przepraszam, że ja... zbiłem majątek w taki właśnie sposób, skoro mnie w ogóle nie zna?

Pani Ward popadła w zamyślenie.

- Nie jestem pewna. Wydawała się to po prostu wiedzieć.

- Rozumiem - powiedział Chase, chociaż zdecydowanie nie rozumiał. - Czy jest coś jeszcze?

- Hmm... słyszałam od lady Chudrowe, że odrobinę kuleje pan po tym, jak został pan ranny w walce z piratami. - Uśmiech pani Ward rozświetlił cały pokój. - Najwyraźniej jest pan bardzo odważny.

Chase spojrział na nią stanowczo.

- Proszę mi powiedzieć, ile osób wie o istnieniu kapitana?

- Ależ z pewnością całe miasteczko! Wszyscy od tygodni o panu mówią.

*Cholerny świat.* Nie byłoby rzeczą rozsądną utożsamiać się z dobrze znaną osobistością, nawet jeżeli taka osobistość nie istniała. Mógłby tym ściągnąć na siebie niepożądaną uwagę.

- Nie wiem, czy się to uda. Zbyt wiele osób chyba...

Pani Ward wstała pospiesznie, krzesło skrzyknęło o drewnianą podłogę.

- Wszystko uda się świetnie, kapitanie. Proszę mi zaufać. A teraz naprawdę musimy już zejść na dół. Za nic nie chciałabym zostawiać tam Harriet samej ani o sekundę dłużej niż to konieczne.

Harriet. Samej. Chase widział w oczach pani Ward prawdziwe zatroskanie. Dopóki nie wyjedzie, będzie mógł pewnie trzymać się w pobliżu Garrett Park. Jeżeli nie zapaści się do miasteczka, nie powinien zostać rozpoznany.

Z westchnieniem wyprostował się i, okrywszy się kołdrą, by nie żenować pani Ward widokiem gościa ubranego w koszulę nocną jej syna, spuścił nogi na podłogę.

- Nie chcemy, by pani córka ucierpiała od natręctwa tego...

- Nie, nie! Raczej wręcz przeciwnie. - Pani Ward pospiesznie podeszła do szafy. - Harriet ma dość wybuchowy temperament. Jeżeli nie ocalimy szybko pana Gowera, zostanie z niego tylko kilka przypalonych strzępków.

Chase niemal się na to uśmiechnął. To prawda, w tej małej, brązowej firletce dawały się dostrzec isierki żywego ognia. Zauważył je, bo kilka razy dawały znać o sobie. Przypomniawszy sobie, jak leżała mu na kolanach, i poczuł się zdumiony, bo obraz ten go poruszył.

Głos pani Ward dochodził z wnętrza szafy, gdzie zajmowała się przesuwaniem schludnie powieszonych strojów.

- Derrick zebrał w lesie wszystko, co zostało z pana ubrań. Złodzieje porozdzierali juki, najwyraźniej

w poszukiwaniu drogocенności. Dwie z pana koszul nie nadawały się do naprawienia, ale wszystko inne jest w porządku.

- Wierzę, że wybierze pani coś odpowiedniego.

Obejrzała się przez ramię.

- Odpowiedniego?

- Dla okulałego, bogatego kapitana z mórz indyjskich. -Rzucił jej uśmiech. - Czeka mnie rozmowa z bankierem.

## 7

*Nie ma bardziej obsesyjnej, bardziej niezłomnej i do utrapienia, bardziej nieustępliwej namiętności niż duma. Ale wy, St. Johnowie, dobrze już o tym wiecie.*

Wicehrabina Brandford do swojego przyjaciela,  
pana Devona St. John, podczas partyjki bilardu  
(którą jaśnie pani natychmiast potem wygrała)

Harriet zbiegła na dół, postukując obcasami w wytarte, drewniane schody. Z radością wydostała się z pokoju chorego. Przystojnemu nieznanemu nie brakowało zadufania w sobie. Pyszałek był z niego, i tyle. Harriet zeskoczyła z ostatniego stopnia i zerknęła na siebie w lustrze.

Dobre nieba! Jakim cudem tak jej się rozczochrały włosy? W pamięci panienki mignął natychmiast wizerunek swojej własnej osoby, rozciągniętej w poprzek kolan nieznanego, i policzki jej okryły się rumieńcem. Harriet spojrzała sobie w oczy w lustrze, wyciągnęła spinkę i usiłowała poprawić loki, które sterczały w przeróżne strony.

- Zatracony mężczyzna - wymamrotała półgłosem. To wszystko jego wina. Gdyby zachował się jak dżentelmen i nie potraktował jej jak rozflirtowanej pokojówki albo rozwiązłej, zamierzającej go uwieść niewiasty, matka nigdy nie zastałaby ich w tak kompromitującej sytuacji.

Chociaż jemu to wcale nie przeszkadzało. A nawet wydawał się rozbawiony, łobuz jeden. Co gorsza, mało brakowało, i szerokim uśmiechem i psotnym, błękitnookim spojrzeniem przechyliłby szalę na swoją korzyść i Harriet by mu uległa.

Ale chociaż tak bardzo miała mu za złe, mimo wszystko przedkładała jego towarzystwo nad pana Gowera. Wcale tego człowieka nie lubiła. Był tylko niewiele od niej starszy, a zachowywał się jak ktoś dużo bardziej posunięty w latach. Pierwszy raz pojawił się w Garrett Park przed trzema laty, kiedy bank go zatrudnił. Był niegrzeczny, wymagający i bezgranicznie denerwujący.

Pani Mapie, gospodyni Wardów, wyszła z saloniku z pustym talerzykiem w ręku.

- Lepiej niech już panienka tam idzie, zanim on poprosi o następną babeczkę. Nie została mi ani jedna i będę musiała dać mu chałkę z niedzieli, jak zechce czegoś więcej. I jeszcze wszystkie ciastka z jabłkami też nam zjadł!

Cudownie. Mało tego, że niemiły bankier przyjeżdża, by pokrzyżować szyki rodzinie, to na dodatek uszczupla zapasy w ich spiżarni jak jakiś olbrzymi, zachłanny szczur. Harriet zastanawiała się przez moment, czy to nie właśnie dlatego czuła się zawsze tak nieswojo przy panu Gowerze, że wydawał jej się nieprzyzwoicie łakomy, po prostu jak prosię. Zdarzały się takie chwile, kiedy odnosiła wrażenie, iż spoglądał na nią, jakby była szczególnie dorodnym żołądkiem, a on olbrzymią świnia.

- Dopilnuję, żeby niedługo wyjechał - oświadczyła stanowczo, mając nadzieję, że równie łatwo będzie to zrobić, jak powiedzieć. Przygładziła spódnicę i poprawiła kołnierzyk.

Twarz pani Mapie złagodniała. Wyciągnęła rękę, by odgarnąć Harriet pasemko włosów z czoła.

- Ślicznie pani wygląda, panienko Harriet. Mam panienkę zapowiedzieć?

- Nie. Sama się zapowiem. - Rzuciła gospodyni uśmiech. -W ten sposób jego pobyt tutaj będzie przynajmniej o pół minuty krótszy.

Frontowe drzwi otworzyły się i rozległ się głośny stukot. Harriet się odwróciła i zobaczyła, jak jej brat, Stephen, przechodzi przez próg. Lewą nogę miał grubo zabandażowaną, a kule tak krótkie, że z trudem się na nich opierał. Na widok Harriet przystanął. Jego twarz przybrała na moment wyraźnie skruszony wyraz, który zaraz udało mu się jednak zatuszować.

- Och, tu jesteś? Jak tam nasz pacjent?

- Wspaniale, tyle że twierdzi, że nie pamięta, kim jest.

- Twierdzi? - Brwi Stephena podjechały w górę. - Co chcesz powiedzieć przez to „twierdzi”?

- Tyle tylko, że mam co do niego wątpliwości. Wydaje się zachowywać stanowczo zbyt swobodnie, żeby nie pamiętał, kim jest.

- Zawsze byłaś podejrzliwa z natury, Harri. Na mnie ta jego rana głowy zrobiła wrażenie poważnej, jest więc całkiem możliwe, że mówi prawdę. Poza tym z jakiego powodu miałby tak łąć?

Pani Mapie prychnęła.

- Może się przymierza, żeby nam siedzieć na głowie i objadać ze wszystkiego, jak pan Gower.

Harriet potrząsnęła głową.

- Ubranie miał świetnie uszyte, a sam jego koń wart jest majątek. Stać by go było na więcej baraniny, niż może dostarczyć całe nasze stado.

Stephen się rozpromienił.

- Właśnie oglądałem tego konia. Co za wspaniały okaz!

Harriet musiała się uśmiechnąć na podniecenie brata. Stephen, podobnie jak Sophia, odziedziczył po ojcu włosy bardziej złociste niż brązowe; wiły mu się one leciutko nad uszami. Na sobie miał strój roboczy i Harriet podejrzewała, że właśnie skończył nad czymś pracować w stodole.

Spojrzała na jego uszkodzoną kończynę.

- Nie powinienes obciążać tej nogi dłużej niż po kilka minut na raz.

Stephen z niecierpliwością wzruszył ramionami.

- Nic mi nie jest. Naprawiłem przed chwilą wyłamane drzwiczki do sąsiedku na ziarno.

- Jeżeli trzeba coś zrobić, niech zajmie się tym Jem.

- Jem wyprowadził krowy. Sophia i Ofelia zabrały się z nim wozem.

Pani Mapie ponownie prychnęła.

- Jak znam Jema, to śpi sobie mocno pod jakimś drzewem, i panienki robią za niego całą robotę. Jeżeli paniczowi potrzebna była pomoc, trzeba było poprosić panicza Derricka.

W oczach Stephena pojawił się szelmowski błysk.

- O, Derrick bardzo mi pomógł. Posłużył mi pomocną dłonią.

- Naprawdę? Przed chwilą go widziałam, ale słowem nie wspomniał, że ci pomagał, powiedział tylko, że przyjechał pan Gower.

Stephen pokazał zęby w nieco wilczym uśmiechu.

- Co za szkoda, że pan Gower nie mógł się zatrzymać, ale musiał odjechać w jakiejś bardzo pilnej sprawie.

Harriet zmarszczyła brwi.

- Stephen, pan Gower siedzi w salonie.

Uśmiech Stephena zniknął.

- Naszym salonie?

- Oczywiście - powiedziała Harriet. - Dlaczego miałbyś sądzić, że odjechał?

- Żałuję, że nie odjechał - naburmuszyła się pani Mapie. - Nie zjadłby wtedy wszystkich naszych babeczek. A kucharka upiekła je specjalnie dla pani Ward.

- Stephen? - zapytała znowu Harriet. - Zrobiliście z Derrickiem coś, żeby doprowadzić pana Gowera do szału, prawda?

- My?

Oczy Harriet się zwęziły.

- Co zrobiliście?

- Nic.

- W ogóle nic? Czy też nic, o czym miałbyś ochotę mi opowiedzieć?

Stephen wzruszył ramionami.

- Będiesz musiała to pytanie zadać panu Gowerowi. Uprzedzam cię tylko, że humor może mieć nie najlepszy.

Harriet wcale się temu nie dziwiła. Spotkania z panem Gowerem przygotowały ją na to, że nie bywa on w dobrym humorze.

- Prosiłam was obu, żebyście temu człowiekowi nie robili kawałów. Z wielkim trudem udało mi się uśmierzyć jego gniew, kiedy wlaście mu klej do kapelusza. Musiał sobie obciąć włosy, żeby go zdjąć.

Stephen szeroko się uśmiechnął.

- To był pomysł Derricka. Całkiem sprytny, nie uważasz? Ale nie obawiaj się, tym razem był to

czysty przypadek. -Wargi mu drgnęły. - Śmieszny przypadek, ale przypadek i nic więcej. Cudownie. Następne radosne wydarzenie, które opromieni ten frustrujący dzień.

- Pójdę i zobaczę, czego chce pan Gower - zdecydowała z ciężkim westchnieniem Harriet. - Skoro i tak ma już popsuty humor, poczuje się tym bardziej urażony, jeżeli każemy mu samotnie sterczeć w salonie.

- Proszę cię uprzejmie - powiedział miło Stephen. - Tymczasem ja udam się na górę i zobaczę, czy mamie nie trzeba pomóc przy naszym gościu. A, Harriet!

- Tak?

- Przyjemnej rozmowy z panem Gowerem.

W głosie Stephena wyraźnie słychać było rozbawienie. Łobuz jeden.

- Oj, ten chłopak - stęknęła pani Mapie, z dezaprobatą potrząsając głową, kiedy Stephen szedł na górę po schodach, poskrzypując kulami na drewnianych stopniach.

- Ten chłopak jest dokładnie taki sam jak jego ojciec. -Harriet udało się uśmiechnąć, chociaż nie miała na to ochoty. - Ojciec również nie potrafił powstrzymać się od robienia kawałów.

- To prawda. Zaczny był pan z panienki ojca.

- Wiem. Codziennie za nim tęsknię. - Harriet westchnęła. - Lepiej zajmę się panem Gowerem, zanim zacznę obgryzać meble.

- Bardzo dobrze, panienko. A gdyby się przymawiał o zaproszenie na obiad, niech mu panienka powie, że wszyscy już zjedli i nic nie zostało.

- Dobrze. - Harriet promiennie uśmiechnęła się do gospodyni, a potem poszła dalej korytarzem i przekroczyła próg salonu.

Jak tylko zamknęła za sobą drzwi, wyglądający przez okno rosły mężczyzna odwrócił się twarzą do niej. Miał na sobie skromny surdut z brązowej wełny czesankowej i spokojną kamizelkę z żółtego szorstkiego kaszmiru. Był mężczyzną przystojnym, acz nadmiernie czerwonym na twarzy. Albo może raczej byłby przystojny, gdyby nie miał aż tak absurdalnie przyciętych włosów.

Na ten widok, Harriet, zniżając się w dygu, musiała przygryźć wargę, by powstrzymać uśmiech.

- Panie Gower.

Odpowiedział majestatycznym ukłonem.

- Panno Ward.

Mimo oskarżeń pani Mapie pan Gower nie przypominał okazałego, świątecznego tuczniaka. Niemniej jednak był nabity w sobie.

- Panno Ward, czy pozwoli pani, że powiem, iż spotyka mnie miłe zaskoczenie. Sądziłem, że pani Ward...

- Matka jest dzisiaj dosyć zajęta. Powiedziałam jej, że przyjdę przyjąć pana wizytę. - Z przyklepionym do twarzy uśmiechem, miała nadzieję, że miłym, Harriet podała gościowi rękę.

Pan Gower pospiesznie podszedł i wycisnął dość wilgotny pocałunek na grzbiecie jej dłoni. Kiedy się zbliżył, razem z nim napłynęła fala niemiłego zapachu, tak intensywnego, że Harriet przysięgłaby, iż w lepszym oświetleniu byłoby go widać.

Zamrugła, usiłując nie zareagować na zjęczałą woń. Co to mogło być? Zwykle pan Gower pachniał tonikiem i pomadą do włosów. Ale ten odór przypominał raczej... owce. Jakby gość tarzał się w stodole.

Odebrała mu dłoń; zdołała się powstrzymać i nie otarła jej impulsywnie o spódnicę.

- Panie Gower, jak miło pana widzieć. Proszę, niech pan siada. - Opadła na krzesło tuż przy drzwiach, przezornie odsuwając je nieco dalej od tego, które stało najbliżej.

Uśmiechnął się do niej i zasiadł naprzeciw. Paskudny odór towarzyszył mu uparcie.

- Muszę powiedzieć, że to niespodziewana radość, panno Ward. Zwykle nie jest pani obecna, kiedy składam wizytę.

- Ostatnio bywam bardzo zajęta. - Przycisnęła na moment dłoń do nosa, spojrzenie jej padło na ogołoconą tacę i opróżniony do czysta talerz po babeczkach. - Widzę, że podano już panu herbatę.

- Rzeczywiście, podano. Macie państwo nadzwyczajną kucharkę.

- Powtórzę jej pana słowa. Panie Gower, czemu mamy przypisać pana miłą wizytę?

- Właśnie wracam z zebrania. - Popatrzył na nią znacząco. - W banku.

A dokąd miałby pójść na zebranie, jak nie do banku, pomyślała z pewną irytacją Harriet.

- Co pan powie?

Gower czekał, najwyraźniej spodziewając się, że panna poprosi o więcej informacji.

Harriet bez trudu powściągnęła ciekawość.

- Być może przyjechał pan do nas dzisiaj, by dowiedzieć się, w jakim stanie jest noga Stephana. To bardzo ładnie z pana strony i...

Uśmiech pana Gowera zniknął.

- Pani bracia są... - Opamiętał się i mocno zaczerwienił. - Nie chciałbym mówić nic niemiłego, ale muszę przyznać, że dobrze by im zrobiła obecność pana Ward.

- Wszystkim nam dobrze zrobiłaby obecność pana Ward. Skoro jednak umarł, nie jest ona, niestety, możliwa - powiedziała sucho Harriet.

- Proszę mi wybaczyć. Nie chciałem pani obrazić. Ale pani braciom bardzo przydałaby się mocna ręka jakiegoś mężczyzny. - Rozejrzał się po pokoju. - Co za szkoda, że wszystko tutaj tak podupało. Harriet musiała się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć czegoś, co byłoby jej niegodne. Ten człowiek po prostu ociekał pewnością siebie i okropnie ją to irytowało.

- Wszystkim nam brakuje ojca. Był wspaniałym człowiekiem.

- Tak słyszałem. Ogromne wrażenie zrobił na mnie fakt, że zamieszczono jego nazwisko w księdze genealogicznej parów Debretta. Podobnie zresztą uwzględniono tam panią. To wielki zaszczyt.

Harriet tylko chłodno i oschle skinęła głową.

Pan Gower przesunął się na skraj krzesła. Obrzydliwy zapach, który się go czepiał, napłynął szeroką falą bliżej Harriet.

Panna Ward przyciągnęła do siebie spódnicę i pospiesznie się cofnęła. Czym ten człowiek pachniał?

Pan Gower nerwowym gestem przygładził swoje nierówne włosy.

- Nie potrafię wprost powiedzieć pani, jak jestem uradowany, że spotkała mnie ta niespodziewana radość, iż mogę z panią porozmawiać.

- Już pan to mówił. - Harriet zastanawiała się, w jaki sposób ma zakończyć spotkanie. Pewnie mogłaby napomknąć, że robi jej się słabo od wyziewów.

- Tak, ale jest pewien szczególny powód, dla którego cieszę się, że panią widzę. Zwłaszcza samą. Panno Ward... Harriet, zamierzałem porozmawiać dziś z pani matką, ale może...

- Nie wydaje mi się, bym udzieliła panu pozwolenia, żeby zwracał się pan do mnie po imieniu - przerwała mu pospiesznie. Ogarnął ją niepokój. Boże, chyba ten pompatyczny prostak nie zamierza się do niej zalecać? Z pewnością nie chce... chyba nie może sądzić... popatrzyła mu w oczy i zrobiło jej się ciężko na sercu.

Dobry Boże, powinna być przed czymś takim zabezpieczona... cały świat sądził, że jest zaręczona z dziarskim acz nieobecny kapitanem Frakenhamem. Przyjrzała się panu Gowerowi zwięzonymi oczami. Ale może ten osobnik okazał się mniej łatwowierny, niż sądzili?

- Harriet... moja droga Harriet - kontynuował z tym swoim obrzydliwie wyniosłym uśmiechem - znam pani rodzinę od zbyt dawna, by obstawać przy błahych konwenansach. Panna Ward musiała odetchnąć przez nos, bo szczęki jej zacisnęły się tak silnie, że powietrze nie mogło się przez nie przedostać. Ale kiedy to zrobiła, smród stał się jeszcze bardziej wyczuwalny. Oczy zaczęły jej łzawić, rozkaszała się.

- Przepraszam. Ale ten zapach...

Wyniosły uśmiech pana Gowera zniknął, twarz mu w jednej chwili poczerwieniała.

- Pani czuje... A niech to! Oczywiście, że pani poczuła. Sądziłem, że udało mi się wyczyścić buty, ale... - Skrzywił się. - Tak, to wszystko przez pani brata.

- Przez Stephana?

- Przez tego drugiego. Podnosił akurat wiadro z... z czymś tam, kiedy zsiadałem z konia. Obawiam się, że go nie poznałem i poprosiłem, by dopilnował, żeby ktoś zajął się moim koniem. A on, najwyraźniej obrażony tą prośbą, wylał mi zawartość wiadra na buty.

Harriet spuściła wzrok na skórzane buty pana Gowera. Były poplamione i wyraźnie pociemniały. Nos jej się zmarszczył.

- Jestem pewna, że Derrick nienaumyślnie to zrobił.

- A ja jestem pewien, że naumyślnie, chociaż twierdził, że to przypadek i że uchwyt wiadra wyslizgnął mu się z dłoni.

- Jeżeli powiedział, że to przypadek, tak było - zapewniła Harriet, chociaż natychmiast stanął jej przed oczami złośliwy uśmieszek Stephana.

- Zrobił to naumyślnie, ten mały... - Pan Gower zacisnął szczęki.
- Może i tak - odparła Harriet, unosząc do góry podbródek. - Ale nie jest pana sługą, by zlecał mu pan zajęcie się koniem.
- Ubrany był jak służący, więc wziąłem go za sługę. Poza tym moja pomyłka nie usprawiedliwia jego zachowania.
- Nie, nie usprawiedliwia. Jeżeli rzeczywiście pobrudził panu buty celowo, to postąpił źle. Ale podobnie źle postąpił i pan, pozwalając sobie nie okazać memu bratu należnego mu szacunku. Usta pana Gowera zacisnęły się w wąską linię.
- Dałem mu szylinga za fatygę. Zważywszy na opłakany stan, w jakim znalazły się interesy pani rodziny, można by sądzić, że ucieszy się z...
- Harriet poderwała się z krzesła.
- Panie Gower, dziękuję panu bardzo, że zechciał nas pan odwiedzić.
- Gower podniósł się niechętnie, brwi mu się ściągnęły.
- Panno Ward... Harriet, chciałem tylko powiedzieć, że pani rodzina jest w bardzo złej sytuacji...
- Sytuacja mojej rodziny nie ma tu nic do rzeczy. Obraził pan Derricka i wszystkich pod tym dachem, rzucając mu monetę, jakby był zwykłym posługaczem. Miał pan wielkie szczęście, że na podwórzu nie było mnie, ponieważ ja nie ograniczyłabym się do oblania panu butów.
- Pani... jak pani może tak mówić? Niech pani spojrzy na to! - Wysunął do przodu stopę.
- Harriet przycisnęła dłoń do nosa.
- W istocie. Bardzo żałuję, że wszedł pan w nich do domu, bo teraz będę musiała kazać wyczyścić dywany.
- Gower opuścił stopę, plamista czerwień rozlewała się coraz szerzej po jego karku.
- Po wszystkim, co zrobiłem dla pani rodziny...
- A co takiego zrobił pan dla mojej rodziny? Bez końca dręczył nas pan w sprawie spłaty.
- To mój obowiązek...
- No właśnie. To pana obowiązek. Niech więc pan nie przychodzi tutaj skamleć, że na sercu leżało panu rzekomo nasze dobro. Na sercu leżą panu wyłącznie pieniądze. Nasze pieniądze. I nic więcej.
- Gower wyprostował się w ramionach.
- Być może kiedyś było to prawdą. Ale teraz... Harriet, nie będę udawał, że podoba mi się opłakane i ciężkie położenie finansowe pani rodziny. Bo mi się nie podoba. Chociaż od wielu już miesięcy pełen jestem podziwu dla państwa i ich determinacji, sytuacja ta kazała mi się mocno zastanowić, zanim się wypowiem otwarcie.
- Jakże pechowo dla naszej rodziny - syknęła Harriet, obrzucając go palącym spojrzeniem.
- No właśnie - zareagował bankier, w ogóle nie zauważając jej sarkazmu. - Większość mężczyzn nigdy z własnej woli nie przyknełaby oczu na taki stan rzeczy. Ale choć ubolewam nad stanem państwa finansów, muszę z zadowoleniem przyznać, że została już tylko jedna spłata, i Garrett Park będzie należał do rodziny Ward. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że niczym więcej państwo nie dysponujecie. Ani pani, ani jej siostry nie będziecie miały posagu, prawda?
- Jak on śmie w ogóle zadawać takie pytanie! Harriet zapłonęła potężnym gniewem, który kazał jej powątpiewać, czy zdoła wyjść z salonu, nie powiedziawszy czegoś, czego potem z pewnością będzie żałowała.
- To nie pana sprawa.
- Och, myli się pani - odrzekł z powagą Gower. - Przez ten brak pani posagu długo się wahałem. Należy jednak przyznać, że ma pani dobre pochodzenie. Pani ojciec jest w Debretcie, pani matka pochodzi ze Standishów. Pozwolę sobie powiedzieć, że nikt w tej okolicy nie ma tak dobrych koneksji jak Wardowie.
- Panie Gower, do czego ma zmierzać pana przemowa?
- Pan Gower, ani na moment nie wychodząc z roli pompatycznego osła, uśmiechnął się do niej, w najmniejszym stopniu nie przejmując się tym, że w odpowiedzi spiorunowała no wzrokiem.
- To proste, moja droga. Po głębokim namyśle postanowiłem wziąć panią za żonę.

## 8

*Kiedy się pierwszy raz zakochałem, miałem lat szesnaście. Za drugim razem również szesnaście. Ale potem zrobiłem się starszy i mądrzejszy i przez bardzo, bardzo długi czas się nie zakochywałem. Udało mi się niemal ukończyć siedemnaście lat, zanim znowu doświadczyłem tego żalosnego stanu.*

Pan Devon St. John do lorda Kiltourn, kolekcjonera antyków, którego charakteryzowała fatalna skłonność, by ubierać się jak dandys i nadszakiwać dużo młodszym kobietom

Devon St. John rzucił karty na pokryty zielonym suknem stolik przed sobą.

- Przegrywam - oznajmił przyjaznym tonem.

Jego przeciwnik, pan Lawrence Pound, którego ledwo widać było przez kłęby dymu, spowijające pokój karciany u White'a, westchnął ospale. Znany był w kręgach elity nie tylko ze swych bliskich koneksji z Bessingtonami, ale również z uprzejmego zachowania oraz nieskazitelnego stroju. Teraz rzucił własne karty na stolik i powiedział nieco żałośnie:

- To wprost obraźliwe, jak dobrze przyjmujesz przegraną.

Brew Devona drgnęła.

- A czego byś sobie życzył? Westchnień i lamentów? Szaleńczych krzyków, jak niesprawiedliwe bywają rozdania, oraz gróźb, że zakończę swą egzystencję?

Chociaż obydwaj panowie byli szczupli i dobrze zbudowani, Devon St. John miał charakterystyczne dla swojej rodziny szerokie bary i mocne, kształtne dłonie. Te cechy, w połączeniu z czarnymi włosami przy niebieskich oczach, świadczyły o jego przynależności do rodziny równie dobitnie, jak herb St. Johnów, wyhaftowany na kieszonce.

Pound z namysłem pociągnął łyk portwajnu.

- Dostyc mi się nawet ten ostatni pomysł podoba, no ale ja zawsze miałem pewną słabość do igraszek z bronią. Może następnym razem.

- Może. Jeżeli znowu przegram, w co wątpię.

Jego partner westchnął ze znużeniem.

- Powinienem być mieć dość rozumu, żeby nie siadać do kart z St. Johnem. Wygrana nie daje najmniejszej przyjemności, jeżeli wie się, że to tylko chwilowe zakłócenie w układzie gwiazd.

Devon odchylił się do tyłu na krześle i szeroko się uśmiechnął.

- Ty upierałeś się, żebyśmy zegrali. Ja chciałem tylko pogadać.

- Prawda - zgodził się z namysłem Pound. - To charakterystyczna dla mojej rodziny przywara, że jeśli tylko na horyzoncie rysuje się szansa klęski, pochopnie rzucamy się ku niej, pędząc na łeb na szyję. Bardzo ta wada źle o nas świadczy.

- Nonsens. Niczego nie robię pochopnie. Chwilami tak długo zajmowało ci zastanawianie się, co zrzucić, że martwiłem się już, iż wyzionąłeś ducha, i tylko wrodzona uprzejmość nie pozwala ci paść twarzą na stolik.

Wargi Pounda drgnęły.

- Walczyłem, by utrzymać się na prowadzeniu. Niełatwo jest z tobą grać.

- Jesteś dla siebie zbyt surowy. Kilka razy przez sekundę czy dwie nie byłem pewien, czym się gra zakończy.

- Przez sekundę czy dwie? Zważywszy, że graliśmy przez cztery godziny, uznaję to stwierdzenie za zgoła nikczemne.

Devon zachichotał.

- Dla ciebie wszystko jest nikczemne. Wszystko poza portwajnem. Bądź tak dobry i pozwól, że zamówię następną butelkę na cześć zwycięzcy...

- Devon St. John! - doszedł go wytworny głos z prawej. - Właśnie pana szukałem.

Devon uniósł kieliszek, nie spuszczać oczu z partnera.

- Czy rozegramy jeszcze jedną partyjkę?

Pound już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale natarczywy głos znowu się wtrącił.

- Panie St. John, pan mnie nie zna, ale ja...

- Co za grubiaństwo - wymamrotał Pound. Uniósł monokl, przyczepiony na wstążce do kamizelki, i przyglądał się mężczyźnie, który stał teraz przy ich stoliku.

Devon dopił wino.

-No i?

Monokl obrzydliwie powiększał oko Pounda.

- Nie. Nie poznaję go. - Upuścił szkiełko i znowu podniósł kieliszek. - Stanowczo powinni być bardziej wybredni w tym klubie. Może przyłączę się do Johna Watiersa.

- Panie St. John... - Najwyraźniej już podenerwowany osobnik stanął w polu widzenia Devona. - Zajmę panu tylko chwilę.

Ubrany zgodnie z najnowszą modą Harry Annesley robił identyczne wrażenie jak każdy inny pompatyczny młody modniś i osioł. Rogi wykrochmalonego kołnierzyka sterczały mu tak wysoko, że nie był w stanie trzymać brody w naturalnym dla niej położeniu. Krawat stanowił skomplikowaną płataninę węzłów i splotów, spiętą olbrzymim jarmarcznym rubinem wątpliwej autentyczności.

Devon przyglądał mu się przez chwilę i po raz kolejny doszedł do wniosku, że jest w tym człowieku coś... nieprzyjemnego. Coś prostackiego, mimo wypolerowanych do połysku butów, jakaś nutka pospolitości, która przebijała się na zewnątrz.

- Słucham. Czego pan chce?

Annesley zaczerwienił się na ten oschły ton.

Devon dobrze zdawał sobie sprawę, że Annesley jest znajomym jego brata, Chase'a. Zrozumieć nie potrafił, jak Chase może tolerować takiego człowieka. Chase bywał na ogół bardziej wybredny przy doborze przyjaciół, ale sprawy miały się tak, zanim zaczął się staczać. Zanim odciął się od rodziny precyzyjnie i bezlitośnie, jak jakiś chirurg.

Na tę myśl Devona ścisnęło w piersiach.

Harry uśmiechnął się swoim pozornie niedbałym, świętoszkowatym uśmiechem, za którym Devon wyczuwał jednak nutkę wyższości.

- Panie St. John, jest mi serdecznie przykro, że zakłócam spokój panu i pana znajomemu, panu Poundowi, ale...

- To coś zna moje nazwisko - mruknął pod nosem Pound. Uniósł w górę brwi. - Czy powinienem poczuć się zaszczycony?

Zdaniem Devona fakt, że Chase się staczał, wiązał się jakoś z tym człowiekiem.

- Nie - powiedział do Pounda, odstawiając ze stuknięciem kieliszek na stół. - Wcale nie powinieneś czuć się zaszczycony.

Twarz Harry'ego zrobiła się ceglastoczerwona, wargi na moment zacisnęły się w wąską linię. Ale szybko odzyskał panowanie nad sobą i przywołał na twarz swój zwykły, fałszywy uśmiech.

Devon pomyślał, że chyba wolałby otwarty gniew od tego spiętego uśmiechu. Zerknął na nowo przybyłego.

- No? - ponaglił go sucho. - Czego pan chce?

Uśmiech zrobił się jeszcze bardziej napięty, ale Harry z determinacją utrzymał go na ustach.

- Zastanawiałem się, czy nie mógłby mi pan pomóc. Szukam pana brata, Chase'a. Czy miał pan od niego ostatnio jakieś wiadomości?

Devonowi udało się zachować obojętny wyraz twarzy, chociaż nie było to łatwe. Ta gnida czegoś chciała; tacy jak on zawsze czegoś chcieli. W zaistniałej sytuacji niezwykle było jedynie to, że ten osobnik chadzał zwykle ręką w rękę z Chase'em. Jeżeli Harry Annesley nie wie, gdzie jest Chase, kto mógłby to wiedzieć? Devonowi żołądek zaczynał się skręcać z niepokoju.

- Nie widziałem brata od niemal dwóch tygodni. Od wesela naszego brata Brandona.

- Czy tak? - Wyćwiczony uśmiech Harry'ego przybladł, na jego miejscu pojawił się równie fałszywy wyraz zatroskania. Ciekawe, gdzie on mógł się podziać?

Devon wzruszył ramionami.

- Pewnie to jakaś następna *amorata*. Przefruwa od jednej do drugiej jak pszczołka z kwiatka na kwiatek.

- Nie zapominając przy tym bez wątpienia o żądle. - Pound potrząsnął ze smutkiem głową. - Nie najlepiej ci to wyszło, St. John.

Devonowi udało się szczerze uśmiechnąć. Kostyczne poczucie humoru Pounda doskonale harmonizowało z jego własnym.

- Postaram się na przyszłość o większą subtelność.

Harry oparł ręce na stoliku i pochylił się niżej, zapach jego wody kolońskiej snuł się wokół Devona niczym delikatna, mdląca mgiełka.

- Waham się, czy coś mówić, ponieważ... - urwał, jakby zbyt zażenowany, by kontynuować.

Oczy Devona zwięzły się. *Czego, u wszystkich diabłów, może chcieć ten krętacz? A co ważniejsze, gdzie, do cholery najjaśniejszej, podziewa się Chase?* Nie przestawał tasować kart, potem rozłożył je na dwa równiutkie stosiki.

- Niech pan mówi, co ma pan do powiedzenia, Annesley.

- Nie chciałem poruszać tej sprawy, ale pański brat... -Przerwał i z ukosa zerknął na Pounda. - Panie St. John, może powinniśmy omówić to na osobności.

Pound uniósł spojrzenie znad trzymany w ręku kart.

- A! Więc to sekret? Niechże panowie będą uprzejmi mnie nie odprawiać. Niewiele jest rzeczy, które kochałbym bardziej niż sekrety.

Devon zawahał się. Pound, mimo swego dowcipu z cicha pękł, dosyć lubił plotkować. Ale teraz nic już się na to nie poradzi. Annesley wystarczająco dużo powiedział i moment, kiedy można było jeszcze trzymać Pounda od sprawy z daleka, dawno minął.

- Niech pan mówi, Annesley.

- Bardzo dobrze. Z przykrością kieruję pana uwagę na tę sprawę, ale to niepodobne do pańskiego brata, by nie stawiał się na spotkanie. - Tu Annesley przerwał i rzucił przelotne spojrzenie na Pounda.

- Zwłaszcza jeśli spotkanie to było sprawą honoru.

Devon zaklął pod nosem, zauważywszy pełen zainteresowania błysk w obojętnym spojrzeniu Pounda. Wszystko, co Annesley miał do powiedzenia, jeszcze przed świtem rozejdzie się po mieście. Zmusił się do skupienia uwagi na kartach. Starannie wybrał zrzutkę i dopiero potem odpowiedział.

- Jestem pewien, że musiało zajść jakieś nieporozumienie. Może pomylił miejsce lub porę.

- Raczej wątpię, by o to miało chodzić. - Annesley wyduł wargi. - Mówiąc otwarcie, pana brat winien jest mi pokazną sumę pieniędzy. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej kawałek papieru. Położył go na stole. Devon zerknął na papier, potem zmarszczył brwi. Notka była obligiem na dwadzieścia tysięcy funtów, wystawionym na Harry'ego Annesleya. Na dole widniała pochyła, pełna zawijasów sygnatura, w której Devon natychmiast rozpoznał podpis Chase'a.

Do serca Devona zaczął przesączać się lekki niepokój. Coś mu tu nie grało. Mimo to przemógł się i nie podniósł obligu ze stołu, chociaż marzył o tym, by chwycić go i przedrzeć na pół.

- Jeżeli to sprawa honoru, jestem pewien, że brat rozwiąże ją ku pańskiemu zadowoleniu. Z pewnością czuje się rozczarowany, że się panowie rozminęliście.

- Mam taką nadzieję - odrzekł smętnie Annesley. Schował papier. - Kiedy ostatnio widziałem się z Chase'em, wydawał mi się nieco rozstrojony.

- Przypuszczam, że musiał pić. I to dużo. Wydaje się, że weszło mu to w zwyczaj, od kiedy zaczął utrzymywać stosunki z panem.

- *Touche* - mruknął Pound.

Usta Annesleya wyraźnie się zwięzły. Poklepał się po kieszeni, w której leżał papier.

- Mam tylko nadzieję, że nieobecność pańskiego brata nie będzie się przeciągała. W przeciwnym razie zacznę zastanawiać się...

- Annesley - przerwał mu Devon z zabójczym spokojem - nad czym zacznie się pan zastanawiać? Z pewnością nie zechce pan szkalować nazwiska St. John.

Wokół stolika zapadło milczenie. Pound tylko przyglądał się, a w jego przenikliwym spojrzeniu pojawiło się rozbawienie. Annesley wydawał się szukać słów - chociaż nie bardzo było wiadomo, czy chce wycofać się ze swego twierdzenia, czy raczej uspokoić Devona.

Devon odwrócił się do niego plecami.

- Dość już tego, Annesley. Jestem pewien, że kiedy mój brat powróci do miasta, otrzyma pan swoje pieniądze.

W porównaniu z niedawnym szerokim uśmiechem mina Annesleya przypominała jakiś zastygły grymas. Nie pozostało mu nic, jak ukłonić się i skierować do drzwi.

Devon i Pound grali przez kilka minut w milczeniu. Chociaż Devon myślał o czymś innym, szczęście mu sprzyjało i wygrał.

- A, wraca szczęście St. Johnów. - Pound podniósł kieliszek z portwajnem. - Co myślisz o Annesleyu?

- O kim?

W oczach Pounda zamigotało uznanie.

- O Annesleyu - powtórzył łagodnie.

- W ogóle o nim nie myślę.

- Hm. Ciekawe, gdzie podziewa się twój brat? Ostatnio coś z nim było nie tak, prawda?

Devon nie odpowiedział.

- Przez ostatnie sześć miesięcy... a może nawet dłużej... Chase nie zachowywał się jak... no, jak na St. Johna przystało.

- Mojemu bratu nic nie brakuje. I jest w tym samym stopniu St. Johnem co ja.

Pound miał dość rozumu, by więcej się nie odzywać. Podjęli grę.

Ale Devon przekonał się, że nie jest się w stanie skupić, przeszkadzało mu dziwne, rozedrgane poczucie niepokoju.

Gdzie jest Chase? I co fakt, że ostatnio zniknął, ma wspólnego z Harrym Annesleyem?

Zduśli westchnienie. Od roku Chase zachowywał się zagadkowo, często zdarzało mu się zniknąć, na ogół z jakąś aktoreczką czy inną niewiele wartą panienką.

To prawda, że zaprzyjaźnił się również z wicehrabiną Westford, która zdecydowanie się od tych jego licznych konkiet różniła. Ale to była przyjaźń, a nie miłość. Z wicehrabiną ożenił się ich starszy brat, Brandon. Dobrze by się stało, gdyby i Chase znalazł sobie tak wartościową żonę. Brandon podstępem nakłonił go do przyjęcia osławionego pierścienia St. Johnów, a więc nie można wykluczyć, że teraz i Chase trafi na prawdziwą miłość. A przynajmniej mogłoby się tak stać, gdyby nie zostawił Harry'ego Annesleya, żeby go szukał po całym mieście i napomynał każdemu, kogo spotkał, że Chase St. John nie honoruje długu.

Coś takiego, jak wiadomo, mogło człowieka zrujnować. Ku własnemu zdumieniu Devon wygrał jeszcze jedną rundę. Rzucił karty na stół, a potem kazał sobie podać płaszcz i przyprowadzić konia.

*Niech to wszyscy diabli, gdzie podziewa się Chase? I dlaczego wyjechał z miasta po tym, jak podpisał ten oblig dla Annesleya?*

## 9

*To krochmal powoduje, że mężczyzna może być mężczyzną.*

Dosyć zniedołężniały lord Kiltorn do swego kamerdynera, Hobarta, stojąc przed lustrem i poprawiając krawat w wieczór przyjęcia u Brookstone'ów

Harriet mogła tylko szeroko otwartymi oczami wpatrywać się w pana Gowera. Z pewnością bankier nie chce sugerować, że... w żaden sposób nie mogło mu chyba chodzić o to, by on i ona mogli... by któregoś dnia...

- Raczy pan chyba żartować!

Uśmiech pana Gowera nie zmienił się ani na jotę, ale oczy niesympatycznie mu się zwęziły.

- Mówię całkiem serio. Starannie zastanowiłem się nad wszystkimi ewentualnymi kandydatkami i doszedłem do wniosku, że dla mężczyzny o mojej pozycji najbardziej opatrnościową żoną będzie właśnie pani. Pani koneksje są dokładnie tym, co powinno mi pomóc w zrobieniu kariery.

Harriet własnym uszom nie mogła uwierzyć.

- Nie życzę sobie...

- Proszę. Niech pani jeszcze nie udziela odpowiedzi. Widzę, że panią zaskoczyłem. Ale przekonany jestem, że kiedy się pani nad tym zastanowi, zgodzi się pani, iż małżeństwo między nami będzie obopólnie korzystne.

- Panie Gower, nie mam życzenia wychodzić za mąż!

Pan Gower uniósł w górę brwi.

- Nie? A co z rzekomym kapitanem Frakenhamem?

Do licha! Z zaskoczenia mózg Harriet stężał w bryłę bezużytecznego lodu.

- Chciałam powiedzieć, że nie życzę sobie poślubić pana - poprawiła się. - Kapitan Frakenham to coś całkiem innego. Oczywiście, że za niego chcę wyjść. Jestem z nim zaręczona.

- Zaiste.

Jedno jedyne słowo, ale panu Gowerowi udało się nasycić je takim niedowierzaniem, że Harriet się zawahała. Dobry Boże, tylko nie to. Jeżeli pan Gower podejrzewa, że nie istnieje żaden kapitan Frakenham, wszystko stracone. Bo chociaż ubolewała nad tym, że matka wymyśliła dla niej konkurenta, to myśl o utracie Garrett Park była po prostu nie do zniesienia.

Przyglądała nerwowo spódnicy.

- Jeśli już mowa o kapitanie Frakenham, czy wspominałam, że przysłał matce sztukę jedwabiu?

Pan Gower uniósł brwi.

- Czy tak? Pani matka musiała się ucieszyć.

- To bardzo piękny jedwab. A dla mnie przysłał sznur pereł, a do tego po naszyjniku z muszelek dla Sophii i Ofelii.

- Hmmm. Z rozkoszą bym je obejrzał. Czy mogłaby pani je przynieść?

*A niech to, i co ona. ma teraz zrobić?* Nie spodziewała się po bankierze takiego grubiaństwa, ale pana Gowera musiało coś opętać.

Udało jej się niepewnie roześmiać.

- Oczywiście, że może je pan zobaczyć! Nie jestem pewna, gdzie matka schowała jedwab, a perły są zamknięte bezpieczne pod kluczem. Może jak pan następnym razem przyjedzie z wizytą, przygotuję je panu do obejrzenia i...

Bankier z uśmiechem potrząsnął głową.

- Harriet, powinna pani wiedzieć, że od samego początku miałem wątpliwości co do tego kapitana Frakenhama.

Harriet usiłowała przełknąć, ale jej się nie udało.

- O? Jakież to?

- Nie wierzę, by była pani naprawdę zaręczona z jakimś kapitanem Frakenhamem, nie wierzę również, że pojawi się on w porcie z ładownią pełną złota i uratuje pani rodzinę od dalszych kłopotów. - Uśmiech pana Gowera graniczył z obelgą - Inni pracownicy banku mogą wierzyć, w co chcą, ale ja nie jestem taki naiwny.

- Panie Gower, zapewniam pana, że naprawdę jestem zaręczona z kapitanem Frakenhamem. Jak śmie pan insynuować, że...

- Nonsens. Harriet... panno Ward... pomówmy otwarcie, żaden kapitan Frakenham nie istnieje. I na ile zdołałem sprawdzić, nigdy nie istniał.

- Czy pan zarzuca mi kłamstwo?

- Przekonany jestem, że źródłem oszustwa była pani matka. Od samego początku wzbudziło ono moje zainteresowanie, napisałem więc do Londynu i zasięgnąłem języka. W rejestrach nie ma śladu po kapitanie Frakenhamie czy jego statku.

- Pana informacje są błędne, bo mogę pana zapewnić, że...

- O niczym mnie pani nie może zapewnić. - Pan Gower chwycił jej dłoń, nie da się ukryć, że mocno.

- Harriet, okazałem pani i pani rodzinie bardzo wiele cierpliwości. Może być pani spokojna, że zachęcałem moich przełożonych, by przyjęli państwa nedorzeczną wersję o zacytnym kapitanie, i nadal tak będę postępował. - Pogładził ją kciukiem po knykcjach. - Do czasu.

Harriet z trudem udało się opanować dreszcz.

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Szarpnęła dłoń, ale Gower trzymał ją mocno. Zastanawiała się, co by zrobił, gdyby zaczęła krzyczeć, wyskoczyła za okno i rzuciła się do ucieczki przez ogród.

- Harriet, niech mnie pani posłucha. - Podszedł o krok bliżej. - Może nie urodziłem się dzentelmenem, ale zanim umrę, zostanę nim, a po mnie moi synowie. Proszę, by pani za mnie wyszła. Może pani na tym układzie tylko zyskać.

- Co? Za miesiąc Garrett Park będzie należał do nas.

- Tak, ale co wtedy będziecie państwo robili? Skąd weźmiecie fundusze na życie?

Harriet daremnie starała się wyrwać mu rękę.

- Proszę, panie Gower...

- Potrzebne mi jest pani wysokie urodzenie i koneksje, by wyrobić sobie nazwisko. Skłonny jestem przymknąć nawet oczy na fakt, że pani rodzina nie radzi sobie finansowo i że pani bracia zachowują się z sposób godzien ubolewania.

Harriet bliska była eksplozji. Wyszarpnęła rękę z jego wilgotnego uścisku. Jak on śmie przychodzić tu i obrażać ją i jej rodzinę?

- Panie Gower, nie chciałam tego mówić, ale nie zostawił mi pan wyjścia. Sir, jest pan istnym utrapie...

Drzwi do salonu otworzyły się i, szeleszcząc jedwabiem i koronkami, pojawiła się w nich matka z przekrzywionym na bakier czepeczkiem na głowie. Jak tylko wzrok jej padł na Harriet, zawołała bez tchu:

- Tu jesteś, kochanie! Wszędzie cię szukałam!

Harriet ściągnęła brwi.

- Wiedziała mama, gdzie...

- Tak, tak, oczywiście! - Matka przystanąła w progu. -A z tobą jest słodki pan Gower.

Słodki? A może by tak niegrzeczny i apodyktyczny?

- Pan Gower właśnie mówił mi, że musi już iść.

- Zanim pozna kapitana Frakenhama? - zapytała matka z twarzą skąpaną w uśmiechu. - Z pewnością nie.

Harriet otworzyła usta. Potem je zamknęła. Kapitan Frakenham? Boże, czy matka już całkiem zwariowała?

Zerknęła spod oka na pana Gowera i z pewną satysfakcją zauważyła, że bankier stoi niby rażony piorunem i wygląda na równie oszołomionego jak ona.

- Kapitan Frakenham - powtórzył powoli. - Pani Ward, nie istnieje żaden kapitan Frakenham.

- Nie? - zapytała matka, mrugając powiekami z pozornym zdumieniem.

I w tej chwili Harriet zorientowała się, skąd u Sophii wzięta się taka namiętność do aktorstwa.

- Panie Gower - powiedziała z pewną surowością matka -popęnia pan poważny błąd! Kapitan Frakenham naprawdę istnieje. A nawet jest tutaj. - Z tymi słowy odstąpiła na bok.

Szeroka w barach postać wypełniła sobą drzwi do salonu. Harriet serce zaczęło tłuc się w piersiach. Stał przed nimi ranny nieznajomy. Twarz miał bladą, głowę wciąż owiniętą bandażem. Wzrok Harriet przesuwiał się po nim powoli. Zwróciła uwagę, jak surdut opina jego szerokie ramiona, a potem zwięża się do szczupłej talii. Kamizelka była istnym wzorem niedopowiedzenia, charakterystycznego dla eleganckiej prostoty, śnieżnobiały krawat zawiązany został w fascynujący układ splotów i węzłów. Musiała podziwiać gust rzekomego kapitana: był nieskazitelny.

Usiłowała nie przyglądać mu się zbyt nachalnie, kiedy do niej podchodził; każdy jego gest pełen był płynnej, nieprzyzwoicie rozkosznej gracji.

- Moja droga - odezwał się półgłosem, stając u jej boku. Ujął jej posłuszne dłonie i kolejno uniół do ciepłych warg. -Jak się miewa dziś rano moja śliczna narzeczona? Ufam, że dobrze pani spała?

Harriet zrobiło się gorąco, dreszcz przebiegł jej po rękach i na koniec usadowił się w żołądku. Całe ciało napięło się w reakcji na tego mężczyznę.

Zamrugła powiekami.

- Kapitan Frakenham? Ależ...

- Harriet! - przerwała jej stanowczo matka. - Bądź tak dobra i zadzwoń, by podano nam herbatę. Jestem pewna, że kapitan potrzebuje pożywienia.

- To prawda - zgodził się z nią swobodnie „kapitan”, uśmiechając się przy tym do Harriet. Chociaż przywołał na twarz wyraz łagodnie powitalny, Harriet aż nadto była świadoma szelmowskiego błysku w jego niebieskich oczach. Śmiał się z niej. Wiedział, że w obecności pana Gowera musi przystać na to powitanie. I, łobuz jeden, cieszył się każdą chwilą.

Odebrała mu dłonie, a potem, na wszelki wypadek, skrzyżowała je za plecami. Przez jedną szaloną chwilę sama nie wiedziała, co gorsze: udawać, że łączą ją bliskie stosunki z tym pawiem, który się przed nią puszył, uśmiechając się przy tym tak, jakby rozkoszował się okazją do dręczenia „narrzeczonej”, czy wysłuchiwać następnych idiotycznych oświadczeń pana Gowera.

- O Boże! - wykrzyknęła matka. - Tak okropnie nie radzę sobie z prezentacją. Panie kapitanie, to jest pan Gower, asystent dyrektora naszego banku. Panie Gower, to jest kapitan Frakenham, narzeczony Harriet.

Kiedy pan Gower niechętnie ujął dłoń kapitana i wymieniali słowa powitania, matka złapała Harriet za rękę i szepnęła jej do ucha:

- Nic innego nie zdołałam wymyślić.

- Jak mama go przekonała, żeby nam pomógł?

- Nie przekonywałam go. Po prostu... powiedziałam mu, że jest kapitanem Frakenhamem. - Na pełne zdumienia spojrzenie Harriet pani Ward zalała się rumieńcem. - Przecież nie pamięta, kim jest, więc co to za różnica?

Harriet zamrugła powiekami.

- Ale... ale jeżeli sobie przypomni, jak się naprawdę nazywa?

*Jeśli tego jeszcze nie wie. A niech to, co ta matka sobie myśli?*

Pan Gower wyglądał na kompletnie dezorientowanego. Nie przestawał potrząsać dłonią „kapitana”, jakby nie mógł przestać.

Chase sam nie wiedział, co go bardziej bawi, czy szok, jakiego najwyraźniej doznał bankier, czy

wyraz niezadowolenia, jaki malował się na twarzy Harriet. Zdumiewające, ale zaczynał wierzyć, że ta farsa może mu sprawić trochę radości.

Naprawdę wiele przemawiało za tym, by udzielić pomocy Wardom. Po pierwsze, Chase przestał już być pełnoprawnym członkiem społeczeństwa. Uwolnił się od uciążliwego nazwiska St. John. Na tę krótką chwilę stał się kapitanem statku, który przyjechał z wizytą do swojej ukochanej. Prostolinijskim, przeciętnym kapitanem, chętnym do snucia opowieści

o czynach podniecających i śmiałych, dalekim od wszelkich ograniczeń, które narzucał status prawdziwego St. Johna.

Serce mu się rozśpiewało. Zamierzał się dobrze, a nawet bardzo dobrze bawić. Uśmiechnął się szeroko do bankiera.

- Panie Gower, sporo o panu słyszałem. Ogromnie się cieszę, że poznaliśmy się wreszcie. - Spuścił oczy na rękę, którą bankier nadal bezmyślnie potrzasał. - Czy zechciałby pan puścić moją rękę? Mogę jej jeszcze w niedługiej przyszłości potrzebować.

Gower poczerwieniał i cofnął się o krok.

- Przepraszam pana. Tylko że pan... panie kapitanie... nie mogę uwierzyć... to jest, nie sądziłem, że pan...

- Że ja co? Że nie wrócę do mojej Harriet? - Chase wyciągnął rękę, objął Harriet w pasie i uśmiechnął się, słysząc, jak i ostro zaczerpnęła powietrza. Jędrna z niej była kruszyna, uświadomił sobie z pewną przyjemnością, muskając dłonią biodro panienki. - Jakże mógłbym porzucić tak smaczny kąsek?

Odpowiedzią na to oświadczenie była martwa cisza. Pani Ward roześmiała się nieco niepewnie.

- Panie kapitanie, co też pan opowiada! - Wachlowała się przez chwilę. - Pan kapitan był przez bardzo długi czas na morzu.

- Doprawdy - wycedził Gower. Mięśnie szczęk mu się napięły, czoło zachmurzyło. Jego wzrok wędrował przez chwilę po sylwetce Chase'a, aż wreszcie zatrzymał się na bandażu. - Widzę, że jest pan ranny.

- To tylko draśnięcie.

- Jak się pan go nabawił?

- Piraci - wyjaśnił obojętnie Chase.

U jego boku Harriet zeszytywniała. Chase'owi z trudem udało powstrzymać się od śmiechu. Zamiast tego mądrze pokiwał głową.

- Bitwa z piratami na wodach przybrzeżnych Indii. Oczywiście nic poważnego. Rozgromiliśmy ich w trzydzieści minut i przejęliśmy ich ładunek.

- Ładunek? Czy łupy były bogate?

- Głównie niewolnice.

Harriet przeszła „narzeczonego” ostrym spojrzeniem.

- Niewolnice?

- Właściwie to odaliski. - Przyciągnął Harriet odrobinę bliżej, potem nad jej głową puścił oko do Gowera. - Niezły łup, ładownia pełna odalisek.

Harriet wydała odgłos zadziwiająco zbliżony do prychnięcia. Chase nadal nie dawał jej się odsunąć. Teraz spojrzał na nią niewinnie.

- Czy coś pani mówiła, kochanie?

- Nie - powiedziała stanowczo Harriet, jej brązowe oczy płonęły oburzeniem. - Jeszcze nie.

Pani Ward pochyliła się w stronę bankiera.

- Musi pan wybaczyć kapitanowi ten buńczuczny nastrój. Od wielu miesięcy był na morzu i...

- Blisko rok - zgodził się Chase, przyciągając Harriet jeszcze trochę bliżej, aż biodra ich się zetknęły.

- I o niczym nie myślałem, tylko o pani, mój kwiatuszku.

Udało się. Harriet wyraźnie się zjeżyła. Jej zdecydowanie fałszywy uśmiech zrobił się jeszcze bardziej wymuszony.

- Co za szkoda, że tak szybko musi pan wracać na statek, panie kapitanie - wycedziła przez zęby.

- Wracać? - powtórzył Chase, udając bezgraniczne zdumienie. - Och, nie, ukochana. Nie zamierzam przez jakiś czas wracać na morze. Prawdę rzekłszy - tu puścił ją, podszedł do otomany i rozciągnął się na niej jak długi, krzyżując nogi w kostkach na poduszeczce i podkładając sobie ręce pod głowę - planuję przez wiele tygodni cieszyć się pani gościnnością.

Jego spojrzenie padło na pustą tacę, ściągnął brwi.

- A skoro już o tym mowa: umieram z głodu. Harriet, najdroższa moja, czy przyniosłaby mi pani coś do jedzenia? Ale za herbatę dziękuję. Wolałbym coś mocniejszego. Kieliszek brandy wydawałby się bardzo na miejscu.

Harriet wyrwał się stłumiony okrzyk. Pani Ward pospiesznie interweniowała.

- Z radością zadzwonię, by podano nam smaczny, lekki posiłek. Ale sądzę, że pan Gower musi się już zbierać. Jest bardzo ważną osobistością i nie może godzinami tracić czasu.

Ze swojego legowiska na otomanie Chase wspaniałomyślnie skinął dłonią.

- Ależ oczywiście, że nie może! Wystarczy na niego spojrzeć, by się zorientować, że nie jest jakimś pierwszym lepszym bankierem, a nawet wręcz przeciwnie. Panie Gower, życzę panu pomyślnego załatwiania obowiązków w dniu dzisiejszym. Oby się panu udało zająć co najmniej trzy oddzielne, obciążone hipoteką nieruchomości.

Pan Gower usiłował się uśmiechnąć, ale nie zdołał.

- Nie sądzę, bym miał dziś cokolwiek zajmować.

- Nie? No to może jutro. Żegnam pana.

Pani Ward otworzyła drzwi.

- Proszę pozwolić, panie Gower, odprowadzę pana. Harriet może zająć się kapitanem.

Gowerowi chyba się taki układ nie spodobał. Popatrzył znacząco na Harriet.

- Porozmawiam z panią jeszcze, panno Ward. Wkrótce.

Chase bacznie im się przyglądał. Słowa Gowera skierowane do dziewczyny zawierały jakiś podtekst, który oboje rozumieli. Harriet zareagowała chyba irytacją, ale o co mogło chodzić Gowerowi? Czyżby to było ostrzeżenie? Ściągnął brwi i postanowił wypytać Harriet, jak tylko zostaną sami.

Gower odwrócił się, by złożyć ukłon w kierunku Chase'a.

- Miło mi było pana poznać, Frakenham. Mam nadzieję, że będę się z panem widywał, zanim pan znowu wyjedzie. Kiedy pana statek ma odpłynąć?

- Nieprędko. Stoi na kotwicy w porcie, czekając na naprawy.

- Czy tak? A zechciałby mi pan powiedzieć, w którym porcie?

Chase nawet się nie zawahał.

- Whitby.

- Ach, tak. Byłem tam kiedyś. A jak się nazywa pana statek?

- Doprawdy, panie Gower - odezwała się Harriet; napięcie wydawało się jej nie opuszczać. - Nie ma potrzeby wypytywać naszego gościa tak, jakby był...

- Nonsens - przerwał jej ze swobodą Chase. - Mój statek nazywa się „Burza”. To trójmasztowiec, właśnie wrócił z Indii.

Gowerowi udało się bardziej szczerze uśmiechnąć, oczy mu się zwęziły.

- Dziękuję. Miłego dnia, kapitanie.

- Do widzenia, Gower.

Gower skłonił się raz przed Harriet, potem podążył za panią Ward do drzwi. A Chase został sam na sam ze swoją narzeczoną po raz pierwszy, od kiedy wcielił się w rolę kapitana Frakenhama.

## 10

*Jaśnie pan oznajmił mi onegdaj, że to krochmal powoduje, iż mężczyzna może być mężczyzną. Ale pozwól sobie powiedzieć, że źródłem krochmalu jest srebro. I do srebra właśnie ciągnie mnie serce.*

Kamerdyner lorda Kilturna, Hobart, do Ledbettera, kamerdynera hrabiego Greyley, po przypadkowym spotkaniu u krawca

Panna Ward przyglądała się leżącemu na otomanie mężczyźnie. Wystawał po obu jej końcach, ręce założył pod głowę, nogi skrzyżował w kostkach na jednej z porządnych poduszek. Chociaż wcale chyba nie zwracał na to uwagi. Za bardzo zajęty był przyglądaniem się jej zwężonymi oczami, w jego przenikliwym spojrzeniu malowało się napięcie.

Harriet prychnęła.

- Okazał pan nieuprzejmość, sir.

- Nie powiedziałbym.

- A ja tak. Zachowywał się pan całkiem tak, jakbym była pana...

- Narzeczoną - dokończył gładko. - Którą, zdaniem pani matki, pani jest. - Uniósł w górę brwi. - Czyżby nie była pani ze mną zaręczona? A może coś źle zrozumiałem?

Harriet mało się nie udusiła.

- Nie o to mi chodziło. Nie pamięta pan, kim pan jest, a przecież przyszedł pan tu i... i pozwalał sobie na zbyt wiele! - Tak, to dobre określenie jego zachowania. Wykroczył daleko poza granice tego, co dopuszczalne. Wciąż czuła dotyk jego ręki w miejscu, gdzie wcześniej spoczywała ona na jej biodrze, i ciepło palców przenikające przez cienki materiał sukni.

Ten gest, tak skromny, a przecież tak zaborczy, natychmiast wywołał w niej reakcję, która się jeszcze utrzymywała. Harriet wygładziła rękami spódnicę, zastanawiając się, czy jego również ogarniała fala takiego żaru. Czy jego ciało też aż dygotało od nagłego...

Zauważyła spojrzenie „narzeczonego” i zarumieniła się, pewna, że potrafi odczytać jej myśli.

- Pana poczynania były całkowicie niepotrzebne.

- Być może pani nie trzeba dowodnie przypominać, że jest pani rzekomo ze mną zaręczona, ale panu Gowerowi chyba należało o tym przypomnieć.

- On nie wierzył w istnienie kapitana Frakenhama.

Na wargach obcego pojawił się lekki uśmiech.

- I oto jestem.

Harriet przyglądała mu się przez moment. O, co do tego, że jest, nie miała wątpliwości. Ponad sześć stóp twardych jak rzemień mięśni i solidnych ścięgien, zdecydowane niebieskie oczy, dech zapierająca uroda, a wszystko to składało się na nieznanego, acz bardzo niebezpiecznego i przystojnego mężczyznę. Chociaż z pozorną swobodą rozciągał się na kanapie, emanował czymś niebezpiecznym, niemal zabójczym.

- Proszę powiedzieć mi, sir, czy nadal nie pamięta pan, kim jest?

- Niejasno. - Dotknął bandaża, który spowijał mu głowę. - Ale pani matka powiada, że jestem kapitanem Frakenhamem, więc... - Spojrzenia ich się spotkały. - Jakże mógłbym kwestionować jej zdanie w tej sprawie?

Harriet już otwierała usta, ale się powstrzymała. Pomysł, by wmawiać w tego człowieka, że jest kapitanem Frakenhamem, graniczył z szaleństwem, niemniej jednak chwilowo musieli się go trzymać. Zwłaszcza że nieznanemu został przedstawiony panu Gowerowi, a ten postara się zdemaskować oszustwo.

Zacisnęła zęby, przez co jej twarz przybrała wyraz raczej niegodny damy. Co za potworny mętnik.

„Kapitan” uniósł brwi.

- A skoro tak się sprawy mają, to fakt, że pani i ja jesteśmy zaręczeni i mamy się pobrać, stawia nasze stosunki w całkowicie nowym świetle.

- Całkowicie nowym świetle? - zapytała dosyć miłym głosem, chociaż musiała się przemóc, by rozluźnić szczęki. Nie była zachwycona tym, że patrzył na nią, jakby widział w niej szczególnie smakowite ciasteczko. - Nie zamierzam tolerować niewłaściwego zachowania z pana strony.

Wargi nieznanego drgnęły.

- Będzie mi pani musiała wybaczyć moje wcześniejsze zachowanie. Niczego nie pamiętałem, a pani ze swej strony nie próbowała mnie oświecić co do mojej tożsamości. - Brwi jego ściągnęły się z namysłem. - A dlaczego właściwie nie powiedziała mi pani, kim jestem ja i kim jesteśmy dla siebie nawzajem?

*Przede wszystkim dlatego, że nie posiadam ani dziesiątej części tej wyobraźni, którą dysponuje matka.*

- Nie powiedziałam panu, kim pan jest, ponieważ sądziłam, że miło byłoby, gdyby sam pan sobie o tym przypomniał, zresztą wszystko jedno. Obojętne, czy jest pan ze mną zaręczony, czy nie, nie ma pan prawa nadmiernie się spoufalać.

- Nadmiernie nie. Ale zakładam, że jako pani narzeczoney na pewne gesty mogę sobie pozwolić.

- Gesty?

Leżący na otomanie fanfaron pomachał dłonią.

- Pieszczoty, pocałunki i takie różne.

Wcale jej się te „takie różne” nie spodobały. Bo jeśli chodzi o pieszczoty i pocałunki...

Przycisnęła palce do czoła. Nie ma teraz na to czasu. Powinna się martwić o strzyżę, zaraz potem o dostarczenie wełny na targ. A następnie o samą sprzedaż. Jeżeli nie dostaną dobrej ceny, wszystko

będzie stracone.

Nie miała na czym wyładować frustracji, skupiła się więc na rzekomym kapitanie.

- Jeżeli liczy pan na to, że przyniosę mu jedzenie, to czeka pana śmierć głodowa.

Twarz obcego rozjaśniła się w nagłym uśmiechu. Podparł się, podniósł i ze stłumionym tupnięciem opuścił stopy na dywanik.

- Drażliwa z pani kruszyna, prawda?

- Po prostu mam za dużo roboty, by pana obsługiwać.

„Kapitan” wstał i przeciągnął się.

- A w rzeczywistości, moja kochana, jest pani po prostu oporna. - Omiótł ją błyskawicznym spojrzeniem, które zatrzymało się na twarzy. - Ale mimo to smakowita.

Był tak przystojny, że dech jej zapierało.

- Nie próbuję niczego utrudniać. Tylko że pan nie zdaje sobie sprawy z naszego położenia.

- Ach, nie ma pani racji. Pani matka wyjaśniła mi wszystko. Bank czeka tylko, żeby rodzinie Wardów skrócić jej kolektywny kark, jeżeli nie otrzyma ostatniej spłaty za Garrett Park, a przed eskalacją żądań powstrzymuje go wyłącznie nadzieja, że ja, to znaczy zacny kapitan Frakenham, przyłynę z ładunkiem złotych monet.

- Jedna złota moneta mogłaby wystarczyć. Nie trzeba nam aż tak wiele - skłamała Harriet.

- Miło mi to słyszeć - powiedział sucho, najwyraźniej jej nie wierząc. - Pani matka wyjaśniła mi, jak ważne jest, by pan Gower niczego nie zaczął podejrzewać. Tak więc po prostu udawałem, że różne rzeczy pamiętam. Szczerze mówiąc, uważam, że cholernie dobrze się spisałem, zważywszy, jak niewiele miałem materiału, na którym mógłbym się oprzeć. Pani matka niezbyt chętnie i niezbyt otwarcie udzielała przydatnych informacji na temat mojej... przeszłości.

Harriet westchnęła.

- Matka jest dosyć roztargniona i ma mgliste pojęcie o większości spraw.

- Takie odniosłem wrażenie.

- A ja chyba... pewnie powinnam podziękować panu za pana starania.

„Kapitan” uśmiechnął się szelmowsko i uwodzicielsko.

- Niech pani tego nie robi, jeżeli miałyby to pani na coś zaszkodzić.

Do licha. Dlaczego nagle musiał zrobić się taki ujmujący? Woląta, kiedy zachowywał się jak zarozumiały osioł i mogła znaleźć ujście dla swej irytacji.

- Dziękuję panu za poczynione starania, ale czy musiał pan podawać tyle szczegółów? Nazwę statku i portu, w którym cumuje?

Chase wzruszył ramionami. Bystra była ta panna Harriet Ward. Początkowo nie zamierzał podawać żadnych szczegółów, ale pompatyczna pewność siebie Gowera rozdrażniła go.

- Dzięki szczegółom kłamstwo staje się dużo bardziej wiarygodne.

- Wydaje się pan bardzo wiele wiedzieć o kłamstwach jak na człowieka pozbawionego pamięci, z której mógłby zaczerpnąć do nich tematy. Prawdę powiedziawszy, kłamię pan tak dobrze, że mógłby to być talent wrodzony.

- Czyż nie jest tak, że wszyscy ludzie morza snują fantastyczne opowieści?

Oczy Harriet zwięzły się.

- Nie potrafię nic powiedzieć o ludziach morza, bo znam tylko jednego. A i to o jednego za wiele.

Dość tego. Chase był głodny, głowa go paskudnie bolała. Co gorsza, kazanie prawda mu drobna kobietka o wargach tak delikatnych i pełnych, że z trudem powstrzymywał się, by ich natychmiast nie skosztować.

- Nie wydaje się pani traktować mnie z pełnym miłości szacunkiem. Czy kłóciliśmy się tak, zanim uderzono mnie w głowę?

- Nie potrafię przypomnieć sobie czasów, kiedy się nie kłóciliśmy.

- Jakież to przygnębiające.

Wargi Harriet drgnęły, następnie kąciki ich się uniosły i powietrze aż rozdzwoniło się od szczerego rozbawienia. Chase w życiu nie słyszał bardziej zmysłowego śmiechu. Przeszedł go gorący dreszcz i przysiągł sobie, że będzie ten śmiech słyszał częściej.

Powoli zmierzyła go spojrzeniem.

- Czy matka pokazała panu wszystkie ubrania, które pozbiieraliśmy w lesie?

- Tak.

- Czy coś pan rozpoznał?

- Rozpoznał?

- Z pana dobytku.

Chase już otwierał usta, by odpowiedzieć, kiedy olśniło go, że przecież ma nie pamiętać, kim jest.

- Nie. Oczywiście, że niczego nie poznałem. Nie zostało mi też nic wartościowego oprócz samych ubrań. - Zabolęła go ta myśl, bo nagle przypomniał sobie, jak błysnął w słońcu pierścień matki.

Poczuł przygnębienie. Jak ma powiedzieć braciom, że stracił coś, co matka najwyżej ceniła? Może powinien wrócić na tamto feralne miejsce i poszukać pierścienia?

- Czy złodzieje zabrali wszystko, co miało jakąś wartość?

- Tak się zdaje.

Na ustach Harriet pojawił się przelotny uśmiech.

- Proszę tu chwilę zaczekać.

Określiła się na pięcie i wyszła z pokoju, zza drzwi doszedł szelest rozkołysanej spódnicy. Chase słuchał oddalających się korytarzem kroków. Otworzyły się jakieś drzwi; na chwilę zapadła cisza, ale króciutka, bo Harriet zaraz wróciła.

- Nie trwało to długo.

- Miałam go w bibliotece. Prawie o nim zapomniałam.

Z wyciągniętą przed siebie ręką podeszła do otomany, przy której stał Chase.

Chase zerknął w dół i zamarł. Na środku dłoni Harriet leżał pierścień, talizman St. Johnów. Srebrna obrączka lśniła, jakby ją ktoś wypolerował.

Serce uderzyło mu jak młotem, kiedy go poznał. Pierścień matki. Bezpieczny. Nie ośmielił się mieć aż tak wielkiej nadziei. Dzięki Bogu, że nie zginął. Chase wyciągnął rękę po pierścień, ale napotkał znaczące spojrzenie Harriet. Zawahał się.

- Och... Czy to... czyżby nie był mój?

Uniosła brwi, jakby rzuciła mu wyzwanie, żeby się do niego przyznał.

- A jest?

Cholera jasna! Ta kobieta się z nim droczy. Chase opuścił rękę.

- Pomyślałem, że musi być, inaczej nie podawałaby mi go pani w taki sposób.

Palce Harriet zamknęły się na srebrnej obrączce, na ustach igrał lekki uśmiech.

- Znaleźliśmy go w pobliżu miejsca, gdzie został pan ranny. Przypuszczam, że mógł należeć do pana.

- Spoglądała na niego spod rzęs. - Ale z drugiej strony... - Opuściła rękę i wrzuciła pierścień do kieszeni.

Chase bardzo się musiał starać, by nie zmienić obojętnego wyrazu twarzy. Mała kokietka! No cóż, istnieje wiele sposobów, żeby wydostać coś z kobiecej kieszeni. Jeżeli będzie musiał, pozbawi tę pruderyjną panienkę całej garderoby, łącznie z kieszeniami.

Tak, doszedł do wniosku, że w tę grę oboje mogą się bawić. A kto wie? Może nawet oboje wygrają.

Twarz Harriet się zachmurzyła.

- Chyba nie jestem zbyt uprzejma. Pan... naprawdę nam pomógł.

- Nonsens. Cała moja działalność ograniczyła się do tego, że przyszedłem tutaj, pozwoliłem, by ten imbecyl z banku się na mnie pogapił, i powiedziałem tyle, żeby przekonać go, iż naprawdę istnieję i jestem przy zdrowych zmysłach, a potem dopilnowałem, by uświadomił sobie, że pani, jako moja ukochana, jest owocem zakazanym.

- Zakazanym?

- Widziałam, jak na panią patrzył. - Chase uświadomił sobie, że wcale mu się spojrzenie Gowera nie podobało. Śmieszne, wystarczy coś zacząć udawać, by wydało się to całkiem prawdziwe. - Pani matka nie wspominała mi, że bankier panią sobie upodobał.

- Ona nie wie. Prawdę mówiąc, i ja do dziś nie wiedziałam.

Chase zauważył, że usta Harriet wygięły się w podkówkę, i zmarszczył brwi. Sam miał siostrę i na pierwszy plan wysunęła się odruchowa chęć, by panny Ward bronić.

- To musiał być niemiły wstrząs, czy tak?

- Po prostu... niespodziewany. - Zauważyła jego spojrzenie i zarumieniła się. - Ale to w najmniejszym nawet stopniu nie usprawiedliwia pana czynów. Nie było powodu, by zachowywał się pan tak... przyziemnie.

- Lubię przyziemność. - I to była prawda. Uświadomił sobie, że życie w Londynie i bycie St. Johnem

wyrugowało sporo przyziemności z jego życia. - Być może pozwoliłem, by mnie trochę poniosło. Nie pamiętam, jak zachowuje się kapitan statku, do tego jeszcze zaręczony. Musiałem improwizować.

- Pozwolę sobie poinformować pana, że kapitan Frakenham nigdy by z siebie nie zrobił takiego widowiska.

-Nie?

- Nigdy. Jest prawdziwym dżentelmenem.

-On?

- Chciałam powiedzieć: pan. - Harriet się zaczerwieniła.

- Może to uderzenie w głowę osłabiło moje skrupuły.

Harriet nieelegancko parsknęła.

- Jest pan niepoprawny. Czy zdaje pan sobie sprawę, że pan Gower będzie chciał zadać kłam wszystkiemu, co pan mówił? A kiedy odkryje, że to nieprawda...

- To powiem mu, że się pomyliłem. Nie jest sprawą niewyobrażalną, bym mógł coś przekręcić.

- Coś, na pewno. Ale żeby kapitan zapomniał, jak nazywa się jego port i statek?

Miała rację. Chase dotknął bandaża.

- Ale ja dostałem po głowie. I to bardzo mocno.

- To prawda, ale nie możemy pozwolić sobie na to, by obudzić podejrzenia pana Gowera w sprawach, dotyczących kapitana, albo domyśli się, że... - Gwałtownie zacisnęła usta i spiorunowała Chase'a wzrokiem, jakby to on zrobił coś okropnego.

St. John wyprostował się. Niewiele brakowało, a byłaby to powiedziała... naprawdę niewiele. Podszedł bliżej, zastanawiając się, czy nie uda mu się jednak z niej wydusić prawdy.

- Gower domyśli się, że co?

Szczęki Harriet zacisnęły się jeszcze mocniej.

- Że nic.

Do tego stopnia górował wzrostem nad panną Ward, że nie był w stanie zająrzeć jej w oczy. Ujął więc panienkę delikatnie pod brodę i unióś jej twarz.

- Panno Ward, dlaczego ciągle odnoszę takie wrażenie, że ani pani, ani pani matka nie rozmawiacie ze mną szczerze?

Harriet cofnęła się o krok tak, że przestali się dotykać, i opuściła głowę.

- Za takie pana wrażenia winę najprawdopodobniej ponosi guz, którego nabił pan sobie na mózgowicy. Podejrzewam, że nieźle musiał panu zamieszać w głowie.

Chase znowu podszedł o krok bliżej. Harriet cofała się, poruszając się równo z nim, wyraz twarzy miała pełen rezerwy. Zerknęła na drzwi.

- Niech pani nawet o tym nie myśli - odezwał się cicho. - Ucieczką niczego pani nie rozwiąże.

Na jego słowa Harriet przestała się cofać i zamarła w bezruchu z wysoko uniesioną brodą.

- Wardowie nigdy nie uciekają - oświadczyła z wyraźną wyniosłością. - Chociaż gdybym miała zamiar rzucić się do drzwi, nic by pan na to nie zdołał poradzić.

- Nie zdołałbym? - Zbliżył się znowu, przesuwał się tym razem nieco w bok. Harriet w odpowiedzi zrobiła krok w przeciwną stronę... i oparła się plecami o skraj małego stolika. Z jednej strony ruchy jej ograniczał duży fotel, a z drugiej Chase.

- Do licha! - Pełne wargi panny Ward się ściągnęły. - Proszę zejść mi z drogi.

Miała niesłychanie ujmujące oczy - ogromne i pociągająco ukształtowane, a nad nimi delikatne łuki brwi i rzęs.

- Niech mi pani coś powie, panno Ward. Czy ja naprawdę jestem kapitanem Frakenhamem?

Co za baba, nawet jej powieka nie drgnęła.

- Tak. Jest pan. - Harriet pochyliła się do przodu, oczy jej się zwężyły, na twarzy pojawił się wyraz powagi. - I nie może pan temu zaprzeczyć, chyba że...

- Chyba że?

- Chyba że wie pan, że jest pan kim innym. - Tu uniosła brwi. - A może jest pan kimś innym?

I pomyśleć, że mogłaby to być taka świetna zabawa. Zresztą może na swój sposób była. Ona nie wierzyła jemu, kiedy mówił, że nie pamięta, kim jest. On nie wierzył jej, kiedy twierdziła, że jest kapitanem Frakenhamem. Chcąc dowieść pannie Ward, że nie mówi prawdy, musiałby przyznać, że sam oszukuje. Gdyby ona chciała dowieść, że Chase nie mówi prawdy, też musiałaby się przyznać

do oszustwa.

Dylemat najwyższej próby.

Chase oczywiście cholernie dobrze wiedział, kim jest, ale nie mógł tego ujawnić, nie ryzykując, że tym samym wywoła całą lawinę plotek, które zapewne doszłyby do braci i powiadomiły ich o miejscu jego pobytu. To jest niewielka społeczność, pomyślał, przypominając sobie wszystkie opowieści, które krążyły po okolicy i dotyczyły nie istniejącego kapitana Frakenhama. Potrafił sobie wyobrazić, co powiedzieliby na żywego, prawdziwego St. Johna z krwi i kości.

Po prostu nie może pozwolić sobie na takie kuszenie losu. O Harriet Ward naprawdę wiedział tylko jedno: że potrafi bardzo, bardzo dobrze kłamać. Niemal równie dobrze jak on.

- Jeżeli i pani, i pani matka zapewniacie mnie, że jestem kapitanem Frakenhamem, to nim jestem.

Ciało Harriet z lekka się odprężyło. Pokiwała z aprobatą głową.

- Istotnie, jest pan nim.

Chase sam nie wiedział, czy ma większą ochotę roześmiać się, czy potrząsać tą dziewczyną, aż jej zęby zaczną dzwonić. Zuchwała była ta mała sikorka, która ośmieliła się zamknąć w klatce lwa. Niewykluczone... bardzo niewykluczone, że panna Harriet Ward, chociaż taka z pozoru drażliwa, stworzona jest wręcz na partnerkę rozkosznego flirtu.

Potał sobie podbródek, przyglądając jej się bacznie od stóp do głów.

- Hmm.

- Co?

- Ślicznie zaokrąglona kruszyna z pani, czyż nie?

- Niech pan przestanie! - zaczerwieniła się.

- Musi być pani chyba przyzwyczajona do tego, że jej się przyglądam. I do tego, że pani dotykam, również. - Zachęcany przez jakiegoś psotnego diablika przesunął palec przez loczek, który spoczywał na ramieniu Harriet, wymknąwszy się ze zwiniętych w kok włosów.

Panna Ward natychmiast szarpnęła się w tył i miękkie jedwabiste pasemko wymknęło się Chase'owi z palców. Gdyby ten kok rozpuścić, pomyślał, włosy udrapowałyby się jej na ramionach i spłynęły w dół, zaborczo oplatając strzelistą linię pleców. Była taka drobna, nie miała na sobie ani uncji pulchności, poza uwodzicielską krzywizną piersi i bioder.

Przyglądał się przez chwilę jej piersiom. Były niewielkie, ale pięknie zaokrąglone. Pasowałyby do jego dłoni. Na tę myśl palce same się zakrzywiły, a wyobraźnia natychmiast podsunęła obraz Harriet nagiej i uległej, leżącej pod nim...

Panna Ward wzięła się pod boki.

- Niech pan posłucha, panie...

- Kapitanie - poprawił ją miękko, przemógł się i spojrzał jej w oczy.

Policzki Harriet zabarwiły się jaskrawą czerwienią, oczy miotają błyskawice.

- Czymkolwiek pan jest.

- Czy nie chciała pani powiedzieć „kimkolwiek”?

- Nie - odparła stanowczo. - Czymkolwiek pan jest, zachowuje się pan jak grubianin, przypatrując mi się, jakbym była krową, nad której kupnem się pan zastanawia.

- Staralem się sobie panią przypomnieć. Nie daje mi spokoju myśl, że musi istnieć coś - tu z rozmysłem zerknął na jej piersi - co pomogłoby pobudzić moją pamięć.

Harriet skrzyżowała ręce na piersiach.

- Mogę pana zapewnić, że nigdy nie oglądał pan aż tak dokładnie mojej osoby.

- Nigdy?

- Nigdy.

- Hm. - Chase przez chwilę udawał, że z powagą rozważa jej słowa. - Jest pani pewna, że my nigdy...

- Nigdy!

„Kapitan” wydał wargi i utkwiał wzrok w przeciwległej ścianie, jakby się głęboko nad czymś zastanawiał. Broda Harriet uniosła się jeszcze odrobinę wyżej.

- Niech pan posłucha, panie...

- Kapitanie.

Harriet przytknęła na moment oczy, szczęki jej chodziły.

- Kapitanie - udało jej się wycedzić. - Pan i ja byliśmy zaręczeni, ale... ale nic więcej.

Chase westchnął, jakby do głębi rozczarowany.

- Rozumiem.

- Sądzę, że powiedzieliśmy już dość na ten temat. Panie... kapitanie, jeżeli wybaczy pan, to muszę się pewnymi sprawami zająć. Proszę się tu rozgościć. Matka powinna niedługo wrócić.

Chase nie miał ochoty się ruszyć, ale rozumiał, że Harriet nie żartuje. Zdecydowany błysk w jej oczach świadczył, że doszła do kresu swojej wytrzymałości.

Ustał „narzeczony” z drogi. Panna Harriet Ward skinęła na to niemal niedostrzegalnie głową i majestatycznie wyszła z pokoju.

St. John z trudem opanował rozbawienie. Z pozoru niepozorna, chuda dziewczynina, a w rzeczywistości istny wulkan ognisty. Zastanawiał się, jak te namiętności, które z trudem utrzymywała w ryzach, przełożyłyby się na scenę łóżkową. Wyobrażnia nie chciała dać mu spokoju, prowokując obrazami tego, co mogłoby być, co mogłoby się stać.

I w tym momencie coś w jego umyśle zaskoczyło. Chyba musiała czuć nad nim jakąś dobrą gwiazda. Zbierał się, by wyjechać z kraju, porzucając wszystko, co było mu drogie. A, zamiast wyjechać, znalazł się w Garrett Park, przyjął narzuconą mu rolę beztroskiego kapitana i oto wyklóca się z cudownie logiczną niewiastą o własną tożsamość.

Może nie było mu jeszcze pisane wyjechać z Anglii. Dopóki nikt w tej społeczności nie dowie się, że jest St. Johnem, bracia sami nigdy na to nie wpadną. Na myśl o braciach gardło mu się ścisnęło - przecież musi wyjechać. Musi oszczędzić im skandalu, jaki wywołał własnym postępowaniem.

Ulotniło się całe jego wcześniejsze rozbawienie. Zatrzyma się tu na tyle długo, by pomóc Wardom i przekonać bank, że naprawdę jest kapitanem Frakenhamem, a potem ruszy w drogę.

W końcu tych kilka dni nie zrobi chyba żadnej różnicy?

## 11

*Wydało mi się raz kiedyś, że jestem zakochany. Okazało się, że powodem była niestrawna baranina. Na nieszczęście, zanim zdołałem ustalić prawdziwą przyczynę moich dolegliwości, miałem już żonę, łóżko, wikt i opierunek, a przed sobą dziesięć najgorszych lat życia.*

Kamerdyner Ledbetter do swego chlebobawcy, hrabiego Greyley, pomagając temu roslemu osobnikowi założyć nowy surdut

Harriet oddała się do swego pokoju. Mieścił się on na piętrze i był sympatycznie, choć dosyć skromnie umeblowany; stało w nim łóżko, stare, ale całkiem wygodne, toaletka i umywalnia, spłowiałe od wielokrotnego pastowania, szafa nie od kompletu. Ale dywan był gruby i ciepły, a zasłony na oknach nowe. Dostała je niedawno na Gwiazdkę w prezencie od Ofelii i Sophii.

Wszystko to działało na nią zwykle uspokajająco. Ale tym razem serce tak tłukło się jej w piersiach, że, przeszedłszy przez pokój, od razu rzuciła się na łóżko i rozciągnęła jak długa na kapie.

W życiu nie natknęła się na bardziej irytującego, apodyktycznego i aroganckiego mężczyznę niż kapitan Frakenham - czy jak się on tam naprawdę nazywał. Musiała jednak przyznać, że jest również znakomitym aktorem. Wszedł w rolę kapitana ze zdumiewającą swobodą. Niemal radośnie.

Och, w niektórych momentach przesadzał. Trochę tak jak i mogłaby to robić Sophia. Ale w sumie był całkiem wiarygodny. I Harriet westchnęła, podłożyła sobie ręce pod głowę i zapatrzyła się na sufit. Obcy mógł nie być kapitanem Frakenhamem, ale niewątpliwie na niego wyglądał. Wysoki, czarnowłosy, szeroki w barach... nie wiedzieć czemu właśnie tak sobie tego fikcyjnego kapitana wyobrażała. Przed oczami stanęła jej scena, kiedy „kapitan”, leżąc na otomanie, swoją osobowością przyćmił cały salon.

Takie to było zagmatwane! Nie wiedziała, kim jest, ale na pewno dobrze się urodził. Akcent miał nieskazitelny, a ubranie uszyte przez krawieckiego mistrza. Swoim zachowaniem nakazywał wprost posłuch, jakby przyzwyczajony był, że ludzie spełniają jego najdrobniejsze kaprysy czy zachcianki. To poczucie władczości spowijało go niczym szata.

A niech to, kim jest ten człowiek? Musi się gdzieś znaleźć jakaś wskazówka. Harriet sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła pierścień.

Przez moment wydawało jej się, że kapitan go poznaje. W jego oczach rozpałił się charakterystyczny błysk. Ale może była to tylko podświadoma reakcja? A może naprawdę poznał, że pierścień jest jego własnością, tylko się do niego nie przyznał?

Gładziła palcami gładką, posrebrzaną powierzchnię i, przymrużywszy oczy, oglądała ozdobne runy,

wygrawerowane na skraju obrączki. Jakiś jej się wydawał dziwaczny ten pierścień, wcale nie przypominał kosztownej błyskotki, której by się u takiego jak „kapitan” człowieka spodziewała.

Czy nieznajomy naprawdę nie wie, kim jest? A może to tylko sceptyczna wyobraźnia nie pozwala Harriet rozumować jak zwykle, spokojnie i logicznie?

Westchnęła. Wiedziała na pewno tylko jedno: jej rodzina rozpaczliwie potrzebuje tego, by przynajmniej przez jakiś jeszcze czas odgrywał rolę kapitana Frakenhama.

Wsunęła pierścień na palec, obrączka wydała jej się dziwnie ciepła. Coś ją poślaskotało, jakby ktoś przesunął piórkiem po dłoni, od pierścienia zaczynając, a kończąc na nadgarstku, gdzie równo i rytmicznie tętnił puls. Jakie to dziwne.

Padające od okna światło zamigotało na obrączce i Harriet przyłapała się na tym, że się uśmiecha. Chociaż taki skromny, pierścień był naprawdę ładny.

No cóż, na pewno ślicznie będzie się prezentował, kiedy zamknie go na kluczyk w swojej szkatułce na biżuterię. Nie miała zamiaru zostawiać tej błyskotki na zewnątrz: mogłaby zniknąć, zwłaszcza gdyby „kapitan” nagle odzyskał pamięć i doszedł do wniosku, że jednak należy do niego.

Wydeła z namysłem wargi. Nie potrafiła się tak do końca zdecydować, czy ten człowiek wie, kim jest, czy nie wie. Bywały chwile, kiedy nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości, ale były i takie, kiedy wydawał się nieco... zagubiony. Samotny. Może naprawdę stracił pamięć. Bo dlaczego miałby inaczej zgodzić się na odgrywanie roli kapitana? Prawdziwa zagadka.

Potała kciukiem pierścień i przekręciła dłoń tak, że zaczął się skrzyć. Pewnie powinna odszukać matkę i wspólnie z nią zastanowić się, co zrobić z nieznajomym, którego Gower uważał teraz za kapitana Frakenhama. Kapitan potrzebny jest im tylko na jeden... powiedzmy, na dwa tygodnie. Z pewnością nieznajomemu uda się odgrywać swoją rolę przez taki okres.

Harriet uznała, że lepiej będzie zdjąć pierścień. Pociągnęła za obrączkę... i nic. Pierścień nawet nie drgnął.

Pociągnęła mocniej. I znowu nic.

Westchnęła, podparła się, odgarnęła sobie włosy z twarzy. Po prostu cudownie. Wyciągnęła rękę, chwyciła pierścień i szarpnęła - tak mocno, że aż się skrzywiła. Przez sekundę wydawało jej się, że zaczyna się ześlizgiwać, ale kiedy tylko drgnął, obrączka się chyba zacisnęła i uczepliła jej palca, jakby za wszelką cenę pragnęła się na nim utrzymać.

- Do licha! - prychnęła Harriet, czując drobne igielki paniki. Podniosła się, podeszła do umywalni, natarła palec mydłem i znowu zaczęła ciągnąć.

I nic. Przez pół godziny ciągnęła, obracała i szarpała, mamrocząc przy tym pod nosem, aż wreszcie uświadomiła sobie, że nie poradzi: zatracony pierścień utknął. Przysiadła znowu na skraju łóżka i wpatrywała się w zaczerwieniony palec. Pierścień wcale nie wydawał się za ciasny. Mogła go z łatwością na palcu obrócić. Ale za każdym razem, kiedy próbowała go ściągnąć, wydawał się kurczyć, jakby... Zacisnęła palce w pięść.

- Nonsens - oświadczyła na głos, jakby chciała przekonać kogoś, kto mógłby się przysłuchiwać. - Musiał mi trochę spuchnąć palec. Nic więcej.

Troszkę ją te słowa pocieszyły. To przynajmniej miało sens. Nie zdołała się jednak powstrzymać: zapatrzyła się w przyciągające światło runy i zaczęła zastanawiać się nad tym, jak ostatnio toczyło się jej życie. Najpierw znalazła tego nieznajomego, który, nie zwlekając, pocałował ją, zaraz potem oświadczył jej się niespodziewanie Gower, potem okazało się, że „kapitan” ma niesłychanie irytujące nastawienie... a teraz to. Była skazana na noszenie dziwnego pierścienia na palcu.

Pierścienia, który mógł należeć do tego denerwującego drania.

Na tę myśl pierścień jakby się rozgrzał. Harriet bacznie mu się przyjrzała.

- Dość już tego.

Wstała. Niewykluczone, że kucharka będzie wiedziała, jak to diabelstwo zdjąć. Jeżeli szczęście jej dopisze, pomoc może odrobina masła.

Mamrocząc coś pod nosem, Harriet skierowała się do kuchni, zastanawiając się po drodze, gdzie podziewają się jej bracia i siostry - w domu panowała dziwna cisza. Ale jak tylko zdejmie ten głupi pierścień z palca, zobaczy, co wszyscy robią.

Pchnęła drzwi do kuchni. Ciepłe popołudniowe światło wlewało się strumieniami przez otwarte okna i mieszało się z zapachem suszonych ziół.

- Tu pani jest, panienko! - Kucharka stała zapracowana przy wielkim drewnianym stole na środku

pomieszczenia, czerwony fartuch miała obficie opryszony mąką. - Właściem o paniencie myślała, właśnie tak.

- Naprawdę? - Uwagę Harriet zwrócił wspaniały zapach. - Co tak pachnie?

Kucharka szeroko się uśmiechnęła i pokazała głową na pół tuzina parujących garnków.

- To tylko kolacja.

Harriet przeliczyła garnki. Siedem. Wczoraj wieczorem dostali gulasz barani i groszek, i po kawałku chrupiącego chleba, specjalności kucharki.

Ale to... wyglądało na przygotowania do uczy. Harriet podeszła do pieca, świadoma, że kucharka zerka na nią spod oka.

Podnosiła pokrywki jedna po drugiej. Całą kuchnię wypełnił bogaty aromat, od którego aż ślinka napłynęła jej do ust.

- Pulpety, pieczony comber barani z sosem miętowym, jaja siewki w galarecie, groszek i szparagi... dobry Boże! Chyba nie jest znowu Boże Narodzenie, prawda?

Kucharka z zachwytem zachichotała i znacząco spojrzała na Harriet.

- Niech się panienka ze mną nie droczy! Wie panienka, co to za dzień. A przynajmniej jaki dzień jest coraz bliżej! I wcale nie Boże Narodzenie. Nie teraz, kiedy z każdym dniem robi się coraz cieplej.

Harriet przykryła ostatni garnek. Brzęknięcie pokrywki miło wkomponowało się w bulgotanie pulpetów.

- Wiem, o co chodzi. Do miasteczka przyjechał nowy proboszcz i matka zaprosiła go na kolację.

Na wargach kucharki pojawił się przebiegły uśmiech.

- Będzie musiała panienka spytać o to panią. Mnie kazali przygotować wystawną kolację, no to ją przygotowuję. Powinna być panienka zadowolona, jak nie wiem co, panienko Harriet.

- Powinnam być? A z czego to mam być taka zadowolona? Och. Rozumiem. Kapitan.

A niech to, nie pomyślała o fakcie, że służba, której nikt nie poinformował, że kapitan jest tylko wytworem wspólnej wyobraźni Wardów - wyłącznie zresztą dlatego, że rodzina podejrzewała, iż mogą wypaplać prawdę - uwierzy w farsę, w której matka przez cały czas wszystkich utwierdzała.

- Oczywiście, że kapitan! - wykrzyknęła kucharka i popatrzyła rozpromieniona na Harriet. - Dla kogo miałabym gotować dobrą baraninę, jak nie dla panienki wybranka? Muszę powiedzieć, że przystojny z niego pan. Chociaż trochę się czuję dotknięta, że mi panienka od razu nie powiedziała, kim on jest. Szczęki Harriet się zacisnęły.

- Och, tak... ja... nie chciałam psuć mamie niespodzianki.

Kucharka radośnie westchnęła.

- Tyle słyszałam o kapitanie, że wyjść z podziwu nie mogę, że go zobaczyłam na własne oczy.

- To samo ja sobie pomyślałam - wymamrotała Harriet. - A gdzie podziewa się teraz zacny kapitan?

- Jest w swoim pokoju. Pani uznała, że powinien się na trochę położyć. Muszę przyznać, że to chyba był dobry pomysł, bo po spotkaniu z bankierem wyglądał trochę nie w sosie.

Wytarła ręce o fartuch.

- No. Wszystko gotowe. Jak panienka myśli, czy kapitan miałby ochotę na trochę wiśniowej galaretki do kolacji? Odstawiłam słoiczek czy dwa na specjalne okazje, a już bardziej specjalnej być nie może.

Harriet udało się blado uśmiechnąć.

- Nie wiem, co on lubi. Poproszę mamę, by go zapytała.

- Lepiej niech się panienka sama zawczasu zacznie dowiadywać. To panienka za niego wychodzi - poradziła wesoło kucharka, wyskrobując ciasto z miski i wyrabiając je tak, jakby od tego jej życie zależało. - Mam nadzieję, że panienki młody człowiek lubi tartoletki cytrynowe. Świeżutki i chrupiące będą, dokładnie takie jak wam smakują.

- Mnie one smakują niezależnie od okazji - odpowiedziała szczerze Harriet. Nawet jeżeli zostaną upieczone na cześć kapitana. - Wydawało mi się, że oszczędzamy cytryny na zebranie komitetu pomocniczego koła robótek ręcznych.

- I tak było. Ale pani powiedziała, żeby je wziąć i użyć na dziś, więc się stosuję. Zawsze robię to, co mi się każe.

Bezczelne kłamstwo. Harriet nie zliczyłaby, ile razy prosiła kucharkę, żeby nie dawała Stephenowi aż tylu ciastek między posiłkami, a jej prośba była czynnie lekceważona przez wszystkich zainteresowanych.

Najbardziej zmartwił ją jednak fakt, że matka w ogóle poprosiła o tartoletki. To nie był dobry znak. Wcale.

- Gdzie jest matka?

- W bibliotece, pewnie pracuje nad rachunkami. A przynajmniej mówiła, że tym się zamierza zająć. Harriet kiwnęła głową i ruszyła do drzwi.

- Dziękuję.

Była w pół drogi do biblioteki, kiedy przypomniała sobie o pierścieniu. Zerknęła na niego i zachmurzyła się, potem mocno szarpnęła za obrączkę. Zatracona błyskotka nadal ani drgnęła. Będzie musiała z tym poczekać aż do ukończenia rozmowy z matką.

Pchnęła drzwi do biblioteki.

- Mamo, chciałabym... - Urwała. W bibliotece była nie tylko jej matka, ale i cała reszta rodziny Wardów.

Pani Ward, która siedziała przy dębowej sekretarce i spokojnie pisała jakiś list, podniosła oczy.

- Tu jesteś! Akurat zamierzałam posłać Derricka po ciebie. Mamy naradę w sprawie kapitana.

- Cieszę się, że sama tu trafiłaś - wtrącił Derrick. Otworzył książkę, którą trzymał w rękach, i wcisnął się głębiej w duży, miękki fotel, rozsiadając się na nim jeszcze wygodniej. - Niewiele mi już zostało do końca i nie chciałem sobie przerywać.

- Och, Harriet! Mama właśnie powiedziała nam o kapitanie! - Sophia okręciła się z podniecenia, spódnica rozpostarła jej się szeroko wokół kostek. - Cudownie się stało, po prostu lepiej już być nie mogło! Zupełnie jakby anioł nam go zesłał. A teraz mama mówi, że mamy zachowywać się tak, jakby to była jakaś sztuka!

Harriet popatrzyła na matkę.

- Sztuka?

- W istocie - przytaknęła spokojnie matka, zanurzając pióro w kałamarzu. - Przynajmniej na tydzień albo coś koło tego musimy przekonać wszystkich, że nieznajomy jest naprawdę kapitanem Frakenhamem. Zwłaszcza służbę. Jej najstarsza córka przycisnęła dłoń do skroni.

- Z pewnością nie ma konieczności, by posuwać się aż tak daleko. Dopóki Gower wierzy, że on jest kapitanem...

- Harriet - zwróciła się do niej matka z łagodnym wyrzutem w głosie - sama wiesz, jak sprawy ostatnim razem wymknęły się spod kontroli. Ja tylko wspomniałam, że masz narzeczonego, i zanim się zdążyłam obejrzeć, już ludzie żądali, bym podawała im szczegóły, które nierozważnie i bezzwłocznie wymyślałam.

Harriet westchnęła.

- Wiem.

- Sądziłam, że moja opowieść nie opuści murów banku, nie zrobiłam więc niczego, by sprawdzić, jaką postać przybrała plotka, która wyszła przeciw ode mnie. Tym razem wkroczymy w sprawę w bardziej przemyślany sposób i w odpowiedniej chwili.

- Co mama ma na myśli?

- Dotychczas bardzo niewiele było wiadomo o kapitanie, więc ludzie zaczęli sami wymyślać rozmaite historie. Ale tym razem chwycimy mocno całą tę pocztę pantoflową za rogi.

Stephen przytaknął. Stał oparty o gzyms kominka, niepotrzebne chwilowo kule oparł o ścianę.

- Matka ma rację, Harri. Gower popędzi do banku i wszystko im opowie. Ani się obejrzysz, jak rozpęta się tu istne piekło. Ludzie będą przybywali tabunami, zadawali setki głupich pytań i próbowali chociaż zerknąć na kapitana.

Ofelia klapnęła na skórzaną kanapę, stojącą trochę na uboczu.

- To będzie całkiem tak samo jak wtedy, kiedy pan Wilkers powiedział wszystkim, że urodziły mu się bliźniacze cieleta z jednej krowy. Nawet stara pani Crumpleton poszła je zobaczyć, a ona od dwóch lat nie wychodziła z domu, bo twierdziła, że tak jej dokuczają kolana.

Harriet już otwierała usta, żeby zaprotestować, ale zamknęła je znowu bez słowa. Z ciężkim sercem uświadomiła sobie, że rodzina ma rację. Nie trzeba będzie długo czekać, a w drzwiach zrobi się gęsto od ludzi. Każdy z nich przyjdzie w jakiejś pozornie niewinnej sprawie, ale naprawdę pożądać będą bodaj przelotnego widoku kapitana.

- Dobry Boże.

- Wiem - pokiwał głową Stephen. - Ja również nie jestem tym zachwycony. Ale przemyślałem całą

sprawę i nie mamy wyboru.

- Musi istnieć jakiś inny sposób - protestowała Harriet. - Mnie się ten plan po prostu nie podoba.

Sophia zamrugła oczami.

- Dlaczego? Mnie się on wydaje doskonały. A ty otrzymałaś najlepszą rolę! Zakochanej narzeczonej.

- Nie życzę sobie być zakochaną narzeczoną.

- Widzi mama! - Sophia z zapalem spojrzała na matkę. - Mówiłam mamie, że Harriet się na to nie zgodzi! Czy nie moglibyśmy wszystkim powiedzieć, że kapitan przez cały czas był naprawdę zaręczony ze mną i że to mnie w rzeczywistości...

- Nie - przerwała stanowczo matka i spojrzała na Sophię surowo. - Powiedziałam ci już, że to by nie zdało egzaminu. Musimy trzymać się jednej i tej samej wersji.

Sophia pociągnęła nosem.

- Och, bardzo dobrze, chociaż wątpię, czy Harri sobie z tym poradzi. Okropnie jest sztywna na scenie. Pamiętajcie, jak prosiłiśmy ją w zeszłym roku, żeby zagrała Falstaffa? To przecież cudowna rola, a ona położyła ją zupełnie. Co się odezwała, to było gorzej. Nikt się ani trochę nie śmiał.

- Harriet to w porównaniu z tobą pestka - prychnął Stephen. - Pamiętajsz, jak w zeszłą Wielkanoc spaskudziłaś rolę lady Ofelii? To dopiero była tragedia.

Harriet odchrząknęła zniecierpliwiona.

- Wszystko to nie ma teraz znaczenia! Jaki jest plan?

- Prosty - powiedziała matka. - Przedstawimy na nowo kilka bezspornych faktów.

- Takich jak?

- Kapitan przyjechał tu, by się z tobą zobaczyć. Dysponuje tylko niewielką ilością czasu... może dwoma tygodniami, może i tym nie. Wyjedzie, jak tylko jego statek zostanie przygotowany do drogi.

-I?

Matka uniosła brwi.

- To więcej niż dosyć.

- A co z informacjami, których kapitan dziś udzielił Gowerowi w saloniku? Że jego statek nazywa się... och, już nie pamiętam jak, i że stoi w doku naprawczym w Whitby? Czy o tym również powinniśmy wspomnieć? I jeszcze o tym, że został ranny podczas bitwy z piratami?

I Sophia, i Ofelia aż cicho krzyknęły.

- Kapitan jest taki odważny - szepnęła Sophia. Dłonie Harriet zwinęły się same z siebie w pięści.

- On sobie to wymyślił!

Ofelia kiwnęła głową.

- Taki jest dzielny, że gotów nawet żyć w zakłamaniu, by nam wszystkim pomóc. Chociaż... może jemu naprawdę coś się przypomina, tylko nie jest jeszcze tego świadom. Może kapitan naprawdę jest kapitanem...

- Na miłość boską... on nie jest prawdziwy! - wybuchnęła Harriet. - Nie istnieje żaden kapitan Frakenham, żaden statek i żadni piraci!

Po tym wybuchu zapadło na chwilę milczenie.

- Doprawdy, Harriet - odezwała się wreszcie Sophia, przyglądając się siostrze, jakby jej wyrosła nagle trzecia głowa - nie ma powodu, byś była aż tak rozdrażniona.

- To prawda - poparł ją Stephen. Już od jakiegoś czasu próbował przybierać pozy pana domu, a ostatnio ten irytujący nawyk coraz bardziej wchodził mu w krew. - Sądzę, że winna jesteś Ofelii przeprosiny.

Harriet głęboko odetchnęła przez nos.

- Przepraszam, że podniosłam głos, ale chyba żadne z was nie zdaje sobie sprawy, że znaleźliśmy się w poważnej sytuacji. Jeżeli prawda wyjdzie na jaw, bank nie będzie zwlekał z żądaniem pieniędzy, a my ich nie mamy. A co zrobimy, jeżeli ten nieznajomy przypomni sobie, kim jest?

Matka posypała list piaskiem, żeby wysuszyć atrament.

- Będziemy się tym problemem zajmowali, kiedy przed nami stanie, jeżeli w ogóle stanie. Pamiętajcie o pani Billingsworth. Nigdy sobie nie przypomniała, kim jest. Szkoda, że umarła.

- Och, czy to nie byłoby cudowne! - wykrzyknęła Sophia rozmarzonym tonem.

- Co byłoby takie cudowne? - zapytał Derrick, podnosząc oczy znad książki i marszcząc brwi. - Gdyby ten nieszczęśnik umarł?

- Nie, gdyby nigdy sobie nie przypomniał, kim jest. Wtedy mógłby do końca życia zostać

Frakenhamem i ożenić się z Harri!

Pięć par oczu zwróciło się na Harriet. Harriet się zarumieniła.

- Pierwej mi tu kaktus wyrośnie!

- Harriet! - Matka, składając list i chowając go do koperty, zmarszczyła brwi.

- Przepraszam. Tylko że wszyscy stoicie na skraju przepaści i z okrzykiem radości chcecie do niej wskoczyć. Chyba nie rozumiecie, jak łatwo cała sprawa może obrócić się przeciw nam.

- Jak to? - zapytał Stephen. - Co by się mogło stać w najgorszym przypadku?

- A jeżeli ten obcy przypomni sobie, kim jest? Co wtedy zrobimy?

Ofelia poprawiła okulary na nosie.

- Będziemy po prostu musieli pilnować, żeby nigdy nie zostawał sam, żeby zawsze był przy nim ktoś z nas, kto zdoła zażegnać niebezpieczeństwo.

- Dobry pomysł - potwierdził Stephen. - A jeżeli przypomni sobie, kim jest, to po prostu wyjedzie.

- Tak przynajmniej ja bym postąpił - podsumował Derrick, wracając do książki. - Przedtem wypowiedziałbym pewnie kilka starannie dobranych słów, ale nic więcej.

- No właśnie - zgodził się Stephen. - Ale zanim do tego dojdzie, obecność kapitana spowoduje, że bank wstrzyma się od żądania natychmiastowej spłaty, a nam uda się ukończyć strzyżę.

Matka napisała coś na kopercie.

- Proszę, Sophio. Bądź tak dobra i przekaż to lady Cabot-Wells z moimi najserdeczniejszymi pozdrowieniami. Tylko żebyś mi wróciła do domu przed piątą.

Sophia obejrzała się przez ramię na Derricka.

- Idziesz ze mną?

Brat podniósł oczy znad książki, ale nadal wałkoniał się na fotelu.

- Dokąd?

- Zobaczyć się z lady Cabot-Wells.

Derrick się skrzywił.

- Kiedy ją widziałem ostatnim razem, zwracała się do mnie „Donaldzie” i pytała, jak się ma mój kot.

- To stara kobieta, Derricku - upomniał brata Stephen, chmurnie na niego spoglądając. - Do mnie też przez ostatnie dziesięć lat nie udało jej się ani razu zwrócić poprawnie po imieniu.

- Nie lubię jej i nie zamierzam się z nią spotykać.

Brwi Stephena ściągnęły się jeszcze mocniej.

- Nic ci się nie stanie, jak dźwigniesz tę swoją du...

- Stephen! - fuknęła matka.

- Przepraszam. Tylko że do szału doprowadza mnie widok ślimaczącego się wałkonia, a gorszego od Derricka trudno byłoby znaleźć.

- Wcale że nie! - Derrick z poczerwieniałą twarzą starał się wyprostować w fotelu. - Pracowałem przez całe rano i większość popołudnia w stodole, a ty potrafisz tylko mówić, że...

- Wydaje mi się - wtrąciła stanowczo Harriet - że Sophia nie powinna wałęsać się po okolicy bez opieki. Tak więc jeden z was będzie musiał jej towarzyszyć.

Derrick osunął się niżej na fotelu i znowu zakrył sobie twarz książką.

Stephen przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem westchnął z irytacją.

- Och, w porządku! Ja pójdę. - Podniósł oparte o ścianę kule, a potem, utykając, podszedł do siostry.

Harriet przyglądała się, jak matka podaje Sophii liścik.

- Co to jest?

- Zaproszenie na kolację. Sądzę, że lady Cabot-Wells powinna poznać kapitana jako pierwsza.

- Na dziś wieczór?

- Nie, pomyślałam, że ten wieczór zarezerwujemy tylko dla nas i dla kapitana. Musimy się upewnić, że kapitan uwierzył, iż jest tym, kim powiedzieliśmy mu, że jest. Zaprosiłam lady Cabot-Wells, by przyłączyła się do nas na kolację kiedyś w przyszłym tygodniu.

- Ależ to największa plotkara na świecie!

Matka się uśmiechnęła.

- I właśnie dlatego ją zaprosiłam. Pomyślałam, że powinniśmy zacząć od samej góry, a dopiero potem schodzić w dół.

Sophia pomknęła do drzwi, Stephen pokuśtykał za nią.

- Wrócimy niedługo, proszę mamy. - Sophia pomachała paluszkami na do widzenia.

Stephen zawahał się w progu z pełnym namysłu wyrazem. twarzy.

- Wiesz, Harriet, jeżeli dobrze to rozegramy, to twój bezcenny kapitan przyda nam się nie tylko po to, by trzymać bank z daleka od Garrett Park.

- Co masz na myśli?

- No... jeżeli nie jest zbyt ciężko ranny, będzie mógł pomóc przy strzyży. Od początku do końca.

Spojrzenia ich się spotkały. Dobry Boże, co za wspaniałe pomysły, pomyślała Harriet zdumiona. Niełatwo znaleźć pracowników, na których można polegać, zwłaszcza że tydzień strzyży jest tuż-tuż, więc sytuacja powoli robiła się rozpaczliwa.

Kąciki jej ust uniosły się lekko, uśmiech robił się coraz szerszy, aż wreszcie rozpromieniła się tak samo jak Stephen. To był pierwszy dobry pomysł, jaki tego dnia usłyszała. Para pomocnych rąk zrobi ogromną różnicę.

- Wystarczy go przekonać - ciągnął Stephen - że kapitan by się tym zajął, a ponieważ on jest kapitanem...

Harriet przytaknęła, zrobiło jej się nieco lżej na sercu.

- Chodź, Stephen - zawołała Sophia. - Chcę przebrać się przed kolacją i zrobić sobie fryzurę, a nie starczy nam czasu jak będziemy marudzili.

Stephen westchnął.

- W porządku. Już idę. - Raz jeszcze spojrzał znacząco na Harriet i wyszedł za Sophią.

Matka się rozpromieniła.

- Widzicie, jak dobrze się już wszystko układa? Nie tylko znaleźliśmy kapitana Frakenhama, ale i pomocnika do strzyży. To więcej niż się spodziewałam... to zakrawa na cud. - Uśmiechnęła się do swoich dzieci. - Niekiedy modlitwa naprawdę zostaje wysłuchana!

Harriet wcale nie była pewna, czy wolałaby nazywać ciemnowłosego nieznajomego cudem, czy kapitanem Frakenhamem. Najpewniej ani jednym, ani drugim, ale nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia. Jakoś będzie musiała sobie poradzić, ścierpieć jego obrzydliwe, pyszałkowane zachowanie i udawać, że jest z tym impertynentem zaręczona. Ale tylko w miejscach publicznych.

Tymczasem będzie się pocieszała sugestią brata. Jeżeli uda im się ze Stephenem tak wszystko zaaranżować, by obcy pomógł przy strzyżeniu, to może z tego całego zamieszania wyniknie jednak coś dobrego.

## 12

*Szlag by to najjaśniejszy trafił, widzę lady Tatswell. Musiała na śmierć zanudzić jakiegoś nieszczęsnego epuzera i oto przygotowuje się, by wyruszyć z nową niszczycielską misją. Ona... dobry Boże, tylko nie to! Zmierza w naszą stronę! Gdzie się możemy schować?*

Hrabia Greyley do swojej żony, Anny, na wieczorku u Comptonów

Chase'owi została do obiadu tylko godzina. Wychylił ostatni haust brandy. Przymknął oczy, czując, jak trunek spływa rozgrzewającą strużką po gardle do żołądka. Głowa wciąż go bolała, ale z każdym tykiem ból ustępował.

Dzięki Bogu, że trafił wcześniej w bibliotecę na tę karafkę z brandy, bo wcale by tego wieczoru nie zasnął. W Londynie nigdy już nie zasypiał bez pomocy sporej dawki alkoholu. Przynajmniej od czasu...

Powieki mu opadły, serce się boleśnie ścisnęło. *Nie. Nie myśl o tym. Nigdy o tym nie myśl.*

Stopniowo poczucie napięcia i desperacji zelżało. Za plecami Chase'a cicho rozdzwonił się zegar. Ręka młodego człowieka lekko drżała, kiedy nalewał sobie następny kieliszek. Ostatni raz pił w dzień, kiedy go obrabowano. Podniósł trunek do ust i zawahał się. Prawdopodobnie u podstaw całej awantury leżał właśnie fakt, że był pijany. Złodzieje musieli uznać go za łatwą ofiarę, podobnie jak wcześniej Annesley.

Chase odstawił kieliszek z powrotem na tacę, w umyśle mu się nagle rozjaśniło. Nigdy już nie stanie się łatwą ofiarą.

Ale na razie dobrze zrobi, jeżeli skończy się przebierać do kolacji. Nie miał większych wątpliwości, że - skoro rezyduje w domostwie pełnym hodowców owiec - posiłek podany zostanie o przynębiająco wczesnej porze.

Westchnął, odwrócił się. Spojrzał w lustro i wzrok jego przyciągnęło odbicie krawata. A raczej

czegoś, co miało pełnić rolę krawata. Większość z jego ubrań udało się ocalić, ale nie doszczętnie zablocone i podarte krawaty, poza dwoma, które były teraz w praniu. Nie miał wyjścia, musiał przyjąć groteskowo wiotki krawat od swoich gospodarzy.

Usiłował go jeszcze raz poprawić, ale zaraz zaprzestał tej działalności i potrząsnął z niesmakiem głową. Nie dość że krawat był wiotki, to jeszcze cholernie trudno ułożyć go, nie mając przyzwoitej spinki.

Przypomniawszy sobie wielką kolekcję swoich spinek - złotych, diamentowych, rubinowych, szafirowych - i westchnął. Przepadły, co do jednej. Trudno mu było to znieść, ale gdyby utracił pierścień matki, byłoby bez porównania trudniej.

Na myśl o pierścieniu i o kieszeni, w której on teraz spoczywał, zęby same zaczęły mu zgrzytać.

Niech to diabli, odzyska pierścień, nawet gdyby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobi. Jeszcze trochę i panna Harriet Ward spotka się twarzą w twarz ze słynną determinacją St. Johnów, obojętne czy będzie na to przygotowana czy nie. Na tę myśl nieco mu ulżyło na duszy i spojrzawszy znowu na swoje odbicie w lustrze.

Bandaż Chase'owi przeszkadzał, więc zdjął go przed półgodziną. Na czole rozlewał mu się olbrzymi, wielobarwny siniec. Był wciąż ciemny i paskudnie granatowoczarny na środku, ale po bokach zaczynał blednąć, przechodząc przez bardziej przytłumione odcienie fioleto i czerwieni do przepięknie żółtej otoczki.

- Prawdziwa ze mnie tęcza - mruknął do siebie ze smętnym uśmiechem St. John.

Przyłapał się na tym, że zerka znowu na karafkę, ale nie postąpił w jej kierunku ani kroku. Zamiast tego wyobraził sobie pannę Harriet Ward, która z pełnym dezaprobaty wyrazem w tych wyjątkowych, brązowych oczach i z brwiami uniesionymi w górę rzuca mu wyzwanie, czy ośmieli się przed nią stanąć pijany i bezrozumny.

Czego jak czego, ale tego nie było mu na pewno trzeba - żeby wykazał się brakiem inteligencji w obecności kobiety, która, jak zaczynał sądzić, miała niewiarygodnie bystry umysł. Rozdarłaby go na strzępy, zanim by się połapał, co się dzieje.

Rozległo się stanowcze stukanie do drzwi. Chase odpowiedział „proszę”. Próg przekroczyła niewiasta w dużym czepku. Twarz miała wykrzywioną w wyrazie tak pełnym serdeczności i ciepła, jak lodowata kamienna podłoga podczas zimy.

Patrzyła na niego ponuro, z wielką antypatią przykucając w dygu, jej pełne dezaprobaty spojrzenie natychmiast padło na karafkę z brandy. Zrobiła jeszcze bardziej kwaśną minę.

- Kolacja gotowa. Wszyscy od dziesięciu minut czekają na pana w salonie.

Chase zerknął na zegar na gzymsie nad kominkiem.

- Jest dopiero trochę po siódmej. Chyba nie podaje się kolacji przed ósmą. - Nawet na wsi godzina ósma była niezwykle wczesna jak na tę porę roku.

Kobieta zeszywniała, jakby znieważył jej przodków.

- Jadamy w Garrett Park punktualnie o siódmej i raczej nie zmienimy swoich zwyczajów tylko dlatego, że pan tu jest.

Po prostu śliczne. Żywcem go pogrzebano w domu, w którym pogardliwie traktuje go nie tylko najstarsza córka, ale i pokojówka.

Chase nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Zwykle, kiedy spędzał dzień czy dwa w czyimś majątku, gospodarze przyjmowali go z wielką radością, bo był nieżonatym synem jednej z najbogatszych rodzin w Anglii. Mówiąc precyzyjnie, ludzie się nie tyle do niego łąsili, co go doceniali. Cieszyli się jego towarzystwem. Zdarzało się nawet, że śmiali się z jego dowcipów.

Służbie z kolei dobrze był znany ze szczodrych podarków, które również zyskiwały mu trochę szacunku. Ale teraz ani nie mógł poinformować pani tego domu o swoim pochodzeniu, ani nie miał pieniędzy na prezenty - przynajmniej nie po tym, jak go obrabowano. Podsumowując, relegowany został na kojarzony z brakiem pieniędzy i nie obdarzany nadmiernym szacunkiem poziom egzystencji, który nieszczególnie mu odpowiadał.

Przyglądał się pokojówce z pewnym powątpiewaniem.

- Przypuszczam, że mógłbym już zejść na dół, panno...

- Pani - warknęła, jakby podejrzała, że chce z nią flirtować. - Pani Mapie. Jestem tu gospodynią.

- A. Czy pozwoli pani, że powiem, iż Garrett Park to śliczny dom? Pewnie ma pani sporo roboty, by go utrzymać w porządku.

Spojrzenie służącej ani na jotę nie złagodniało.

- Niech się pan od teraz pilnuje, żeby punktualnie schodzić na dół na kolację. Niegrzecznie jest kazać czekać całej rodzinie, a zwłaszcza panience Harriet. - I skarciwszy go w ten sposób, okręciła się na pięcie i odmaszerowała, dając mu wzrokiem do zrozumienia, że powinien pójść za nią.

Chase zastosował się, kryjąc smętny uśmiech. A więc panna Ward nie jest jedyną drażliwą osobą w tym domu, czy tak? Odniósł wrażenie, że reszta służby cierpi na podobną dolegliwość. Może im tutejsza woda szkodzi.

Dobrze, że znalazł tę karafkę z brandy.

Gospodyni przystanęła przed drzwiami pokoju, w którym Chase poznał rankiem pana Gowera. Otworzyła je, odchrząknęła i, uznając, że tym samym go zapowiedziała, odstąpiła o krok i pokazała, że ma wejść do środka.

Jeszcze Chase nie postąpił dwóch kroków w głąb salonu, kiedy drzwi się za nim energicznie zamknęły. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na nowo przybyłego, a szmer rozmowy umarł śmiercią gwałtowną.

Po raz pierwszy Chase miał szczęście zobaczyć rodzinę Wardów w komplecie i natychmiast uderzyło go to, jacy są przystojni. Wszystkich cechował charakterystyczny dla wyższych sfer wygląd, wdzięk i zdrowie. Chase poczuł pewną skruchę, że myślał o nich jako o hodowcach owiec.

Kiedy się pojawił, Harriet odwróciła się od siostr ze szczerym uśmiechem na ustach, w oczach jej błyszczało coś innego niż podejrzliwość. Takiego spojrzenia Chase nie miał jeszcze przyjemności u niej widzieć: było pełne czystego rozbawienia. Wargi panny rozchyliły się, ukazując równe białe zęby, brązowe oczy błyszczały żywo, wyraz twarzy był ujmujący.

Do gościa podeszła spokojnie pani Ward, urodziwa matrona w jasnoniebieskiej sukni ze skromną koronką na piersiach.

- Kapitanie Frakenham, mam nadzieję, że pana pokój okazał się zadowalający.

Chase się uklonił.

- Mało powiedzieć: zadowalający. Jest śliczny.

Uśmiechnęła się.

- Doskonale. Ponieważ chwilowo pamięć pana nieco zawodzi, pomyślałam, że może powinnam raz jeszcze zapoznać pana z całą rodziną. Pewnie pan ich wszystkich nie pamięta.

Chase obrzucił spojrzeniem pokój.

- Ma pani całkiem liczną gromadkę dzieci.

- Tak. Mam ich piątkę.

Chase miał czterech braci i jedną siostrę, ale rozsądek powstrzymał go i nie pozwolił tego powiedzieć.

- To rzeczywiście duża rodzina.

Poklepała go po ramieniu.

- Proszę pozwolić, że ponownie panu ich przedstawię. To jest Stephen, mój najstarszy syn. - Pokazała na wysokiego, szczupłego, młodego człowieka, który opierał się na kulach.

Młody człowiek szeroko się uśmiechnął, skłoniwszy na powitanie głowę. Był szeroki w barach, dłonie miał wielkie jak łopaty. Chase zauważył, że opalony jest równie mocno jak Harriet.

- A to - ciągnęła pani Ward, pokazując na swego drugiego syna - Derrick. Widział go pan już wcześniej w swoim pokoju.

- Oczywiście - przyznał Chase i uklonił się.

Derrick podniósł oczy znad książki, którą wcześniej czytał, opierając się o fotel. Oddał Chase'owi lekki ukłon, pospiesznie obrzucając go przy tym spojrzeniem, potem wrócił do książki.

- Z Derricka jest taki trochę mól książkowy - powiedziała tonem wyjaśnienia pani Ward. Pokazała gestem na dwie panienci, które siedziały obok siebie na kanapie. - To moje młodsze córki, Sophia i Ofelia.

Dziewczęta spojrzały na niego promiennie, ta ładniejsza pozwoliła sobie nawet na kokieterijny uśmieszek. Chase doszedł do wniosku, że zgodnie z powszechnie przyjętą normą to właśnie Sophia i Stephen zostaliby uznani za najbardziej urodziwych ze wszystkich Wardów. Ze swoimi złotobrazowymi włosami i niebieskimi oczami zwróciłiby na siebie uwagę na każdej londyńskiej imprezie. Reszta rodzeństwa Wyła równie atrakcyjna, chociaż mniej rzucała się w oczy, jak ta intrygująca panna Harriet, która wtapiała się w tło, dopóki jej ktoś nie rozdrażnił, a wtedy niczym

palący ogień oddziaływała na zmysły.

- Och, panie kapitanie! - Sophia zerwała się, jej złotobrzowe loki ożyły. - Tak się cieszę, że mogę pana poznać! Chciałam powiedzieć, że cieszę się, że znowu pana widzę. Znamy się przecież od tak dawna. Pewnie pamięta pan, kiedy pan i ja...

- Sophio - przerwała córce pani Ward takim tonem, jakby jej trochę brakowało tchu - zostaw w spokoju tego biedaka. Właśnie się podniósł po chorobie i twoje wspomnienia na pewno mu w niczym nie pomogą.

Co do tego Chase nie miał najmniejszych wątpliwości. Ponieważ absolutnie nie potrafił przypomnieć sobie panny Sophii, to przekonanie pani Ward, że wspomnienia, które panienka planowała wyłowić z własnej wyobraźni, z pewnością mu w niczym nie mogą pomóc, było na pewno słuszne. Udało mu się jednak miło uśmiechnąć.

- Jestem pewien, że panna Sophia będzie mogła przypomnieć mi o naszych rozrywkach przy kolacji. Ukłonił się najmłodszej Wardównie.

- Panno Ofelio, jak miło panią znowu zobaczyć. Obawiam się, że niezbyt dobrze panią pamiętam po... - Tu smętnie dotknął głowy.

Ofelia zachichotała, okulary jeszcze bardziej powiększały jej brązowe oczy.

- Dziękuję panu, kapitanie Frakenham. Mnie również miło znowu pana spotkać.

Pani Ward uśmiechnęła się z aprobatą.

- Zostaje już tylko Harriet, którą na pewno po dzisiejszym dniu pan pamięta.

- Bez wątpienia. - Chase ukłonił się Harriet. Stała nieco z boku i miała wyraz twarzy tak odmienny od niezmaconego niczym rozbawienia, które zobaczył, wchodząc do salonu, że zaczął podejrzewać, iż tylko sobie tamtą jej minę wyobraził.

Odkłoniła mu się: sztywno, poprawnie, bez zainteresowania.

- Dobry wieczór, kapitanie Frakenham.

Porządnie schłodzony mroźnik był gorący niczym płomień w porównaniu z zimnem, jakim emanowała panna Harriet Ward. Chase ucieszył się, że łyknął trochę brandy na rozgrzewkę, zanim podjął próbę zjedzenia kolacji w towarzystwie tej konkretnie lodowej dziewczyny. Chodziły słuchy, że odmrożenie to koszmarna dolegliwość, i wcale się nie miał na nie ochoty narażać.

Pokrzepionemu brandy Chase'owi udało się uśmiechnąć.

- Przykro mi, że kazałem państwu czekać. Muszę chyba wciąż jeszcze funkcjonować na godzinach londyńskich.

- Londyńskich? - gładko weszła mu w słowo Harriet. - Nie wiedziałam, że kapitan Frakenham odwiedzał kiedyś Londyn. A pan tam był? Jeżeli tak, proszę nam powiedzieć, co pan pamięta.

Wszyscy wpatrywali się w niego, czego jak czego, ale milczenia w salonie było pod dostatkiem.

Chase niemal wzdrygnął się na popełniony błąd. Cholera jasna! Będzie musiał pilnować języka przy panie Harriet.

- Nie wiem, czy byłem kiedyś w Londynie. Może i tak, skoro znam to wyrażenie. - Spokojnie wpatrywał się w oczy Harriet. - Czyżby nie było ono powszechnie używane? Pani Ward machnęła ręką.

- Baron Whitfield wyraża się tak przez cały czas. Proponuję, byśmy przeszli do jadalni. Stephen, możesz mnie poprowadzić. Derrick, zajmij się Sophią i Ofelią. A pan, kapitanie... pan może poprowadzi Harriet?

Chase był pewien, że pannę Harriet takie natręctwo rozzłości, natychmiast więc podał jej ramię.

Spojrzała na jego kończynę jak na jakiegoś węża i dopiero w ostatnim momencie położyła na niej dłoń. A nawet wtedy utrzymywała między sobą a „kapitanem” niezwykle dużą odległość.

Chase ominął razem z nią stojące im na drodze krzeselko, przedłużając tym samym drogę o cztery czy pięć kroków, a potem poprowadził pannę do drzwi. Dzięki temu manewrowi Stephen i Derrick poszli ze swoimi towarzyszkami przodem, a Chase i Harriet podążali z tyłu za nimi. Jak tylko reszta rodziny zniknęła im z oczu, Chase się zatrzymał.

Harriet zmarszczyła brwi.

- O co panu właściwie chodzi?

- Czekam, by inni nas wyprzedzili.

- Już nas wyprzedzili.

I rzeczywiście, w pokoju nie było nikogo poza Chase'em i Harriet. Doszedł do wniosku, że dosyć mu

się ta sytuacja podoba.

- Dogonimy ich za chwilę. Chciałem panią najpierw o coś zapytać.

- O co? Wszyscy zauważą, że nas już z nimi nie ma.

- Pewnie tak. Ale zanim zauważą, zdąży pani odpowiedzieć na moje pytanie, i będziemy w drodze, by się do nich przyłączyć.

- Nie podoba mi się to... - Zachmurzyła się, potem nagle pochyliła się do przodu i pociągnęła nosem.

- Brandy. Powinnam była wiedzieć.

- Jestem marynarzem. Brandy jest dla mnie jak mleko matki.

- Nie jest pan marynarzem - oświadczyła wyniośle. - Jest pan kapitanem. To co innego.

- Jak to?

- No, pan... - ruszyła z roztargnieniem ręką - pan rozkazuje ludziom.

- I?

- I prowadzi pan statek. Ale z głównego... z mostku. Cokolwiek to jest.

- Hm. Pani pojęcie o technicznych aspektach żeglugi wydaje się być całkiem ograniczone.

- A pan się w tym lepiej orientuje?

Tak się składało, że orientował się lepiej. St. Johnowie byli właścicielami całkiem sporego jachtu, a Chase i Devon często na nim pływali.

- Odróżniam lewą burtę od prawej.

- Ja też. Wiem, która jest lewa... - Tu czoło jej się zmarszczyło. - Nie, niech pan chwilę zaczeka.

Patrząc od przodu statku lewa znajduje się po...

- Panno Ward, czy mogę zadać pani osobiste pytanie? - Upajająca obecność panny Harriet Ward w połączeniu z brandy, którą wcześniej wypił, napełniały go odwagą. Doszedł do wniosku, że lubi być napełniony odwagą. - To bardzo osobiste pytanie.

- Nie wiem...

- Jeśli się nie pospieszymy, wróci po nas reszta rodziny.

Harriet przygryzła wargę. Widział, jak ciekawość walczy w niej ze skłonnością do przezorności. Ciekawość w końcu zwyciężyła, Harriet westchnęła, a potem powiedziała:

- Słucham pana?

- Czy chce pani mieć dzieci?

Zamierzał zaskoczyć ją, wstrząsnąć jej opanowaniem. I udało mu się to. Po jego niespodziewanym pytaniu policzki panny zarumieniły się, a oczy otworzyły szeroko.

-Ja... ja... nigdy się nad tym nie zastanawiałam... to znaczy... -Na długą chwilę zacięła usta. Chase przyglądał się jej. - Kapitanie, to nie jest odpowiedni temat do rozmowy, nawet dla zaręczonej pary.

- Jak może pani tak mówić? A któż inny niż zaręczona para miałby rozmawiać o...

Harriet określiła się na pięcie, wymaszerowała za próg i ruszyła przodem do jadalni.

Chase poszedł za nią, z rosnącą przyjemnością podziwiając wspaniałą, silną linię jej pleców i krągłość tyłeczka, rysującego się pod cienkim materiałem sukni.

O tak, dobrze być kapitanem statku. Naprawdę bardzo dobrze.

### 13

*Miłość, a przynajmniej ten jej rodzaj, o którym z roziskrzonym wzrokiem i łomoczącym sercem marzą poeci, zawsze wydawała mi się uczuciem dosyć uciążliwym. Przypominającym to, które nas ogarnia, kiedy usiadziemy zbyt blisko ognia.*

Hrabina Greyley do swojej przyjaciółki, panny Lily Treventhal, podczas przejażdżki po Hyde Park pewnego pięknego popołudnia

Chase pozwolił się Harriet zaprowadzić do jadalni. Przypuszczał, że ich tete-a-tete tak czy owak już się skończyło. Pani Ward odwróciła się do nich z ulgą na twarzy.

- No, jesteście! Zaczynaliśmy się niepokoić, czy się nie zgubiliście.

Chase się uśmiechnął.

- Raczej nie. Skradłem tylko kilka chwil z pani uroczą córką.

Pani Ward spojrzała na Harriet i najwyraźniej przypisała własne znaczenie jej zarumienionym policzkom i zaciśniętym wargom.

- No cóż! - podjęła pospiesznie. - Powinniśmy siadać do jedzenia. Kapitanie, pan siądzie tutaj. A

Harriet obok pana.

- Doskonale. - Chase z teatralną atencją podsunął Harriet krzesło, ku wielkiemu zachwytowi jej sióstr. Ofelia rozpromieniła się z aprobatą, a Sophia westchnęła, jakby zrobił coś niesłychanie romantycznego. Nie zapomniał przy tym musnąć dłonią bardzo wyprostowanych ramion Harriet, zanim zajął miejsce obok niej.

Panna Ward rzuciła mu niespokojne spojrzenie, jakby niepewna, czy dotknął jej naumyślnie. Chase tylko uśmiechnął się uprzejmie w odpowiedzi, chociaż zadziwiła go jedwabistość skóry, po której powiódł czubkami palców.

Niemal natychmiast podano pierwsze danie i wkrótce wokół stołu poniósł się szmer rozmów. Im dłużej trwała kolacja, tym bardziej Chase się odprężał.

Zwykle przy oficjalnych posiłkach rozmawiało się z osobą siedzącą po lewej i po prawej stronie, ale nigdy z kimś naprzeciwko albo dalej przy stole. Wardowie jednak, podobnie jak jego własna rodzina, zarzucili ten sztywny konwenans, przynajmniej w zaciszu swego własnego domu.

I dobrze, bo mając po jednej stronie Derricka, który - najwyraźniej głęboko pogrążony w zadumie - nie odrywał spojrzenia od talerza, a po drugiej sztywno wyprostowaną Harriet, w ogóle nie miałby do kogo ust otworzyć.

Sophia i Ofelia kilkakrotnie próbowały wciągnąć go w rozmowę, czego za każdym razem bardzo umiejętnie unikał. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że odgrywanie roli człowieka pozbawionego pamięci bardzo utrudnia zdawkową konwersację.

Koniec końców panienki zaniechały prób i przeniosły swoją uwagę na Stephena, który siedział u szczytu stołu w nieco aroganckiej pozycji. Chase domyślił się, że smarkacz zajął miejsce ojca, tak zresztą jak należało, ku wielkiemu zmartwieniu reszty rodzeństwa.

Uśmiechnął się pod nosem. Wyczuwał w Wardach serdeczność, która przypominała mu jego własną rodzinę. Oczywiście widywali się z braćmi i siostrą rzadziej, od kiedy siostra wyszła za mąż, a dwóch z braci Chase'a się ożeniło. Niemniej jednak nierzadko zaśmiewali się razem przy posiłkach.

Sophia pochyliła się nad stołem.

- Kapitanie, czy umie pan tańczyć walca? Doszły mnie słuchy, że tańczy się go w całym Londynie.

Chase już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale zauważył, że ciemnobrązowe oczy Harriet przyglądają mu się równie bacznie jak zawsze.

Umiał tańczyć walca. A nawet kochał go tańczyć. Ale przemógł się i wzruszył ramionami.

- Obawiam się, że nie pamiętam. Gdyby jednak przypomniła mi się ta umiejętność, Z rozkoszą będę panie wszystkie uczył, za pozwoleniem waszej matki.

Pani Ward machnęła ręką.

-Jeżeli tańczy się walca w bawialniach całego Londynu, to z pewnością nie zaszkodzi go wypróbować w Garrett Park.

Sophia z radości aż podskoczyła.

- Och! To byłoby cudownie!

- Kapitanie, a Sir Roger? Czy ten taniec też pan zna?

Harriet poprawiła się na krześle.

- Dajcie mu zjeść. Możecie z nim porozmawiać kiedy indziej.

-Och, niech mnie pytają, o co tylko chcą - powiedział wspaniałomyślnie Chase. - Nie mam nic do ukrycia. - *Poza sprawami, o których wspominał nie będę.*

- Oczywiście, że nie ma pan nic do ukrycia. A nawet gdyby pan miał, i tak by pan tego nie pamiętał - zwróciła mu z pewną surowością uwagę Harriet.

-To prawda. - Chase wydał wargi. - Nie da się wykluczyć, że, jadąc tutaj, mogłem popełnić jakiś okropny uczynek.

- A skąd pan wie, że nie popełnił pan tego okropnego uczynku już wcześniej?

- Bo gdybym go popełnił wcześniej, na pewno nie byłbym tu mile widziany.

Harriet zerknęła na niego spod oka i powiedziała półgłosem:

- Nie jestem tak do końca przekonana, czy teraz powinien być pan mile widziany.

Chase wziął szklanekę z wodą i odparł:

- Nie da się ukryć, że okazuje pani okrucieństwo komuś, w kim rzekomo ma pani być zakochana.

- Może przyjął pan rękę tylko dla pana bogactwa. Z pewnością teraz się nam przyda.

Wargi Chase'a drgnęły. Harriet Ward poszła na całość. Dosyć mu się to nawet podobało.

- Bogactwo? Ależ ja jestem tylko kapitanem statku. Czy kapitanowie miewają tak wiele pieniędzy? A jeżeli tak, skąd je biorą?

- Z handlu. - Harriet nabiła listek sałaty na widelec. - Kapitan Frakenham jest bardzo zamożny. Poinformowaliśmy bank, że czeka na zapłatę za ładunek chińskich jedwabii, które przywiózł.

- Poinformowaliście państwo bank? - Chase uniósł szklanke, by ukryć uśmiech. - Dziwne. Tak pani to powiedziała, jakbym ja nic nie wiedział o tej zapłacie, na którą ponoć czekam. Czyżby jakaś konfabulacja z pani strony?

Wargi Harriet zacisnęły się z wyraźną irytacją.

- Źle mnie pan zrozumiał. Nie ma tu żadnej konfabulacji. Kapitan Frakenham... pan... jest bardzo zamożny.

Taka była cholernie sztywna, taka poprawna. Musiał chyba dostać po głowie mocniej, niż podejrzewał, i zamroczenie najwyraźniej jeszcze nie ustąpiło, bo nie mógł powstrzymać się od rozważania sposobów na znięcenie spokoju ducha panny Ward. A każdy z tych sposobów wymagał dotykania ustami jej warg, obejmowania dłońmi jej szczupłej talii. Ciało Chase'a bezzwłocznie zareagowało na tę zaskakująco atrakcyjną perspektywę.

- Intryguje mnie pani, panno Ward. - Przesunął się odrobinę na krześle i kolanem musnął jej kolano. Czując jego dotknięcie, Harriet wzdrygnęła się i niewiele brakowało, a byłaby przewróciła przy tym sosjerkę.

- Och, do licha! - fuknęła. - Dość tego, dobrze?

- Harriet! - odezwała się pani Ward, mrugając ze zdumienia oczami. - Nie ma powodu tak się irytować. Niczego nie rozlałaś.

Policzki Harriet zrobiły się szkarłatne.

- Przepraszam - wymamrotała, zerkając przy tym jadownicie na Chase'a.

Odpowiedział jej całkiem niewinnym spojrzeniem, krojąc przy tym baraninę, którą miał na talerzu.

- Kapitanie - odezwał się nagle Stephen ze swego miejsca u szczytu stołu. - Ogromnie mnie to cieszy, że jest pan znowu z nami.

- Dziękuję panu. - Chase z ciekawością przyglądał się chłopcu. Stephen co prawda raz czy dwa zwrócił się do niego z jakimś komentarzem, ale trudno byłoby dostrzec entuzjazm w jego powitaniu. W tej jednak chwili uśmiech najstarszego Warda był wprost osłepiający.

- Przypuszczam, że z przyjemnością obejrzy pan udoskonalenia, jakie od pana ostatniego u nas pobytu wprowadziliśmy w stodołę. - Oczy mu się zaiskrzyły z uciechy. - Pamięta pan chyba stodołę? Chase ściągnął brwi.

- Stodołę?

- Tak - potwierdził Stephen. - Zawsze pan lubił tę stodołę. - Rzucił znaczące spojrzenie na Harriet. - Czyż nie?

Chase zerknął na pannę Ward i zauważył na jej twarzy ślad jak najszczerszego rozbawienia. O co tu chodzi? Kapitan Frakenham lubił stodołę? Co ta dwójka knuje?

- Nie pamiętam, bym miał słabość do jakiejś stodoły... Ale oczywiście w ogóle niewiele pamiętam. Czy spędzałem tam wiele czasu?

- O, tak - zapewnił go Stephen. - Bywał pan tam niemal codziennie.

- Bardzo, bardzo pan tę stodołę lubił - poparła go Harriet. - Nie dawał się pan po prostu z niej wyciągnąć.

- I owce też pan polubił - dodał Derrick triumfalnie, podnosząc po raz pierwszy oczy znad talerza.

- Właściwie, kapitanie, dobrze się składa, że pan tutaj jest - zakończył wesoło Stephen, wymachując w powietrzu widelcem. - Przyda nam się pana pomoc przy strzyży, zwłaszcza że , ja uszkodziłem sobie nogę.

Chase zamarł z widelcem w pół drogi do ust.

- Przepraszam pana? Czy powiedział pan: „strzyży”?

Harriet przytaknęła z triumfalnym uśmieszkiem na twarzy.

- Owce. Tym właśnie zajmujemy się w Garrett Park: hodujemy owce, strzyżemy je i sprzedajemy wełnę. A skoro już pan tu jest, może pan nam pomóc.

Chase nie był całkiem pewien, co wchodzi w zakres tej strzyży, ale obawiał się, że okaże się ona uciążliwa. Najpewniej ciężka harówka, przy której można się spocić. Wardowie chyba zwariowali, jeżeli sądzili, że przyłoży do tego rękę - też coś, on miałby strzyć owce. Udawanie kapitana to jedna

sprawa, ale żeby miał zapomnieć o tym, kim jest... to się po nim nie pokaże. A St. John nigdy nie zniżyłby się do strzyżenia owiec. Przynajmniej ten St. John.

Przyłapał Harriet i Stephena na tym, że wymieniają spojrzenia. Oboje wyglądali tak, jakby udał im się jakiś bajeczny kawał. Chase zastanawiał się przez chwilę, potem szczęki mu się zacisnęły i z niechęcią przyznał, że rzeczywiście mają na swoim koncie całkiem niezwykle osiągnięcie.

Otóż jeżeli Wardowie stwierdzą, że kapitan Frakenham lubi strzyc owce albo kopać rowy, albo nosić krawat związany na plecach, kto im zaprzeczy? Przecież on sam ma niczego, cholerny świat, nie pamiętać. Ale skoro udaje już, że jest kapitanem Frakenhamem, to z pewnością nie sprawi mu większych trudności udawanie, że lubi strzyc owce.

Jednak taki przymus zasługiwał na karę. St. John odłożył widelec. Kapitan Frakenham mógł stracić pamięć, ale, do wszystkich diabłów, swój rozum miał.

A kontakty z rodzeństwem nauczyły Chase'a na pewno jednego: zawsze da się odwrócić kota ogonem.

- Śmieszne, że zupełnie nie pamiętam strzyżenia, ale stodołę mgliście sobie przypominam. Bardzo ją lubiłem, powiadacie państwo?

Stephen wydawał się zaskoczony pytaniem Chase'a, ale przytaknął.

- Bardzo.

- Trochę mi brak jasności co do szczegółów.

- Och. Po obiedzie zabiorę pana tam, by mógł ją pan znowu zobaczyć.

Chase pochylił się w stronę Harriet i uśmiechnął się, zaglądając jej w oczy.

- Coś mi się zdaje, że oboje lubiliśmy tę stodołę, pani i ja.

Oczy panny Ward się rozszerzyły.

- Co takiego?

- Wydaje mi się, że przypominam sobie... - Przerwał i pomasaował palcami czoło. - Pamiętam... kobietę. Na sianie.

Stephen, który podniósł właśnie szklanekę do ust, głośno się zakrztusił.

- Tak - ciągnął Chase. - Jej twarz jest niewyraźna. Ale wszystko inne... - Tu pozwolił sobie opuścić wzrok z twarzy Harriet na jej łono. - Wszystko inne dokładnie się zgadza.

- Dobry Boże! - wtrąciła pospiesznie pani Ward z jaskrawym rumieńcem na twarzy. - Niech mi ktoś poda... masło!

Sophia, z szeroko otwartymi oczami, nie odrywając spojrzenia od Chase'a i Harriet, z roztargnieniem podała matce masło.

Usta Harriet otworzyły się, potem się zamknęły i znowu otworzyły.

- Jak... nie wierzę, żeby pan... Co pan chce przez to... Nie! - Podniosła rękę, kiedy Chase już otwierał usta, jakby chciał odpowiedzieć. - Porozmawiamy o tym gdzie indziej.

- Gdzie indziej? - Ofelia pochyliła się do przodu, czoło jej się zmarszczyło. - Dlaczego musicie o tym rozmawiać gdzie indziej? Przecież pan powiedział tylko, że przypomina sobie stodołę.

Sophia potrząsnęła głową, oczy jej psotnie zaśmiały.

- Później, Of. Nie teraz.

Ofelia zeszywniała.

- Nie mów tak do mnie! Mam na imię Ofelia, nie Of. - Zwróciła pełne szacunku oczy na kapitana. - Nie żebym chciała narzekać, ale bardzo żałuję, że moi rodzice nie poświęcili więcej czasu na zastanowienie się, jakim brzemieniem będzie takie imię. To wcale nie było ładnie z ich strony.

Pani Ward skorzystała z szansy, by zmienić temat, uśmiechając się przy tym promiennie.

- Kochanie, przepraszałam cię za to co najmniej z tysiąc razy. Przyszła kolej na twego ojca, by wybrać imię dla dziecka, a sama wiesz, jak nałogowo czytywał Szekspira. Tak się złożyło, że byliśmy w połowie „Hamleta”, kiedy się urodziłaś, i po prostu nie dał sobie tego wyperswadować.

Stephen otarł palce serwetką.

- Dziękuj swojej szczęśliwej gwiazdce, że nie ochrzcili cię Kleopatra.

Wargi Harriet leciuteńko drgnęły.

- Ofelio, chociaż bardzo chciałabym ci współczuć, że tak cię pohańbiono literackim imieniem, nie potrafię. Moje własne, oplakanie pospolite imię pozwala mi tylko westchnąć z zazdrości.

- Nie widzę niczego złego w Harriet - stwierdziła Ofelia, unosząc z determinacją pulchną bródkę. - Wolałabym mieć na imię Harriet niż Ofelia.

- Tak, ale...

- A już wszystko jest lepsze niż Of.

- Masz na imię Ofelia, i innego już mieć nie będziesz, więc lepiej naucz się nim cieszyć.  
 Oczy Ofelii się zwęziły.

- To niemożliwe. Nie wtedy, kiedy wszyscy sobie z niego żartują.

- Jestem pewna, że nikomu nie wydaje się ono śmieszne. Wystarczy, że zapytasz kapitana. Nie wątpię, że stykał się z dużo bardziej niezwykłymi imionami.  
 Wszystkie spojrzenia zwróciły się na Chase'a.

- No i? - zapytała Ofelia dosyć groźnym tonem.

- No i co? - zareagował Chase beztrąsko, zastanawiając się, czego się ta dzierlatka po nim spodziewa.

- Co pan myśli o imieniu Ofelia? - Mówiła teraz przez zaciśnięte zęby, brodę zadarta wysoko, jakby podejmowała jakieś straszliwe ryzyko i wiedziała o tym, ale duma nie pozwalała jej postąpić inaczej.  
 Dobry Boże, dlaczego ona go o to pyta? Chase podniósł szklankę i pociągnął łyżeczek wody, w ten nieprzekonywający sposób starając się zyskać na czasie. Jeżeli powie, co myśli że jej imię naprawdę jest absurdalne - źle na tym wyjdzie. I jej również zaszkodzi. Poznał to po oczach Ofelii. Udał, że głęboko się zastanawia.

- Brzmi bardzo oryginalnie.

- I?

Cholerny świat, czego ona jeszcze chce? Nie był przyzwyczajony, by go przesłuchiowano. A już na pewno nie był przyzwyczajony, by przywoływano go do porządku za to, że ma własne zdanie.  
 Rzucił serwetkę na stół.

- Sam nie wiem, co myślę o pani imieniu! Przypuszczam, że ma pani rację, że jest dosyć niepow...  
 Auuuć! - Spiorunował Harriet wzrokiem. - Kopnęła mnie pani.

- Ależ nie - zaprzeczyła panna Ward. Wzrok miała utkwiony nie w niego, tylko w Ofelię.  
 Wargi Ofelii niepewnie zadrżały.

- Uważa pan, że moje imię jest niepow... Chciał pan powiedzieć: niepoważne, śmieszne, prawda?  
 Chase przezornie odsunął nogę z nadzieją, że do rana wróci mu w niej czucie. Czy nikt w tym towarzystwie nie zna się na żartach?

- Oczywiście, że niczego takiego nie miałem zamiaru powiedzieć! Jak już wcześniej wspomniałem, pani imię jest oryginalne, niepo... niepospolite, kojarzy mi się z nim coś jedwabistego.

- Jedwabistego?

- Tak, coś kobiecego i miękkiego i... takiego migotliwego. -Czoło mu zwilgotniało z wysiłku, ale poradził sobie.

- Ofelio! To najśliczniejszy komplement na świecie! - Sophia aż podskoczyła z podniecenia. - Świetnie pan to zrobił, kapitanie. Uważam nawet - tu zerknęła spod oka na Harriet -że nikt nigdy nie powiedział niczego piękniejszego.  
 Harriet prychnęła.

- To samo mówiłaś, kiedy jeden z bliźniaków Ferrell porównał twoje oczy do gwiazd, co nie było ani bardzo oryginalne, ani bardzo trafne, mogłabym dodać, zważywszy, że oczy masz niebieskie, a wszystkie gwiazdy są żółte.  
 Sophia zeszywniała.

- To nie był jeden z bliźniaków Ferrell, tylko najstarszy syn wicehrabiego Northrake'a.

- Obojętne kim był, z bardziej mizerną próbą poetycką w życiu się nie zetknęłam.  
 Twarz Sophii poczerwieniała.

- Och! Jak możesz tak mówić? W ogóle nie doceniasz tego co romantyczne. Wcale! Kiedy pomyślę...

- Sophia nagle urwała, spojrzenie jej przeniosło się z Harriet na Chase'a, i na ustach pojawił się ukradkowy uśmiezek.  
 Harriet natychmiast rozpoznała te symptomy i zeszywniała z przerażenia.

- Sophio, tylko nie...

- Kapitanie! - Sophia pochyliła się przez stół w stronę Chase'a. - Pewnie pan tego nie pamięta, ale i pan, i Harriet bardzo lubiliście tę stodołę. A nawet - dodała, z chwili na chwilę nabierając chyba odwagi - nie raz, nie dwa przyłapaliśmy was tam we dwójkę na sianie. Dokładnie tak jak pan sobie przypomina.  
 Harriet pożałowała, że podłoga nie może się pod nią rozstąpić i pochłonać jej w całości. Podłoga

pozostawała jednak obrzydliwie niewzruszona, więc panna Ward mogła tylko przykleić uśmiech na usta i starać się nie patrzeć na kapitana.

Była pewna, że ten głupek szeroko się uśmiecha, i nie czuła się na siłach stawić czoła jego kpinom. Szukając pomocy, rzuciła dzikie spojrzenie na rodzeństwo, ale Stephen za bardzo był zajęty ukrywaniem szczerego rozbawienia, Derrick wepchnął sobie do ust całą bułeczkę, by się powstrzymać i nie ryknąć śmiechem, a Sophia udawała, że coś jej wpadło do oka i musi się odwrócić, ale chichotała przy tym tak, że ramiona jej się trzęsły.

Nie śmiała się tylko Ofelia.

- Ja osobiście nie lubię stodoły. Za mocno w niej śmierdzi - oświadczyła, marszcząc brwi i przechylając głowę na bok.

Derrick przełknął bułeczkę.

- Wszystko zależy od tego, na ile masz rozproszoną uwagę.

- Rozproszoną? Ale co miałyby ją rozpraszać? Mamy teraz tylko dwa konie. Cała reszta pomieszczenia jest pusta.

Stephen się zakrztusił.

- Ja... myślę, że o to właśnie chodzi.

Ofelia się zachmurzyła.

- O to chodzi? W czym może być pusta stodoła lepsza od takiej, której się używa.... Ooooh! - Twarz jej się rozjaśniła, a policzki poróżowiły. - Ojej!

- Na miłość bo... - zaczęła Harriet i zauważyła, jak patrzy na nią „kapitan John”. Jego niebieskie oczy błyszczały z rozbawienia, kąciki ust uniosły się w lekkim, wyzywającym uśmiechu. Szczęki Harriet się zacisnęły. Cieszył się jej zażenowaniem, łobuz jeden. Starła się poskromić go spojrzeniem.

Zwykle, kiedy starała się kogoś poskromić spojrzeniem, rezultat był zadowalający, i w kilka sekund potrafiła uciszyć niesforne rodzeństwo. Ale jakoś to spojrzenie nie działało na przystojnych mężczyzn z posiniaczonym czołem.

- Harriet. - W delikatnym głosie matki wyraźnie pobrzmiwała zgryzota.

-Tak?

- Czy mogłabyś... czy mogłabyś... podać mi masło.

- Stoi przed mamą.

- Och! Rzeczywiście. To poproszę o jeszcze trochę chleba.

Harriet wyciągnęła rękę po miskę, nie zauważając, że kapitan zrobił to samo. Doznała szoku, kiedy musnęła palcami jej dłoń, ociągając się przy tym przez chwilę.

Rzuciła mu spłoszone spojrzenie, potem zauważyła, że wcale nie patrzy na nią, tylko na pierścień.

Tam do licha! Cofnęła rękę tak pospiesznie, że miska przechyliła się i upadła na stół, a jej zawartość rozsypała się po drewnianym blacie.

- Wielkie nieba, Harriet - wykrzyknęła Sophia, zbierając chleb i odkładając go z powrotem do miski.

- Co się z tobą dzieje? Nigdy cię jeszcze nie widziałam tak zdenerwowanej.

Harriet podniosła bułeczkę i podała ją Sophii.

- Dziękuję ci... o, co to jest? - Sophia wpatrywała się w jej rękę.

Harriet szybko opuściła dłoń na podolek, ale już było za późno.

Ofelia pochyliła się do przodu.

- Chcę na niego jeszcze raz popatrzeć!

- Nie, nie. To nic takiego - zapewniała pospiesznie Harriet, szarpiąc pod blatem za pierścień i modląc się, żeby dał się zdjąć.

Matka zmarszczyła brwi.

- Skąd masz ten pierścień? Wygląda na bardzo stary.

- Ja jej go podarowałem - rozległ się głęboki głos u boku Harriet.

Harriet rzuciła kapitanowi spłoszone spojrzenie.

Uśmiechnął się do niej olśniewająco, dając tym samym do zrozumienia bez słów, że za tę niewielką przysługę została jego dłużniczką.

- Znalezione ten pierścień w lesie w pobliżu moich rzeczy i powierzyłem go w opiekę narzeczonej.

Zapadła cisza, kiedy wszyscy przetrawiali tę informację, potem matka powiedziała promiennie:

- A więc wszystko w porządku! To bardzo miło ze strony Harri, że tak dobrze opiekuje się pana rzeczami.

Stephen, któremu najwyraźniej zrobiło się siostry żal, skorzystał z okazji, by wciągnąć Derricka w sprzeczkę, kto włożył najwięcej pracy w naprawę płotu na wschodnim pastwisku.

Harriet kamień spadł z serca, bo reszta posiłku upłynęła stosunkowo spokojnie, tyle że przez cały czas niepokojąco świadoma była obecności „narzeczonego” u swego boku.

Kolacja wreszcie dobiegła końca i Stephen wstał od stołu.

- Kapitanie, czy zechciałby pan przyłączyć się do mnie w bibliotece na łyczek brandy?

Kapitan wstał niemal natychmiast.

- Oczywiście. Mam również nadzieję, że oprowadzi mnie pan po stodole, skoro aż tak ją sobie ponoć upodobałem.

Harriet posłała bratu stanowcze spojrzenie, ale Stephen za bardzo był zajęty odgrywaniem roli pana na włościach, by to zauważyć.

Kapitan ujął jej dłoń i wycisnął na niej pocałunek, dokładnie w tym miejscu, gdzie spoczywał pierścień. Jego wzrok zatrzymał się na nim przez chwilę.

- Nie mogę się doczekać, by zwiedzić tę stodołę, panno Ward. Jestem pewien, że obudzi ona we mnie przeróżne interesujące wspomnienia - oświadczył.

Harriet spojrzała w błękitne oczy kapitana i poczuła ciepłe mrowienie w palcach. Dziwne, ale nigdy wcześniej nie zwróciła uwagi, jakie długie są jego rzęsy. W samych kącikach odchyliły się nieco w dół i lekko się splątały. Przeszedł ją powolny dreszcz.

- Chodźmy, kapitanie. Będzie pan mógł pożerać wzrokiem Harriet jutro, kiedy zaczniemy spędzać z pastwiska owce. - Stephen szeroko się uśmiechnął i wziął kule.

Kapitan puścił dłoń „narzeczonej”.

- Dobranoc, panno Ward. - Ukłonił się pozostałym przy stole kobietom. - Pani Ward. Panno Sophio. Panno Ofelio.

Jak tylko drzwi się za nimi zamknęły, Sophia osunęła się na krzesło.

- Harriet! Cóż to za rozkoszny mężczyzna! Ależ ty masz szczęście. Mamo, czy jest mama całkiem pewna, że nie możemy udawać, że to ze mną jest kapitan Frakenham zaręczony...

- Sophio, jeżeli zaproponujesz to choćby jeden jeszcze raz, każę ci wyczyścić wszystkie dywany w całym domu. - Pani Ward wstała z zaróżowioną twarzą. - Harriet, kiedy zaczynała się ta cała historia, nie pomyślałam... chcę powiedzieć, że mam nadzieję, że nie pozwolisz, by kapitan w jakiś sposób cię wykorzystał.

- Matko! - Harriet zmarszczyła brwi. - Nie jestem zieloną szesnastolatką. Poradzę sobie z kapitanem Frakenhamem.

Matka nie wyglądała na przekonaną.

- Mam nadzieję, że tak. Wydaje się jednak taki strasznie zdecydowany. Ale to tylko dwa tygodnie. A potem go już nie będzie.

Nie wiedzieć czemu, słowa te wcale nie uspokoiły zbuntowanego serca Harriet. Dwa tygodnie to wcale nie tak długo. Ale z drugiej strony... Zauważyła niespokojne spojrzenie matki i udało jej się dosyć stanowczo uśmiechnąć.

- Dwa tygodnie. A potem uwolnimy się i od banku, i od niego.

#### 14

*Problem nie w tym, żebym ja nie umiała gospodarować pieniędzmi. To moje pieniądze nie umieją gospodarować mną.*

Panna Liliy Treventhal do swego brata,

wicehrabiego Rose, podczas prób wyjaśnienia, dlaczego jej rachunki się nie zgadzają... znowu

Harry Annesley odwrócił się, łagodny wietrzyk poruszał jego peleryną i mieszał zatęchły smrodek, zalegający nad uliczką.

- Słucham?

Stojący przed nim oberwaniec zwinął swój filcowy kapelusz jeszcze mocniej, jego chude dłonie drżały.

- Przepraszam, że przeszkadzam, jaśnie panie, ale nie znalazłby pan kilku pensów dla biedaka, co go pech gnębi?

Harry wbił w niego spojrzenie, zauważając pokryty grubą warstwą brudu kołnierzyk i odmrożenia,

szpecące czerwone i sękatę rękę. Otulił się mocniej swoją kosztowną peleryną, pieczołowicie dbając o to, by trzepoczącym skrajem nie dotknąć żadnej części obrzydliwie brudnych schodów, na których stał.

- Co mam, to zarobiłem sam, i niech mnie szlag, jeżeli będę się tym dzielił z takim typami jak ty...

Urwał, uświadomiwszy sobie, że do jego głosu i umysłu niezauważenie wkraść się leciutki ślad dawnego akcentu. Do jasnej cholery, nie należy przecież do mętów, które zamieszkują East Side. Już nie.

Wyładował swoje rozdrażnienie na tym godnym pogardy okazie ludzkości, którego miał przed sobą.

- Zjeżdżaj stąd. Nie mam nic dla ciebie.

Oczy mężczyzny zapłonęły. Zerknął pospiesznie na powóz, który stał po drugiej stronie ulicy, a potem splunął.

- Nadętyś taki, co? Ale twój śliczny stangrecik trochę za daleko stoi, żeby ci pomógł, jakbym się tak zdecydował sam sobie wziąć, co mi się spodoba.

Cieniutki werniks kultury Harry'ego popękał, osypał się i rozpadł w proch na ziemi. Annesley chwycił oberwańca za gardło i szarpnął go ku sobie, przy czym spomiędzy fałdów jego peleryny wychylnęło niebezpiecznie cienkie ostrze noża.

- Widzisz ten majcher? - warknął Harry. - Jedno słowo jeszcze piśniesz, a flaki ci wypruję do rynsztoka, i to zaraz.

Wyglądało na to, że oberwańcowi oczy wyskoczą z orbit.

- Nie ma co się tak rzucać, jasnie panie! Nicem złęgo nie chciał powiedzieć...

Harry odepchnął go od siebie. Niedoszły złodziej, potykając się, poleciał do tyłu, potem upadł, ale szybko pozbierał się, wziął nogi za pas i zniknął w wąskiej uliczce, raz jeszcze oglądnawszy się ze strachem za siebie. Harry ukrył znowu nóż w wewnętrznej kieszonce. Będzie się musiał ze trzy razy wykapać, żeby pozbyć się z nosa panującego tutaj smrodu.

Nienawidził odwiedzać tej części miasta, ale kryły się w niej możliwości, których istnienia nikt sobie nie wyobrażał. Możliwości, które obecnie były mu potrzebne.

Przez ostatni tydzień rozgłaszał po mieście, że Chase St. John dał mu oblig, a potem zniknął. Co za szokująca skaza na honorze. Jeszcze trochę, a wyczuleni na punkcie swego nazwiska bracia Chase'a powinni w wielkim pośpiechu zaproponować, że wykupią sfałszowany oblig, by uciszyć Harry'ego, który kłał ich ukochane nazwisko. Problem w tym, że okazali się absurdalnie nieustępliwi. A z każdym mijającym dniem Harry coraz bardziej obawiał się, że coś pójdzie nie tak.

Rozpaczliwie potrzebna mu była pewność, że Chase St. John nie pojawi się jak gdyby nigdy nic w mieście i nie zrujnuje wszystkiego. Kiedy już St. Johnowie zapłacą ten oblig, duma nie pozwoli im słowa pisać o oszustwie Annesleya. Żaden z St. Johnów nie przyzna się publicznie do tego, że ktoś go wyprowadził w pole. Ale jeżeli Harry da się przyłapać wcześniej, a Chase będzie na miejscu, by otwarcie oskarżyć go o fałszerstwo... Postanowił nie zastanawiać się nad tak niemiłym obrotem spraw. Po prostu nie dopuści, by tak się stało. Te pieniądze miały stać się kluczem do rozwiązania wszystkich problemów. Jemu miały zapewnić przyszłość, a nazwisku Annesley pozycję.

Dokładnie w tej chwili, w tapetowanym na zielono i różowo saloniku w jednej z największych rezydencji Mayfair, siedziała panna Letitia Johnson-Smythe. Jej ojciec, kuzyn hrabiego, zbił majątek na transporcie morskim, dzięki czemu na pannę Johnson-Smythe spłynęła łaska dobrego urodzenia połączonego z wielkimi pieniędzmi, a to nieczęsto się zdarza. Nieśmiała, cicha i rozpaczliwie brzydka panna pasowała idealnie do planów Harry'ego.

Sprytnie wziął się do oczarowywania panienki, biorąc udział we wszystkich imprezach, na których była obecna, szepcząc jej do ucha, jak piękne ma oczy, pisząc w sekrecie liściki miłosne i przekupując pokojówkę, by pozwoliła im się spotykać w parku. Zaczynał już dostrzegać pewne objawy wskazujące na to, że panna się w nim zadurzyła. Skoro więc zdobył poparcie Letitii, która biadoliła, żeby pozwolono jej połączyć się z najdroższym Harrym, to wystarczy, że będzie do tego miał w banku fundusze, pozwalające przekonać papę, iż nie poluje na jej majątek, i zarysuje się przed nim naprawdę świetlana przyszłość.

Jedyną przeszkodą w jego planach okazali się na razie bracia Chase'a. Wydawali się przekonani, że ich ukochany braciszek lada chwila się pojawi. Była to fałszywa nadzieja, która powinna się już rozwiązać, bo Chase mówił, że jak tylko dotrze na miejsce przeznaczenia, prześle braciom wiadomość, że nie zamierza wrócić.

Harry czuł się nieco zdezorientowany. Bacznie obserwował rezydencje St. Johnów, ale nie zauważył żadnego ożywienia w ich wzajemnych kontaktach, żadnych przeciągających się, poważnych dyskusji, które musiałyby mieć miejsce w przypadku rodzinnej sytuacji kryzysowej. Za każdym razem, kiedy natykał się na któregoś z St. Johnów, szukał na jego twarzy oznak zmartwienia i niepokoju, ale niczego takiego nie dało się zauważyć.

Bardzo to było irytujące.

I z tej właśnie przyczyny pojawił się dziś w tej dzielnicy. Tak jak to wiedział Harry, dobry los nigdy nie gra fair -uśmiecha się do tych, którzy już mieli szczęście, a wymyka się tym, którzy go pożądamy nad życie. Stąpając ostrożnie, przeszedł jeszcze kawałek ulicą do obscurnego pubu, rozejrzał się, a potem wszedł do środka.

W pięć minut później wychynał z pubu z dużo lżejszymi kieszeniami i skierował się z powrotem do powozu, zadowolony, że dał losowi kuksańca, który najwyraźniej był mu potrzebny.

Okazało się to w końcu całkiem proste. Wystarczyło posmarować kilka łap i informacje napłynęły szeroką strugą. St. John nigdy nie podróżował bez rozstawnych koni, Annesley dowiedział się więc bez większych trudności, którą drogę wybrał. I równie łatwo było sprawdzić, czy wyjechał już z kraju: otóż nie wyjechał. Kiedy statek postawił żagle, prywatna kabina, którą zarezerwowano na jego nazwisko, była pusta.

A to znaczyło, że Chase St. John znajduje się gdzieś w Anglii, być może nawet w pobliżu Londynu. Nie był to dla Harry'ego pomyślny obrót sprawy.

No i stąd jego obecność w East End... dlatego pojawił się w części miasta, którą uważał za godną pogardy, dlatego zaangażował człowieka, którego nie znosił, by ten wykonał pewne zadanie, chociaż ubolewał nad koniecznością takiego posunięcia.

Nie podsuwał żadnych sugestii, w jaki sposób należałoby osiągnąć cel. Wcale nie pragnął poznawać podejrzanych szczegółów. Niech inni, mniej wyrafinowani ludzie uporają się z tymi sprawami. On tylko prosił, by St. John w najbliższej przyszłości nie wrócił do Londynu. Albo, jeżeli będzie trzeba, by nie wracał tam wcale.

Stangret otworzył drzwiczki i odstąpił na bok. Harry wsiadł i skinął głową. Drzwiczki zostały zamknięte i w kilka sekund później turkotał już po wąskiej, zapuszczonej uliczce w kierunku mostu, gdzie czekało świeże powietrze i wytworne rozrywki.

Harry oparł się w kącie powozu, pogładził dłonią kryte aksamitem siedzenie i wciągnął głęboko zapach nawoskowanego drewna i wypolerowanego mosiądzu.

Zatęchły smród uliczki, na której się urodził, ulatniał się z każdym oczyszczającym oddechem.

- Czas wstawać, kapitanie!

Jowialny głos Stephena głucho zadudnił w uszach Chase'a, rozpraszając śliczny sen, w którym nieustępliwa panna Harriet Ward nie była ani sztywna, ani poprawna, tylko nie wiedzieć jakim cudem przemieniła się w rozkoszną syrenę z burzą brązowych, pięknych włosów i giętkim ciałem tancerki.

- No, kapitanie! Mamy robotę.

Chase niechętnie otworzył jedno oko. Szlag by to najjaśniejszy, jeszcze nawet nie świtało. I co Stephen mógł mieć na myśli, mówiąc: „robota”?

Mowy nie ma, nie wstaje. Nie o takiej nieludzkiej godzinie poranka. Przewrócił się na drugi bok i naciągnął przykrycie na głowę.

Ale Stephen był Wardem, a na nieszczęście dla Chase'a to okropne nazwisko oznaczało przewagę uporu nad innymi cechami charakteru. Nie minęło kilka sekund, a zerwał z Chase'a przykrycia i przysunął mu świeczkę do oczu.

- Kapitanie - zawołał wesoło - co się dzieje? Nie jest pan chyba chory? Niechże pan wstaje, owce już się pobudziły.

Chase wyrwał mu przykrycie.

- Zejdę na zwiedzanie stodoły, jak się trochę prześpię.

Stephen wyszarpnął gościowi poduszkę spod głowy i rzucił ją na krzesło pod oknem.

- Nie chodzi o zwiedzanie, tylko o pracę. Ma pan pomagać dziś przy owcach, pamięta pan?

Chase zakrył sobie głowę ramieniem. Naprawdę się do czegoś takiego zobowiązał?

- Niech pan wstaje! Wyspał się pan już. Dobre dziewięć godzin, wedle mego rozeznania.

Chase z trudem rozchylił podpuchnięte powieki. *Dziewięć godzin, powiada ten cholernik, pomyślał.*

*Prędej dziewięć minut.* Wypił ze Stephenem kieliszeczek brandy w bibliotece i zaraz potem przyszedł czas, by cały dom udał się na spoczynek. Tak jak się mógł spodziewać, Wardowie kładli się o absurdalnie wczesnej godzinie - Chase zwykle o tej porze gotów był pokrzepić się małą kolacyjką.

Kiedy więc cały dom pogrążył się już we śnie, on czuł się w pełni rozbudzony. I jak tylko upewnił się, że zapanowała kompletna cisza, wymknął się na dół do biblioteki w poszukiwaniu brandy. Znalazł ją od razu, królowała w splendorze na tacy na biurku.

Nie wahał się ani chwili, poszukał kieliszka i odkorkował karafkę. I stał już z korkiem w jednej ręce a kieliszkiem w drugiej, kiedy z zupełnie niewyjaśnionego powodu wyobraził sobie, jaką minę zrobiłaby Harriet Ward, gdyby go w tym momencie zobaczyła.

- Wypiję tylko jeden kieliszek - wymamrotał do zjawy. Harriet nie wydawała się w najmniejszym stopniu zachwycona.

- Nikomu to nie zaszkodzi.

Uniosła brwi, jakby chciała przypomnieć mu, ile już szkód wyrządziło w jego życiu picie. A przyniosło szkody nieodwracalne. Musiał za nie zapłacić swoją godnością, honorem, dumą... a teraz jeszcze i rodziną.

Chase spuścił oczy na karafkę, jej zawartość ciepło połyskiwała. Potem z westchnieniem na powrót naczynie zakorkował i odstawił kieliszek na tacę.

Może innym razem. Oczywiście spać mu się nadal nie chciało, ale najwyraźniej żadnych gier i zabaw tu nie przewidziano, z musu więc zajął się czymś, co robił bardzo rzadko: postanowił sobie poczytać. Doszedł do wniosku, że Wardowie powinni się spalić ze wstydu, że jeden z ich gości tak się nudzi, ale na to już nic nie mógł poradzić. Jeżeli czytanie jest jedyną dostępną mu rozrywką, to rozejrzy się, jakie ma książki pod ręką.

Szukając na chybił trafił, znalazł tom opisujący przygody żeglarskie pewnego nieco podejrzanego dżentelmena z końca szesnastego wieku. Był zdania, że spore partie opowieści zostały wymyślone, ale doszedł do wniosku, że pewne fragmenty mogą mu się przydać przy odgrywaniu kapitana Frakenhama. Tak więc świeca już się dopalała, zanim udało mu się zasnąć.

-Wstawaj, śpiochu! - zawołał Stephen, przypominając tym samym Chase'owi, że niezależnie od tego, o której poszedł spać, teraz musi się ocknąć.

Otworzył oczy i zobaczył, że stojący nad nim Stephen szeroko się uśmiecha.

- A niech cię diabli.

Stephen uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Chase westchnął, usiadł i odgarnął sobie włosy z czoła. Od lat już nie oglądał poranka od tej strony. Och, zdarzało mu się o świcie nie spać. Ale nikt go nigdy o świcie nie budził.

- Dobrze już, dobrze. Przecież nie śpię.

- Doskonale! - Stephen przystanął przy toalecie, by zapalić stojącą tam świecę od swojej. - Będę na pana czekał w pokoju śniadaniowym.

- „Doskonale”! - powtórzył Chase drwiącym tonem, kiedy Stephen zamykał drzwi. Dobry Boże, trzeba mieć chyba źle w głowie, żeby chcieć wstawać o takiej porze.

Dlaczego nie mogła go ocalić rodzina cyganów-obiboków? Albo kilku nic nie wartych, beznadziejnych pijaczków? Obojętne kto, byle rozumiał, jak ważny jest sen o poranku.

Ale nie. Chase'a musiała zagarnąć jak swego rodzina hodowców owiec, której rozkosz sprawiała dręczenie go swoimi zdrowymi, zuchwałymi nawykami. To było odrażające.

Mamrocząc pod nosem, zszedł po schodach na dół i już na korytarzu usłyszał, że wszyscy zebrali się w jadalni i rozmawiają z ożywieniem stanowczo zbyt wielkim jak na taką nieludzką porę.

Pchnął drzwi i natychmiast uderzyły go w nozdrza bogate zapachy obfitego śniadania. Na dużym kredensie poustawiano półmiski z jajkami, szynką, bekonem, bażantem i grzankami. Jedzenia było w bród, aż zamrugał oczami. Potem odwrócił się i spojrział prosto na Harriet.

Miała na sobie jakąś starą suknię ze spłowiałej niebieskiej bawełny; spod nieco przykrótkiej spódnicy wyraźnie widać było cholewki butów. Chase uświadomił sobie z niejasnym zaskoczeniem, że skromna suknia, w którą wystroiła się poprzedniego dnia, musiała być jedną z jej najlepszych.

- Dzień dobry - powitała go miło.

Mimo woli znużone kąciki ust Chase'a wygięły się w uśmiechu. Wydawała się taka świeża i promienna, brązowe włosy miała splecione w warkocze i upięte w koronę. Uśmiechała się, błyskając

białymi równymi zębami.

- Za nic nie chciałbym zaczynać od narzekania - odezwał się z westchnieniem - ale czy musi być pani taka rozbudzona?

- A jaka miałabym być o tej porze dnia?

Chase obejrzał się przez ramię. Za oknem było szaro, dopiero świtało.

- Dnia?

Wargi Harriet drgnęły.

- No dobrze, poranka. - Jej spojrzenie przesunęło się na włosy Chase'a. - Widzę, że musiał się pan czesać po ciemku.

- Mnie się pani fryzura też nie podoba - odpowiedział swobodnie. I nie podobała mu się. Ten do przesady skromny styl był zbyt surowy dla jej twarzy, która w przyćmionym świetle wydawała się składać z samych kanciastości i oczu.

Policzki Harriet zabarwił lekki rumieniec, dotknęła warkoczy, ale zaraz się opanowała.

- Szkoda, bo owcom się moje warkocze podobają, a dużo bardziej obchodzi mnie ich opinia niż pańska.

Sophia stała przy kredensie z talerzem w ręku.

- Harriet, nie monopolizuj rozmowy! Kapitanie, co pan będzie jadł? Trochę jajek? Bażanta? A może kawałek szynki? Baron Whitfield przywiózł nam ją w zeszłym tygodniu, jest naprawdę pyszna.

- Nie, dziękuję pani. - Chase nie sądził, by o tak wczesnej porze zdołał się uporać z taką obfitością jadła. - Może później, koło dziesiątej, jak się bardziej obudzę. .

- Do dziesiątej wszystko zostanie już zjedzone - powiedziała rzeczowo Harriet. - Zje pan teraz albo w ogóle nie będzie pan jadł. Nie możemy sobie pozwolić na to, by podawać śniadanie trzy razy dziennie.

- Lepiej niech pan zje teraz - poradziła wesoło Ofelia.

- Na pana miejscu sporo bym zjadł - dodał z niewzruszonym spokojem Stephen ze swojego miejsca i wbił widelec i w wielki stos jajek i szynki na talerzu. - Nie będzie pan miał następnej okazji aż do południa albo może nawet później. A proszę mi wierzyć, że i tak będzie pan głodny jak wilk.

Chase się skrzywił.

- Zaczekam. Nie znoszę jeść o tej porze.

Pani Ward się zaniepokoiła.

- Stephen, zwracaj, proszę, uwagę na kapitana. Nie chcę, by zachorował albo się zgrzał. Doktor nie byłby zadowolony, gdyby jego pacjentowi się przez nas pogorszyło.

Chase nalał sobie filiżankę herbaty, mocnej i niemal czarnej. Pasemko pary uniosło się znad naczynia i zawirowało w powietrzu. Popatrzył z odrazą na pusty kominek, który był ozdobą pokoju. Stać chyba byłoby Wardów na trochę drewna czy węgla.

Ale najwyraźniej nie. Może to on ma rzadką krew. Niewątpliwie nikomu innemu nie przeszkadzał poranny chłód.

Odsunął krzesło od stołu i odwrócił je bokiem, by usiąść twarzą do jedyne nie zajętego miejsca... tego, które będzie, musiała zająć Harriet.

Na Boga, zabawi się tego dnia, nawet gdyby miał to życiem przypłacić. Rodzina chce, by odgrywał rolę kawalera Harriet, to będzie ją odgrywał.

Harriet podeszła do swego miejsca i przystanąła na jego widok. Oczy jej się podejrzliwie zwięziły.

- Co pan robi?

- Piję herbatę i czekam na panią.

- To bardzo romantyczne - poinformowała Sophia Ofelię z wielką satysfakcją.

Harriet nie drgnęła. Trzymała mocno talerz w rękach, znad jajek i szynki unosiła się para.

- Nie chcę, żeby pan tam siedział.

- A gdzie mam usiąść? To jedyne wolne krzesło.

- Zamierza pan gapić się na mnie, kiedy będę jadła, prawda?

Chociaż było tak wcześnie, kącki ust Chase'a uniosły się, jakby je ktoś połaskotał. Wyczuwał w tej kobiecie coś rozkosznie odświeżającego.

- Tak, zamierzam. Zamierzam przyglądać się, jak je pani każdy kęsek. Będę nawet komentował ilość jedzenia, jaką jest pani w stanie spożyć, i dziwił się głośno, jakim cudem zachowuje pani tak szczupłą sylwetkę.

Stephen zachichotał.

- Coś takiego, kapitanie, jest pan dziś rano w wyśmienitym humorze!

- Tylko dlatego, że Harriet ma siedzieć obok mnie przy śniadaniu.

Harriet odwróciła się w stronę szerokich, prowadzących na dwór drzwi.

- Chyba pójdę jeść na tarasie.

- Nie możesz! - zabroniła, mrugając powiekami, pani Ward. - Jest za ciemno i dużo za wilgotno.

Chase wstał, odebrał od „narzeczonej” talerz i postawił go na stole przed jej krzesłem.

- Obiecuję, że od czasu do czasu odwrócę wzrok. Poza tym w pewnym momencie będę sobie musiał dolać herbaty. Może wtedy uda się pani przełknąć kilka kęsów.

Twarz Harriet stężała.

- Siadaj wreszcie, Harri - powiedział Stephen. - Kapitan tylko okazuje ci grzeczność.

Harriet prychnęła i usiadła, wyraźnie naburmuszona.

- Nie podobają mi się ugrzecznieni mężczyźni.

Chase uniósł brwi.

- Życzy pani sobie, bym jej okazywał niegrzeczność? Jakież to bardzo, bardzo dziwne. Większość niewiast niechętnie przyjąłaby takie traktowanie.

Przeszyła go spojrzeniem, które było równocześnie chłodne i triumfalne.

- Naprawdę? A skąd pan może wiedzieć, jak zareagowałyby większość kobiet? Przecież stracił pan pamięć.

Chase objął palcami filiżankę; płynące od niej ciepło powoli go rozgrzewało.

- Wiem tak samo, jak to, w jaki sposób mam założyć buty albo czy lubię jajka. Niektóre rzeczy mi się po prostu przypominają, podczas gdy inne są jak biała karta.

Pani Ward pokiwała głową.

- Tak samo było z moją przyjaciółką, panią Billingsworth. Nie potrafiła sobie przypomnieć, że ma siostrę, ale potrafiła powtórzyć słowo w słowo przepis na galaretę z cieleńskich nóżek.

Harriet się skrzywiła.

- Mamo, błagam, niech mama nie powołuje się ciągle na panią Billingsworth. Jestem pewna, że jej przypadek ani trochę nie przypominał przypadku kapitana.

Określiła się lekko na krześle, odwracając się tym samym od Chase'a, potem wzięła widelec i z niezwykłą lubością zaatakowała śniadanie. Chase musiał się uśmiechać do jej pleców, co mu wcale nie przeszkadzało. Sylwetka Harriet rysowała się wyraźnie pod cienką suknią, przyciągając jego wzrok do wąskiej talii i zaokrąglonego siedzenia panienki.

Jeszcze nie zdążył się nacieszyć jej bliskością, kiedy drzwi otworzyły się i stanęła w nich gospodyni.

- List do panicza Stephena.

Stephen wyprostował się, wziął list, zerknął na niego i oczy mu nagle zapłonęły. Rozwinął małą, pastelową w kolorze kartkę i zaczął czytać.

- Ciekawe, od kogo to może być? - zastanawiała się Sophia, zwracając się do Ofelii. Obydwie wpatrywały się w list.

- Założę się, że wiem - odpowiedziała Ofelia. Z zadowolonym uśmiechem na ustach smarowała sobie grzankę masłem. - Założę się, że to od panny Str...

- Cicho, wy dwie - fuknęła Harriet, ze zmarszczonymi brwiami wpatrując się w Stephena.

Mina najstarszego Warda uległa gwałtownej przemianie. W jednej chwili zmieniła się z podnieconej na zawiedzioną, zwinął list rękami, które się lekko trzęsły. Chase przyglądał się i zastanawiał, co się dzieje.

Stephen zgniół liścik w dłoni i wstał. Twarz miał zaciętą i bladą.

- Najlepiej weźmy się już do pracy.

- Jak tylko dokończysz śniadanie - powiedziała spokojnie Harriet. Patrzyła na niego, krojąc szynkę. - Ale przedtem musimy się jeszcze zająć jedną sprawą. Ubranie kapitana jest stanowczo zbyt eleganckie do pracy w polu.

Stephen potarł czoło dłonią, potem pospiesznie usiadł.

- Tak, tak. Mogę mu pożyczyć coś z moich rzeczy. - Obrzucił Chase'a baczny spojrzeniem. - Jesteśmy podobnego wzrostu.

- Jak to miło z twojej strony, Stephen. - Sophia pociągnęła łyżeczek herbaty. - Będą mu też potrzebne buty.

Chase wyciągnął nogi przed siebie. Jego obuwie lśniło tak, że mógł się w nim przejrzeć.

- A czego tym brakuje?

- Niczego - zapewniła go Sophia. - Tylko że mogą się zabrudzić.

- I podrapać - podsunął pograżony w czytaniu Derrick.

- Między innymi. - Harriet wyprostowała własne nogi. Włożyła buty w niezdecydowanym, brązowym odcieniu, które najwyraźniej już jakiś czas temu odsłużyły swoje.

Chase zmarszczył nos.

- Te tutaj nie nadają się do noszenia.

- Pańskie też się nie będą nadawały, jeżeli przemaszeruje pan w nich przez pola. Nie są przystosowane do takich warunków. Ale niech się pan nie obawia, obujemy pana i ubierzemy odpowiednio do kontaktów z owcami.

Nie wiedzieć czemu słowa Harriet niezbyt Chase'a pocieszyły. I miał rację. Nie minęło dziesięć minut od zakończenia śniadania, a już stał przy starym wozie, na którym siedzieli dwaj parobkowie wątpliwego wieku i umiejętności. Ubrani byli w wypłowiałe i znoszone rzeczy, bardzo przypominające te, które Stephen dał Chase'owi.

Spojrzał na swoje ubranie. Podejrzewał, że koszula musiała być kiedyś niebieska, ale teraz miała brudnoszary odcień. Spodnie, które ufarbowano na czarniawy kolor, okazały się nieco za krótkie. Ale najgorsze ze wszystkiego były buty. Wykonano je z mocnej skóry, ale były tak znoszone i stare, że cholewki ich opadały w całkiem niedorzeczny sposób. Skrzywił się.

Jak on się wplątał w taką sytuację? Gdyby wiedział, że pomaganie Wardom pociągnie za sobą kompletną utratę szacunku do siebie, nigdy by nie przystał na to, by zostać u nich i grać rolę kapitana Frakenhama. Ale teraz było już za późno. Harriet mogła udawać, że jest inaczej, nie ulegało jednak wątpliwości, że położenie rodziny jest rozpaczliwe.

Westchnął i potarł sobie kark. Czekali na Stephena i Harriet, którzy zniknęli w stodole. Chase spędził kilka minut przy swoim koniu, zanim podszedł do wozu. Czarny wałach był w doskonałej formie, ale koniecznie powinien już rozprostować nogi. Może dziś wieczorem, przed zachodem słońca, zabierze go na krótką przejażdżkę galopem.

Powietrze wypełniło pełne namaszczenia szczekanie. Chase odwrócił się i zobaczył olbrzymiego psa, który, ciężko człapiąc łapami, kierował się przez podwórko ku niemu. Pies... to był ten sam, który uratował go w lesie. Chase postąpił krok do przodu. Pies zauważył go w tym samym momencie i skoczył się przywitać.

St. John miał ponad sześć stóp wzrostu i był nie ułomek. Ale podobnie potężny był pies, któremu dodatkowo sprzyjało to, że się rozpedził. Chase wylądował na siedzeniu, mokry język oblizywał mu usta i brodę, a dwie olbrzymie łapy przyciskały pierś i utrudniały oddychanie. Z chóralnym okrzykiem Sophia i Ofelia rzuciły się kapitanowi na ratunek i ze wszystkich sił starały się odciągnąć psa, który uznał ich starania za zachętę i z jeszcze większym zapalem lizał Chase'a po twarzy.

Chase w jednej chwili zrozumiał, jak to jest, kiedy umiera się równocześnie przez uduszenie i utopienie. W końcu Derrick ocknął się na tyle, by odłożyć książkę, zleźć z wozu, chwycić psa za obrozę i odciągnąć go od kapitana.

Chase otarł twarz rękawem i podniósł się.

- Co to jest, do diabła? - zapytał, przyglądając się psisku i starając się opanować irytację.

- Dokładnie nie wiemy - poinformowała go Ofelia, poprawiając sobie okulary na nosie. - Ale dobrze sobie radzi z owcami.

- Max to doskonały pies pasterski - zgodziła się z nią Sophia. Zaczekała, aż Derrick odciągnie psa na tyły wozu, i dopiero potem wyjęła spod ławki wielki słomkowy kapelusz i podała go Chase'owi. - Przyda się panu, bo dziś będziemy na słońcu.

Chase rzucił jedno spojrzenie na fantazyjne wstążki i spłowiałe jedwabne kwiaty i oddał jej nakrycie głowy.

- Nie, dziękuję.

- Spiecze się pan na słońcu.

- Na nim są kwiatki.

- To dlatego, że należy do Harriet. Stephen nie ma zapasowego kapelusza, ale Harriet powiedziała, że pożyczę panu swój.

Chase ani przez chwilę jakoś nie wątpił, że właśnie tak się rzeczy miały.

Z westchnieniem założył kapelusz na głowę, odwrócił się i napotkał spojrzenie Harriet. Trzymając się pod boki, stała po drugiej stronie podwórza, obok Stephena, który minę miał ponurą. Nawet z tej odległości Chase zauważył, że oczy jej pojaśniały z rozbawienia.

Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, co się dzieje: Harriet śmiała się z niego.

- Do diabła! - Zerwał z głowy kapelusz i rzucił go na tył wozu, potem wsiadł i zajął miejsce na ławce obok Derricka, który nadal siedział z nosem w książce.

Szlag by to najjaśniejszy, popatrzcie tylko, jak nisko upadł. Ale niewykluczone, że to sam los z niego w taki sposób drwił. Bo czy nie pogwałcił honoru St. Johnów swoim lekkomyślnym zachowaniem? Czy nie pohańbił nazwiska rodziny? Może to swego rodzaju kara.

Wyprostował się w ramionach. Niezależnie od tego, co przyniesie życie, przyjmie to z podniesionym czołem. Koniec z ukrywaniem się. Koniec z próbami utopienia problemów w kieliszku. Jest St. Johnem i czas, by o tym pamiętał, niezależnie od okoliczności.

Jego spojrzenie wędrowało po podwórku, aż trafiło na Harriet. Położyła bratu dłoń na ramieniu i mówiła coś do niego z powagą. Stephen musiał się z nią nie zgadzać, ale kiedy nie przestawała go przekonywać, odsunął się od niej w końcu, odwrócił i ruszył z powrotem do stodoły tak szybko, jak mu na to pozwalały kule. Harriet przyglądała się bratu z dziwnie przygnębionym wyrazem twarzy.

Chase natychmiast zapomniał o swoich kłopotach.

- Co się dzieje ze Stephenem? - zapytał Sophii.

- Jest zakochany.

- W pannie Strickton - dodała Ofelia. - Ale ona nie chce mieć z nim do czynienia.

- Jest młody - skomentował Chase. - Przejdzie mu.

- Nie jestem pewna - powiedziała Sophia, przechylając głowę na bok. - Kocha się w niej od dłuższego czasu. Od kiedy miał siedem lat.

- Siedem?

Ofelia pokiwała głową.

- A ona go zawsze lubiła. Oczywiście w tym roku wszystko się zmieniło. Ojciec zabrał ją do Londynu na sezon i myślę, że całkiem jej się od tego przewróciło w głowie.

W tym momencie dołączyła do nich Harriet. Z jej twarzy niczego nie dawało się odczytać. Chase chciał powiedzieć coś, co by ją choć trochę uspokoiło, ale jakoś nie potrafił znaleźć słów. Zresztą jakim prawem miałby ją pocieszać? Była otoczona rodziną, swoimi ukochanymi, a wszyscy oni podziwiali ją i szanowali. Czy mógł zaoferować jej coś, czego by już nie miała?

Kiedy tak pomyślał, poczuł się bardzo samotny. Przemógł się, zdusił w sobie słowa pociechy i nie powiedział nic, tylko odwrócił się, nieświadom, że kiedy to zrobił, Harriet powiodła za nim oczami i jeszcze bardziej posmutniała na twarzy.

- Czas brać się do roboty - powiedziała. - Stephen zostanie tu i pomoże matce. - Wdrapała się na tył wozu i usiadła na baryłce. - Jem, jesteśmy gotowi.

- Tak, panno Ward. - Starszy z dwóch parobków odwiązał lejce. I wkrótce, poskrzypując kołami, wóz podskakiwał po pokrytej koleinami drodze.

## 15

*Gdybym mógł wyrazić jedno życzenie, chciałbym stać się niewyobrażalnie bogaty. Gdybym mógł wyrazić dwa życzenia, chciałbym stać się niewyobrażalnie bogaty i już taki zostać.*

Wicehrabia Rose do pana Gilesa Standisha, kiedy we dwóch przyglądali się z ponurą miną, jak bezkonkurencyjne gniadosze wicehrabiego Rose idą na licytację w ostatniej rozpaczliwej próbie pospłacania długów przez ich właściciela

Na trzeci dzień po uwięzieniu przez Wardów (a nie zgadzał się tego nazywać inaczej) Chase doszedł do wniosku, że owce wcale nie są takimi łagodnymi zwierzątkami, jak mógłby sądzić ktoś, kto czerpałby wiedzę na ten temat wyłącznie z dzieciennych rymowanek.

Daleko im do tego. Chociaż miały wielkie, brązowe ślepia i miękkie, wełniste ciało, z natury skłonne były do kapryśnego zachowania, które można opisać tylko jako złośliwe, nieprzyjazne i podłe.

Tak prosta czynność, jak przepędzenie tych głupawych stworzeń z jednego pola na drugie, równoznaczna była, zdaniem Chase'a, z wdrapaniem się na lodowate szczyty Olimpu, przy czym po

drodze należało pokonać całą armię cyklopów, mając na sobie jedynie potarganą przepaskę biodrową, a przy sobie, jako broń, jeden kamień i bardzo niewielką procę.

Pracował z Wardami i ich dwoma najemnymi parobkami już od trzech pełnych, niekończących się dni, a z każdym coraz dłużej. Teraz, o świcie dnia czwartego, poruszał się z wielkim trudem, a na całym jego ciele nie znalazłoby się żadnego fragmentu, który by go nie bolał, nie był posiniaczony, poparzony od słońca albo pokryty pęcherzami.

Ale najsmutniejsze było co innego, a mianowicie fakt, że strzyża jeszcze się w ogóle nie zaczęła. Na razie przepędzili tylko owce na pole w pobliżu stodoły i po drodze załatali kilka dziur w płocie.

Oczywiście wymagało to mnóstwa czasu, energii i hartu ducha, jako że owce wydawały się z determinacją na każdym kroku krzyżować ich plany. Na pierwszą oznakę słabości usiłowały wyrwać się na swobodę, największe barany nie przepuszczały żadnej okazji, by strącić każdego, kto - niczego nie podejrzewając - popełniłby błąd i odwrócił się do nich tyłem. Owce to złośliwe, mściwe zwierzęta, a na dowód Chase mógł pokazać swoje siniaki i guzy.

Oparł się teraz o wóz i przyglądał się, jak słońce wschodzi nad łagodnymi pagórkami. Przeżył niemal szok, bo okazało się, że nawet mu się ta pora dnia podoba. O świcie wszystko wyglądało świeżo i czysto, warstewka opalizującej rosy wyłączała trawę i drzewa. Uniósł głowę i głęboko odetchnął świeżym powietrzem, czując, jak część napięcia odpływa z jego ramion. W Londynie tak łatwo było się zagubić. Ale tu wszystko wydawało się... łatwiejsze. Prostsze.

- Kapitanie? - wdarł się w jego zamyślenie głos Stephena. Chase wyprostował się i zaraz jęknął.

Stephen uniósł brew.

- Bola pana plecy?

- Całe ciało mnie boli. Nawet włosy.

Stephenowi udało się blade uśmiechnąć.

- Czy mógłby pan postawić dziś z Jemem nową furtkę?

Chase popatrzył na chłopca i zauważył ciemne kręgi pod jego oczami. Zniknął gdzieś wesóły głos, który obudził go pierwszego dnia. Stephen prawie się od tamtej pory nie uśmiechał.

- Jestem pewien, że Jem i ja poradzimy sobie ze stawianiem furtki.

- To dobrze. Derrick i ja pójdziemy razem z Harriet zająć się dziurą, którą znaleźliśmy w płocie przy południowym pastwisku. Reszta będzie sprzątać w stodole.

- Praca, praca, praca.

- Zwykle nie jest aż tak źle. Kiedy skończymy strzyżę, sytuacja wróci do normy.

- Będziemy musieli wstawać o świcie?

- Nie.

Chase nigdy nie przypuszczał, że można się rozkoszować leżeniem w łóżku. Ale to było, zanim zmienił się w kapitana Frakenhama, a raczej „nieszczęsnego sukinkota”, bo tak zaczynał o sobie myśleć.

- Doczekać się nie mogę.

Stephen kiwnął głową i oddalił się, by razem z Jemem zastanowić się, jaką ilością gwoździ dysponują.

Chase usiłował rozruszać barki i rozglądał się za Harriet. Nie pojawiła się jeszcze, co było niezwykle.

Każdy ranek zaczynał się tak samo: budzono go brutalnie przed świtem, ubierał się pospiesznie w ciemnościach w rzeczy, których może nawet lepiej było nie oglądać, schodził na obrzydliwie obfite i hałaśliwe śniadanie, a nauczył się już, że jest ono niezmiernie ważne, jeżeli nie ma paść z głodu, za nim podadzą lunch.

Jeżeli w ogóle coś takiego zasługiwało na nazwę lunchu. O ile śniadanie było posiłkiem wielodaniowym, to lunch składał się z suchego chleba, sera i jabłek albo pikli oraz wody, ile dusza zapagnie.

- Wody - burczał pod nosem Chase. Minęły trzy dni, od kiedy po tej bezbożnej szóstej rano ostatni raz podano mu , coś porządnego do jedzenia lub picia. Trzy całe, niekończące się, ciężkie dni.

Gdyby miał choć trochę rozumu, to udałby, że nagle przypomina sobie kim jest, spakował rzeczy i wyjechał. Ale wtedy zostawiłby Wardów, a zwłaszcza Harriet, na łasce Gowera.

Na tę myśl Chase się zachmurzył. Nie żywił do bankiera najmniejszego zaufania. Mało, że ten osioł niemal codziennie nachodził Garrett Park, czym dręczył i niepokoił rodzinę Wardów, to - chociaż

udawał, że tak nie jest - nie zawsze przyjeżdżał w sprawach urzędowych. Chase był tego dosyć pewien, bo widział, że bankier popatruje na Harriet, jakby miał w tym jakiś osobisty interes.

Niecierpliwie poruszył się i skrzywił, kiedy ramiona zaprotestowały. „Kapitan Frakenham” najwyraźniej nie urodził się do tego, by stawiać płoty i walczyć z krnąbrnymi baranami. Już w pierwszej chwili powinien był wyniośle poinformować Wardów, że kapitanowie nigdy nie pasają owiec. Nigdy się z nimi nie siłują. I nigdy, przenigdy nie dopuszczają do tego, by ich buty umazane były ekskrementami tych bydła.

Kilkakrotnie miał już te słowa na końcu języka. Ale za każdym razem powstrzymywał go widok Harriet, ubranej w stare suknie, z włosami wymykającymi się z warkoczy, która wyciągała popękane bale z tyłu wozu, wносиła wiadrami wodę dla niego, Derricka i parobków albo wykonywała inny z całych setek uciążliwych obowiązków. Panna Ward zaangażowała się w pracę bez reszty i Chase nie wiedzieć czemu nabrał przekonania, że sam nie może zrobić mniej.

Harriet i członkowie jej rodziny byli niezwykłymi ludźmi. Zbolałe serce Chase'a nie pozostało nieczułe na mężnie toczoną przez Wardów walkę. Miał wrażenie, że z ich triumfu będzie mógł zaczerpnąć siły, by przezwyciężyć własne problemy. Nigdy wcześniej nie napotkał rodziny takiej jak Wardowie. Nigdy nie trafił na nikogo podobnego do Harriet.

Rozejrzał się po podwórku.

- Gdzie się podziewa Harriet? - Po raz pierwszy, od kiedy zawitał do Garrett Park, nie pojawiła się przy śniadaniu.

Derrick, który z książką na kolanach siedział na ławce na wozie, podniósł wzrok i zamrugął z łagodnym zdziwieniem.

- Widziałem ją niecałe dziesięć minut temu w holu. Mówiła chyba, że weźmie jedzenie od kucharki. I lada chwila pojawi się, dźwigając kosz, który ważył niemal tyle co ona. Chase odwrócił się i wszedł do domu.

Udał się najpierw do kuchni, ale kucharka zajęta była upakowywaniem kilku ostatnich zawiniątek do kosza. Nie widziała jeszcze Harriet.

Chase zaniepokoił się tym, ale co mógł zrobić? Już miał się odwrócić, by wyjść, kiedy przystanął u stóp schodów.

Jakiś zwariowany diablik pobudził jego wyobraźnię i oto „kapitan” wchodził po schodach i popatrywał na szereg drzwi na podeście. Hmm. Która to była sypialnia?

W kilka chwil później, idąc korytarzem, zauważył Harriet za uchylonymi drzwiami. Stała przed łóżkiem, wsunawszy stopę w wysoki but, i podskakiwała, starając się podciągnąć cholewkę nad kostkę. Była całkowicie ubrana, chociaż dawało się zauważyć, że włosy splatała w zbyt dużym pośpiechu.

Chase oparł się o framugę i przyglądał się jej z pewnym rozbawieniem.

Przestała podskakiwać, chociaż but wszedł dopiero do połowy.

- Czego pan chce?

- Przyszedłem zobaczyć, czy nie trzeba pani pomóc.

- Przy wkładaniu butów? - zakpiła. - Chyba sobie poradzę.

Chase się szeroko uśmiechnął.

- Nie pojawiła się pani przy śniadaniu.

Policzki Harriet rozkwitły rumieńcem.

- Przysiadłam na moment i zasnęłam.

- Podobnie jak ja, ale Stephen nie zamierzał dopuścić, bym mógł się tym luksusem nacieszyć. Lepiej niech pani sobie weźmie coś do jedzenia, żeby nam pani nie umarła z głodu.

- Zjem trochę chleba z serem po drodze na pola. - Opadła na skraj łóżka, chwyciła za cholewkę i zaczęła ją ciągnąć. - Nie wiem, czemu nie chce wejść.

- Proszę pozwolić, że pomogę. - Chase już ruszał w kierunku łóżka, ale przystanął na widok czegoś, co migotało, w otwartej szafie. - Co to jest? - Podeszedł i uchylił bardziej drzwi. Na dolnej półce stała para bucików. I to nie były jakich bucików, ale ślicznych, wyszywanych koralikami, srebrnych, jedwabnych balowych pantofelków. Podniósł jeden z nich i popatrywał na Harriet.

Harriet rzuciła but na podłogę i podeszła do „kapitana”.

- Dostałam je od ojca. Podarował mi je na siedemnaste urodziny. - Przesunęła pieśczośliwie palcem po pantofelku, zatrzymując na moment dłoń na koralikach. Oczy jej błyszczały tęsknie i trochę

smutno.

Chase odwrócił trzymanym w dłoni pantofelek.

- Nigdy nie był noszony.

Harriet wzruszyła ramionami i odwróciła się, skrywając twarz.

- Gdzie miałabym go nosić? - Palce jej musnęły spódnicę. - I do czego? Ojciec nie był człowiekiem praktycznym. Tylko marzycielem.

- Marzenia są ważne.

- Nie wtedy, kiedy przeszkadzają w radzeniu sobie z rzeczywistością - odparła, przysiadając na skraju łóżka i podnosząc but. - Ojciec zawsze pragnął dobrego życia. Więc udawał. A teraz my wszyscy za to płacimy.

Chase popatrzył na pantofelek, zastanawiając się, przez ile lat spoczywał na dnie szafy. Przeniósł wzrok na półkę i podniósł drugi od pary.

- Proszę. Niech je pani założy.

Harriet zamarła.

-Co?

Chase podszedł i stanął przed nią.

- Proszę je włożyć. Chcę panią w nich zobaczyć.

- Ale dlaczego?

- Może dlatego, że nigdy ich pani nie nosiła.

Harriet odstawiła but na podłogę.

- Założyłam je raz czy dwa.

Chase popatrzył na czyściuteńkie, nie podrapane podeszwy.

- Gdzie? Tutaj?

Harriet przytaknęła. Chase potrząsnął głową.

- To nie wystarczy. - Ukląkł przed nią.

Harriet zeszywniała.

- Co pan robi?

- Chcę założyć pani te pantofelki na nogi.

- Dlaczego? Kapitanie, jestem już spóźniona i...

- Pięć minut ani nas nie zbawi, ani nie zaszkodzi. - Podniósł na nią oczy. - Proszę je włożyć. Dla mnie.

- Dla... czemu miałabym to zrobić?

- A czemu nie?

Harriet przygryzła wargę; widział, jak obraca w umyśle jego słowa, rozważa je ze wszystkich stron.

- Przypuszczam...

- To dobrze - wpadł jej w słowo, nie dając czasu, by zmieniła zdanie. - Proszę zdjąć pończochy.

- Poń... ale po co?

- Bo te pantofelki nie wejdą na takie grube, wełniane pończochy.

Harriet westchnęła i ku zaskoczeniu Chase'a zrobiła, co kazał. Zrolowała szare pończochy w dół na łydkach, przy sposobności pozwalając mu przelotnie ujrzeć naga, ślicznie zaokrągloną nóżkę. Jeszcze nigdy na taki widok nie zrobiło mu się tak gorąco.

Ujął jej stopę w dłoń. Wydawała się malutka, a nawet delikatna na jego dużej ręce.

- Zasluguje pani na to, by nosić takie pantofelki.

- Zasluguje? - zapytała trochę bez tchu.

- Zasluguje pani - potwierdził stanowczo. Wsunął jej pantofelek na stopę, potem to samo zrobił z drugim.

Harriet wyprostowała nogi i z powagą przyglądała się pantofelkom.

- Są całkiem ładne, nieprawdaż?

- Są piękne. - Oczy ich się spotkały i Chase się uśmiechnął. - Na dodatek ma pani śliczne kostki u nóg.

Serce Harriet na moment zamarło. Aż do tej chwili miała okropny dzień. Obudziła się późno, uderzyła goleniem o stół, przy czesaniu włosy wymykały jej się z warkocza, urwała klamkę od drzwi szafy, przez co musiały zostać uchylone. Na dodatek te zatraczone bućki nie chciały się za nic dać założyć na nogi.

Spuściła wzrok na delikatne pantofelki, tak absurdalnie nie pasujące do spłowiełej sukni.

- I wspaniale leżą. Zupełnie jakby były robione dla mnie.

Chase podniósł na nią oczy ocienione włosami, które mu spadły na czoło. W jego spojrzeniu pojawił się psotny błysk, coś uwodzicielskiego i szalonego. Serce Harriet drgnęło gwałtownie w odpowiedzi.

- Ja... ja... - Ona co? Co powie? Że kocha te pantofelki? Że kocha to, jak kapitan siedzi tak blisko? Że kocha dotyk jego rąk na swoich kostkach u nóg?

Gorąco buchnęło jej na twarz, odchrząknęła.

- Pewnie wszyscy na mnie czekają.

- Nie mamy wiele czasu. Derrick wydawał się sądzić, że wróciła pani po kosz z prowiantem.

- A pan chciał go ponieść? Czuję się zaszczycona.

- Niech się pani nie czuje - uśmiechnął się szeroko Chase. -Chciałem tylko wykraść trochę sera, zanim się Derrick do niego dorwie.

- Jest w wieku, kiedy się rośnie.

- Jest łakomym zagrożeniem dla całej reszty świata.

- To też.

Chase wstał.

- Czy mogę panią o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Dlaczego pani tak ciężko pracuje?

Harriet zamrugła powiekami.

- Bo jest bardzo wiele rzeczy do zrobienia, więc je... po prostu robię. Poza tym praca dobrze działa na duszę.

- Może i tak - odpowiedział z zadumą. Wyciągnął rękę, ujął dłoń Harriet i podciągnął ją na nogi. - A co robiłaby pani, gdyby nie była pani uwiązana tu, w Garrett Park?

- Nie uważam tego za uwiązanie. Kocham mój dom. Ale gdybym miała pieniądze, to pewnie bym wyjechała.

- Dokąd?

Zastanawiała się przez chwilę, wzrok jej opadł na czubki pantofelków.

- Do Londynu.

Chase uniósł w górę brwi.

- To niezbyt daleko stąd. Dzień drogi, i tyle.

- Wiem. - Wysunęła do przodu najpierw jedną stopę, potem drugą. - Zawsze planowałam, że wezmę je ze sobą, kiedy pojedę na mój pierwszy sezon, ale ojciec zbyt dużo wydał z funduszy inwestycyjnych i na takie sprawy zabrakło pieniędzy. Ale któregoś dnia...

- Któregoś dnia? - podpowiedział. Spojrzała mu w oczy i uśmiechnęła się.

- Któregoś dnia założę te pantofelki i zatańczę z kimś... -Urwała, policzki jej się zaczerwieniły.

- Z kimś?

- Z kimś innym niż moi bracia. - Zachichotała. - Żaden z nich nie potrafi tańczyć. Stephen zawsze mi depcze po palcach, a Derrick w ogóle zapomina o tym, że tańczy, i często potrafi się po prostu zatrzymać.

Chase patrzył na Harriet, zdumiony jej hartem ducha. Chociaż trochę posmutniała, wyczuwał w niej zadowolenie i satysfakcję z tego, czym jest i do czego dąży. A on takiego zadowolenia i satysfakcji nigdy nie zaznał, chociaż miał wszystkie luksusy i wszystkie przywileje w życiu.

Rozejrzał się po pokoju.

- Wystarczy, że tylko trochę... - wymamrotał pod nosem. Przesunął stołek i małą komódkę pod ścianę, tym samym robiąc więcej miejsca na środku. - I już.

- Co pan robi? - Harriet przysiadła na skraju łóżka i pochyliła się, by zdjąć pantofelki. - Musimy wracać do wozu. Wszyscy będą na nas czekali.

Chase ujął ją za rękę i podciągnął do góry.

- Niech pani nie zdejmuje pantofelków.

- Dlaczego?

Wyprowadził ją na środek pokoju.

- Będzie pani miała swój taniec.

Zamrugła oczami. -Tu?

- I teraz. - Trzymając palce panny Warci w dłoni, delikatnie objął ją w pasie drugą ręką. - Proszę pozwolić, że zwrócę pani uwagę, iż nie jestem jednym z jej braci.

- Ja... ale jak... w tej sukience?

Chase się szeroko uśmiechnął.

- Może ją pani zdjąć, jeśli takie ma pani życzenie. Sądzę nawet, że to świetny pomysł.

- A... ale nie mamy muzyki.

- Będziemy ją sobie wyobrażać. Zauważyłem, że cała pani rodzina dysponuje wspaniałą wyobraźnią. Coś takiego nie powinno nadwerężyć pani możliwości.

Harriet potrząsnęła głową.

- Nie myślę, żeby...

- Niech pani nie myśli, Harriet. Niech pani sobie wyobraża. Niech pani wyobrazi sobie, że jest pani na balu. Niech pani sobie wyobrazi, że ma pani na sobie suknię, która pasuje do tych pantofelków. Niech pani sobie wyobrazi, że otacza panią cicha muzyka, migotliwe światło świec i lśnienie klejnotów.

Harriet uśmiechnęła się, oczy jej się lekko przymknęły.

- Mmm. Orkiestra w pełnym składzie. A w balu bierze udział księżę.

Chase odpowiedział uśmiechem.

- Jak pani sobie życzy, milady. - Objął ją mocniej w pasie. - Czy mogę prosić o ten taniec?

Harriet uniosła rękę i sprawdziła w wymyślnym karnecie.

- Niech spojrzę. Kadryla tańczyłam z księciem Devonshire, a taniec wiejski z księciem regentem. Przypuszczam, że możemy razem zatańczyć tego ostatniego...

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Ostatniego walca. Właśnie zaczynają grać.

Harriet uroczo się zaróżowiła.

- Ja... ja nie umiem tego tańczyć.

- Będę więc panią musiał nauczyć.

Oczy jej zabłyśły.

- Mógłby pan? Widziałam kiedyś, jak tańczono walca w salach gościnnych w Harrowgate, i wyglądało to niesłychanie elegancko.

- Bo to jest bardzo elegancki taniec. A teraz proszę położyć dłoń tu, drugą oprzeć tam... i zaczynamy.

Proszę się odprężyć i po prostu mnie naśladować. - Zaczął nucić, leciutko się przy tym kołysząc.

Harriet z wrodzoną gracją poszła za jego przykładem. Dostosowała się do tańca tak doskonale, że przyspieszył tempo. Nie zmyliła kroku. Zaczął nucić głośniejsze, przyspieszył jeszcze trochę. Spódnica Harriet się rozwiała, pantofelki połykiwały na splewiałym dywanie niczym krople rosy.

- Jak cudownie! - Aż kipiała perlistym śmiechem, kiedy wirowali w tańcu. - Walc daje jeszcze więcej radości, niż się spodziewałam...

- Harri! - rozległo się wołanie z korytarza. - Czy jesteś gotowa?

Harriet zatrzymała się jak wryta.

- O Boże! To Stephen. Pewnie już na nas czekają. A ja nawet jeszcze nie założyłam butów! Okręciła się jak fryga, muskając spódnicą nogi Chase'a, i przysiadła, by zdjąć srebrne pantofelki. Szybko podciągnęła grube, wełniane pończochy na nogi.

Chase przyglądał jej się z uczuciem dziwnego osamotnienia. Znał bardzo wiele kobiet, a żadna nie zaintrygowała go tak dogłębnie, jak ta drobniutka panna, która przycupnęła na skraju łóżka. Westchnął.

- Pójdę po kosz do kucharki.

Harriet kiwnęła głową.

- Gdyby pan mógł! I proszę powiedzieć Stephenowi, że zaraz zejdę na dół.

- Oczywiście. - Chase odwrócił się, by wyjść.

- Kapitanie?

Zatrzymał się. - Tak?

- Dziękuję panu.

Chase obejrzał się i zobaczył na jej ustach delikatny uśmiech. Unosiła w górę pantofelki, spoglądając na nie rozjarzonym wzrokiem.

- I moje pantofelki panu dziękują.

St. John spróbował wśród swoich znajomych znaleźć choćby jedną kobietę, która szczerze byłaby wdzięczna za taką drobnostkę, jak taniec w pustym pokoju bez orkiestry, szampana czy całej tej otoczki, którą ceniły niewiasty.

Harriet tupnęła nogą, by buty lepiej jej się ułożyły na nocach, i podeszła do szafy. Odłożyła pantofelki na dolną półkę, a potem cofnęła się i spojrzała na nie z satysfakcją.

- Teraz już nikt nie będzie mógł powiedzieć, że nigdy nie były noszone.

- Nie. Nie będzie mógł. - I wyszedł, udzieliwszy tej niezbyt lotnej odpowiedzi.

Co Harriet Ward ma w sobie takiego, że czuje się nią zafascynowany? Nie był pewien, co to jest, ale, niech go diabli, zamierzał się tego dowiedzieć.

## 16

*Ja za dorsza dziękuję. Miewam po nim zupełnie koszmarne sny. Kiedy ostatnim razem zjadłem dzwonko, śniło mi się, że przyjechała w odwiedziny moja teściowa, złamała sobie na frontowym podeście nogę w biodrze i nigdy już od nas nie wyjechała.*

Pan Giles Standish do swego brata,

pana Lemberta Standisha, kiedy razem zasiadali do kolacji u White'a

- Harriet? - rozległ się zza drzwi delikatny głos matki. Harriet przeturlała się na bok i wtuliła głębiej w ciepłe gniazdko, które sobie umościła przez noc.

-Tak?

- Czas się zbudzić, kochanie.

Harriet nie była pewna, czy w ogóle naprawdę zasnęła. Przez cały ubiegły wieczór myśli kłębiły jej się niespokojnie w głowie, podobnie jak każdego wieczoru, od kiedy kapitan trafił do domu Wardów. A zwłaszcza od wczoraj, kiedy z nią zatańczył.

Otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Wyglądał tak samo... a przecież jakoś inaczej. Wydarzyło się coś czarodziejskiego. Coś, co wstrząsnęło nią do głębi duszy.

Co gorsza, za każdym razem, kiedy tylko przymknęła powieki, miała na stopach skrzące się pantofelki i tańczyła w ramionach kapitana, jakby jej serce nigdy nie miało nasycić się tym przeżyciem.

Zamknęła oczy, przypominając sobie, co czuła, kiedy otoczył ją ramieniem, jak ogrzewał oddechem jej skroń, jak dźwięcznie brzmiał jego głos tuż przy uchu...

- Harriet? Nie słyszę, żebyś się ruszała.

- Już nie śpię - zapewniła Harriet i podskoczyła na łóżku, żeby rama zatrzęszczała.

- To dobrze. Idę pomóc Jane nakryć do śniadania.

Harriet westchnęła.

- Zejdę na dół zaraz, jak tylko się ubiorę.

- Bardzo dobrze, kochanie. Nie chciałam tylko, żebyś znowu zasnęła. - Kroki matki ucichły na korytarzu.

Harriet przewróciła się na plecy, uważając przy tym, by kołdra podciągnięta była aż pod brodę i ciepło się nie ulatniało, i zastanawiała się, dlaczego kapitan wydaje jej się taki... fascynujący.

Och, to prawda, że nigdy nie widziała bardziej przystojnego mężczyzny: wystarczyłoby połączenie czarnych włosów i przenikliwie niebieskich oczu, żeby każdy zwrócił na niego uwagę. Ale do tego dochodził jeszcze zmysłowy uśmiech, od którego dreszcze chodziły jej po plecach, para przepięknie rzeźbionych warg, które wydawały się stworzone do pocałunków, i niemal namacalna żyłka... niechętniej rycerskości, nazwijmy to tak z braku lepszego określenia.

Ale na tym jeszcze nie koniec. Harriet się uśmiechnęła. Praca na polach okazała się pod pewnymi względami niespodziewanie atrakcyjna. Głównie dlatego, że miał człowiek okazję przez dłuższy czas obserwować co bardziej interesujących towarzyszy bez ich wiedzy. Jeszcze cztery dni temu Harriet nie zdawała sobie sprawy z tej szczególnej zalety pracy w polu.

Chociaż to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Marzenia o mężczyźnie, który musi odejść, są bezowocne i płonne. A Harriet miała szczęście, bo dawno już nauczyła się nie tracić ani czasu, ani życia na marzenia o czymś, co się nigdy nie mogło ziścić.

Pomyślała o braciach i siostrach. O Stephenie, który pracował tak ciężko, że jego szorstkie dłonie pokryły się już odciskami. O Sophii i Ofelii, które krzątały się i sprzątały. O Derricku, który stracił

szansę, by pójść do Eton. A zwłaszcza o matce, która się o nich wszystkich zamartwiała, chociaż starała się tego po sobie nie pokazywać. Harriet musiała bardzo się starać, by przytłumić płomień szczerego gniewu na krótkowzroczność swego ojca.

Jakiś hałas za drzwiami kazał jej spojrzeć na zegar. Do licha! Jeżeli się nie pospieszy, to znowu się spóźni. A wszystko przez to, że za długo wyleguje się w łóżku.

Zaczerpnęła głęboko powietrza, odrzuciła stos przykryć i zeskoczyła na podłogę. Z zimna natychmiast zaczęła dzwonić zębami. Obejmując się ramionami, przebiegła przez pokój, otworzyła gwałtownie drzwi szafy, chwyciła powieszony na kołku ubrania, biegiem wróciła do łóżka i wskoczyła pod przykrycia. Wysunęła rękę i chwyciła suknię. Zaczął się mozolny proces wkładania na siebie ubrań w taki sposób, żeby przy tym nie zmarznąć. Dobrze jej posłużyły lata praktyki, wkrótce miała już suknię na sobie i gotowa była stawić czoło porannemu chładowi.

Wstała, przymknęła na moment oczy i znowu znalazła się w ramionach kapitana. Wirowała po podłodze swojej sypialni, ledwie muskając ją czarodziejskimi pantofelkami, jakby za chwilę miała ulecieć w powietrze.

Zrobiło jej się ciepło na sercu na to wspomnienie, chłód przestał być taki dokuczliwy. Wyciągnęła przed siebie ręce i w pustym pokoju przetańczyła kilka kroków, czując, jak spódnica okręca jej się wokół nóg. Odwróciła się i zauważyła w lustrze nad toaletką swoje odbicie. Oczy miała błyszczące, wargi wygięte w pełnym oszołomienia uśmiechu. Wyglądała, jakby była zakochała...

- Tam do licha - fuknęła na głos, żeby poskromić niesforną wyobraźnię. Po raz tysięczny zaczęła zastanawiać się nad prawdziwą tożsamością kapitana. I nad tym, dlaczego zdecydował się tu z nimi zostać. Lepiej będzie się tego dowiedzieć, niezależnie od przyczyny jego zachowania, postanowiła Harriet. Nienawidziła tajemnic niemal tak samo jak czczych, bezproduktywnych marzeń.

Z determinacją wyrzuciła z myśli melodię walca, kazała sercu wrócić na normalne dla niego miejsce w piersiach, włożyła buty i wyszła z pokoju.

*Tonął w morzu wełny. Wszędzie wokół siebie widział beczące owce, pyski miały białe, czarne i łaciate. Otaczały go ze wszystkich stron jak okiem sięgnąć, wypełniając sobą ocean chyba po samo dno.*

*Starał się ze wszystkich sił, ale nie potrafił się wyrwać. Mógł tylko grzęznąć w ich masie, podczas gdy bezgłośnie fale wełny zwieraty się wokół niego, napierały, wciągały go pod powierzchnię, aż nie miał czym oddychać. Rzucił się zaciekle, walczył jak szalony, rozpaczliwie pragnąc zaczerpnąć powietrza i się wynurzyć...*

Chase wzdrygnął się i obudził z twarzą wtuloną w poduszkę. Wyszarpnął ją spod głowy i gwałtownie wciągnął chłodne, poranne powietrze, ciało miał złane potem. Cholerny świat, co za koszmarny sen.

Ale nic w nim dziwnego: na jawie również tonął przecież w owcach. Wetknął sobie znowu poduszkę pod głowę i przekręcił się na plecy, mrugając sennie oczami i czekając, aż oddech mu wróci do normy. Nigdy w życiu tak ciężko nie pracował, chociaż, prawdę mówiąc, z każdym mijającym dniem zaczynała mu ta praca sprawiać coraz więcej przyjemności.

A przynajmniej pewna jej część. Bo był na pastwisku pewien baran, który zniechęcił Chase'a od pierwszego wejrzenia. I okazało się, że Chase może to uczucie w pełni odwzajemnić. Za każdym razem, kiedy tylko trafiła się po temu okazja, baran opuszczał nisko łeb i usiłował wywrócić przeciwnika w błoto.

W rzeczywistości dużo gorsza jednak niż praca i ten kłótlivy baran okazała się czereda gości, którzy nieustannie napływali do Garrett Park. „Przyszedłem, zobaczyłem” i się gapili. Co wieczór Chase z trudem zwlekał się z pola, zabierał swego nieszczęsnego konia na szybką przejażdżkę galopem (przypuszczał, że koń czuje się równie pozbawiony swobody jak jego pan), a potem zakładał londyńskie ubranie i udawał przy kolacji, że wcale nie jest śmiertelnie wyczerpany.

Ten wieczór zapowiadał się najgorzej, bo, jak mu powiedziano, miała wziąć w nim udział lady Cabot-Wells. Pani Ward z pewną złośliwą satysfakcją oznajmiła, że to najgorsza plotkara po tej stronie Dorset.

Chase potarł kark i wyprostował się, z każdą chwilą przytomniał coraz bardziej. Im bliżej zapoznawał się z pocztą pantoflową Sticklye-By-The-River, tym większe czuł zadowolenie, że nie wypaplał zaraz po przyjeździe, jak się nazywa.

Jeszcze tydzień i będzie po wszystkim. Wełna zostanie zebrana, kredyt w banku spłacony, Garrett

Park uratowany, a Chase St. John ruszy w drogę. Przekreślił się na bok i rozejrzał po mrocznej sypialni, zastanawiając się, dlaczego na tę myśl zrobiło mu się tak smutno.

Czyżby nie chciał uchronić swojej rodziny przed błędami, które popełnił? Oczywiście, że chciał. A wyjazd jest najlepszym na to sposobem. Był tego pewien.

Niemal.

Co zrobiłaby Harriet na jego miejscu, zastanawiał się. Stała mu przed oczami taka, jaką trzymał w ramionach podczas tańca, przypomniał sobie jej promieniejącą radością twarz.

Ze wszystkich kobiet, jakie Chase znał, Harriet Ward była najbardziej uczciwa i szczerą. Podobało mu się to, jak z wysoko uniesioną do góry brodą stawia czoło swojemu trudnemu życiu, i to, że wciąż potrafi się śmiać i cieszyć każdą wesołą chwilą, nie odgrywając roli męczennicy. Pomyślał o srebrnych pantofelkach i o tym, ile radości sprawił jej fakt, że mogła je założyć.

Przyjdzie dzień, kiedy to wszystko się skończy, a wtedy zamówi dla niej suknię, taką, która będzie do tych pantofelków pasowała. Taką, dzięki której ziszczą się jej wszystkie marzenia.

Poczuł zadowolenie na tę myśl i leżał, uśmiechając się w ciemnościach.

- Kapitanie? - Stephen otworzył drzwi. - Już jest jutro.

Rzeczywiście. Chase odrzucił kopniakiem przykrycia i usiadł, przeciągając się w mroku. Jak tylko strzyż się skończy, a on upewni się, że Garrett Park ocalał, będzie pora wyjechać. Pora podjąć przerwana podróż. Ale nie miało się to stać dziś.

Z bliżej mu nieznaną przyczyną uspokoił się na tę myśl. Ubrał się i sprężystym krokiem zszedł na śniadanie.

Harriet zrzuciła z głowy kapelusz i otarła czoło. To już ostatnie owce. Od jutra zacznie się strzyż.

Oparła się o płot, bolał ją kark i plecy. Dzięki Bogu, że mają Maxa. Zaganiał owce niemal bez wysiłku, biegając między nimi tam i z powrotem, poszczypując je to w nogę, to w zad. Owce, chociaż niepokoiły się w jego obecności, wydawały się rozumieć, że pies nie chce im zrobić krzywdy, i przepychając się, biegły z grubsza w wyznaczonym przez niego kierunku.

- Skończyliśmy?

Podniosła wzrok i zobaczyła kapitana. On również opierał się o płot, koszulę miał rozpiętą pod szyją, rękawy podwinięte. Na jego czarnych włosach tkwił słomkowy kapelusz z szerokim rondem, ocieniając oczy od słońca. Tamtego pierwszego dnia nie założył kapelusza i grzbiet nosa oraz czubki uszu nabrały miłego dla oka, ciemnoróżowego koloru.

Kiedy Harriet pod koniec pierwszego dnia zobaczyła, że kapitan spiekl się jak rak, zażądała, żeby Stephen dał mu jeden ze swoich słomkowych kapeluszy. Ten kapelusz, stary i postrzępiony, nie był chlubą Stephenowej kolekcji, ale na kapitana wyglądał jakoś inaczej. Bardziej zuchwale. Bardziej... szlachetnie, czy coś.

Kapitan patrzył na nią przez chwilę, unosząc brwi w górę.

- Co tam?

Harriet odwróciła wzrok, poirytowana, że dała się przyłapać na tym, jak się w niego wpatruje.

- Nic. Sprawdzalam tylko, czy schodzi panu już oparzenie od słońca.

- Przestało mi prawie przeszkadzać. Co prawda nie jest wykluczone, że to dlatego prawie go nie zauważam, iż wszystko inne tak mnie boli, ale... - Wzruszył ramionami.

Wargi Harriet drgnęły.

- Wie pan, zdumiona jestem, że w ogóle cokolwiek pana boli. Zupełnie jakby pan w życiu ani jednego dnia nie przepracował. A to dziwna myśl. Można by przypuszczać, że jako marynarz przyzwyczajony pan będzie do ciężkiej pracy.

Chase popatrzył na Harriet. Uszczypliwa z niej była dzierlatka. Nie miał wątpliwości, że się z nim droczy. Nie przestawała tańczyć na tej wymyślonej linii, po której kazała mu stąpać, i tylko czekała, aż się czymś zdradzi.

Ale on wcale nie musi się z niczym zdradzać. I chociaż we własnym interesie powinien udawać kapitana Johna, nie musi się przy tym zachowywać sympatycznie. Tej małej zuchwałej sikorce należy się od niego nauczka. Nauczka, że nie wolno igrać z umysłem mężczyzny, który o niebo ją przerasta.

W końcu jest, do cholery, St. Johnem. Może ostatnim z nich, niemniej jednak. Odwrócił się i oparł plecami o płot, by spoglądać jej prosto w twarz.

- Dziwne, że właśnie wspomniała pani o morzu. To ciekawe, ale w ogóle go sobie nie przypominam.

Ani trochę.

- Nie? Sama słyszałam, jak pan onegdaj opowiadał panie Stanhope przeróżne historyjki marynistyczne.

- Zaczerpnąłem je ze znalezionej w państwa bibliotece książki.

Chyba zaimponował tym Harriet.

- Naprawdę? I

- „Opowieści urodzonego za granicą żeglarza”.

- Jestem pod wrażeniem, że posunął się pan aż tak daleko.

- I powinna pani być - odparł. - Tyle tylko, że dziwne wydaje mi się, iż nie mam żadnych konkretnych wspomnień związanych z pobytem na morzu. Inne rzeczy pamiętam, ale tego nie.

- Inne rzeczy? Jakie na przykład?

- Na przykład pocałunki. I pieszczoty. I...

- Rozumiem - przerwała mu pospiesznie, zaczerwieniwszy się mocno. - Wie pan, doktor powiada, że nie jest niczym niezwykłym, by komuś, kto doznał takiego urazu jak pan, szczegóły różnych przypadkowych wydarzeń się pozacierały, chociaż pamięć o samych wydarzeniach pozostała.

- Tak, ale... można by sądzić, że jednak coś będę pamiętał. - Popatrzył na niebo i ściągnął brwi, ze wszystkich sił starając się przybrać smętny i zdezorientowany wyraz twarzy. - A bardzo chciałbym pamiętać.

- No, kapitanie. - Harriet położyła mu dłoń na ramieniu i popatrzyła na niego z powagą. - Nie wątpię, że któregoś dnia niespodziewanie odzyska pan całą pamięć.

Był dobrym aktorem, a ona wspaniałą aktorką. Ale sprostał wyzwaniu. Przykrył ręką dłoń „narzeczonej”, pochylił się i zajrzał jej w oczy.

- Najbardziej zdumiewa mnie to, że nawet pani nie pamiętam. A przecież spośród wszystkich rzeczy, o których mężczyzna nigdy zapomnieć nie powinien, na czoło wysuwa się kobieta, którą pokochał.

Harriet starała się cofnąć rękę, ale nie pozwolił na to. Obejrzał się, sprawdzając, gdzie jest reszta towarzystwa. Stali po drugiej stronie pola i naprawiali płot. Uśmiechnął się do Harriet, uniósł dłoń i musnął policzek „narzeczonej”. Pod palcami poczuł jedwabistą gładkość. Od zetknięcia z jej skórą przeszył go dreszcz, gwałtowny niczym blask błyskawicy nad wodą.

Mało brakowało, a byłby cofnął dłoń. Dobrze znał to wrażenie przyciągania i palącej żądz, które poprzedzały każde polowanie. Ale tu... było coś więcej.

Poczuł nagle, że nie dlatego chce ją pocałować, by się z nią droczyć. To jemu potrzebny jest ten pocałunek, by uśmierzyć irytujące pragnienia, które w nim budziła.

- Niech mi pani coś powie, Harriet. Niech mi pani opowie o sobie. - Wymawiał jej imię powoli, rozsmakowując się w nim.

Ocieniona rondem kapelusza twarz Harriet zarumieniła się jeszcze mocniej.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Na ile zbliżyliśmy się do siebie?

Przełknęła, linia jej szyi była zaskakująco wdzięczna.

- Absolutnie nie rozumiem, o co może panu chodzić, kapitanie. A raczej mam nadzieję, że nie chce pan...

- John. Dziwne, ale nawet moje imię nie budzi żadnego oddźwięku.

Oczy Harriet zamigotały i pojawiła się w nich niepewność, ale oświadczyła stanowczo:

- Ta rana w głowę była dosyć poważna.

- Czy tak?

Harriet zerknęła na niego, potem odwróciła wzrok.

- Może wraca panu pamięć. Niewątpliwie przypomniał pan sobie, jak tańczyć walca.

Uśmiechnął się.

- To prawda.

Spojrzała mu w oczy i ku swemu zaskoczeniu zobaczył, że przez chwilę kąciki ust jej drgały, a potem wargi rozchyliły się w uśmiechu tak promiennym, jak słońce przebijające się przez chmury w deszczowy dzień.

Chase był oczarowany. Miała śliczne usta. Zęby, białe i równe, błyskały spomiędzy pulchnych, wilgotnych warg, różowych tak jak świeżo rozkwitła róża. Dziwne, że wcale tego wcześniej nie

zauważył. Może ta skromna brązowa sikorka uboga nie jest mimo wszystko sikorką, tylko pikantnym rudzikiem.

- Wie pani - powiedział, podchodząc jeszcze bliżej - chyba coś sobie przypominam...

- Co? - zapytała takim głosem, jakby nagle zabrakło jej tchu. Przesunął palcami po policzku Harriet.

- Pamiętam, jak panią pieściłem.

- Jak można... pan nie... my nigdy...

- Ależ musieliśmy. Myślę... nie, jestem pewien, że dobrze to pamiętam. Nigdy nie zapomniabym takiej kobiety jak pani.

Serce Harriet przeszło ostry, tęskny ból. Każda kobieta chce słyszeć takie słowa. Każda kobieta chce czuć się wyjątkowa, jedyna na świecie. Szkoda, że prosta logika kazała jej zaprotestować.

- A jednak mnie pan nie pamiętał. I kiedy pan wyjedzie, zapomni pan o mnie znowu.

Słowa te dotyczyły ją do żywego, ale za nic nie chciała się zdradzić.

Chase uniósł palec do jej policzka i przeciągnął nim od skroni do kącika ust. Od tej pieszczoty serce Harriet szaleńczo się rozedrgało.

- Pamiętam, że po tym, jak zostałem ranny, pierwszy kontakt z rzeczywistością nawiązałem przez pani usta.

Do licha. Pamięć tego człowieka przypominała pułapkę.

- Ale okolicznych naszych innych pocałunków... - Potrząsnął głową. - A mogą one być lepsze. O wiele lepsze.

I Harriet nagle nabrała pewności, że to prawda. W duszy mocno sobą potrząsnęła.

- Niech pan posłucha, kapitanie...

- Proszę zwracać się do mnie „John”. W końcu jestem pani narzeczonym.

- Tak, ale ja...

- Chcę usłyszeć moje imię z pani ust. - Stał tak blisko, że kolanami dotykał jej spódnicy. - A nawet żądam tego.

- Żąda pan?

Oczy mu zabłyśły.

- Proszę. Powiedzieć. Do. Mnie. John.

Harriet zrozumiała, że kapitan się uparł.

- Och, bardzo dobrze. Niech będzie, jak pan chce. Chociaż dlaczego miałoby to mieć jakiegokolwiek znaczenie...

- Może dźwięk mego imienia, wypowiedzianego przez pani usta, pobudzi tę cholerną pamięć.

- Nie powinien pan przeklinać.

- Przepraszam. Wszystkiemu winien czas spędzony na morzu. Podejrzewam, że, będąc marynarzem, muszę znać całkiem sporo różnych przekleństw.

Nigdy nie sądziła, że znieawidzi słowo „logika”, ale zaczynało jej ono naprawdę działać na nerwy.

- Och, bardzo dobrze - westchnęła. - John...

I w tym momencie Chase ją pocałował. Do końca życia nie był pewien, czy pobudziła go do tego zuchwałość, z jaką kontynuowała tę farsę, czy irytacja, że tak nim manipuluje, czy też może po prostu widok jej przepięknych warg, układających się w najrozkoszniejsze „j”, jakie w życiu widział. Obojętne, co przeważyło szalę. Nie zważając na nic, przycisnął ją do siebie z siłą, w której odbijało się całe jego mocno nadszarpnięte opanowanie.

Nie był pewien, czego się powinien spodziewać. Może oporu. Może nieskrywanego gniewu. Harriet zareagowała jednak zupełnie inaczej. Zesztywniała, ale tylko na sekundę, a potem... oddała mu pocałunek. Tylko że nie w wytworny, ostrożny sposób, jakiego spodziewałby się po takim nakrochmalonym wcieleniu cnót wszelkich, ale gorąco, chciwie, rozpalając tym pożądanie Chase'a bardziej niż wszystkie wcześniejsze pocałunki razem wzięte.

Ale chociaż tak się rozpałił, zdawał sobie sprawę, że nie jest to szczególnie udany pocałunek. Był nieporadny i dziwnie pełen uroku. Cofnął twarz i powiedział cicho:

- Spokojnie, kochana. Nie tak.

Harriet zeszywniała, twarz jej zalał rumieniec.

- Co to znaczy „nie tak”?

- Najwyraźniej zaniedbałem obowiązki narzeczonego.

- Obowiązki? Całowanie mnie to obowiązki?

- Wcale nie. Z radością panią całuję. A pani, moja malutka sikorko, rozkoszuje się każdą chwilą. A przynajmniej tak było, dopóki nie zasugerowałem, że istnieje lepszy sposób.

Harriet już otwierała usta, jakby miała go zgromić, ale powstrzymała się, a na jej twarzy odmalowała się niepohamowana ciekawość.

- Jaki może być inny sposób?

Przyciągnął ją do siebie, wziął pod brodę i uniósł do góry jej twarz.

- Po pierwsze: nie zaciskaj tak mocno warg.

Przyjrzała mu się poważnie, przeciągle. Niemal słyszała, jak z turkotem obraca ważkie myśli w głowie. W końcu powiedziała:

- Pewnie jeden pocałunek nie zaszkodzi.

Chase pochylił się i delikatnie dotknął jej ust. Poddawała się jego pieścizocie bez ruchu, rozgrzewając mu usta rozpalonymi wargami, owiewał go zapach cytryn i siana. Była słodka jak wiaterek w lecie, uwodzicielska jak żniwny księżyc. I w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

Muskał jej pulchne wargi, leciutko je przy tym skubiąc. Smakował je i drażnił, z każdym pocałunkiem coraz mocniej rozchylając. Stała w jego objęciach z odchyłoną do tyłu głową i zamkniętymi oczami. Przywarł silniej do jej ust i przesunął językiem po dolnej wardze.

Harriet wzdrygnęła się i niemal wyrwała, ale przytrzymał ją i powtórzył pieścizotę, tym razem głębiej i bardziej intymnie. I coś się zmieniło. Stopniała pod tym dotykiem, otworzyła się przed nim żywo, zarzuciła mu ramiona na szyję i przywarła do niego szczupłym ciałem.

Ciało Chase'a zareagowało natychmiast, napinając się w gwałtownym przypiływie żądy. Wargi Harriet rozchyliły się i ku jego zachwytowi dotknęła go językiem.

Na Boga, chociaż tak czysta i niewinna, gorąca była jak jakaś ostra metresa, a nawet bardziej, bo reagowała równie spontanicznie, jak oddychała. Zupełnie jakby jej chłodne, opanowane zachowanie było parawanem dla serca pulsującego w tak szaleńczym rytmie, że nikt by w to nie uwierzył.

Nie potrafił przerwać tego pocałunku. Jego dłonie same z siebie zacisnęły się na rękach Harriet poniżej rękawów, palce same się rozpostarły na rozpalonej skórze. Harriet cicho jęknęła mu prosto w usta, a odgłos ten był tak zmysłowy, że Chase przywarł do niej mocniej i zaczął ocierać się o nią łędźwiami.

Gdzieś w dali rozszczekał się Max, szczekanie z trudem przenikało do rozgrzowanego umysłu Chase'a. Jeżeli nie będzie uważał, może się nie powstrzymać, podwinie Harriet spódnicę i weźmie ją tu, na oczach Boga i całej wsi.

Z trudem chwytając oddech, oderwał usta, uniósł głowę i spojrzał w oszołomione oczy Harriet. W którymś momencie musiały im obojgu spaść kapelusze. Z włosów Harriet powysuwały się spinki, długie, gęste pasma opadły na plecy i zwisały po obu stronach twarzy, łagodząc rysy.

Dziwne, ale z tymi rozpuszczonymi włosami wprost tętniła życiem i tryskała zmysłowością. Chase instynktownie dotknął jej włosów, jedwabiste pasma czepiały się jego dłoni.

Harriet chwyciła go za palce i odwróciła dłoń tak, by móc ją obejrzeć. Oczy jej się rozszerzyły.

- Pana biedne ręce! Dlaczego pan nic nie mówił?

Chase popatrzył na pokryte pęcherzami dłonie i wzruszył ramionami.

- Dzisiaj jest już lepiej.

- Ależ one krwawią! - Odwróciła się i pomaszerowała do wozu.

- To naprawdę nic takiego - protestował, idąc za nią. - Nawet bardzo nie bołą...

- Czy pan wie, co by się stało, gdyby wdało się zakażenie? - Sięgnęła pod ławkę na wozie i wyjęła niewielkie pudełeczko. - Proszę wyciągnąć ręce. Obydwie.

Chase zrobił, co mu kazano, rozbawiony trochę jej determinacją.

Harriet otworzyła pudełko i wyjęła niewielką fiolkę.

- To powinno pomóc. - Odkorkowała fiolkę i Chase'a prosto w nos uderzył silny, niemożliwy do opisanego zapach.

Mimowolnie cofnął się o krok, ale ona była za szybka. Złapała go i wlała mu w dłoń jakąś oleistą substancję. Potem zakorkowała fiolkę.

- Proszę to wetrzeć.

Nos Chase'a zmarszczył się z własnej, nieprzymuszonej woli.

- Musi pani żartować...

- Proszę to wetrzeć w ręce.

- Nie chcę.
  - Dzięki temu szybciej się panu zagoją rany po pęcherzach.
  - Ale to okropnie śmierdzi.
- Harriet wrzuciła fiolkę z powrotem do pudełeczka i odłożyła je pod siedzenie.
- Kapitanie Frakenham, ja...
  - Johnie.

Odwróciła się twarzą do niego i wzięła się pod boki.

- A więc: Johnie. To bardzo ważne, żeby nie wdało się panu zakażenie. Proszę to wetrzeć w rękę. Trzymając dłonie jak najdalej od siebie, zatarł je, a potem pochylił się, by otrzeć je o trawę. Zabolało, ale gotów był na dużo większe cierpienia, byle pozbyć się tego paskudnego zapachu.

- Jak to ohydnie śmierdzi.

- Tak, to prawda. Powinien był pan zobaczyć biednego Derricka, kiedy ześlizgnął się ze stryszku i obtarł sobie niemal całe plecy. Matka praktycznie go w tym wykapała.

Chase uniósł jedną z rąk, ale zaraz gwałtownie ją od siebie odsunął.

- Cholerny świat! Śmierdzi gorzej niż syrop, który zaaplikowała mi matka, kiedy miałem dwanaście lat. - Uśmiechnął się na to wspomnienie. - Udawałem, że mam gorączkę, żebym się nie musiał kąpać.

Wypowiedziane przez niego słowa zawisły w powietrzu między nimi.

Chase zamknął oczy. Właśnie się zdradził. W jednej nędznej, nieopatrzonej chwili przegrał tę rozgrywkę.

Westchnął, a potem otworzył oczy.

Harriet stała sztywno, bez ruchu i spoglądała na niego z lodowatym gniewem.

- Kim pan jest?

## 17

*Krótkie zaloty, i tyle. Jeżeli pozwolisz sobie na to, by głądzić bez końca, wyczerpiesz wszystkie tematy konwersacji przed dniem ślubu i nie zostanie wam nic więcej do powiedzenia. Ożeń się w dwa miesiące od oświadczyń, a wtedy jeszcze znajdzie się coś, o czym będziecie mogli rozmawiać przy śniadaniu.*

Pan Lembert Standish do swego przyjaciela i mentora, Edmunda Valmont, kiedy obydwaj stali przed „Bramami Piekieł”, czyli modną jaskinią gry

Harriet sama nie wiedziała, czy wymierzyć temu nieznajomemu policzek za jego zuchwałość, czy triumfalnie zapaść z radości, że tak się przejęzyczył. W głowie jej się kręciło od nadmiaru emocji: był tam i szok, i uciecha, że miała rację, i zmieszanie, bo uświadomiła sobie, że rozmyślnie ich oszukał... oszukał ją. Na to się zachmurzyła. Skłamał.

I nie zamierzała okazać łobuzowi najmniejszego pobłażania. Skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Słucham?

„Kapitan” zdjął kapelusz, odgarnął sobie włosy z oczu, potem gwałtownie oderwał od nich rękę i zapatrzył się na nią z wielkim niesmakiem.

- Cholerny świat, teraz włosy też mi będą śmierdziały jak...

- Do licha! Nie obchodzi mnie to, czym śmierdzą panu włosy. Kim pan jest?

Chase włożył z powrotem kapelusz na głowę, rondo rzuciło cień na jego oczy.

- To naprawdę nie ma zna...

- Pańskie nazwisko, sir.

Czoło nieznajomego zachmurzyło się, jakby zamierzał rzucić pannie Ward wyzwanie. Harriet czekała, oczy jej się zwięziły. Poważnie się mylił, jeżeli sądził, że uda mu się teraz zataić tę informację.

Nie była pewna, jak by się zachowała, gdyby odmówił, ale jedno nie ulegało kwestii: zrobiłaby potężną awanturę.

Niektóre z tych myśli musiały odbić się na jej twarzy, ponieważ Chase westchnął gwałtownie.

- Jest pani w tej sprawie zdecydowana, prawda?

- Zasługuję na to, by dowiedzieć się, co za mężczyzną u siebie gościliśmy.

- Tak. Przypuszczam, że jednak tak. Bardzo dobrze. Nazywam się Chase St. John.

Harriet poczuła mrowienie w palcu, dokładnie pod obrączką tego niemądrego pierścionka, który na

nim utknął. Z roztargnieniem potarła srebro. Powiedział to tak, jakby się spodziewał, że jego nazwisko coś będzie dla niej znaczyć. Usiłowała sobie przypomnieć, czy w okolicy mieszkają jacyś St. Johnowie, ale żaden nie przychodził jej na myśl.

- Nie słyszałam o pana rodzinie. Gdzie dokładnie ona mieszka?

- Mamy domy w Londynie, Herefordshire, Yorkshire, Devonshire, Stratford...

Harriet parsknęła śmiechem. To przecież logiczne, że mężczyzna, który stał przed nią, śmierzącą maścią dla owiec, ubrany w stare ubrania jej brata, będzie miał domy w tych wszystkich miejscach.

- Tak wiele domów! Boże, w jaki sposób jest pan w stanie utrzymać je wszystkie w porządku?

Chase wzruszył ramionami, jakby nigdy się nad tym problemem naprawdę nie zastanawiał.

- Przypuszczam, że zajmuje się tym służba.

Rozbawienie Harriet ulotniło się na jego niedbały gest.

- Przypuszcza pan? - Mówił serio. Harriet przełknęła. - Ilu służących ma pan?

- Nie wiem.

- Jak może pan nie wiedzieć?

- Po prostu się nad tym nie zastanawiałem. - Oparł się o wóz, wdzięcznie krzyżując nogi w kostkach.

- Służba po prostu... jest.

Harriet pomyślała o swoich własnych służących, w sumie ; było ich czworo, i o tym, jak ogromne miała trudności, by znaleźć jeszcze jedną parę rąk na okres strzyży. A przed nią stał mężczyzna, który miał tyle służących, że nawet nie znał dokładnej ich liczby.

Na tę myśl poczuła się trochę urażona.

- Po prostu jest. Jakże to dla pana miło. Ma więc pan pełno domów i służących. Pewnie jesteście również spokrewnieni z królem.

- Rzeczywiście, jesteśmy.

To było do przewidzenia. Harriet poczuła skurcze żołądka. Nie tylko był bogaty, ale należał do elity bogaczy. Ten człowiek nie jest częścią jej świata, nigdy nią nie był i nigdy się nią nie stanie.

Panna Ward sporo wiedziała o życiu. Zbyt długo już była samodzielna, by się tego czy owego nie nauczyć. Jej wesoły, zawsze uśmiechnięty ojciec, który droczył się i zartował z rodziną i chyba nigdy nie dowiedział się, czym jest rozterka, zostawił rodzinę z górą długów i niczym więcej. A wszystko przez to, że próbował być tym, kim nie był.

Nigdy sama nie popełniłaby takiego błędu.

- Od jak dawna jest pan już świadom własnej tożsamości?

Chase westchnął i zakołysał się na piętach.

- Nie jestem pewien, czy ma to związek z...

- Od jak dawna?

- Od początku wiedziałem.

Niewiele brakowało, by irytacja Harriet przerodziła się w coś, poważniejszego. Wszystkie jej podejrzenia okazały się słuszne.

- Czy raczy mi pan wyjaśnić, dlaczego okłamał pan moją rodzinę?

Spojrzenie Chase'a stężało.

- Jak tylko otworzyłem oczy, stanęła przy mnie pani matka i zaczęła mi wmawiać, że jestem kapitanem Frakenhamem. I kto tu kogo okłamywał?

Harriet zadarła brodę do góry.

- Być może. Ale dlaczego pan się na to zgodził?

- A czemu nie? Odniosłem wrażeniem, że potrzebny jest państwu kapitan Frakenham, a ja szczerze mówiąc, nie miałem nic lepszego do roboty.

Na to nie znalazła odpowiedzi. To prawda, był im potrzebny kapitan Frakenham, a St. John całkiem dobrze odgrywał swoją rolę, chociaż przyznawała to z wielką niechęcią.

- Trudno mi teraz wierzyć w jakiegokolwiek pana słowa, skoro popełnił pan takie oszustwo.

- A jak już mówimy o oszustwach - odparł swobodnie - to żaden kapitan Frakenham nie istnieje, prawda?

Przez jedną szaloną chwilę Harriet zastanawiała się, czy nie ciągnąć dalej tych kłamstw. Ale nie ma rady - obcy prędzej czy później odkryje prawdę.

- Och, bardzo dobrze. Przypuszczam, że sprawiedliwość nakazuje to panu powiedzieć. Kapitana wymyśliła moja matka.

Co za gbur! Nie miał nawet na tyle przyzwoitości, żeby zrobić zaskoczoną minę.

- Chcąc chronić państwa interesy w banku.

- Od kiedy pojawił się pan Gower, nie sposób było się już bankowi sprzeciwić. A jesteśmy tak blisko zamknięcia sprawy. Wystarczy, że sprzedamy wełnę, i koniec z bankierami. Potrzebujemy już tylko dwóch...

- ... tygodni. Wiem. - Przechylił głowę na bok i przyglądał jej się tymi niezwykłymi, błękitnymi oczami. - Przypuszczam, że cała sprawa sprowadza się do tego: pani i ja okłamywaliśmy się od pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy.

I w tym momencie stało się tak, jakby nagle, niczym poranna mgła, rozwiał się cały urok tego jednego wspólnego tańca, namiętność kilku pocałunków, narastająca serdeczność ich wzajemnych stosunków...

Miał rację - oszukiwali się od pierwszego spotkania. Nie zaczęła się ta ich znajomość pod dobrą gwiazdą.

- Dlaczego tak chętnie przyjął pan na siebie tożsamość kapitana Frakenhama? Zgodził się pan nawet pracować tu, na polach.

Chase skrzyżował ramiona na piersiach.

- Kiedy mnie zaatakowano, miałem właśnie wyjechać z kraju. Pomyślałem, że jeżeli na okres rekonwalescencji zostanę kapitanem Frakenhamem, nie tylko pomogę tym samym państwu, ale nie dopuszczę, by lokalni plotkarze rozgłosili całemu światu, kim jestem.

- Dlaczego miałyby to być ważne?

- Bo moi bracia niezbyt życzliwym okiem patrzyliby na to, gdybym bez porozumienia z nimi wyjechał z kraju.

Brwi Harriet podjechały do góry.

- Z pewnością musiał pan mieć jeszcze inny powód?

- Nie. Próbowaliby mi to wyperswadować, ale... - Urwał. Jego twarz przybrała posępny wyraz. - Już wystarczająco dużo zamieszania narobiłem w ich życiu. Jeżeli wszystko ma się dobrze ułożyć, muszę wyjechać.

Harriet nagle uświadomiła sobie, że widywała już wcześniej u niego ten beznadziejnie smutny wyraz twarzy, że pojawiał się on często nawet pod maską normalnego, promiennego uśmiechu. Serce jej się ścisnęło, bo nigdy nie sądziła, że zobaczy na jednym obliczu tyle bólu.

- „Jeżeli ma się dobrze ułożyć”? - Głos jej złagodniał. - Ale co pan takiego złego zrobił?

Chase potrząsnął głową, zamykając się w sobie.

- Nie musi pani niczego więcej wiedzieć.

*Ależ musi.*

- Miał pan rację, sądząc, że plotki na temat pana tożsamości rozeszłyby się szeroko i daleko. Sticklye-By-The-River to mała wioska i wszyscy tam dużo więcej wiedzą o sprawach innych ludzi, niż by należało.

- Zauważyłem - powiedział sucho, bez wątpienia myśląc o procesji gości, którzy co wieczór pojawiali się, by poznać „kapitana”.

- A ponieważ wioska ulokowana jest przy trakcie pocztowym, wszystko, co się wydarzy tutaj, rozchodzi się na całe mile naokoło. - Przechyliła głowę na bok i przyglądała mu się bacznie. - Nie wyobrażam sobie, by istniało wiele występków na tyle poważnych, żeby musiał pan w ramach zadośćuczynienia opuścić kraj.

Po obu stronach ust Chase'a zarysowały się twarde, białe linie.

- Nic pani więcej nie powiem.

Przynajmniej szczerze.

- Może jest pan winien dużo pieniędzy?

Żadnej odpowiedzi.

- A może w grę wchodzi jakaś kobieta...

- Nie. - Spojrzenie Chase'a stało się twarde jak krzemień. - Ale nie zamierzam odpowiadać na żadne więcej pytania, więc proszę ich nie zadawać.

Zachowywał się dosyć niegrzecznie, ale to samo można było powiedzieć o Harriet, skoro wtykała nos w jego prywatne sprawy.

- Dokąd się pan wybierał?

- Gdziekolwiek. Może do Włoch.

- Nie ułożył pan chyba żadnego konkretnego planu działania, a to znaczy, że nie odniósłby pan sukcesu. Jeżeli pragnie pan coś osiągnąć, musi pan wszystko dokładnie zaplanować.

Chase z sykiem wypuścił powietrze.

- Proszę posłuchać, Harriet. Miałem plan działania: wyjechać jak najszybciej z kraju. Żaden więcej plan nie był mi potrzebny.

Harriet objęła szerokim gestem okolice.

- Czy to wygląda panu na Włochy?

- Gdyby nie napad złoczyńców, dawno by mnie tu nie było.

- Rozumiem, dlaczego na początku pan tu u nas został: był pan ranny. Ale później? Dlaczego teraz jeszcze pan tutaj jest, panie St. John? - Sama nie wiedziała, czego się spodziewa, co chce usłyszeć. Ale w oczekiwaniu na jego odpowiedź, nie wiedzieć czemu wstrzymywała oddech. Szczęki Chase'a się zacisnęły.

- Pani i pani rodzina wiele zaryzykowaliście, decydując się na ten interes z owcami, i pomyślałem sobie, że skoro i tak nie mam nic lepszego do roboty, zatrzymam się u was na dzień czy dwa.

- A potem zamierzał pan zniknąć. - To nie było pytanie. Jego zamiary były dla niej tak czytelne, jakby je wypowiedział na głos. - Nie chce pan wyjeżdżać z Anglii, prawda?

Wzrok Chase'a wyminął ją i przeniósł się na łagodne pagórki i falującą, zieloną trawę.

- Nie.

Miał taki wyraz twarzy, że Harriet w gardle ścisnęło. Nie wiedziała, co zrobił, uważał to jednak za niewybaczalne. Próbowała sobie wyobrazić, co by to mogło być, ale... stał przed nią w blasku słońca, a ona wiedziała, że miał dość serca, by zostać i pomóc jej rodzinie, chociaż jego własne problemy j wydawały się tak poważne i bolesne...

Przygryzła wargę, oczy jej zwilgotniały. Po prostu nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego tak ciężkiego występkę, żeby St. John sam siebie musiał skazywać na wygnanie.

Chase zauważył wyraz jej twarzy. Cholerny świat! Nie chciał od nikogo litości, a zwłaszcza od Harriet Ward.

- Teraz, kiedy sprawa się wydała, będzie sobie pani życzyła, bym się oddalił. Wyjadę dziś wieczorem...

- Nie może pan.

Chase zmarszczył brwi.

- Słucham?

- Nie może pan wyjechać. Dziś wieczorem ma przyjść i z wizytą lady Cabot-Wells. Co, zdaniem pana, mielibyśmy jej powiedzieć?

- Że odwołano mnie na morze.

- A wtedy bank natychmiast zażądałby spłaty. Potrzebujemy pana. Nie może pan wyjechać.

- Nie mogę? - zapytał cicho.

- Nie może pan wyjechać - powtórzyła. - Jeszcze nie.

Chase z roztargnieniem potarł kark, który zaczynał go boleć. Gdyby miał choć trochę rozumu, ulotniłby się z pierwszym promieniem słońca.

Tak by postąpił każdy zdrowy na umyśle człowiek. Ale najwyraźniej Chase nie był już zdrowy na umyśle. Oszukańcze odgrywanie roli kapitana i praca po kolana w odchodach owiec rozmiękczyły mu umysł.

- Przypuszczam, że mógłbym jeszcze kapitana udawać przez tydzień czy coś koło tego...

- Wiedziała, że pan to robi! - Popatrzyła na niego rozpromieniona i irytacja Chase'a roztopiła się niczym śnieg w słońcu. - To będzie cudownie.

Tak, uświadomił sobie z pewnym zdumieniem. Może być naprawdę cudownie. Albo mogłoby być, gdyby nie świadomość, że niedługo musi wyjechać. Poczul ukłucie bólu.

- Nie wiem, co mam powiedzieć... poza dziękuję. - Brązowe, rozświetlone serdecznością oczy Harriet spojrzały mu prosto w twarz.

Ale to światło zgasłoby natychmiast, gdyby tylko poznała jego grzechy.

- Zostanę jeszcze tydzień, nie dłużej.

- Doskonale! A dopóki pan będzie u nas, może pan sobie wszystko jeszcze raz przemyśli. Nic na to nie poradzę, że zastanawiam się, czy...

- Już wszystko przemyślałem. Nie mogę wrócić do Londynu.

- Nigdy?

- Nigdy.

Westchnęła.

- Mogłabym panu pomóc, gdyby mi pan powiedział więcej.

Nikt nie może pomóc. Tym razem Chase sam musi się wyciągnąć z tarapatów.

- Nie jest pani za mnie odpowiedzialna, Harriet Ward.

- Jest pan dokładnie taki sam jak Stephen. On też nie chce słuchać niczego, co mówię. - W jej głosie pojawiła się nutka rozdrażnienia.

Chase niemal się uśmiechnął.

- Nigdy jeszcze nie trafiła pani na problem, którego nie potrafiłaby pani rozwiązać, prawda?

- Nigdy. - Przyglądała mu się przez dłuższą chwilę. - Przypuszczam, że jesteśmy kwita, pan i ja, jeśli chodzi o nasze pierwsze spotkanie. Oszustwo za oszustwo.

- Rzeczywiście jesteśmy kwita. - Przeniósł spojrzenie na jej usta. - I dobrze do siebie pasujemy.

Twarz Harriet pokryła się lekkim rumieńcem.

- Czy powinniśmy powiadomić rodzinę pani o mojej prawdziwej tożsamości?

- Należy im się to. Ale proszę się nie obawiać, zachowają tajemnicę, zwłaszcza kiedy wyjaśnię im, że łaskawie zgodził się pan jeszcze przez tydzień udawać kapitana Frakenhama. - Przygryzła wargę. -

Muszę... muszę przyznać, że gryzło mnie trochę sumienie.

- Dlaczego?

- Dlatego, że zmuszaliśmy pana do tak ciężkiej pracy.

- I słusznie panią gryzło. To było nie do zniesienia.

Skrucha ulotniła się z twarzy Harriet.

- Nie pracował pan ani trochę ciężiej niż reszta z nas.

- Tak, ale państwo odnosili z tej pracy korzyść. A ja najmniejszej. - Spuścił wzrok na swoje pokryte pęcherzami dłonie, tłuste od balsamu, którym je posmarowała.

- Czy nie ugościliśmy pana, nie karmiliśmy i nie opatrzyliśmy ran?

- Maścią dla owiec!

- Zdrową maścią dla owiec.

- Nie wydaje mi się, by istniało coś takiego jak zdrowa maść dla owiec.

Derrick zawołał coś z drugiego końca pola do Harriet, coś na temat ostatniej żerdzi w płocie, który właśnie naprawił razem z parobkami. Harriet odkrzyknęła.

Chase czekał.

Odwróciła się twarzą do niego.

- Powinniśmy jutro przystąpić do strzyży.

- Najwyższy czas.

- My również tak uważamy. Nigdy wcześniej tego nie robiliśmy, ale Stephen i ja wymyśliliśmy system strzyżenia.

Na każdym kroku okazywała się osobą praktyczną, tyle że miała w sobie tę pulsującą tuż pod skórą żyłkę namiętności. Chase zastanawiał się, co by się stało, gdyby znowu dziewczynę pocałował. Podszedł o krok bliżej, ale od pola dobiegło następne wołanie.

Harriet pochyliła się nad płotem i odpowiedziała. Niewiele brakowało, by Chase, sfrustrowany tym, że ciągle im ktoś przeszkadza, sam coś odkrzyknął, i to niezbyt grzecznie.

W końcu Harriet popatrzyła znowu na niego.

- O czym to my... A tak. O systemie strzyżenia. - Lekko rzuciła głową, pasemko brązowych włosów wymknęło jej się na ucho. - Zbudowaliśmy kilka wąskich kojców, w każdym zmieści się jedna owca. Trzeba będzie jej tylko zarzucić pętlę na kark. To ją unieruchomi i wtedy da się ostrzyć. Strzyżenie powinno okazać się absurdalnie proste.

- Można tylko żywić taką nadzieję - odparł Chase, chociaż miał swoje wątpliwości. - Do tej pory nie natknąłem się jednak na taki aspekt pracy z owcami, który nazwałbym prostym.

Wydało mu się, że na to bródka Harriet wysunęła się odrobinę do przodu. Ale po chwili powiedziała dosyć łagodnym tonem:

- Ma pan rację. Bardzo nam pan w tym tygodniu pomógł. Proszę przyjąć wyrazy wdzięczności za tę przysługę.

Jej ton był niemal serdeczny. Zaimponowała Chase'owi. Musiała poważnie zranić swoją dumę, by się na to zdobyć.

- Proszę bardzo, panno Ward.

- Nie sprawiło mi to trudności, zapewniam pana. - Spoglądała na niego szeroko otwartymi, brązowymi oczami w oprawie gęstych rzęs. Nosek miała leciutko pocętkowany piegami.

- Zakładam, że skoro nie przestaje pan być kapitanem, będzie nam pan nadal służył pomocą przy strzyży.

Niewiele brakowało, a Chase byłby się udławił.

- Czy nie dość, że skłonny jestem odgrywać tę rolę dla państwa wścibskich sąsiadów?

- To tylko jeden tydzień, a ponieważ nie wiązały pana żadne terminy... - Spojrzała mu z nadzieją w twarz.

Chase po raz pierwszy dostrzegł w jej oczach błysk niepewności.

- Panno Ward... Harriet, jeżeli potrzebne są państwu pieniądze na tę spłatę w banku, mógłbym...

Ramiona Harriet zeszywniały.

- Nie. Już muszę spłacać długi w banku. Nie będę nikomu winna więcej pieniędzy.

Szlag by to trafił, kto mówił coś o pożyczce?

- Niech pani chwilkę zaczeka! Nie zrozumiała pani. Nie będzie mi pani nic winna...

- Nie przyjmę również jałmużny, jeżeli to pan zamierza proponować.

Cholerna, uparta idiotka. Chase'a zaczynała ponosić złość.

- Niech pani posłucha, nie chodzi o to, by...

- Nie chodzi o to, by nam była konieczna. - Usta panny Ward zacisnęły się z niezadowoleniem. - Czy sądzi pan, że nie stać nas będzie na tę ostatnią spłatę? Bo ja zakładam, że będzie nas stać i...

Odwróciła się, słysząc za plecami pobrzękiwanie. Podjeżdżała do nich Ofelia, siedząc na jednym z koni od pługą. Stara szkapa człapała powoli, wlokąc za sobą nogi.

Chase zaciął zęby. Znowu im przerwano. Do wszystkich diabłów, czy nikt w tej rodzinie nie potrafi nic zrobić, nie zwracając się do Harriet po radę? Uniemożliwiali tym samym jakąkolwiek osobistą rozmowę z tą kobietą.

Ofelia, podjechawszy do wozu, ściągnęła wodze.

- Tu jesteś, Harri. Szukałam cię wszędzie.

Chase popatrzył spode łba. Na miłość boską, stoją na samym środku pustego pola. Jak to możliwe, by tak często im przerywano?

- Coś stało się ze Stephenem. Matka poprosiła, by pojechał razem z Sophią do pułkownika Parkera i żeby złożyli wizytę jego żonie, a on odmówił, i to niegrzecznie, a potem wypadł z pokoju i zamknął się w bibliotece.

- To do niego niepodobne.

- No właśnie. Zapytałam go, co się stało, ale nie chce powiedzieć. Mama prosi, żebyś z nim porozmawiała, jak wrócisz do domu. Czy skończyłaś tutaj robotę?

- Prawie. - Harriet wydawała się zmartwiona. - Mogłabym już chyba odjechać. Naprawdę powinnam dowiedzieć się, co się stało...

- Nonsens - przerwał jej Chase. - Pani brat jest dorosłym mężczyzną. Niech go pani zostawi w spokoju.

Wyglądało na to, że Harriet się obraziła.

- Nawet dorośli mężczyźni potrzebują czasami pociechy.

- Kiedy człowiek coś sfuszeruje, sam to powinien naprawić. Tylko on ponosi za to odpowiedzialność, tylko on, nikt inny.

- Myli się pan, sir. Jeżeli popełniłabym błąd, nie zawahałabym się poprosić rodziny o pomoc.

Chase stanowczo spojrzął jej w oczy.

- Nie dowiemy się, jak postąpilibyśmy w pewnych okolicznościach, dopóki te okoliczności nie zaistnieją.

- Ja wiem, jak postąpiłabym w każdych okolicznościach. A ten, kto ma sekrety przed własną rodziną, jest nędznym samolubem.

Chase zeszywniał, tysiące replik paliło mu usta, które jednak uparcie pozostawały zamknięte.

- Um, Harriet? - odezwała się Ofelia, z zainteresowaniem spoglądając to na jedno, to na drugie z nich. - Czy mogę powiedzieć mamie, że już jedziesz?

- Proszę, powiedz - odrzekła lakonicznie Harriet, nie odrywając ostrego spojrzenia od Chase'a.  
- Bardzo dobrze. - Ofelia czekała jeszcze chwilkę, ale ponieważ nikt się już nie odzywał, westchnęła, wbiła koniowi pięty w boki i oddaliła się kulawym kłusem.  
Chase oderwał spojrzenie od Harriet, żeby sprawdzić, czy Ofelia znalazła się poza zasięgiem słuchu. Zanim się znowu do panny Ward odwrócił, zdążyła już zaszczycić swoją osobą kozioł wozu, utkwic spojrzenie prosto przed siebie i ująć lejce w dłonie.  
-Jadę do domu - oznajmiła, nie oglądając się na niego. -Jeżeli życzy pan sobie, by pana podwieźć, proszę wsiadać.  
Powiedziała to tak, jakby musiała każde słowo wyduszać z siebie siłą.  
Chase poprawił stanowczym gestem kapelusz na głowie.  
- Pójdę pieszo.  
- Całą drogę do domu? - Już zaczynała coś mówić, ale urwała i wzruszyła ramionami. - Bardzo dobrze. Zobaczmy się przy kolacji. Proszę tylko pamiętać, że dziś wieczorem lady Cabot-Wells ma dokonać inspekcji kapitana Frakenhama. Za nic nie powinien się pan pokazywać przy stole, woniejąc maścią dla owiec.  
Co za wiedźma, zachciało jej się rozkazywać mu, jakby był jej własnością.  
- Pani również za nic nie powinna pokazywać się przy stole w tej sukni - odparł. - Jest paskudna.  
Harriet powoli odwróciła się i zmierzyła go baczным spojrzeniem od stóp do głów, przyglądając się kolejno przydeptanym butom, spłowiałym spodniom i obszarpanemu kapeluszowi.  
-Jak to dobrze, że rad może mi w sprawie mody udzielić tak wysoko kwalifikowany specjalista. - I, mówiąc to, uśmiechnęła się triumfalnie, odwróciła i popędziła konie, zostawiając Chase'a pod płotem.

## 18

*Tylko niech nikt nie mówi, że porządna butelczyna brandy nie sprawia mi od czasu do czasu przyjemności. Bo chociaż nie potrafię sobie na ogół tej przyjemności przypomnieć, musi mi wtedy być miło, inaczej bym przecież do tego nie wracał.*

Edmund Valmont do Anthony'ego Elliota, hrabiego Greyley, kiedy siedzieli u White'a i raczyli się brandy

Samolubny? Jak ona śmie? Chase gwałtownym ruchem pchnął drzwi wejściowe, jego buty załomotały głośno na wypolerowanej, drewnianej podłodze. Droga na piechotę do domu zajęła mu niemal dwie godziny. Był zmęczony, obolały, brudny i stanowczo zbyt świadom otaczającej go, smrodliwej woni maści dla owiec, by mieć dobre samopoczucie.

Do cholery z Harriet i jej ograniczonym poglądem na różne sprawy. Wcale nie jest samolubny. Ileż to razy spieszył na ratunek braciom i przyjaciółom? Co prawda niewielu z jego przyjaciół potrzebowało pomocy - poza Harrym Annesleyem, oczywiście. Chase przystanął w holu na wspomnienie o Harrym, ale szybko się z niego otrząsnął. Nie jest samolubem. To czysty absurd, żeby tak myśleć.

Można się było tego spodziewać po Harriet Ward, tej najbardziej upartej i skłonnej do przesady dziwaczce ze wszystkich znanych mu niewiast, że rzuci takie nieprzemyślane słowo jak „samolub”, nie troszcząc się ani przez chwilę o uczucia rozmówcy.

Do uszu Chase'a doszedł cichy odgłos dziewczęcych głosów: Sophia i Ofelia zajęte były bez reszty rozmową. Przystanął i zerknął w górę schodów.

Nie odczuwał najmniejszej przyjemności na myśl, że mógł komuś zadać ból. Dobrze wiedział, że już przekroczył przypadający na niego po sprawiedliwości w tej dziedzinie limit. Kiedy przymknął oczy, widział spopielała z przerażenia twarz kobiety, którą przejechał powozem, słyszał stukot kopyt na kocich łbach i czuł narastającą panikę, z jaką uświadamiał sobie, że nieznajomej nie uda się uciec.

Na wspomnienie tego bólu stanął u podnóża schodów jak wryty. W powietrzu unosiły się złote drobinki kurzu, płynące z góry głosy przycichły do ledwo słyszalnego pomruku. Poza tym w holu panowała cisza. Pachniało w nim lekko pastą i wapienną zaprawą.

Drzwi do biblioteki otworzyły się i próg przekroczyła Harriet, ubrana w muślinową suknię w zimnym odcieniu błękitu. Miała czas wykapać się i przebrać, i upiąć sobie włosy na czubku głowy. Gdyby nie znamienne, spowodowane pobytem na słońcu zaróżowienie policzków i okropna opa-

lenizna na rękach i nosie, powiedziała, że ta panna pasuje raczej do salonu niż na pastwisko. Właśnie miała zamknąć drzwi, ale na jego widok zamarała w bezruchu, na jej twarzy ukazał się przelotny wyraz skruchy, a zaraz po nim pojawił się ośli upór. Bródka Harriet wysunęła się do przodu.

- Udało mi się wrócić - odezwał się ponuro Chase, świadom, że wygląda paskudnie i pachnie tak samo. - Gdyby pani niepokoiła się o moje bezpieczeństwo.

- Nie niepokoiłam się. - Zatrzasnęła za sobą drzwi. - Nawet osioł przejdzie wiorstę czy dwie i nie musi wpaść przy tym do rowu.

Złośliwa kokietka. Chase podszedł bliżej, unieruchamiając ją przed drzwiami. Tylko cal dzielił jego ubłocone spodnie od świeżej spódnicy panienki. Nos Harriet się zmarszczył.

- Pachnie pan jak...

- Wiem dokładnie, czym pachnę. Nie miałem się czasu wykapać. Jeszcze.

- Niech się pan nie krępuje i opłucz się w korycie pod stodołą, zanim przygotowują panu kąpiel.

- Jest pani niepoprawna.

- Czy zdarza się panu powiedzieć o kimś coś miłego?

Zabolało go to.

- Próbowałem tylko zwrócić na coś pani uwagę. Pani rodzina za mocno się na pani opiera.

- Wcale nie. Czy rodzina nic dla pana nie znaczy?

Oczywiście, że znaczy. Miał rodzinę i był z nią w bardzo zażyłych stosunkach. Nie potrafił sobie wyobrazić bez nich życia. Ale zaczynał rozumieć, że jego kłopoty wzięły się po części stąd, iż może zbyt dobrze się nim opiekowali. Ich motywom nie można było oczywiście niczego zarzucić: kierowały nimi miłość i troska. Ale, działając, nie zawsze poprawiali stan rzeczy.

Jak się teraz nad tym zastanowił, uświadomił sobie, że zawsze, jak tylko działo się coś złego, jego bracia nie tylko murem przy nim stali, ale często naprawiali popełnione przez Chase'a błędy, by sam ich nie musiał naprawiać. I może dlatego, kiedy zwałił się na niego naprawdę poważny problem, nie był w stanie stawić mu czoła. Poza tym aż do tamtej chwili nigdy nie musiał tego robić.

Potrząsnął głową.

- Nie oddaje pani braciom i siostram przysługi, kiedy biegusiem usuwa pani wszystkie trudności, jakie mogliby napotkać na swojej drodze.

Harriet popchnęła go lekko dłonią w pierś.

- Za nic nie chciałabym okazać się niegrzeczna, ale czy mógłby się pan troszkę cofnąć? Ta woń...

- Jeżeli ja muszę śmierdzieć maścią dla owiec, to pani powinna ją wachać. W końcu to pani mnie nią wysmarowała.

- Do licha! Miał pan pęcherze. Co mogłam innego zrobić?

- W ogóle nic. Ma pani szczęście, bo jestem za bardzo zmęczony, by dłużej się z panią kłócić. - Cofnął się na tyle, że zdołała się wymknąć.

Wyminęła go z szelestem świeżego muślinu i rzuciła przez ramię:

- Poproszę Jane, żeby przygotowała panu kąpiel.

- Dziękuję pani.

- Proszę mi nie dziękować. Lady Cabot-Wells jest już w drodze i matka spodziewa się pana przy kolacji. A przynajmniej ja nie mam najmniejszej ochoty zasiąść obok pana, dopóki pachnie pan jak chora owca. - Z tymi słowami odwróciła się i ruszyła na górę.

Chase przyglądał się pięknemu zarysowi pleców Harriet, widocznemu pod cienkim muślinem. Jego zmęczone i obolałe ciało zareagowało w jednej chwili. Szlag by to najjaśniejszy, co ona takiego w sobie ma, że na jej widok cały zajmuje się płomieniem jak hubka? Spał z tyloma kobietami... nie miał nawet ochoty liczyć, z iloma. Ale Harriet Ward, sztywna i pruderyjna, i całkowicie niepodobna do żadnej ze znanych mu dam, potrafiła rozpaść go do białości, po prostu wchodząc na schody. Cholera jasna, nie będzie o tym myślał. Nie teraz.

Teraz wślizgnie się do biblioteki i odszuka tę książkę, którą wcześniej czytał. Przyda mu się kilka świeżych „wspomnień” o życiu na morzu, jeżeli znowu ma dostarczać żeru plotkom.

Przygotowanie kąpeli chwilę musi potrwać i miło byłoby odprężyć się z książką, zanim trzeba będzie przywdziać oficjalny strój kapitana Frakenhama i bawić towarzystwo. Chase skierował się do drzwi biblioteki, przez które wyszła wcześniej Harriet, i przekroczył próg.

W środku zobaczył Stephena, który opierał się jednym ramieniem o gzyms nad kominkiem. Kule

stały tuż obok niego. Najstarszy Ward głowę trzymał opuszczoną, a na jego twarzy malował się wyraz oślego uporu. W ręku ścisnął kieliszek. Chase zawahał się, bo zrozumiał, że zanosi się na sytuację kryzysową.

Stephen musiał go usłyszeć, bo uniósł głowę. Wzrok jego padł na Chase'a.

- Och - burknął nadąsany. - To pan. - Zbliżył kieliszek do ust i jednym haustem wychylił jego zawartość, przy czym lekko się zakrztusił.

Do Chase'a doszedł zapach brandy. Brwi podjechały mu do góry.

- Czy pana siostra wie, że pan pije?

- Tak - odpowiedział Stephen. Oczy mu płonęły. - Ale ani ona nie jest moją niańką, ani pan, sir. Mam dziewiętnaście lat i mogę robić, co chcę.

Chase już otwierał usta, ale się pohamował. Normalnie zareagowałby na takie stwierdzenie szybką i brutalną ripostą, taką, która pokazałaby beczelnemu szczeniakowi, gdzie jest jego miejsce. Ale gdzieś na dnie umysłu rozdzwijały mu się słowa „nędzny samolub”, które ktoś wydawał się raz za razem powtarzać.

Westchnął. Naprawdę nie miał wyboru.

- Bardzo dobrze. Zacznijmy więc od początku. Stephen, jak miło pana widzieć.

Stephen parsknął gorzkim śmiechem i pokazał mu plecy. Twarz chłopca poczerwieniała od alkoholu, oczy niepokojąco się skrzyły.

Chase potarł podbródek. Co powinien teraz zrobić? Po prostu wziąć książkę i wyjść? Ale nie, przecież dokładnie tego spodziewałaby się po nim Harriet. Niech go cholera, jeżeli dopuści, żeby ta panna miała rację.

- Co pana trzyma tu, w bibliotece? Wydaje mi się, że niedługo ma zostać podana kolacja. - Podeszedł bliżej do stolika.

- A co mnie to obchodzi... - Stephen skrzywił się. - Co tak śmierdzi?

- To moje ręce. Porobiły mi się pęcherze i pana siostra potraktowała je maścią dla owiec.

Stephen przycisnął dłoń do nosa.

- Okropność. Mam nadzieję, że zamierza się pan wykapać,

- Jak tylko nagrzej się woda. - Chase przyglądał się Stephenowi przez chwilę. Jego uwagi nie uszło to, że młody człowiek patrzy na niego z ponurym skupieniem. - Harriet powiadomiła pana, kim naprawdę jestem, czy tak?

Stephen przytaknął.

- I że przez cały czas wiedział pan, kim jest. Harriet wydaje się sądzić, że nie było w tym ze strony pana złej woli. Ja... - Przygryzł na moment wargę, potem powiedział: - Proszę pozwolić, że przeproszę w imieniu mojej rodziny również za nasze oszustwo. Jestem pewien, że sytuacja musiała się panu wydawać bardzo dziwaczna.

- Nonsens. Mieliście państwo bardzo rozsądny pomysł, inaczej nigdy bym na niego nie przystał. Gdybym to ja był na państwa miejscu, też bym pewnie jakiegoś kapitana Frakenhama wymyślił.

- Mimo wszystko dziękuję panu - podjął Stephen sztywno. - Okazał pan wielką uprzejmość.

Chase przyglądał się chłopcu z zaciekawieniem. Stephen przemawiał lodowato grzecznym tonem, ale dawała się pod nim wyczuć szczerą udreka. Jak należy postąpić, jeżeli chce się skłonić kogoś do zwierzeń? Zastanawiał się, co zrobiłaby w takiej sytuacji Harriet.

Milczał przez chwilę, a potem westchnął. Nie ma wyjścia, trzeba złapać byka za rogi.

- Co się z panem dzieje?

Stephen zeszywniał.

- Nic się ze mną nie dzieje.

- Nonsens. Zwykle nie bywam wyczulony na nastroje i takie różne innych ludzi, ale nawet ja widzę, że ma pan chandrę..

Stephen się zaczerwienił.

- To nic takiego... ja nie... pan by nie zrozumiał.

Chase ponuro zerknął na książkę. Gdyby wszystko ułożyło się po jego myśli, w bibliotece nie zastałby nikogo. Kartkowałby teraz książkę, szukając takiej żeglarskiej opowieści, która nadawałaby się w sam raz dla lady Cabot-Wells.

- Chodzi o kobietę - wykrztusił wreszcie Stephen.

- To oczywiście, że o kobietę.

Stephen spozjrzał na niego ostro.

- Co pan rozumie przez „oczywiste”?

- A z jakiego to innego powodu mógłby w pełni dorosły mężczyzna pozwolić, by go w środku dnia ogarnęły takie czarne myśli? Musi chodzić o kobietę.

- Pewnie tak - przyznał bez entuzjazmu Stephen. Wbił wzrok we własne dłonie, dolna warga mu się rozluźniła, a potem leciutko zadrżała.

Chase pomyślał ze zgrozą, że za chwilę młodzieniec może zalać się łzami.

- No, no! Widzi pan, co z człowiekiem wyprawia brandy? - Rzucił ostatnie, pełne żalu spojrzenie na książkę, potem zasiadł na krześle w pobliżu przygarbionego Stephena. - Niech mi pan opowie o tym swoim wzorze cnót wszelkich.

- Opowiedzieć panu? - Gorzki śmiech Stephena działał Chase'owi na nerwy. - Nie mogę w to uwierzyć! Pan, który, trudem potrafi zamontować żerdź w płocie, chce mi udzielać rad. Na Boga, boki zrywać!

Chase'owi udało się uśmiechnąć.

- Niech mi pan w tej sprawie zaufa. Jeżeli potrafię sobie z czymś dobrze radzić, to właśnie z płcią piękną.

- Zapomina pan, że widywałem pana w towarzystwie Harriet.

Uśmiech Chase'a zniknął.

- Pana siostra nie należy do kobiet przeciętnych. Ona jest... - Uparta. Krnąbrna. Protekcyjna, kiedy nic jej do tego nie upoważnia. I nie do zniesienia dumna. Podsumowując, Harriet Ward chce zawsze mieć ostatnie słowo. Chase zauważył pytające spojrzenie Stephena. - Pana siostra doprowadza mnie do szału.

Na ustach młodego człowieka ukazał się cień uśmiechu, od którego jego wymizerowana twarz złagodniała.

- Na wszystkich nas tak działa. Ojciec zwykł był mówić, że Harriet ma stalowy kręgosłup i kiedy jest niezadowolona, potrafi jednym spojrzeniem zamrozić sadzawkę.

- Pana ojciec był mądrym człowiekiem.

Stephen przeniósł wzrok na wytarty dywan, na którym stał, i się skrzywił.

- Pod pewnymi względami. Gdyby miał lepszą głowę do interesów, nie musielibyśmy walczyć o to, by dokonać tej spłaty.

- Każdy z nas ma swoje wady.

Ward spozjrzał mu w oczy. Wzrok miał twardy i nieustępliwy.

- A jakież to pan ma wady?

Mało brakowało, a Chase straciłby na tę zuchwałość opanowanie. Ale gdzieś na samym dnie jego pamięci cichutką, melodyjką rozdzwoniło się pewne wyblakłe wspomnienie. Miał lat piętnaście, o kilka mniej niż Stephen, i był beznadziejnie, nieodwracalnie „zakochany” w boskiej pannie Letitii Overhill, pulchnej piękności o lnianych włosach, niebieskich oczach i porywająco uroczych dołeczkach.

Letitia wszystkie swoje plany i nadzieje wiązała z tytułem, a Chase, jako młodszy syn, takiego nie miał. Czuł się zdruzgotany. Oczywiście teraz dzięki składał swoim szczęśliwym gwiazdom, że uszedł z tego cało, chociaż wtedy byłby przysiągł, że już nigdy uśmiech nie zagości na jego twarzy.

- Mam bardzo, bardzo wiele przywar. A wcale nie ostatnią z nich jest tendencja, by patrzeć na wszystko wyłącznie z własnego punktu widzenia i niczyjego innego, oraz fatalna skłonność, by wmawiać w siebie, że jeżeli wystarczająco szybko będę uciekał, to przynajmniej niektóre z moich problemów znikną. - Chase aż się w głębi serca wzdrygnął, tak prawdziwe było to wyznanie.

Stephen przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- To rzeczywiście poważne wady.

- Staram się je przezwyciężyć. Poza tym nikt nie jest doskonały. Nawet mój ojciec, a w życiu nie spotkałem bardziej wspaniałomyślnego człowieka, miał swoje słabostki. Kochał nas wszystkich serdecznie, ale brakowało mu cierpliwości do dzieci. - Chase pokazał na stojące naprzeciw niego krzesło. - Niechże pan spocznie. Zaczyna mnie strzykać w karku.

- Nie chcę siedzieć.

Chase parsknął, poirytowany.

- Musi się pan sprzeciwiać wszystkiemu, co powiem? Dużo jest pan bardziej podobny do siostry, niż

się panu zdaje.

Wargi Stephena drgnęły.

- Harriet nie zgodziłaby się z panem.

- To tylko dodatkowo powinno pana przekonać, że mam rację.

Stephen westchnął.

- I pewnie ma pan rację.

Wziął kule spod ściany i po drodze do wskazanego przez Chase'a krzesła napełnił sobie ponownie kieliszek.

Chase aż się wzdrygnął, widząc, ile brandy chłopak chlupnął do kieliszka, ale rozsądnie powstrzymał się od komentarzy.

Stephen oparł kule obok krzesła i opadł na siedzisko. Trzymając brandy w dłoni, przypatrywał się Chase'owi z kompletnym brakiem szacunku.

- To idiotyczne. Jakim cudem mógłby pan pojąć moją sytuację?

- Jestem starszy, jestem mężczyzną i kiedyś byłem w pana wieku. Niech mi pan powie, w czym problem z tą kobietą.

- Nie ma żadnego problemu. Przynajmniej jeśli chodzi o nią. - Całe nadąsanie zniknęło bez śladu z twarzy Stephena - Ona jest aniołem.

- Jeżeli ona jest aniołem, to czemu pana diabli biorą?

- Bo jest poza moim zasięgiem.

- Kto panu tak powiedział?

- Ona.

Chase się skrzywił.

- A to wiedźma.

Stephena aż podniosło na krzesło.

- Ona nie jest żadną...

- Niech się pan uspokoi. Wszystkie kobiety to wiedźmy. Bez wyjątku. - A zwłaszcza ta brązowooka, która pewnie w tej chwili knuje, czym by go jeszcze dodatkowo zirytować.

Dłonie Stephena zacisnęły się w pięści.

- Nie podoba mi się pana ton.

Naprawdę nie najlepiej mu to wychodzi. Popatrzył na obrażoną twarz Stephena i zdusił westchnienie. Może... może Harriet w jednym miała rację. Może jest w nim rzeczywiście jakaś niewielka cząstka samolubna. Ale taka całkiem malusieńka. Absolutnie nie mógł sobie przypomnieć, czy zdarzyło się już, by prosił kogoś, poza swoimi braćmi, by podzielił się z nim swoją troską.

Stephen przełknął haust brandy, odstawił kieliszek i chwycił kule.

- Żałuję, że słowo na ten temat do pana powiedziałem...

- Przepraszam, jeżeli pana obraziłem, ale nie jestem przyzwyczajony do roli powiernika. Pan jest moją pierwszą próbą.

Stephen się zawahał.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

- No to dlaczego pan to zaproponował?

- Bo nazwano mnie samolubem i postanowiłem dowieść, że to stwierdzenie jest fałszywe.

Na twarzy Stephena zaświtało zrozumienie.

- A. Kłócił się pan z Harriet. To do niej podobne, by coś takiego powiedzieć.

- Ja się wcale nie kłócę. To ona się kłóci. Ja po prostu wzbraniam się słuchać.

Stephenowi udało się lekko uśmiechnąć.

- Sam się raz czy dwa znalazłem w podobnej sytuacji.

Ku swemu zaskoczeniu Chase odpowiedział mu uśmiechem.

- Zuchwały szczeniak z pana, wiedział pan o tym?

Stephen zawahał się, potem odstawił kule.

- Przepraszam za mój zły humor. Nie wiem, co mnie napadło...

- Miłość. Zdaniem poetów potrafi ona zrobić idiotę z każdego mężczyzny. A przynajmniej tak mi wystarczająco często powtarzał mój najstarszy brat.

- A on w to wierzy?

- No cóż, uważa, że dotyczy to wszystkich poza nim samym. Z czego wynika, że on również nie jest nieomylny. Przekonany nawet jestem, że kiedy Marcus się zakocha, okaże się to dla niego gorsze niż dla całej reszty z nas, bo my wszyscy mieliśmy mnóstwo praktyki. Porobiły się nam już odciski na sercach, można by powiedzieć. A jego tymczasem nie chroni nic oprócz dumy.

- Nigdy nie uważałem dumy za ochronę.

- A powinien pan. Ale rozmawialiśmy o pana fatalnym położeniu. Jest pan zakochany w kobiecie, która mówi, że pana przewyższa.

Stephen posępnie pokiwał głową.

- Nie wyraziła się całkiem tak, ale prawie.

- A co dokładnie powiedziała?

- Że jest... no - Stephen się zarumienił. - Powiedziała że jest starsza. I jest, ale tylko o dwa miesiące.

Chase musiał przygryźć od wewnątrz wargę, żeby opanować uśmiech. Walczył ze sobą przez chwilę i w końcu udali i mu się powiedzieć beznamyślnie:

- Co za tupet.

Stephen osunął się niżej na krześle.

- Przestrzegałem pana, że sytuacja jest paskudna.

- Proszę opowiedzieć mi coś więcej o tej tajemniczej damie.

- Co pan chce wiedzieć?

- To co zwykle... kolor włosów, oczu...

- Wiedziałem, że nie potraktuje pan tego poważnie. Uzna za dziecinne zadurzenie...

- Niczego takiego nie myślę. To jedna z charakterystycznych cech miłości, że zawsze wydaje się prawdziwa. Nawet jeżeli nie jest.

- Ta jest prawdziwa!

Chase mądrze nie zareagował.

- Czy wyznał pan panie Strickton swoje uczucia?

- Próbowałem, ale ona nie pozwala mi o nich mówić. Co gorsza, od czasu, kiedy wyjechała do Londynu na sezon, bez przerwy otaczają ją wielbiciele. Z trudem udaje mi się z nią zamienić choćby słowo.

- A więc oto pana pierwsze zadanie. Musi pan zwrócić na siebie jej uwagę. Jestem pewien, że wszystko zmieni się, kiedy zaimponuje jej pan swoją szczerością i głębią oddania.

- Tak sądziłem. Pisałem do niej wiersze...

- Wszyscy to robią, od kiedy pojawił się ten Byron. Co jeszcze?

- Kwiaty. Ale ona dostaje codziennie całe naręczą.

- Zbyt pospolite. Musi pan wymyślić coś bardziej romantycznego, z fantazją. Wie pan, jakie są kobiety, zawsze rozplývają się nad takim czy innym teatralnym gestem.

Stephen przygryzł wargę.

- Ma pan oczywiście rację. Musi się znaleźć coś...

Chase postukał palcami po poręcz krzesła. Zapadło przeciągłe milczenie.

- Przypuszczam, że biżuteria byłaby nazbyt zuchwała?

- Jej ojciec na samą myśl buchnąłby żywym płomieniem,!

St. John potarł grzbiet nosa palcami i skrzywił się na ich zapach. Opuścił dłoń znowu na kolana. Było coś bardzo przyjemnego w odgrywaniu roli dojrzałego doradcy. Odchrząknął i powiedział stentorowym głosem:

- Tak, Stephenie, miłość jest bardzo... - Urwał i się zamyślił. Jak to ująć? - Miłość jest bardzo trudną emocją do zrozumienia. - No. Wszystko się mieściło w tym zdaniu, której równocześnie nie mówiło nic konkretnego.

Stephen natychmiast się do jego stwierdzenia przyssał.

- Tak! Ma pan absolutną rację! Gdybym tylko mógł doprowadzić do tego, by Charlotte zrozumiała, co czuję, że to więcej niż zwykle, dziecinne zadurzenie. - Czoło mu się zmarszczyło z namysłem, popijał z roztargnieniem brandy.

Chase przyglądał się, jak poziom trunku w kieliszku opada.

- Wie pan, na pana miejscu uważałbym z piciem. - Uniósł dłoń, kiedy oczy Stephena gniewnie błysnęły. - Nie zamierzam już słowa więcej powiedzieć, tylko że sam z własnego wyboru nie jeden problem sobie wyciągnąłem z butelki.

- Piję dopiero drugi kieliszek.

A to oznaczało całkiem sporą ilość brandy, jeżeli nigdy się wcześniej nie piło. Na tym etapie Chase jednak miał już niewiele do powiedzenia. Kieliszek był niemal pusty, a Stephen nie wyglądał na bardzo wstawionego. Może chłopak ma mocną głowę.

- Nie przypuszczam, żeby sugestia, by pan zapomniał chwilowo o pannie Strickton, została mile przez pana przyjęta.

- Nie mógłbym. Nie ma pan pojęcia, jaka ona jest. Jak się uśmiecha. Jak wygląda, kiedy próbuje podjąć jakąś decyzję. Jak ja się czuję, kiedy mam ją w pobliżu. - Stephen z pełnym zdumienia zachwytem potrząsnął głową. - Kocham ją i żadną inną.

Fatalnie chłopak wpadł. Chase niejasno podejrzewał, że potrafi zrozumieć fascynację Stephena. Podobna była do emocji, które budziła w nim Harriet.

Jako człowiek bardziej dojrzały nie wyobrażał sobie od razu, że się zakochał, daleki był od tego. Ale istniały kobiety, które ze zdumiewającą łatwością potrafiły pobudzić jego gniew, nie mówiąc już o innych fragmentach osoby.

Poza tym kobieta, która nie chciała dać się oczarować, miała w sobie coś szczególnego. Chase dopiero ostatnio zaczął sobie z tego zdawać sprawę. Może chodziło o wyzwanie. O wzajemne ustępstwa stron inteligentnych i mających dobrze poukładane w głowie.

Dziwne, że nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo takie rzeczy są ważne.

Tego typu kobiety trzeba traktować stanowczo. Działać bezpośrednio.

- Szkoda, że nie może pan wtargnąć konno w sam środek jakiegoś przyjęcia, przerzucić jej sobie przez siodło jak ten rycerz, jak mu tam, Loch... coś tam, no, ten z wiersza sir Waltera Scotta - mruknął z namysłem. - Dużo dobrego dałoby się powiedzieć o tak zdecydowanym postępowaniu.

Stephen zamrugnął oczami.

Chase lekko poruszył ramieniem i się skrzywił.

- Może powinien pan zacząć od czegoś skromnego i stopniowo przygotowywać ten swój wspaniały, wielkopański gest. Zacząć, powiedzmy, od... sam nie wiem... może od pikniku. Taki piknik potrafi być romantyczny, jeżeli się go odpowiednio przygotowuje. - Wyobraził sobie, jak zabiera Harriet na piknik. Kosz z jedzeniem... z dobrym jedzeniem, nie z tym prowiantem, który dostawali przy pracy w polu... koc rozłożony nad strumieniem, może troszkę wina. Uwielbiał patrzeć, jak słońce budzi we włosach Harriet ciepłe, złociste błyski. A gdyby byli sam na sam, nie da się przewidzieć, ile pocałunków zdołałby wycisnąć na jej wargach.

Ten pomysł zasługuje na uwagę. Może powinien...

Stephen klepnął się po kolanie, kłaśnieć przerwało ciszę niczym wystrzał.

- Na Boga, ma pan rację! - Głos kipiał mu entuzjazmem. Chwycił kule, zerwał się na nogi i, zanim Chase zdążył sformułować jakieś zdanie, był już w pół drogi do drzwi.

- Stephen! Co pan...

Ale Stephen już przekraczał próg. Jego imponujące wyjście popsuł nieco fakt, że lekko potknął się, mijając stolik do herbaty, i niewiele brakowało, a byłby go wyrzucił.

- Stephen! Dokąd pan się wybiera?

- Zdobyć damę mego serca - odkrzyknął Stephen radośnie.

O. No cóż. To brzmiało dużo bardziej optymistycznie; i stanowczo niż ckliwe dumania, na których zastał chłopaka Chase, wszedłszy do biblioteki.

- Górą nasi! Życzę panu szczęścia.

- Dzięki! Chociaż, jeżeli mi się naprawdę poszczęści...

Jego twarz rozświetlił szeroki uśmiech. - Zamelduję się za godzinę! - Zasalutował i zniknął za progiem, potykając się jeszcze po drodze o skraj dywanu.

Chase został za zamkniętymi drzwiami sam. Przeniósł wzrok na krzywo stojący stolik, potem na niemal pustą karafkę po brandy. Cieszył się, że Stephen tak się ożywił, dręczyło go jednak niedwuznaczne uczucie, że coś mu umknęło. Coś istotnego.

Łamał sobie nad tym przez chwilę głowę, potem wzruszył, ramionami. Jakie to ma znaczenie; przecież udało mu się chłopaka pocieszyć, a to nie w kij dmuchał. Przekonany był, że jak tylko Harriet się o tym dowie, pokornie się będzie przed nim kajała, że kiedykolwiek nazwała go samolubem. Z poczuciem, że wielki z niego altruista, podniósł się z krzesła i wyszedł z biblioteki, by sprawdzić, czy przypadkiem kąpiel nie jest już gotowa.

*Powiadają, że miłość to najwspanialsza z namiętności. Poza może samą namiętnością.*

Anthony Elliot, hrabia Greyley, do swojej żony, kiedy jechali z wizytą do przyrodniego brata hrabiego, Marcusa St. John, markiza Treymount

Devon wbiegał po szerokich stopniach, dźwięcznym tupaniem oznajmiając o swej obecności. Treymont House, położony w samym sercu Mayfair, był rezydencją budzącą cześć i podziw. Nie brakowało w niej skarbów ani antyków, ale również i najnowocześniejszych wygód i udogodnień.

Nawet w tej najbardziej ekskluzywnej okolicy Londynu dom zwracał na siebie uwagę. Wysokością górował nad sąsiadami, jego bramę wejściową zdobiła wybitnej jakości kamieniarka. Żywopłoty po obu stronach podjazdu wydawały się niemal przerażająco doskonałe. Oczywiście Marcus na nic innego by nie pozwolił.

Na wielu ludziach dom ten robił wrażenie zimnego i trochę przytłaczającego, ale dla Devona, który niezliczoną ilość razy zjeżdżał tam po poręczach schodów i często wyskakiwał z okna na parterze, uciekając przed kucharką, której ukradł gorący pieróg czy placek, Treymont House był po prostu domem. A przynajmniej był nim do czasu, kiedy młody człowiek wyprowadził się w wieku dziewiętnastu lat na własną kwatere.

- Sir - powitał go z uśmiechem kamerdyner, zobaczywszy, kto tak łomocze do drzwi. - Wiele czasu minęło.

- Cześć, Jeffries. Wcale nie tak wiele. Dwa tygodnie, nie więcej. - Devon przekroczył próg i podał kapelusz kamerdynerowi. - Czy jaśnie pan już wstał? Czuję potrzebę zakłócenia spokojnej egzystencji mojego brata.

- Raczej nie nazywałbym egzystencji pana markiza spokojną. A na nogach jest od świtu. Ma już nawet za sobą spotkanie ze swoim plenipotentem, adwokatem, jak również dwoma nowymi inwestorami.

- A tym samym ukazuje światu, jacy naprawdę jesteśmy, co? Jeśli chodzi o moje dzisiejsze osiągnięcia, mogę pochwalić się zjedzeniem śniadania i zawiązaniem krawata, niczym więcej.

Jeffries ukłonił się z podziwem.

- Nie potrafię niczego powiedzieć o pańskim śniadaniu, ale krawat jest niezrównany.

Devon wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Cholerny świat! Żałuję, że nie daje się pan odbić Marcusowi. Płaciłbym panu dwa razy tyle, co pan jest wart, i nigdy już nie musiałby pan otwierać tych ciężkich wrót.

- Dziękuję panu, sir. Będę pamiętał o pana propozycji. Jaśnie pan jest w bibliotece. Czy mam pana zapowiedzieć?

- Dobry Boże, nie. Sam się zapowiem. - Devon ruszył w kierunku szerokich drzwi na końcu holu, ale po drodze przystanął i zapatrzył się na olbrzymi gobelin, który ozdabiał teraz ścianę, a przedstawiał krwawe pole bitwy.

- Mój brat powinien to odesłać tam, skąd przyszło. W życiu nie widziałem czegoś tak ohydneho.

- Lord Greyley niecałe dziesięć minut temu zareagował w bardzo podobny sposób.

Devon odwrócił się, by spojrzeć na kamerdynera.

- Mój przyrodni brat też tu jest?

- Tak, sir. Jak również pani hrabina i jedno z ich dzieci. Jak mi się zdaje, przyjechali do miasta na konsultację z lekarzem, a przynajmniej tak w mojej obecności mówiła pani hrabina.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego. Dziękuję panu, Jeffries. - I Devon, postukując dźwięcznie obcasami o marmurową podłogę, podszedł do drzwi biblioteki. To dobrze, że jest tu Anthony. Może im się przydać jego spokojna logika.

Zapukał lekko do drzwi i przekroczył próg. Anthony opierał się o gzyms. Był mężczyzną tak okazalej postury, że przy nim nawet monstrualnie rozrośnięty kominek wydawał się niewielki. W przeciwieństwie do przyrodniego rodzeństwa włosy miał złotobrazowe. Zawsze przypominał Devonowi niedźwiedzia: wielkiego, warkliwego, ale przyjaznego.

Jego żona, Anna, siedziała tuż obok na fotelu, w porannym słońcu jej rudawe włosy przybrały ciepły odcień. Jedno z ich wielu dzieci przycupnęło przy niej, bawiąc się chwaścikiem od poduszki.

Nie minął jeszcze rok od czasu, kiedy Anthony odziedziczył w spadku pięcioro dzieci i Anna

przybyła do jego domu jako guwernantka. Nie ma co ukrywać, że z miejsca między nimi coś zaiskrzyło i w zdumiewająco krótkim czasie zakochali się w sobie nawzajem. Devon usiłował wyrzucić z pamięci fakt, że zatracony pierścionek był wtedy właśnie u Anthony'ego.

- Devon! - zawołał Anthony. - Co ciebie tu sprowadza? Nie cierpisz chyba na brak funduszy?

-Ja? Nigdy mi ich jeszcze nie zabrakło - odpowiedział Devon, podchodząc, by przywitać się z przyrodnim bratem. -Należę do grona szczęściarzy, nie pamiętasz?

- A, tak. Ten, który nigdy nie przegrywa. Jakże mogłem zapomnieć?

- Nie mam pojęcia, wystarczająco często ci o tym przypominałem. A co ciebie sprowadza do Londynu?

- Mój syn, Richard - wyjaśnił Anthony, pokazując głową na chłopca, który siedział obok Anny. - Anna przekonana jest, że mały ma kłopoty ze słuchem i dlatego nie mówi tak dobrze, jak powinien. Anna uśmiechnęła się nad głową chłopca do Devona.

- Marcus poszedł dowiedzieć się od swego plenipotenty nazwiska lekarza, który specjalizuje się w takich sprawach.

Devon podszedł do chłopczyka i pochylił się nad nim.

- Cześć, Richardzie.

Richard podniósł wzrok i rozpromienił się na widok wuja. Kiedy jego wargi rozchyliły się w uśmiechu, okazało się, że brak mu szokującej ilości zębów.

Devon zachichotał i zmierzwił chłopcu włosy.

- Mam nadzieję, że niedługo wyrosną ci jakieś nowe zęby, albo nie poradzisz sobie z żadnym jedzeniem oprócz owsianki.

Uśmiech Richarda zrobił się jeszcze szerszy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i pojawił się w nich Marcus ze starannie napisanym listem w dłoni. Devon natychmiast się wyprostował.

- Patrzcie państwo! - odezwał się Marcus, spoglądając na niego pytająco. - Co cię tu sprowadza?

Najstarszy z braci, choć nie tak rośły jak Anthony, emanował pełnym surowości autorytetem, dzięki któremu natychmiast stawał się ośrodkiem zainteresowania. W reakcji na tę jego władczość większość ludzi podświadomie cofała się o krok. Oczywiście poza Chase'em. Chase nieodmiennie wykazywał więcej wigoru niż rozumu.

Devon kiwnął Marcusowi głową.

- Ciebie też miło zobaczyć. I nie obawiaj się, Anthony już się upewnił, że nie przybyłem tu, by prosić o pożyczkę.

Twarda linia ust Marcusa złagodniała w lekkim uśmiechu.

- Nigdy nie pożyczalesz ode mnie pieniędzy, chociaż wielokrotnie ci to proponowałem.

- Wolałbym połknąć rozżarzony kawałek węgla.

- Widzę, że jak zwykle dopisuje ci dobry humor.

- Może. Przyszedłem, by poradzić się ciebie w pewnej sprawie. - Devon zerknął na Annę i wrócił spojrzeniem do Marcusa. - Ale to może poczekać.

Marcus spojrział na niego ostro i skinął krótko głową.

- Bardzo dobrze. - Odwrócił się do Anny i wręczył jej list. -Proszę, moja droga. Oto list polecający. Jeżeli można coś dla Richarda zrobić, ten lekarz dopilnuje, by stało się to jak najszybciej. Oczekuje cię już teraz.

- Dziękuję - uśmiechnęła się Anna. Schowała list do torebki i pochyliła się nad Richardem. Dotknęła jego ramienia.

- Czas się zbierać - powiedziała półgłosem. Chłopczyk kiwnął główką i wstał.

- Czy mam z wami jechać? - zapytał Anthony.

- Och, nie, kochany - powstrzymała go Anna. - Zostań tu i dotrzyмай towarzystwa Marcusowi. Minęło już kilka tygodni, od kiedy wy dwaj mieliście okazję sobie pogadać. A ja migiem wrócę. - Wzięła Richarda za rączkę i poprowadziła go do drzwi. - Pa, Devonie! Czy zastanę cię tu po powrocie?

- Pewnie nie, ale wpadnę jutro z wizytą do Greyley House.

- Tylko żebyś mi o tym pamiętał - fuknęła Anna, udając surowość. - Bardzo byłabym niezadowolona, gdybym musiała jechać aż na St. James, żeby cię znaleźć.

- Wdarłabyś się nawet do White'a, prawda?

- A przynajmniej na pewno stanęłabym przed drzwiami i domagała się, bardzo głośno i z wielkim strapieniem, by się z tobą zobaczyć. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie mam wątpliwości, że pędem byś wtedy do mnie wyszedł.

Anthony zacmokał z dezaprobatą.

- Anno, błagam, nie groź tak Devonowi. Prowadzi przykładne kawalerskie życie i nie zna się na kobiecych żartach.

Devon potrząsnął głową.

- Mylisz się. Nie znam się na niczym oprócz kobiecych żartów.

Anna zachichotała.

- Biedaczysko! Czekam więc na ciebie jutro, Devonie. Marcus, pozwól, że jeszcze raz ci podziękuję.

- Skłoniła z wdziękiem głowę i wyszła za próg. Richard podążył tuż za nią.

Kiedy drzwi się zamknęły, Marcus zajął swoje miejsce przy biurku i rzucił Devonowi mroczne spojrzenie.

- Czyżbyś się zdecydował przyjąć moją radę i razem ze mną przystąpić do interesu spedycyjnego?

- Raczej nie. - Devon usiadł przed biurkiem, wyprostował nogi, światło lampy pięknie odbijało się w jego wyczyszczonych butach. - Przyszedłem w sprawie Chase'a.

Anthony opuścił swoje stanowisko pod gzymssem i zajął krzesło obok Devona.

- Chase'a? Czy on nadal próbuje się zapić na śmierć?

- Nie wiem. Kiedy go widziałem ostatnim razem, był rzeczywiście pijany, ale to miało miejsce już kilka tygodni temu. Onegdaj wpadłem do niego do mieszkania. Nie ulega wątpliwości, że wyjechał z miasta.

Marcus przesunął stos korespondencji na środek biurka i zaczął ją sortować.

- Jak długo go już tym razem nie ma?

- Ponad dwa tygodnie.

Brew Anthony'ego drgnęła.

- Może następna aktorka?

- Nie - powiedział z namysłem Devon. - A przynajmniej nie sądzę. Przekonany jestem, że tym razem coś się stało.

Marcus spojrzał mu w oczy.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Nie tylko spakował się i wyjechał, ale odprawił też na dobre swego lokaja. Podejrzewam, że nie ma zamiaru wrócić.

- Nigdy? - zapytał Anthony. Devon potrząsnął głową.

- Zabrał wszystko co ważne, łącznie z pierścieniem matki.

Marcus odłożył papiery.

- Jesteś pewien?

- Odszukałem jego lokaja. Chase dał mu szczodłą odprawę i zapowiedział, że nie wróci do Londynu. Powtarzam wam dokładnie to, co mi powiedziano.

Anthony potarł podbródek.

- Wciąż jeszcze mogłoby chodzić o kobietę.

- Zasięgnąłem języka na mieście. Ostatnio się z żadną nie związał. A przynajmniej nie w zeszłym miesiącu.

Zapadła cisza. Anthony i Marcus przetrawiali słowa brata. W końcu odezwał się Marcus.

- Chase'owi zdarzało się już wcześniej zniknąć. Nie jest to nic nadzwyczajnego.

- To prawda. Ale wizyta, którą złożył mi Harry Annesley, jest czymś nadzwyczajnym.

Anthony poprawił się na krześle. Delikatne drewno zaskrzypiało w proteście.

- Ścierpieć nie mogę obecności tego człowieka. Nigdy nie pojmę, dlaczego Chase dopuszczał go do swego towarzystwa.

Oczy Marcusa się zwięziły.

- Co z tą wizytą Annesleya?

- Byłem u White'a. Annesley podszedł i zapytał, dokąd wyjechał Chase. Powiada, że Chase winien mu jest pieniądze: karciany dług. Na dowód machnął mi przed nosem obligiem,

- Widziałeś ten oblig? - zapytał Anthony. - Czy podpisał się na nim Chase?

- Z pozoru tak. I to dlatego się obawiam, że coś musiało się stać.

- Wyjaśnij, co masz na myśli. - Głos Marcusa strzelił jak żagiel na wietrze. Wielu ludzi obawiało się najstarszego St. Johna, za jego opanowanym, spokojnym spojrzeniem kryła się moc. Miało się wrażenie, że siłą swego charakteru nie dopuszcza, by i tysiąc trzymany pod kluczem burz wyrwało się na swobodę.

Devon nie obawiał się tych burz, ale z siłą charakteru Marcusa należało się liczyć.

- Annesley usilnie starał się o to, by wszyscy u White'a zobaczyli ten sakramencki oblig. Wymachiwał nim jak jakąś cholerną flagą. Wydało mi się to niezwykle. Z wielką determinacją starał się również podsunąć każdemu, kto znalazł się w zasięgu słuchu, myśl, że Chase z powodu długu uciekł z miasta.

Anthony parsknął zde gustowany.

- Chase'a można o różne rzeczy posądzić, ale nigdy o ucieczkę przed honorowym długiem.

Marcus przytaknął.

- Jego duma jest nieugięta.

- Nie wspominając już o tym - dodał cicho Devon - że gdyby Chase'owi potrzebne były pieniądze, wystarczyłoby, by zwrócił się do któregoś z nas. Wie, że każdego stać, byłoby na takie bzdury.

Marcus z namysłem pstrykał skrajem listu.

- Sprawa rzeczywiście robi dziwne wrażenie. - Zerknął na Devona. - Co się twoim zdaniem stało?

- Przekonany jestem, że ten oblig to fałszerstwo. Ale skoro Chase'a nie ma, nie da się tego sprawdzić... - Devon urwał, zaczynało się w nim rodzić pewne podejrzenie, na które sobie wcześniej nie pozwalał.

W brązowych oczach Anthony'ego pojawił się groźny błysk.

- Uważasz, że Annesley ma coś wspólnego z nieobecnością Chase'a.

- Niewykluczone. Zbyłem Annesleya niczym, co go zirytowało. Spodziewam się, że wykona jakiś ruch, i to wkrótce. Skoro ja okazałem się krnąbrny, należy oczekiwać, że w następnej kolejności pojawi się tutaj.

Brwi Anthony'ego się ściągnęły.

- Masz oczywiście rację. Coś jest nie...

Drzwi otworzyły się, na progu stanął Jeffries. Ukłonił się Marcusowi.

- Jaśnie panie, bardzo przepraszam. Ale przyszedł zobaczyć się z panem pewien pan, nazwiskiem Harry Annesley. Mówiłem mu, że jaśnie pan jest zajęty, ale ogromnie nalegał.

Marcus i Devon wymienili spojrzenia.

- No, no - powiedział cicho Marcus. - Intryga się wikła.

Devon przytaknął. Rzeczywiście tak było.

Drzwi do pokoju otworzyły się z trzaskiem. Półprzytomny, wyrwany ze snu Chase miał wrażenie, że ostry odgłos odbija się echem w jego głowie. Jęknął i naciągnął poduszkę na uszy.

- Idź sobie, Stephen. Jest za wcześnie na kontynuowanie naszej rozmowy...

- Jest jeszcze wieczór - sprostowała Harriet. - Lady Cabot-Wells dopiero co odjechała.

Chase niechętnie odchylił poduszkę na tyle, by mu nie zasłaniała ust.

- Apodyktyczna, stara wiedźma, i tyle.

- Wspaniale ją pan oczarował. Matka i Sophia przekonane są, że gdyby kiedyś znalazł się pan w sytuacji bez wyjścia, zawsze może pan występować na scenie.

- Przepraszam, że szybko panie opuściłem. Ale po kąpieli ogarnęła mnie taka senność, że oczy same mi się przy kolacji zamykały.

- Chętnie wierzę, że poczuł się pan zmęczony, zważywszy, jak bardzo był pan wieczorem zajęty.

Musimy porozmawiać, panie St. John.

Ton jej głosu był lodowaty. Chase uniósł róg poduszki, spojrzał na kobietę, o której przed chwileczką śnił, i usiadł,

- O co znowu chodzi...

Harriet wpatrywała się w jego pierś. Chase podążył za jej wzrokiem i przypomniał sobie, że kiedy resztkami sił wpętał do łóżka, był tak zmęczony, że postanowił nie użerać się z nocną koszulą i położył się spać nago.

Pewnie należałoby poszukać jakiegoś lepszego przykrycia, niż to skłębione w pasie prześcieradło.

Ale nie. To nie on ciemną nocą wdarł się do czyjejś sypialni z nieodwołalnym postanowieniem wywołania awantury. Tak więc zamiast podciągnąć przykrycia, oparł się o zagłówek.

- Słucham, Harriet. W czym rzecz? - Mówiąc to, poprawił się na łóżku i prześcieradło opadło jeszcze o cal niżej.

Oczy Harriet rozszerzyły się. Patrzyła na jego nagą pierś, potem spojrzenie jej przesunęło się niżej... jeszcze niżej... Chase się szeroko uśmiechnął.

- Jeżeli bez zaproszenia wpada pani do prywatnego pokoju dżentelmena, nie da się przewidzieć, co pani tam zastanie.

Harriet drgnęła gwałtownie i przeniosła spojrzenie na twarz Chase'a, policzki jej zapłonęły jaskrawą czerwienią.

- To sytuacja wyjątkowa, inaczej nigdy nie weszłabym do pana pokoju.

- Wyjątkowa? Co się znowu stało?

- Stephen.

Wypowiedziała imię brata tak, jakby ono wszystko już wyjaśniało.

- Co ze Stephenem?

- Co pan mu powiedział w bibliotece przed kolacją?

- Co powiedziałem? Chyba nie... - Aa. Rzeczywiście, powiedział coś. Coś genialnego.

- Rozmawialiśmy o kobietach i ..

- O czym to jeszcze?

Chase jakoś nie przypominał sobie szczegółów. - Dlaczego?

- Niech pan przy mnie nie udaje niewiniątka - warknęła Harriet. - Wie pan bardzo dobrze, co pan zrobił. Po wysłuchaniu pana niemądrych rad Stephen w te pędy udał się do Strickton House i próbował uprowadzić pannę Strickton.

Chase zamrugał powiekami.

- Co takiego?

- Niech pan nie udaje zaskoczenia. To pan mu podsunął ten pomysł.

- Niczego takiego nie zrobiłem! Co on sobie wyobra... - Chase przymknął oczy. Ten, jak-mu-tam, na białym koniu. Oczywiście. - Co za idiota.

- To prawda, jest pan idiotą. Jeżeli Stephen mógł mieć u panny Strickton jakieś szanse, pan je doszczętnie zrujnował.

Taka surowość wydała mu się przesadna. W końcu większość kobiet marzy o tym, by ktoś porwał je na białego konia i uwiózł do jakiegoś zamku.

Rozejrzał się po swoim dosyć skromnym pokoju. Garret Park trudno byłoby co prawda nazwać zamkiem, ale i tak dwór musiał być lepszy niż wszystko, do czego przyzwyczajona była panna Strickton.

- Stephen chyba rzeczywiście postąpił trochę pochopnie, ale przecież nie popełnił żadnego aż tak nagannego czynu. Usiłował tylko porwać ją w ramiona i oddać się z nią w stronę zachodzącego słońca. Co w tym takiego złego?

- Panna Strickton nie była zadowolona, kiedy chwycił ją, wciągnął na śmierzącego konia, przerzucił przez siodło jak wór kartofli i odjechał. Podała sobie suknię, zgubiła naszyjnik z pereł, a po tym, jak na koniec spadła z konia na bardzo błotniste pole, musieli jej wycinać wplątane we włosy jeżyny.

Ta relacja wcale nie brzmiała optymistycznie. Chase potrząsnęła głową.

- Z przykrością to mówię, ale pani bratu brak wyrafinowania.

Twarc Harriet poczerwieniała.

- Wyrafinowania? A co ma z tym wspólnego wyrafinowanie?!

Chase oparł się znowu o zagłówek, podciągając wyżej poduszki, żeby mu było wygodniej.

- Powiedziałbym, że problemem jest tu chyba bardziej realizacja jego zamierzenia niż sam czyn. W zasadzie kobiety lubią, jak koło nich skakać, jak się z nimi cackać.

- Uprowadzenie nazywa pan „cackaniem”? - zapytała najwyraźniej tym oburzona.

- Nie. Cackaniem nazwałbym porwanie na białego konia, jak ten rycerz, jak-mu-było, Loch-coś-tam. Powiedziałem Stephenowi, że jeżeli kobieta ma silny charakter, wrażenie na niej mógłby wyrzucić jakiś romantyczny gest.

- To właśnie mu pan powiedział? - zapytała posepnie.

- Tak. Tylko że ja sugerowałem, że grunt pod ten wspaniały gest należy przygotowywać stopniowo.

Podsunałem mu, że powinien zacząć od pikniku, ale on najwyraźniej się ze mną nie zgodził.

- Nie potrafię w to uwierzyć, że siedzi pan tu i przyznaje się, że... - Słowa chyba utknęły jej w gardle, bo musiała walczyć ze sobą, zanim wykrztusiła zduszonym tonem: - Mam nadzieję, że jest pan teraz zadowolony, panie St. John. Nie dość że panna Strickton jak najokrutniej odrzuciła awanse Stephena, to na dodatek jej ojciec przyjechał zobaczyć się z mamą i zażądał, by Stephen trzymał się z daleka od całej rodziny Stricktonów, bo inaczej wezwie policję. Matka czuła się bardzo zażenowana, a Stephen! To skandal najgorszego rodzaju, a wszystko przez to, że pan...

- Niech mnie pani o to nie obwinia! Do jasnej cholery, ja tylko zasugerowałem, żeby chłopak wziął sprawy w swoje ręce. Nigdy mu nie radziłem, by uprowadził tę dzierlatkę. Jeżeli mi pani nie wierzy, niech go pani zapyta.

- Zapytać go?

- Zapytać - potwierdził stanowczo Chase. - Może przyszedł mu ten pomysł do głowy dlatego, że napomknąłem coś o rycerzu na białym koniu, ale nie proponowałem, by zrobił coś tak absurdalnie głupiego. Nigdy bym czegoś takiego nie zaproponował.

Harriet się przygarbiła.

- Nigdy?

- Boże, nigdy! Czy wyglądam na kogoś, kto ma jeszcze mleko pod nosem?

Harriet omiotła go przelotnym spojrzeniem. Chase nagle uświadomił sobie, jak intymne są okoliczności ich spotkania.

Harriet i on, sam na sam, w jego pokoju. A do tego on nagi i w łóżku. Na tę myśl jego ciało natychmiast się napięło i musiał poprawić prześcieradło, by ukryć tę reakcję.

Policzki Harriet zapłonęły, odwróciła wzrok, ale od łóżka nie odeszła.

- Ja... przypuszczam, że powinnam była poprosić Stephena, by podał mi więcej szczegółów. Ale kiedy powiedział, że to rozmowa z panem podsunęła mu ten pomysł, założyłam najgorsze. Przykro mi.

Chase musiał przygryźć wargę, by się szeroko nie uśmiechnąć.

- Gdyby naprawdę było pani przykro, okazałaby pani to.

Harriet gwałtownie podniosła wzrok do jego twarzy.

- Okazałabym? Jak?

- Pocałunkiem.

- Ja... pan... och! Dość już tego, panie St. John. - Mocno zarumieniona okręciła się, by wyjść z pokoju, ale Chase okazał się szybszy.

Zdażyła ledwie krzyknąć z zaskoczenia, a już objął ją ramionami i posadził sobie na kolanach.

Przez króciutką chwilę siedzieli całkiem bez ruchu, a powietrze między nimi wydawało się pospiesznie, natarczywie wibrować od żaru. Ciało Chase'a napięło się w pożądaniu. Już przez tak wiele nocy śnił o tej kobiecie. A teraz, kiedy znalazła się na jego nagich kolanach, dochodził do granic własnej wytrzymałości.

- Proszę mnie puścić - odezwała się, głos miała cichy i zdyszany.

- Nie.

W oczach Harriet błysnęła irytacja.

- Przykro mi, że bezpodstawnie pana oskarżyłam. Ale gdyby zobaczył pan Stephena, kiedy wrócił...

- Powiedziałbym mu, by się pozbierał i zachował się jak mężczyzna.

- Och! A co pan może wiedzieć o tym, jak to jest, kiedy się trzeba pozbierać? Pan, z pana tysiącami służących i setkami domów?

- Więcej niż może pani sądzić - odparł, a usta mu się nagle ponuro zacisnęły.

Harriet zawahała się, jej irytacja stopniała pod nagłym przypiływem palącej ciekawości. Od czasu do czasu dostrzegała przelotnie innego Chase'a St. Johna niż ten, którego zwykle prezentował całemu światu. I miała wtedy wrażenie że pod arogancką, pełną zadowolenia z siebie butą, widzi całą rzekę smutku, bezsensu, daremności. Ten zaskakująco przystojny mężczyzna stanowił nie lada zagadkę.

Ale, na Boga, jakież był przy tym pociągający, elegancki i szykowny. Musi jednak pamiętać, że nie pochodzi z sąsiedztwa, zdecydowanie nie jest częścią Garrett Park. I nigdy tą częścią nie będzie.

Spojrzenia ich się spotkały i w tej chwili w głębi oczu Chase'a coś zamigotało, zapłonęła tam jakaś isierka, od której rozjarzyło się jej własne serce. Coś się nagle przesunęło, zmieniło, kazało im przejść od abstrakcyjnych rozważań do intensywnych działań.

- Harriet - wyszeptał Chase. A potem, ku jej zaskoczeniu, przyciągnął ją do swej nagiej piersi i pocałował.

## 20

*Miłość nie przychodzi w zgrabnie zapakowanej paczuszce, przewiązanej wstążką i dostarczonej do domu. Przypomina raczej rzekę, wielką i zmaczoną, tylko jest bardziej halaśliwa, bezgranicznie chaotyczna i dużo trudniej ją kontrolować.*

Hrabina Greyley do swojej nowej szwagierki pani Brandonowej St. John, kiedy robiły na drutach pończochy na akcję dobroczynną

Harriet przeszedł dreszcz. Przymknęła oczy. To szaleństwo. Czyste, krańcowe szaleństwo.

Ale jakoś było jej to obojętne. Nigdy wcześniej nie zaznała takiego przyptywu czystego pożądania. Nie wiedziała, jak rozkosznie jest być pożądaną, namiętnie i intensywnie, przez mężczyznę, jakiegokolwiek mężczyznę. A już zwłaszcza przez takiego jak Chase St. John.

- Harriet - szeptał jej do ucha, rozwiewając włosy gorącym oddechem. - Chcę ciebie. Chcę być z tobą. - Wtulił nos w jej szyję i cicho dodał: - I w tobie.

Harriet przygryzła wargę, dygotała od stóp do głów. Przez całe swoje życie miała zawsze wszystko pod kontrolą, robiła to, co uznawała za słuszne, kroczyła bezpieczną, wskazywaną przez zdrowy rozsądek ścieżką, opiekowała się innymi i sobą. A teraz... teraz chciała od tego odejść. Chciała być bardziej... wolna. Zrzucić z siebie brzemię odpowiedzialności i troski.

- Dotknij mnie - wyszeptał, muskając oddechem jej ucho. - Chcę poczuć twoje dłonie.

Dawna Harriet byłaby mu odmówiła. I postąpiłaby słusznie - należało położyć kres temu obłąkaniu. Ale nowa Harriet położyła rozpostarte dłonie na torsie Chase'a i wplotła palce w kędzierzawe, porastające go włoski.

Co za niebiańskie uczucie. Skórę miał ciepłą i ponętą, mięśnie napięte. Usłyszała swój głos, kiedy cicho wypowiadała jego imię: Chase. Wymknęło się z jej ust, cudowne jak przewiązany aksamitem jedwab. I wszelka zdolność do stawiania oporu stopniała.

Przyciągnął ją bliżej do siebie, a ona chwyciła go za ramiona. Naga skóra Chase'a promieniowała ciepłem. Jego dłonie wędrowały po plecach Harriet, opuściły się na biodra, wróciły w górę po żebrach.

Jęknęła cicho, kiedy przez suknię nakrył palcami jej pierś. Całe ciało mrowiło ją zmysłowo.

- Ach, Harriet - wyszeptał znowu, skubiąc zębami w brodę, szyję, ramię.

Nigdy jeszcze to skromne, dosyć niewdzięczne imię nie wydawało się takie uwodzicielskie jak w chwili, kiedy Chase szeptał je niczym modlitwę dziękczynną. Wszędzie, gdzie dotknął jej ustami, zostawał rozkosznie palący ślad.

Odchyliła do tyłu głowę, milcząco przyzwalając, by dotarł do wszystkich niedostępnych zwykle, najdelikatniejszych miejsc na szyi. Tchu złapać nie mogła, tak przyjemnie drażnił oddechem jej skórę.

- Mmm - wyszeptał trochę ochryple. - Pachniesz cynamonem i jabłkami.

- Po... pomagałam kucharce piec ciasta. Myślę, że będą bardzo dobre, kiedy...

- Jesteś. Zachwycająca. I. Cudowna. - Za każdym słowem dotykał wargami szyi Harriet, a ją przenikał dreszcz.

Wolną dłonią odnalazł kolano dziewczyny i powoli podciągnął do góry jej spódnicę. Cienki materiał bez oporów przesunął się na nodze, odsłaniając cal po calu łydkę, aż wreszcie Chase wsunął rękę pod spód. Jego palce wydały się Harriet niemożliwie gorące, kiedy powiódł nimi najpierw po kolanie, potem po udzie.

Był zuchwały i bezwstydnym, zaborczy i przekorny, a jej aż brakowało tchu w piersiach. Musnął palcami górę pantalonów, odsunął je, gołe palce zaczęły zsuwać się w dół po brzuchu...

W nagłym rozbłysku paniki chwyciła go za nadgarstek.

-Nie.

Popatrzył wtedy na nią, oczy miał tak ciemne, że wydawały się niemal czarne.

- Dlaczego nie?

Dlaczego nie? Potrafiła podać tysiąc powodów, dlaczego nie, i tylko jeden, dlaczego tak: bo go chciała. Łaknęła jego pieszczot, jego pocałunków, pragnęła zapamiętać się w rozkoszy. Przynajmniej

raz w życiu chciała stracić kontrolę i po prostu żyć.

Całe jej ciało rozżętnęło się, rozbudziło. Dłoń Chase'a ześlizgnęła się niżej po brzuchu i dotknęła najintymniejszego z miejsc.

I w tym momencie Harriet się wzdrygnęła, to dotknięcie wyrwało ją z wywołanego miłosnym uniesieniem transu.

- Nie mo...

Chase znowu pocałował ją, mocniej i bardziej natarczywie niż przedtem, tłumiąc protesty, pokonując lęk. Jego palce ani na moment nie przestały się przy tym poruszać. Odnalazły jej najbardziej sekretne miejsce, gładziły, pieściły, aż wreszcie narastające pożądanie zapłonęło żywym ogniem i Harriet przywarła do Chase'a, w jednej chwili zapominając o wszystkich swoich zahamowaniach.

Postępował powoli, z rozmysłem, zamiary jego były aż nazbyt czytelne: chciał, by oszalała z pożądania, a potem dała się uwieść.

A czemu nie, pomyślała Harriet. Była dorosłą kobietą. Nigdy w życiu nie spotkała jeszcze takiego mężczyzny. Zmysłowość była dla niego tym samym czym listek figowy dla

starożytnego posągu. Wie przecież, co kryje się pod tym zatraconym listkiem. Wystarczająco już długo przygląda się życiu na farmie. Ale palce ją aż świerzbiały, tak chciała pozbyć się wszystkiego, co ich od siebie dzieliło, i móc porządnie, bez pośpiechu przyjrzeć się temu, co się tam znajdowało.

Prawdziwym objawieniem było dla niej to, na ile sposobów potrafi uwodzić mężczyzna. Nie dość że błędził swobodnie rękami po jej ciele, to jeszcze nie przestawał obsypywać go delikatnymi pocałunkami i poskubywać zębami. Od jego oddechu gorący dreszcz przebiegał jej po plecach. Od każdego dotknięcia skóra rozpalala się jakby w błaganiu, by nie przestawał jej pieścić.

Harriet zatraciła się bez reszty. Ciało jej reagowało na każde nowe, rozkoszne dotknięcie. Jak bardzo pragnęła tego mężczyzny.

Teraz rozsznurowywał jej suknię. I zanim się obejrzała, już rozluźnił ją pod szyją i zsunął z ramion aż do talii. Pragnienie, by go dotknąć, by poznać go bliżej nie pozwalało myśleć o niczym innym.

Wyciągnęła ręce z rękawów i oplotła nimi jego szyję.

Chase ucałował Harriet namiętnie w podbródek, nie przestając obejmować i pieścić przez cienki materiał koszulki i doprowadzając ją tym do szaleństwa.

- Zdejmij to - wymamrotał z ustami tuż przy jej uchu.

- Co? - zapytała zadyszana i poruszyła się niespokojnie, świadoma niemal bolesnego niedosytu w swoim wnętrzu. Chciała więcej, potrzebowała czegoś więcej.

- Tę koszulkę - wyjaśnił, całując ją wilgotnymi wargami w policzek i szyję. - Zdejmij ją.

To był rozkaz, wypowiedziany miękko, ale natarczywym tonem. Harriet nawet przez myśl nie przeszło, by się opierać. Chciała tego, chciała Chase'a. Szarpnęła za koronkę, którą ściągnięta była koszulka, rozwiązała ją i już nigdy nie miała sobie przypomnieć, jak to się stało, że po chwili leżała na łożu naga i uległa, a Chase pochylał się nad nią, opierając na łokciu, i nie przestawał wodzić ustami po jej szyi.

Bezpośredni dotyk obnażonych ciał, to, że nic ich od siebie nie oddzielało, wydawał się Harriet nieprawdopodobnie erotyczny. Przesuwała rękami po szerokich ramionach Chase'a, całowała jego szyję i brodę.

Objął dłonią jej pierś, kciukiem przesunął po sutku. Głowa Harriet opadła do tyłu, oczy się przymknęły.

- Harriet, popatrz na mnie.

Musi ją mieć. Teraz zaraz. Nigdy aż tak nie pożądał żadnej kobiety, a zwłaszcza niewinnej. Ta myśl kazała mu się na moment powstrzymać. To prawda, że jest niewinna, ale ma ją tu, w swoim łóżku, a na jej twarzy maluje się rozkosz i pragnienie. Wszyscy w Garret Park szukają u niej pociechy i podpory. Może czas już, by ktoś zajął się jej potrzebami.

Przyśiągł sobie na nowo, że dzięki niemu ta chwila będzie najbardziej niewiarygodnym momentem jej życia, że przekona Harriet, jak jest dla niego cudowna, jak piękna. I z tą myślą przywarł ustami do jej warg i pocałował czule, głęboko. Włożył w ten pocałunek całego siebie, łącząc ich serca i dusze.

Harriet zareagowała natychmiast, otwierając się pod nim, wijąc się, chwytając go za ramiona. W końcu Chase, ciężko dysząc, przerwał pocałunek i oparł się na łokciu, by popatrzeć na nią.

- Jesteś piękna - wyszeptał. - Taka piękna.

W odpowiedzi uniosła się ku niemu. Ciało Chase'a napięło się niemal boleśnie. Nie potrafił już

zbornie o niczym myśleć. O niczym, poza tą kobietą i jej jasnymi udami. Musi ją mieć. Musi ją uczynić swoją. Aż kipiał pragnieniem, by ją sobą naznaczyć, by była jego i niczyja poza tym, i pod atakiem tych prymitywnych emocji wszelkie spójne myśli pierzchły.

Uniósł się, ułożył nad nią, wplótł palce w jej włosy.

- Kochaj mnie, Harriet. Pozwól mi w siebie wejść.

Uda Harriet rozchyliły się, objęła go mocniej. Chase zanurzał się w nią powoli, tak powoli, że aż poruszyła się niecierpliwie i przesunęła, jakby próbowała go w siebie szybciej wciągnąć.

Zamarł na chwilkę, smakując ten moment zjednoczenia, upajając się jej żarem, tym, jak ściśle do niego przylegała. I nagle jego opanowanie przysło: wdarł się głęboko w jej wnętrze.

Harriet cicho krzyknęła, oczy jej się rozszerzyły.

Niewiele brakowało, a Chase byłby sobie przyłożył. Harriet była dziewicą. A on podczas tego erotycznego tańca, który ich oboje zniewolił, pozwolił sobie o tym fackie zapomnieć.

Przytulił ją mocno i wyszeptał jej do ucha:

- Cicho, kochana, cicho.

Powoli się pod nim odprężyła. Chase nie przestawał szeptać, cicho powtarzając serdeczne słowa, delikatne zaklęcia, pełne żaru obietnice. Ani na moment nie pozwalał swoim dłoniom spocząć, gładząc ją i kojąc. Nie minęło kilka chwil, a zaczęła poruszać się pod nim niecierpliwie, przywierając do niego, w przypływie namiętności zapominając o bólu.

Jak to możliwe, by ta wiejska dzierlatka, całkowicie wyzuta z wszelkiego doświadczenia, potrafiła budzić u niego tak szalone pożądanie, kiedy niezliczone kobiety, mające dużo bardziej egzotyczne i wyrafinowane pomysły, wcale go nie porywały?

Co ta Harriet Ward ma takiego w sobie, że wydaje mu się bardziej wyrazista, bardziej barwna, bardziej intrygująca niż niejedna urodzona w Londynie i tam wychowana kochanka?

Nie wiedział, co miała w sobie, ale uderzała mu do głowy jak wino. Była fascynująca. Błyskotliwa. Upajał się jej bliskością, gibkim wdziękiem jej kształtów. Przytulił Harriet jeszcze mocniej i zatracił się w jej jedwabistej miękkości.

Ona się również zatraciła, oczy miała zamknięte, oddech chwytała z trudem. Poruszała się z coraz większą namiętnością, przywierała biodrami do Chase'a, stopami mocno zapierała się o materac. Była wspaniała, jej niedosyt, jej pożądanie niemal niweczyły resztki opanowania mężczyzny.

I nagle oczy Harriet się otworzyły, krzyknęła cicho, zwierając się jedwabście wokół niego. Chase zaciął zęby, ale było już za późno. Jego ciało zareagowało, zanim się zdążył wycofać, i szczytował głęboko w jej wnętrzu.

Przez kilka chwil leżeli bez ruchu, obejmując się ramionami, wciąż intymnie ze sobą złączeni. Chase wtulał twarz we włosy Harriet, ona mocno oplatała go w pasie nogami.

Ta chwili była aż do bólu słodka. A Chase po raz pierwszy w życiu nie czuł nieodpartego wewnętrznego przymusu, by wyskoczyć z łóżka i rzucić się do ucieczki.

Pragnął tylko, by dalej tak leżeli, ukryci i rozgrzani, bezpieczni i nasyceni, najlepiej do końca życia.

Po długiej chwili Harriet poruszyła się na poduszkach, jej westchnienie ogrzało mu szyję.

- Musimy wstać.

- Wiem. - Chase chwycił w rękę jej dłoń i przez chwilę się w nią wpatrywał, a potem pochylił się, by pocałować palec, na którym tkwił talizman. Pierścień pasował idealnie na smukły palec Harriet, co było dziwne, bo Chase przysięgłby, że wcześniej był większy. Przesunął kciukiem po jego grawerowanej powierzchni i przeszedł go palący dreszcz.

I oto, zamiast patrzeć na pierścień, spoglądał Harriet w oczy. Tonął w ich brązowych głębinach, a ból, który od tak dawna przeżerał mu duszę, na trochę ustał. Harriet zadrżała.

- Zimno ci?

- Nie. Ja tylko... - Popatrzyła na ozdobioną pierścieniem dłoń. - Muszę się ubrać.

- Tak. - Ale nawet nie drgnął, żeby się podnieść, tylko ucałował jej palce jeden po drugim.

Z korytarza dobiegł jakiś odgłos.

Oczy Harriet gwałtownie się otworzyły.

- Słyszałeś to? - wyszeptała. Znowu ten stukot.

- Och, nie! - Usiłowała się spod niego wydostać. - Musimy wstać.

Chase uprzejmie odsunął się na bok i uśmiechnął do Harriet, pewien, że dziewczyna nie wyskoczy z łóżka zbyt szybko, ponieważ mocno przyciskał łokciem jej włosy. Czuł się zdumiewająco

niezwyciężony. Mocny i potężny.

Harriet usiłowała unieść głowę.

- Opierasz mi się o włosy.

- Jeżeli wstaniesz, to tylko przyłapią cię, jak stoisz nago na środku mojego pokoju. - Chociaż nie widział w tym niczego złego. Dosyć podobał mu się pomysł, że Harriet będzie stała nago na środku jego pokoju, gęste, kasztanowe włosy opadną na jej ramiona, a jędrny tyłeczek nie oddali się z zasięgu ręki.

- Nie możemy tu bez końca leżeć.

Pochylił się i pocałował ją w brodę.

- Możemy spróbować. Nie podnoś się, kiedy zaczną pukać, każę im odejść. Jeżeli powiem to wystarczająco głośno, nie ośmielą się wejść do środka.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Panie St. John?

Harriet szeroko otwartymi oczami popatrzyła na Chase'a.

- To Sophia - wyszeptwała.

- Wiem - odpowiedział również szeptem, nieco rozbawiony przerażeniem, malującym się w na ogół spokojnych oczach Harriet.

- Panie St. John? - zapytała znowu Sophia i tym razem potrząsnęła klamką.

Harriet dech zaparło.

- Kto tam? - Chase raczej zawarczał niż wypowiedział te słowa, zupełnie jakby był piratem. - Właśnie się rozbieram do snu. - Urwał i dodał: - Jestem goły.

Zza drzwi dał się wyraźnie słyszeć cichy okrzyk, tak komiczny, że Harriet aż łzy w oczach stanęły i przycisnęła sobie dłoń do ust, starając się powstrzymać rozbawienie.

Chase szeroko się do niej uśmiechnął i mrugnął.

- Ojej - usłyszeli głos Sophii. - Nie chciałam panu przeszkadzać. I nie zamierzałam otworzyć drzwi ani w ogóle nic... chciałam tylko dowiedzieć się, czy nie ma tu gdzieś Harriet.

- Jeżeli chodzi pani o to, czy jest u mnie, to nie, nie ma jej.

- Oczywiście, że nawet nie pomyślałam... to jest, próbowałam tylko... Do licha! - Sophia głośno westchnęła. - Muszę znaleźć Harriet.

Ani na chwilę nie mogą zostawić tej biednej dziewczyny w spokoju. Chase uświadomił sobie, że ma mocne postanowienie, by to zmienić, by ulżyć nieco brzemienu, składanemu na szczupłe ramiona Harriet.

Ale kiedy spojrzął jej w oczy, zdał sobie sprawę, że nie byłaby mu za takie wtrącanie się wdzięczna. Zdusił westchnienie.

Odsunął z policzka Harriet grube pasmo brązowych włosów, zauważając, jak są jedwabiste w dotyku. Światło lampy połyskiwało na kasztanowych lokach, zapalając w nich rudawe i złote iskierki. Rzuciła mu przelotny, blady uśmiech, wargi jej lekko drżały.

Zza drzwi dobiegł znowu głos Sophii, tym razem głośniejszy, jakby przyciskała policzek do skrzydła.

- Bardzo mi przykro, że w ogóle panu przeszkadzam, panie St. John, ale to jest ważne. Harriet powinna natychmiast zejść na dół.

- Tak późno? Przecież dochodzi już chyba dziesiąta.

- Wiem. Ale przyjechał pan Gower i powiada, że musi natychmiast porozmawiać z matką. Bank ani dnia dłużej nie będzie czekał na spłatę.

## 21

*Hazard można uprawiać na różne sposoby. Niektórzy stawiają na harty. Niektórzy stawiają na konie. A niektórzy na swoje własne serca.*

Pani Brandonowa St. John, świeżo po powrocie z miesiąca miodowego, do swego męża, po drodze do Treymont House na kryzysową naradę rodzinną

W krótki czas potem Harriet przystanęła przed salonem i spojrzała na siebie w lustrze. Wyglądała tak jak zawsze, tyle że trochę była zarumieniona.

Prezentowała się poprawnie i skromnie, suknia jej układała się równo i gładko, włosy były schludnie

upięte na czubku głowy. Nikt, spojrzawszy na nią, nie domyśliłby się, że właśnie została uwiedziona przez najprzystojniejszego mężczyznę na świecie.

A w każdym razie najprzystojniejszego w całej okolicy Sticklye-By-The-River. W końcu nie ma pewności, że gdzieś na świecie nie znalazłby się jeszcze przystojniejszy pan.

Pomyślała o niebieskich oczach Chase'a, o jego gęstych, czarnych rzęsach, o tym, jak włosy opadały mu na czoło, i smętnie potrząsnęła głową. Kogo chce oszukać? Mężczyzna o lepszej prezencji po prostu nie mógł istnieć.

- Harriet! - Matka podeszła pospiesznie do córki ze ściągniętą ze zmartwienia twarzą. - Dzięki Bogu, że się znalazłaś.

Przyłączyła się do nich Sophia.

- Tu jesteś, Harri! Gdzie byłaś? Wszędzie cię szukałam.

Harriet niedbale wzruszyła ramionami.

- Siedziałam u siebie w pokoju, bo miałam trochę cerowania, i zapomniałam o czasie. - Proszę. To brzmiało prawdopodobnie.

Dosyć.

Sophia zmarszczyła brwi.

- Wcale cię tam nie było. Zaglądałam. Zajrzałam nawet do twojej garderoby i do kuchni, i do stodoły, i do...

- Och, na miłość boską - przerwała matka, jakby poirytowana - nie ma znaczenia, gdzie ona była. Ważne jest tylko to, że się już znalazła.

Harriet zmarszczyła brwi, słysząc zatroskany ton rodzicielki.

- O co ten cały rwetes?

- To pan Gower. - Spojrzenie matki było niespokojne. - Harriet, odnoszę wrażenie, że znalazł dowód, że nasz gość nie jest kapitanem.

Harriet ścisnęło w gardle.

- Czy coś powiedział?

- Już zaczynał, ale przerwałam mu, twierdząc stanowczo, że powinnaś być przy rozmowie obecna, i wyszłam, by cię poszukać.

To prawdopodobnie był dobry pomysł. W sytuacji stresowej matkę z łatwością mogło zawieść opanowanie.

- Gower nie przyjechał sam - dodała Sophia. - Jest z nim dwóch członków zarządu. Miny mają uroczyście i podniosłe, jak w niedzielę czy inne święto.

Harriet upadła na ducha.

- Och, nie.

- Dokładnie to samo pomyślałam - powiedziała matka. - Co za koszmarny wieczór. Najpierw lady Cabot-Wells poddała przy kolacji naszego biednego kapitana przesłuchaniu, potem pan Strickton przyjechał z awanturą o Stephena, a teraz jeszcze to.

- Rozmawiałam z kapitanem o Stephenie. Najwyraźniej ten zakuty łeb, mój brat, źle zrozumiał to, co kapitan mówił, o rycerzu Lochinvar, i uznał jego słowa za zachętę, by postąpić jak barbarzyńca.

- Lochinvar? - Sophia aż buzię otworzyła. - Nawet przez myśl mi nie przeszło... przecież on rzeczywiście zrobił to samo, co Lochinvar, nieprawdaż? Wjechał prosto w zamkowe bramy i wykradł swoją ukochaną. Tyle że Lochinvar nie jeździł na gospodarskiej szkapie. I raczej wątpię, by ukochana miała mu się wymknąć z objęć i spaść na głowę w błoto.

Usta matki ściągnęły się z dezaprobatą.

- Wasz brat nie wykazuje za grosz rozumu, zwłaszcza jeżeli w grę wchodzi płeć piękna. Przykro mi tylko, że Stricktonowie musieli być świadkami jego głupoty.

Harriet przyglądała spódnicy.

- W głowie mi się nie mieści, że pan Gower zdecydował się na tak późną wizytę. To wielka nieuprzejmość z jego strony.

- Ja też tak pomyślałam - zgodziła się z nią matka. Przez chwilę wahała się, przygryzając wargę. Potem powiedziała: - Jak sądzisz, czy udałoby nam się nakłonić pana St. Johna, by... Nie, oczywiście, że nie. Nie można go o to prosić. Już tyle dla nas zrobił. - Policzki jej się zaróżowiły. - Nie zamierzałam zadawać mu najmniejszego nawet bólu i mam nadzieję, że jest tego świadom. Wydawało mi się tylko, że skoro i tak stracił pamięć, to nie zaszkodzi, jeżeli będzie sądził, że jest

kimś ważnym, nawet gdyby...

- Mamo, pan St. John nigdy pamięci nie stracił - przerwała jej Harriet.

Matka zamruwała powiekami.

- Nigdy? To dlaczego przystał na rolę kapitana?

- Myślę... myślę, że chciał nam pomóc. Kiedy go zaatakowano, zamierzał wyjechać z kraju, zostawiając za sobą jakąś nieprzyjemną sprawę.

- Dobry Boże! - wykrzyknęła Sophia, oczy jej błyszczały. - Jaką nieprzyjemną sprawę?

- Nie wiem. Nie był gotów mi o tym opowiedzieć. Ale okazał się tak uprzejmy, że zgodził się zostać u nas i odgrywać rolę kapitana aż do ukończenia strzyży. - A potem odjedzie. Harriet serce bolało na tę myśl.

- Jakże to życzliwie z jego strony - ucieszyła się matka. - Obojętne, co Gower ma do powiedzenia, jego słowa wydadzą się mniej ważne, jeżeli stanie przed nim żywy człowiek z krwi i kości, który przynajmniej będzie twierdził, że jest kapitanem.

- No właśnie. - Harriet wyprostowała się w ramionach i spojrzała na matkę i siostrę. - Gotowe?

Matka przyglądała siwe włosy, a Sophia poprawiała spódnicę.

- Tak myślę - orzekła w końcu matka. Harriet podeszła do drzwi i otworzyła je.

Pan Gower, który stał pogrążony w rozmowie z dwoma innymi panami, natychmiast się odwrócił.

- Panna Ward. - Ukłonił się. - Pani Ward. I panna Sophia. Proszę pozwolić, że przedstawię paniom pana Picknarda i pana Silverstone'a z banku.

Harriet dygnęła, podobnie jak matka i Sophia.

- Co za urocza niespodzianka - powiedziała, chociaż potrzebowała całej swej niebagatelnej siły woli, by nie zmienić miłego wyrazu twarzy. - Czemu zawdzięczamy fakt, że zaszczycili nas panowie wizytą, chociaż godzina jest tak późna?

Wydało jej się, że pan Gower, spojrzawszy na towarzyszących mu panów, urósł.

- Przepraszam panie za porę. Zaistniał pewien problem z przesunięciem terminu spłaty.

Pan Picknard niespokojnie się poruszył.

- Tak, aa... jak panie wiedzą, podstawą udzielenia zgody na przesunięcie terminu było istnienie rzekomego narzeczonego panny Ward, kapitana Frakenhama.

- Rzekomego? - zapytała pani Ward, mrugając powiekami. - Co pan rozumie przez to: „rzekomego”?

Pan Picknard potarł swój duży czerwony nos. Rosły i ciężko zbudowany, o rudawych włosach i wielkich obwisłych wąsach, przypominał źle związany, wepchnięty w czarny surdut baleron.

- Mówiąc „rzekomy”, chcę powiedzieć, że pojawiły się pewne wątpliwości, czy kapitan Frakenham naprawdę istnieje.

Twarz Gowera zapłonęła triumfem.

- Ktoś winien jest tu oszustwa. Ktoś próbował wyprowadzić bank w pole, fałszując raporty. Ktoś...

- Och, na litość boską, Gower - prychnął pan Silverstone. Wyższy od obydwóch pozostałych panów i ubrany ze spokojną dystynkcją, wydawał się dużo lepiej wychowany niż Gower czy Picknard.

Harriet odniosła wrażenie, że to on musi podejmować wszystkie decyzje w banku.

Rzucił panu Picknardowi spod gęstych siwych brwi ostre spojrzenie, potem odwrócił się do dam, szczególnie uwagą obdarzając panią Ward.

- Mam nadzieję, że wybaczą nam panie nasze najście tego wieczoru, ale pan Gower, jak się zdaje, odkrył pewne nieścisłości w tym, czego dowiedzieliśmy się o panu kapitanie Frakenhamie. Jestem pewien, że wszystko to zdołają panie wyjaśnić. Moim zdaniem powinniśmy byli raczej poczekać do jutra - tu rzucił ostre spojrzenie Gowerowi - ale poinformowano mnie, że byłoby rzeczą nierozsądną odkładać wizytę na następny dzień, jako że pewne indywidualia mogłyby w międzyczasie zniknąć.

Harriet otarła wilgotne dłonie o spódnicę. Rozgrywka szła o wszystko.

- Panie Silverstone, zapewniam pana, że nikt nie próbował zdefraudować niczego z pana banku. Faktem jest, że za niecały tydzień powinniśmy dysponować pieniędzmi na spłatę...

Drzwi się otworzyły. Matka odetchnęła z ulgą.

- Kapitan Frakenham!

Chase się uklonił. Tylko że nie był to już ten mężczyzna, do którego Harriet przyzwyczała się przez ostatnie kilka tygodni, ubrany w znoszone ubrania Stephena i szeroki kapelusz z opadającym rondem. Chase skompletował należące do niego ubrania i stanął przed nimi w swojej własnej postaci: modnego, londyńskiego dżentelmena. I to nie pierwszego lepszego modnego dżentelmena, ale

takiego, który najwyraźniej wychowywał się otoczony niewypowiedzianym bogactwem i przywilejami.

Nie wiedzieć czemu na ten widok Harriet upadła na duchu.

Chase, nieświadom, co czuje panna Ward, przygładził sobie rękaw i postąpił do przodu. Trudno byłoby znaleźć jakiś szczegół, by poprawić jeszcze jego wygląd: niebieski surdut leżał na nim jak ulał, gładko układał się na ramionach i zwężał do szczupłej talii. Beżowe spodnie opinały długie muskularne nogi, czarne buty wyczyszczone były tak, że lśniły jak szkło. Śnieżnobiały krawat zawiązał w nieznanym dotychczas Harriet sposób, ale, widząc dzieło, poznała rękę mistrza.

- Tu pan jest, kapitanie! - wykrzyknęła matka, przerywając niezręczne milczenie i pospiesznie podchodząc do niego.

St. John ujął jej dłoń i pochylił się nad nią.

- Oczywiście. Raczyłem się właśnie w bibliotece kieliszkiem portwajnu, kiedy usłyszałem, że ma pani gości.

- No właśnie. To jest pan Gower, którego, jak mi się zdaje, już pan poznał. A to panowie Picknard i Silverstone. Z banku.

Harriet zauważyła, że pan Silverstone odrobinę bardziej się wyprostował, kiedy Chase lekko skinął mu głową.

- Panowie - przywitał się z nimi znudzonym tonem. Spojrzał znowu na panią Ward i olśniewająco się uśmiechnął. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Pani Ward roześmiała się nerwowo.

- Oczywiście, że nie! Zawsze z przyjemnością pana widzimy, kapitanie!

- To prawda - potwierdziła Sophia, zerkając ukradkiem spod oka na bankierów. - I nie wydaje mi się, byśmy miały być jeszcze długo zajęte, skoro pan się pojawił.

Pan Gower postąpił krok naprzód. Nie spuszczał oczu z Chase'a, szerokie usta wykrzywił mu wyniosły uśmiezek.

- Ja również przywitałbym się z panem, ale nie jest pan tym, za kogo pan się podaje. Nie istnieje żaden kapitan Frakenham.

Harriet wstrzymała oddech, ale Chase tylko uniósł brwi.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

Wyniosłość pana Gowera jeszcze się spotęgowała.

- Przeprowadziłem pewne dochodzenie. W żadnym z rejestrów nie pojawia się zapis o kapitanie Frakenhamie ani o jego statku, który ponoć przybił do portu Whitby. W żadnym.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Chase'a. A on wzruszył ramionami.

- W żadnym?

- W żadnym.

- A co pan dokładnie chce przez to zasugerować, panie Gower? Że jestem może widmem? - Chase wyciągnął przed siebie ręce. - Czy wyglądam na widmo?

- Kim pan jest? - zapytał Gower, nie spuszczając ostrego spojrzenia z Chase'a. - Proszę nam to natychmiast powiedzieć.

Chase cicho się roześmiał, w jego głosie słychać było szczere rozbawienie.

Harriet odprężyła się na ten dźwięk. W najmniejszym stopniu rzekomy kapitan nie dał się zastraszyć i ten fakt podniósł ją na duchu.

Gower gniewnie spojrzał na swego przeciwnika.

- Do cholery, panie! To nie jest powód do żartów! Nie jest pan tym, za kogo się pan podaje.

-Nie?

-Nie. Chase przechylił głowę na bok, wciąż serdecznie rozbawiony.

- A może powinienem zadać panu to samo pytanie: kim pan jest?

- Ja, sir, jestem bankierem. Moje referencje są bez zarzutu.

- A ja jestem kapitanem. Dopóki nie dowiedzie pan czegoś wręcz przeciwnego.

Przez twarz Gowera przemknął wyraz triumfu.

- Zostało to dowiedzione. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął dwa złożone kawałki papieru. Podał Chase'owi pierwszy z nich. - Napisałem do komendanta portu Whitby. Nigdy nie słyszał o pana statku ani o panu.

Chase wziął papier i omiół go wzrokiem.

- Do komendanta portu? Nazwiskiem Cremlin? Wyprowadzono pana w pole, Gower. Komendantem portu w Whitby jest pan Johnston.

- Niemożliwe.

- Mam nadzieję, że nie zapłacił pan temu człowiekowi za udzielenie informacji. - Chase wpił spojrzenie w twarz Gowera. - A może zapłacił pan?

Silverstone i Pickard czekali. Twarz Gowera okryła się ciemnym rumieńcem.

- Dałem mu tylko dwa szylingi na opłaty pocztowe...

- No, no. Obawiam się, że wystawił pana do wiatru, panie Gower. Podejrzewam, że ten człowiek może okazać się stałym bywalcem jednego z barów na nabrzeżu i z wielką przyjemnością okrada tych, którzy zasięgają tam języka. - Chase potrząsnął głową. - Wystarczy popatrzeć, jak nieortograficznie napisał ten list.

- Nieortograficznie? A cóż to za różnica?

Chase podniósł postrzępiony papier pod światło, na jego twarzy malował się niesmak.

- I do tego potwornie go poplamiał. Bez wątplenia tanim dżinem. - Podał list Gowerowi, który niemal wyrwał mu go z ręki. - Nie wiem, kim jest ten Cremlin, ale ja nie wierzyłbym w ani jedno jego słowo.

Silverstone i Pickard mieli niepewne miny.

- Kapitanie - odezwała się Harriet - proszę, niech się pan nie obraża. Jestem pewna, że pan Gower nie zamierzał insynuować, iż można pana łączyć z czymkolwiek podejrzanym.

Silverstone wyciągnął rękę.

- Gower, proszę mi pokazać to pismo.

Z poczerwieniałą twarzą Gower wręczył list bankierowi.

Silverstone z odrazą popatrzył na brudny papier, mrużąc oczy w słabym świetle, rzucanym przez trzy lampy, które oświetlały pokój. Po chwili posłał Gowerowi spod krzaczastych brwi twarde spojrzenie.

- Czy spotkał pan się z człowiekiem, który to przysłał?

Gower niemo potrząsnął głową.

- Przykra sprawa. Obawiam się, że muszę się zgodzić z panem kapitanem. - Silverstone oddał Gowerowi pismo. - Mam nadzieję, że dysponuje pan jeszcze jakimś dowodem, jakoby kapitan nie był tym, za kogo się podaje.

Twarz Gowera zrobiła się tak purpurowa, że Harriet przez chwilę obawiała się, iż wybuchnie on kipiącą masą inwektyw. Wepchnął jednak tylko pismo do kieszeni i podał panu Silverstone'owi drugi list.

- Oczywiście, że mam jeszcze inny dowód. Myślę, że w ten nawet pan uwierzy.

Silverstone wziął list i przeczytał go, lekko przy tym poruszając wargami. Harriet upadła na duchu, widząc, jak z każdym słowem czoło bankiera pochmurnieje.

Po chwili Silverstone z namysłem popatrzył na Chase'a.

- To jest list od admirała Hawkinsa-Smythe. Oznajmia, że znani mu są wszyscy kapitanowie, służący w marynarce, i że nigdy o panu nie słyszał.

Pickard prychnął.

- No, proszę bardzo! Admirał mieszka niecałe dziesięć mil stąd i jest osobą powszechnie znaną. Niemal przez czterdzieści lat służył Jego Królewskiej Mości i orientuje się dokładnie, jakie statki Anglia kiedykolwiek wypuściła na morze.

Harriet potarła czoło. Co za muł uparty. Sama знаła admirała bardzo dobrze i była pewna, że udałoby mu się zdyskredytować Chase'a.

Chase niezrażony wzruszył ramionami.

- Admirał nigdy o mnie nie słyszał i ja w życiu nie słyszałem o admirale.

- Co takiego? - wykrzyknął Silverstone.

- Dowodzę statkiem handlowym, którego właścicielem jest kompania prywatna. Pański admirał mógłby się ze mną zapoznać tylko w jednym przypadku, a mianowicie gdyby kiedyś zdarzyło mu się wejść na pokład mojego statku po to, by go przeszukać, podejrzewając, że przewozi on kontrabandę czy inne takie bzdury. A coś takiego nigdy nie

miało miejsca na żadnym dowodzonym przeze mnie statku.

W małej grupce zapanowało milczenie. W końcu Silverstone westchnął.

- Kapitan ma rację. - Rzucił twarde spojrzenie Gowerowi. - Wydaje mi się, że zajęliśmy tym zacnym

ludziom już wystarczająco dużo czasu.

- Tak, ale co z...

- Czy ma pan jeszcze jakieś dowody? - zapytał Silverstone. Pomachał listem w powietrzu, a usta wykrzywiły mu się z niesmakiem. - Coś więcej niż to?

Gowerowi pobieleły wargi. Z wielkim wysiłkiem usiłował coś powiedzieć, ale żadne słowa nie wydobyły się z jego ust. Harriet niemal zrobiło się go żal. Niemal.

- Panie Silverstone, panie Pickard, bardzo mi przykro, że tracili panowie na darmo czas dziś wieczorem.

Matka przytaknęła, jej siwe włosy mieniły się delikatnie w świetle lampy.

- Czy naprawdę muszą się panowie już oddalić? Może zechcieliby panowie zatrzymać się jeszcze na chwilę i napić się trochę portwajnu? Mój najstarszy syn mógłby...

- Dziękuję pani, ale nie - powiedział pan Silverstone. -Przepraszam raz jeszcze, że zakłóciliśmy państwu spokój w ten wieczór. Zobaczymy się z państwem za tydzień, kiedy przyjdzie termin spłaty.

- Spiorunował Gowera wzrokiem. - No, panie. Jest pan gotów, by stąd odejść?

Przez moment Harriet wydawało się, że Gower ma się ochotę opierać, ale ostatecznie skinął tylko ostro głową i cofnął się o krok, by dwaj starsi panowie mieli dostęp do drzwi.

Matka i Sophia wyszły przodem na korytarz, panowie Silverstone i Pickard podążyli tuż za nimi. Gower tkwił dalej na środku pokoju, zwięzonymi oczami wpatrując się w Chase'a.

Chase oczywiście się nie cofnął. A nawet postąpił krok naprzód, tak że stali niemal nos w nos.

Harriet westchnęła. Wyglądali jak dwa barany, które, puszczać parę z nozdrzy, krążą wokół siebie na polu.

- Panie Gower, proszę. Myślę, że dość już pan posiał dziś wieczorem zamętu, i nie trzeba...

Chase machnął ręką.

- Ukochana, pozwól temu człowiekowi mówić. Widzę przecież, że ma nam obojgu coś niesłychanie ważnego do zakomunikowania.

Gower zeszywniał, kiedy Chase tak czule zwrócił się do Harriet. Szczęki mu się zacisnęły i wycedził przez zęby:

- Nie wiem, kim pan jest, ale nie jest pan kapitanem Frakenhamem.

Harriet udało się miło uśmiechnąć, chociaż najmniejszej ochoty na to nie miała.

- Panie Gower, jestem pewna, że z czasem wszystko to...

- Słuchaj pan, Gower - przerwał jej Chase. - Nie mam pojęcia, co pan chce na tym zyskać, ale niech pan zostawi Wardów w spokoju. Jeżeli to do mnie ma pan jakieś zastrzeżenia, załatwmy sprawę, jak na mężczyzn przystało.

Harriet przymknęła oczy. Czy Chase nie zdaje sobie sprawy, że przyszłość Wardów, przyszłość Garrett Park, może spoczywać w rękach tego człowieka?

Ukradkiem zerknęła na Gowera i aż się przygarbiła w ramionach, widząc, że jego dłonie zacisnęły się w pięści.

- Pan, sir, jest szarlatanem. I nie spocznę, dopóki nie poznam pańskiej prawdziwej tożsamości.

Uśmiech Chase'a nie był miły.

- A poznawaj pan sobie, co pan chcesz, Gower. Tylko nie zdziw się pan, jeśli się okaże, że to, coś pan odkrył, wcale się panu nie spodoba.

Harriet raz jeszcze próbowała interweniować.

- Panie Gower, proszę nie mieć kapitanowi za złe tych słów. Jest nieco wytrącony z równowagi przez pana pomówienia...

- Wcale nie jestem wytrącony z równowagi - wszedł jej gładko w słowo Chase. - Właściwie nawet z przyjemnością przyjmuję to wyzwanie. Gower, udzielam panu pozwolenia, by sprawdzał mnie pan na wszelkie dostępne panu sposoby. Nie mam nic do ukrycia i życzę panu powodzenia przy dochodzeniu, kim i czym dokładnie jestem.

Tymczasem kark Gowera zrobił się już równie purpurowy jak jego twarz.

- Niech pan będzie ostrożny, bo jeszcze się pana życzenie spełni.

Z tymi słowy odwrócił się na pięcie i wypadł z pokoju, rzucając tylko po drodze na Harriet zjadliwe spojrzenie.

- O Panie Boże - jęknęła Harriet, kiedy usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi.

Matka i Sophia wróciły niemal natychmiast.

- Co się stało? - zapytała Sophia bez tchu. Harriet westchnęła.  
- Kapitan Frakenham zaprezentował się w prześlicznej imitacji zadziornego koguta. - Rzuciła Chase'owi kąśliwe spojrzenie. - Do czego pan właściwie chciał doprowadzić? Już zrobił pan wszystko, co trzeba było zrobić, to znaczy podważył pan jego pomówienia. A dzięki temu, że go pan rozgniewał, Gower z jeszcze większą determinacją będzie chciał dowieść, że to on ma rację. Chase skrzyżował ramiona i oparł się o gzyms, usta miał wciąż zacięte.  
- Był w stosunku do pani niegrzeczny. Nie mogłem pozwolić, by tak się dłużej zachowywał. Harriet prychnęła poirytowana.  
- Do licha! Przysięgam, że nic pan nie rozumie. Potrzebna nam jest jego przychylność, żeby powstrzymać bank od zajęcia nieruchomości.  
Matka westchnęła.  
- Harriet ma rację. Silverstone powiedział kilku osobom w miasteczku, że jego zdaniem Gower może być odpowiednim człowiekiem, by któregoś dnia zasiąść na miejscu po nim w zarządzie.  
- Harri? - W drzwiach pojawili się Stephen i Derrick, zza ich pleców wyglądała Ofelia. - Co się tu działo?  
Sophia z podnieceniem postąpiła krok do przodu.  
- Och, to było cudowne! Pan St. John przyszedł nam na ratunek i z takim entuzjazmem odegrał rolę kapitana Frakenhama! - Klasnęła w dłonie i obrzuciła Chase'a promiennym spojrzeniem. - Bankierzy dali się całkiem wyprowadzić w pole.  
- Chwilowo - zgasiła siostrę Harriet. - Ale Gower wróci.  
Stephen się zachmurzył.  
- Nienawidzę tego człowieka. I co teraz zrobimy?  
Wszyscy popatrzyli na Harriet. Odpowiedziała im spojrzeniem bez wyrazu. Chase przyłapał się na tym, że ma ochotę podejść do niej, objąć ją za ramiona. Wyglądała tak młodo, tak krucho, była dużo za drobna, by na jej ramiona składać takie brzemie.  
Ale kiedy próbował ubrać swoje myśli w słowa, powiedzieć coś, co odwróciłoby uwagę rodziny od Harriet, ona uniosła brodę do góry.  
Z determinacją malującą się na twarzy spojrzała rodzinie w twarz.  
- Jutro zaczynamy strzyżę.

## 22

*Gdyby któryś z twoich rzekomych przyjaciół postanowił narzucić ci brutalnie swoją wolę, uznane by to zostało za przejaw despotycznej poufalości. Ale kiedy decyduje się na coś takiego rodzina, uznaje się to za przejaw życzliwości, zrodzonej z lepszego zrozumienia twego nędznego charakteru oraz faktu, że rodzina dysponuje dużo silniejszym intelektem niż ten, do którego sam mógłbyś się przyznać. Coś takiego zupełnie wystarczy, by człowiek pożałował, że nie jest sierotą.*

Pan Brandon St. John do pana Devona St. John, kiedy opuszczali Treymount House po kryzysowej naradzie rodzinnej

Następnego ranka dzień wstał chłodny i wietrzny. Rodzina Wardów, ich dwóch najętych parobków oraz Chase zgromadzili się w stodole z głębokim poczuciem celowości swego postępowania. Harriet kierowała całą operacją niczym generał i rozsyłała wszystkich na wyznaczone im stanowiska. Sophia i Ofelia poszły obsadzić bramki do kopców dla owiec. A matka wróciła do domu, by dopilnować smacznego lunchu, który miał zostać podany pod dębem, kiedy przyjdzie południe.

Panna Ward zdecydowała, że Stephen i jeden z najętych parobków pomogą jej zająć się połową stada, a Derrick i Chase będą odpowiedzialni za ostrzyżenie drugiej połowy.

Harriet ukradkiem zerknęła na Chase'a, który, ubrany w stare rzeczy Stephena, stał w stodole. Włosy opadły mu na czoło, a rękawy koszuli podwinął więc ręce miał gołe. Był mężczyzną przyzwyczajonym do tego, żeby jeździć na najlepszych rumakach, tańczyć z najpiękniejszymi debiutantkami, przed którym towarzyska *creme de la creme* nie miała żadnych tajemnic.

A oto przygotowywał się do pracy w polu, jakby był członkiem jej rodziny.

I w pewien sposób tym właśnie się stał. Na samym początku, kiedy tylko się u nich pojawił, był arogancki i rozpuszczony. Ale widziała, jak z każdym upływającym dniem się zmienia, jak otwiera serce przed jej rodziną, jak coraz mocniej się z nimi zrasta. Po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak

ciężko przyjdzie znieść jego nieobecność, kiedy ich już opuści.

Przykuśtykał do niego Stephen.

- Tu pan jest, panie St...

- Proszę po prostu mówić do mnie Chase.

Stephen szeroko się uśmiechnął.

- A więc Chase.

- Zamierzałem panu powiedzieć, że przykro mi, iż nie powiodło się panu z panną Strickton.

Policzki Stephena zapłonęły jaskrawym różem.

- To mnie jest przykro, że tak dosłownie zrozumiałem pana słowa. Wydawało mi się wtedy, że to będzie świetny pomysł.

- Podejrzewam, że za pana myślała brandy.

- I pewnie ma pan rację.

- Niech się pan nie martwi, Stephen. Może uda się panu jeszcze trafić pannie Strickton do serca.

Stephenowi mina zrzędała.

- Nie. Obawiam się, że tak spartaczyłem całą sprawę, iż nie uda mi się zrehabilitować.

- Zobaczymy. Może coś wymyślę - obiecał St. John.

Harriet zastanawiała się, co też może chodzić Chase'owi po głowie. Wcale nie była pewna, czy podoba jej się uśmiech St. Johna, czy nie: jakiś się taki wydawał przebiegły.

Zaswedział ją palec i z roztargnieniem potarła pierścień- talizman. Codziennie od tygodnia próbowała zdjąć tę zatraconą błyskotkę, ale bez skutku. A teraz oczywiście już się do niej przyzwyczaiła. Zerknęła na pierścień i zwróciła uwagę, jak delikatnie prezentuje się na dłoni. Po tym, jak pomagała przy mocowaniu żerdzi w ogrodzeniu, jej ręce zrobiły się czerwone i spierzchnięte. Paznokcie musiała poobcinać bezlitośnie krótko. Zastanawiała się przez moment, jak wyglądają dłonie londyńskich dam, ale zaraz doszła do wniosku, że właściwie nie chce tego wiedzieć.

To było niepodobne do Harriet, żeby uciekać przed faktami. Zwykle jako pierwsza potępiała unikanie nieprzyjemności. Zawsze lepiej spojrzeć prosto w twarz paskudnym życiowym prawdom i dalej robić swoje. Ale wszystkie reguły zmieniały się, jeżeli zamieszany w sprawę był Chase. Wszystko się zmieniało, nawet sama Harriet, w jakiś nieokreślony sposób.

- Czy jesteśmy gotowi? - Głos Chase'a rozległ się tuż przy uchu Harriet, tak że aż się wzdrygnęła. St. John patrzył na nią z uśmiechem.

Jego bliskość spowodowała, że natychmiast zrobiło jej się ciepło i przypomniała sobie, jak wyglądał po tym, kiedy się kochali, jak błyszcząły mu oczy, jakie miał zmierzwione włosy.

- Czy jesteśmy gotowi żeby co? - zapytała bez tchu.

- Oczywiście żeby zacząć strzyżę.

Podszedł do nich Derrick.

- No, Harriet? Kto ma się zabrać za którą robotę?

- Weź ze sobą pana St. Johna. Zajmijcie pierwszy z kojców do strzyżenia. Ja wezmę jednego z parobków i Stephena. On nie da rady zaganiać zwierząt, ale może otwierać i zamykać bramki. Sophia i Ofelia staną przy bramkach od zagrody.

Derrick wyraził zgodę.

- W porządku, St. John. Wygląda na to, że tę rundę rozgrywamy we dwóch, pan i ja.

Chase przytaknął, chociaż nie spuszczał oczu z Harriet.

- Wie pani, pierwsza runda nigdy nie jest tak udana jak druga albo trzecia. Człowiek robi z czasem postępy.

Harriet lekko się zaróżowiła. Wiedziała, co Chase ma na myśli, ponieważ sama myślała dokładnie o tym samym.

- Proszę tylko uważać, żeby ostrożnie obchodził się pan z nożycami. Bardzo są zdradliwe. Nie chciałabym, żeby przypadkiem obciął pan sobie coś istotnego.

Uśmiech Chase'a zrobił się jeszcze szerszy.

- Dziękuję pani za troskę, ale zawsze dobrze radziłem sobie z obsługą mego oręża.

Derrick zakrztusił się ze śmiechu i chwycił Chase'a za ramię.

- Chodźmy, mistrzu oręża. Czeka na nas robota, a chociaż droczenie się z Harriet ma swoje zalety, nie czas teraz na to.

Harriet usłyszała, że Chase, odchodząc z Derrickiem, cicho się śmieje. St. John wkradł się do serca wszystkich mieszkańców Garrett Park. Próbowała sobie wyobrazić, jak tu będzie bez niego, ale wyobraźnia odmówiła usług. Wiedziała tylko, że przez swoją obecność wśród rodziny, przez swoją pracę na polach, przez udział w kolacjach i zabawianie sąsiadów wymyślanymi opowieściami z mórz i oceanów, stał się częścią jej życia. I to ważną, istotną częścią jej życia. Przepelniała ją bólem myśl o tym, jakie będzie to życie bez niego.

- Jest bardzo intrygującym mężczyzną - odezwał się cicho Stephen. Stał na podwórku, opierając się o wóz.

Harriet odwróciła się i zobaczyła, że brat jej się przygląda.

- Tak, to prawda.

- Zrobił też wielkie wrażenie na matce i Sophii. I na Derricku również.

Czekała, ale brat nic już nie dodał. Nie ruszał się z miejsca i tylko na nią patrzył. Westchnęła.

- Jestem pewna, że wszyscy jesteście pod wrażeniem. Okazał się bardzo wielkoduszny, chociaż z oporami.

Stephen powiódł spojrzeniem za Derrickiem i Chase'em.

- Nie mogę powiedzieć, bym miał mu te opory za złe. Podejrzewam, że przez całe jego życie ludzie naprzykrzali mu się o pieniądze i przysługi.

Harriet nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale mogła to być prawda. Nie ma co, Wardowie dokładnie tak właśnie postąpili. Przypomniało jej się, że czasami, przy wspólnych wieczornych posiłkach, Chase'owi wymykała się jakaś uwaga na temat jego domów, koni, powozów. Właściwie mniej ważne były same słowa, a bardziej znamienne to, co przemilczał. Trafił do nich ze świata bardzo odległego od Garrett Park i Harriet wiedziała, że kiedy nadejdzie koniec tygodnia, opuści ich i wróci tam, gdzie było jego miejsce. Nie sprawiała jej radości ta myśl.

- Jestem pewna, że, mając tyle pieniędzy, ani on, ani jego rodzina nie zaniedbują przypadającej na nich dobroczynności.

- Dobroczynność i wielkoduszność to nie to samo.

- To wielka prawda. - Harriet przemogła się i przywołała uśmiech na usta. - Dobrze więc, że go znaleźliśmy, prawda? Ja przynajmniej uważam, że ogromnie poprawiliśmy mu charakter.

- Niewątpliwie. Ciekawe, co pocznie w Londynie ze swymi świeżo nabytymi wiejskimi cnotami?

Harriet bardzo pragnęła wierzyć, że Chase zawsze będzie pamiętał o Garrett Park, o niej. Ale jakoś nie potrafiła. Szkoda tracić czasu na marzenia o tym, co niemożliwe. Podniosła nożyce.

- Mamy dziś dużo do zrobienia. - Z tymi słowy wymaszerowała ze stodoły. Zamierzała pracować na tyle ciężko, żeby w ogóle nie myśleć o panu St. John ani o jego coraz bliższym wyjeździe.

Chase chwycił mocniej za kij i spiorunował spojrzeniem owcę, która stała tuż poza zasięgiem jego rąk. Problem w tym, że owcy udawało się pozostawać poza jego zasięgiem od ponad trzydziestu minut.

- Ty zatracony sfilcowany odpadku.

Ofelia poprawiła sobie okulary na nosie. Siedziała na olbrzymim płocie, kończącym się tuż przy prowizorycznym kojcu, i przyglądała się całej tej scenie, a Derrick czekał w małym wąskim, bocznym boksie.

- Nie wolno panu tak do nich mówić.

- Dlaczego nie? - warknął Chase, który z całego serca pragnął, by Ofelia znajdowała się gdziekolwiek, byle nie tu. Jakby mało było tego, że Derrick pękał ze śmiechu na swoim stanowisku, to mordęga stawała się jeszcze gorsza przez obecność Ofelii, która niczym pulchny aniołek przycupnęła na płocie i co dwie minuty udzielała mu dobrych rad. - Mogę się zwracać do nich, jak chcę.

Szlag by to najjaśniejszy trafił, powinien sobie bez trudu poradzić z tym zadaniem. Miał tylko za pomocą kija zmusić owcę, by weszła do wąskiego kojca, w którym Derrick czekał już ze zwiniętą w pętlę liną. Nie wymagano od niego, niczego więcej. Derrick zarzuciłby pętlę owcy na głowę i uwiązał ją do szerokiej deski na końcu kojca. Uwiązana owca stałaby już bez ruchu i dała się ostrzyć. A przynajmniej tak przedstawiało się to w teorii.

Ofelia wydeła wargi.

- Niech mnie pan nie słucha, jeżeli pan nie chce. Mówię panu tylko, jak Harri to robi.

Chase zerknął w kierunku drugiego kojca. Z daleka wyglądało na to, że Harriet i Stephen, przy umiejętnej pomocy Sophii, ostrzygli już trzy owce, podczas gdy Chase'owi, Derrickowi i Ofelii nie udało się jeszcze ostrzyć ani jednej.

Na miłość Hery, to niedorzeczne. Przyjrzał się stojącej przed nim owcy i zauważył, że zwierzak z wielką nieufnością w ślepiach również mu się przygląda.

- Cholerna, idiotyczna kreatura.

- Nie może pan tak do niej mówić - upierała się Ofelia. Odwrócił się i spiorunował ją wzrokiem.

- A czemu by, u diabła, nie?

- Bo one się wtedy złością. Owce to bardzo inteligentne stworzenia. Rozumieją każde słowo, jakie się do nich powie.

- Bzdura. Są kompletnie głupie. Wystarczy popatrzeć na ich oczy.

- Harriet nadaje każdej owcy imię, żeby wiedziała, że to do niej się zwraca. Widzi pan, jak jej słuchają?

Chase się obejrzał. Harriet stała na środku drugiej zagrody z kijem w ręku, a owce kolejno przesuwały się w kierunku kojca.

- Gdzie jest Max? Ten pies by sobie z nimi poradził.

- Pomaga zaganiać zbłąkane owce - wyjaśnił Derrick.

- Powinien być tutaj ze mną. W żaden sposób nie uda mi się zapędzić tego... - tu pokazał kijem na owcę - ... tam. - Wycelował kijem w wąską bramkę.

- Musimy to zrobić - powiedział Derrick.

- Jak?

- Po jednej. No, niech pan spróbuje jeszcze raz. Nie chce pan chyba, żeby tu przyszła Harri i zaczęła nam doradzać? A zapewniam pana, że nic nie sprawi jej większej przyjemności.

Czego jak czego, ale tego na pewno sobie nie życzył. Diabli nadali. Chase chwycił mocniej kij i zabrał się do zapędzania owcy do wąskiej bramki. Stawała tuż przed wejściem, a potem, za każdym razem, uskakiwała na drugą stronę zagrody, wierzgając lub becząc jak szalona.

Minęło następnych dwadzieścia minut. Ofelia westchnęła.

- Mówiłam panu, żeby jej pan nadał imię.

- Nadałem - zapewnił ponuro Chase.

- Jakie?

- Dziobata Zaraza.

Ofelia zachichotała.

- Jak ślicznie. A jak pan tę nazwie? - pokazała na bardzo tłustą, chyba leniwą jarkę z czarnym nosem i dwoma czarnymi nogami, która z wyraźnym zainteresowaniem zaglądała do zagrody.

- Imbecyla.

Ofelia znowu się rozchichotała.

- A barana?

Chase zajrzał do sąsiedniej zagrody, gdzie stał bardzo duży i najwyraźniej bardzo rozłoszczony baran, uparcie i w milczeniu prowokując ich, by tylko spróbowali zagnać go do kojca.

- Nie mogę na głos wypowiedzieć jego imienia, żeby w nas piorun nie strzelił.

- No to jak go pan do siebie przywoła?

- Wcale go do siebie nie przywołam. Nie lubię go, więc nigdy, przenigdy go do siebie wołać nie będę. Widzi pani? Wszystko się zgadza.

Derrick aż się zakrztusił ze śmiechu.

- No, St. John. Spróbujmy przynajmniej jedną z nich ostrzyć przed lunchem.

Chase potarł sobie twarz, rozluźnił się w ramionach, potem się przygarbił i skupił na wygraniu walki z owcą. Tym razem jakoś się udało. Zaczekał, aż zwierzak zbliży się do bramki, potem uskoczył na bok, wiedząc, że zwierzę zrobi to samo, byle nie dać się przepędzić przez wąski otwór. Jego nagły ruch przestraszył owcę. Spłoszona wskoczyła do kojca, gdzie Derrick zarzucił jej pętlę na szyję i mocno uwiązał. Dziobata Zaraza znalazła się dokładnie tam, gdzie się znaleźć miała.

Chase poczuł się tak, jakby miał co najmniej dziesięć stóp wzrostu.

Derrick roześmiał się i wziął się pod boki.

- Wie pan, może jednak ma pan do tego zdolności.

Była to skromna pochwała, ale ponieważ wygłosił ją jeden z Wardów, okazała się z jakiegoś powodu

wspaniała. Chase tylko się uśmiechnął w odpowiedzi i wyciągnął nożyce.

Reszta poranka szybko minęła. Chase nabierał coraz więcej wprawy. Tyle że musiał przy tym znieść podejrzenie dobrego humor Ofelii i Derricka, ale robota szła mu całkiem gładko. Do i tego stopnia gładko, że kiedy podawano lunch, skończyli strzyc owce w swojej zagrodzie.

W pół godziny później Chase stał u boku Harriet przy stole pod drzewem, gdzie pani Ward pilnowała przygotowań do uczyty obfitej jak dla pułku wojska.

Harriet była zgrzana i zmęczona, suknię miała zabłoconą, włosy wysuwały jej się spod skrajów kapelusika i zwisały w luźnych pasmach na plecy. Ale szeroki uśmiech, jaki mu posłała, kiedy go zobaczyła, wart był każdej odrobiny wysiłku, jaki tego ranka włożył w pracę.

Już wyprzedziliśmy plan!

Uśmiechnął się do panny Ward, zauważając, że słońce udekorowało jej nos leciutkim wzorkiem z piegów. Dziwne, nigdy dotąd nie uważał piegów za pociągające, a u Harriet były niezwykle urocze.

Przyglądał się dziewczynie tak bacznie, że uśmiech jej stał się niepewny.

- Co... o co chodzi? - Potarła nos. - Czy pobrudziłam sobie nos błotem...

- Nie. Wcale nie. - Rozejrzał się po zalanych słońcem polach, spojrzął na zadbaną stodołę. Od strony reszty rodziny dochodził odgłos cichego śmiechu; rozmawiali i droczyli się ze sobą. Słodki zapach siana wypełniał powietrze, rozlegało się ciche pobekiwanie owiec. Był to sielankowy, cudowny moment. Taki, który na zawsze miał mu się wryć w pamięć.

Spojrzął znowu na Harriet.

- Tu jest pani miejsce.

Chyba ją zaskoczył. Rozglądała się przez chwilę, a potem powiedziała cicho:

- Tak. To jest mój dom.

- Czy myślała pani o tym, żeby stąd gdzieś wyjechać?

Harriet zawahała się. Widział, że waży słowa. Po chwili potrząsnęła głową.

- Może. A może i nie. Kocham to miejsce. Moi rodzice wprowadzili się tutaj, kiedy miałam sześć lat. I nigdy nie chciałam mieszkać gdzie indziej. Ale... człowiek nie potrafi przecież przewidzieć, jak się poczuje za rok czy więcej.

Chase usiłował sobie wyobrazić Harriet w mieście, wystrojoną na jakieś przyjęcie albo w drodze na bal. Domyślał się, że byłaby nieszczęśliwa. A Londyn, ze swą skłonnością i zamiłowaniem do urodziwych i bogatych, nigdy nie przyglądałby jej się na tyle długo, by dostrzec prawdziwe piękno w kobiecie, którą miał przed sobą.

- Nie potrafię sobie wyobrazić pani w Londynie.

Uśmiechnęła się trochę boleśnie, chociaż powiedziała tonem dość lekkim:

- A ja nie potrafię sobie wyobrazić, żeby pan miał zamieszkać na wsi.

Nie wiedzieć czemu te słowa targnęły jego sercem. O co tu chodzi? Jakieś kliwne bzdury na myśl o... o czym? O wyjeździe z Garrett Park? Co za głupota.

Jeżeli ma być uczciwy, to musi przyznać, że chwile, które spędzał z Wardami, przyniosły mu wiele radości. Przypominali jego własną rodzinę, zanim wszyscy jej członkowie podorastali i opuścili dom. I może czuł wobec Harriet sympatię silniejszą niż wobec innych dam, z którymi zwykle flirtował, ale tego się należało spodziewać. W końcu spędzili bardzo wiele godzin na wspólnej pracy i rozmowach, a ze swoimi flamami w Londynie rzadko oddawał się takim zajęciom.

Chase uświadomił sobie, że właściwie lubi pracować. Jakieś to było orzeźwiający, jeżeli każdy dzień przynosił wyzwanie, któremu należało sprostać. Nigdy nie znał żadnego życia poza miejskim, nigdy nie przyszło mu na myśl, by poznać coś innego. W końcu rolnictwo i hodowla nie były raczej odpowiednim zajęciem dla prawdziwego dżentelmena. Ktoś taki mógł najwyżej trochę pobawić się w handel, było to dopuszczalne, dopóki nie traktował go zbyt poważnie.

Osadził sobie nieco mocniej kapelusz na głowie i posłał Harriet olśniewający uśmiech.

- Bez względu na to, gdzie bywałem i dokąd się udam, teraz jestem na wsi. - Popatrzył na ubłocone buty i skrzywił się. - Nie da się zaprzeczyć.

- Chwilowo. - Zawiązała sobie mocniej wstążki pod szyją. - Bardzo poczułby się pan niezadowolony, gdyby się okazało, że utknął pan tutaj na resztę życia.

- Harri! - zawołała Ofelia.

Harriet odwróciła się w stronę zagrody dla owiec. Wszyscy odeszli już od stołu i stali teraz szeregiem przed płotem, na którym jeszcze pół godziny temu siedziała Ofelia, zasłaniając sobie buzię ręką i

chichocząc.

- Harri! - Tym razem wołał siostrę Stephen. - Musisz tu przyjść i to zobaczyć.

Harriet zerknęła na Chase'a.

- Co pan zrobił?

- Ja? Nic. Może podziwiają, jak szybko się z nimi uwinęliśmy.

- Tak, ale...

- Harri! - Teraz dołączyła do nich Sophia, której głos załamał się w śmiechu.

Harriet się zachmurzyła.

- Chyba powinnam pójść i dowiedzieć się, czego chcą. - I z tymi słowy podeszła do bramki.

Chase stał jeszcze przez chwilę bez ruchu i rozkoszował się ciepłem słońca, które go grzało w ramiona, zapachem siana i wonią świeżo upieczonego chleba, który podano do lunchu. To zdumiewające, jak wyśmienicie się czuł. Chyba wiele dobrego da się powiedzieć o prostym stylu życia. Szkoda tylko, że jest takie... zdrowe, takie... godziwe.

Dokładnie takie było: godziwe. A tego określenia do Chase'a się zastosować nie da. Na tę myśl ścisnęło mu się serce i uświadomił sobie, że chociaż teraz jest przez Wardów mile widziany, zmieniliby się to, gdyby wiedzieli, kim jest naprawdę. Co zrobił.

Ogarnęło go przygnębienie.

Słońce wydało mu się nagle mniej promienne. Skierował się do zagrody, przy której zgromadzili się Wardowie, zaglądając przez płot do jego podopiecznych. Rzeński wiosenny wiaterek szarpał za spódnicę i marszczył koszule. Chase stanął obok Harriet, krytycznie przyglądając się rezultatom swojej pracy.

To oczywiste, że nie wszystkie owce były ostrzyżone idealnie. Ale robił to pierwszy raz. Chase pewien był, że nikt nie zdołałby tych zwierzków ostrzyć tak krótko i tak równo, jeżeli nigdy przedtem nie zajmowałby się owczym fryzjerstwem.

Zerknął na swoich towarzyszy.

- O co chodzi?

Stephen przecesał palcami włosy, nie spuszczać wzroku z owiec, które się pały przed nim. Sophia wyglądała na ogłuszoną. Tylko Derrick miał rozradowaną minę i szeroki uśmiech na twarzy, a Ofelia, z oczami zmrużonymi z rozbawienia, zakrywała sobie usta dłonią.

Co się tu, u wszystkich diabłów, dzieje? Chase popatrzył na Harriet. Z rozszerzonymi oczami i palcami przyciśniętymi do warg przyglądała się owcom, jakby nic podobnego w życiu nie widziała.

- Co jest? - zapytał, czując, że budzi się w nim isierka niepokoju.

Harriet podniosła wzrok, w jej brązowych oczach migotały isierki śmiechu.

- Cholerny świat - zaklął Chase. - Mówiła pani, że im krócej, tym lepiej. - Wiedział, że zabrzmiało to tak, jakby się usprawiedliwiał, ale coś mu tutaj nie grało.

- Tak, ale...

Sophia się rozchichotała.

- Och, tak mi przykro - wykrztusiła, kiedy Chase gwałtownie się do niej odwrócił. - Tylko że te owce... one wszystkie wyglądają jak pudle.

- Pudle? - Chase podążył spojrzeniem za jej wzrokiem. Ofelia przechyliła głowę na bok, wargi jej drżały.

- Pudle albo lwy. Niektóre mają zdecydowanie lwi wygląd. Powiedziałabym, że wspaniale udała się panu fryzura barana.

- Chase - zapytała Harriet, w jej głosie pobrzmiwało rozbawienie - dlaczego pan je tak ostrzygł?

Chase zaciął zęby.

- Bo tak trzeba. Zostawiłem im wełnę wokół głów i ogonów, żeby nie poobcinać czegoś istotnego. Derrick wyjaśnił mi, że często w ten sposób należy... - Głos Chase'a zamarł. Poszukał wzrokiem młodzieńca.

Ale Derricka nigdzie nie było widać. Cholerny świat!

- Ten diabelski su...

- Chase! - przerwała mu z szerokim uśmiechem Harriet, podczas gdy reszta rodziny pokładała się ze śmiechu. - On się tylko wygłupiał.

Ofelia grzbietem dłoni otarła oczy.

- Żebyście wy słyszeli Derricka. Nawet ja w pierwszej chwili myślałam, że mówi serio.

Chase zacisnął dłonie w pięści. Wystawili go na pośmiewisko.

- Mam już dość wygłupów.

- Absurd. - Harriet popatrzyła na owce i mimo woli zachichotała. - Śmiechu i wygłupów nigdy za wiele.

Chase pośepnie pomyślał o tym, jak się napracował.

- Jeżeli dopadnę Derricka, to go...

- Och, niechże pan się nie złości - poprosiła, popatrując na niego z uśmiechem.

- Nie mamy czasu na zabawę.

Jej uśmiech na to nieco przybladł.

- To prawda. Ale nie stało się nic takiego strasznego.

Stephen prychnął śmiechem.

- Nie możemy zostawić aż takiej ilości wełny na owcach, trzeba je będzie jeszcze raz ostrzyc.

Harriet przytaknęła.

- I myślę, że pozwolimy to zrobić Derrickowi. Bardzo proszę, poszukaj go i powiedz, że kazałam, by skończył tę robotę, zanim spędzimy następną partię owiec na strzyżę.

Stephen przytaknął, ale zanim się oddalił, klepnął Chase'a po plecach.

- Pojęcia nie miałem, że z takim talentem posługuje się pan nożycami. Jeżeli starczy panu czasu, może mógłby pan zrobić coś z krzewami przed domem. Nie zaszkodziłaby tam obecność kilku pięknie wymodelowanych krzaków.

Ofelia zachichotała.

- Skoro udało się panu doprowadzić do tego, że owce przypominają pudle, to może mógłby pan przystrzyc krzaki na kształt owiec.

- Zobaczą, co da się zrobić - obiecał sucho Chase, ale kąciki ust zaczynały mu już drgać z rozbawienia.

Rozejrzał się po otaczającej gromadzie roześmianych twarzy i ogarnęło go miłe uczucie, że ma wśród nich swoje miejsce.

- Czymże ja zawiniłem, że los mnie tak pokarał i musiała uratować mnie rodzina hodujących owce dowcipnisiów? Dlaczego nie mogli mnie znaleźć przeciętni, normalni ludzie, nie mający za grosz poczucia humoru i ani jednej owcy na swoim terenie?

Harriet niby to że zgrozą uniosła brwi do góry.

- A co robiłby pan przez całe trzy tygodnie bez naszych dowcipów i owiec? Musi pan przyznać, że odebrał pan kilka bardzo ważnych życiowych lekcji.

- Na przykład?

- Opanował pan sztukę wczesnego wstawania.

Sophia przytaknęła.

- Wciąż jeszcze trochę się boczy, ale Stephen nie musi już bić go po głowie poduszką, żeby się zbudził.

- Zachwycająca umiejętność - przyznał Chase. - Przypuszczam, że bez waszej pomocy nigdy w życiu nie nauczyłbym się wstawać o takiej nieludzkiej porze.

- No właśnie - zgodziła się Ofelia. - I jeszcze dowiedział się pan, że maść dla owiec najlepiej nadaje się dla owiec.

- Coś mi się zdaje, że ja tę lekcję przerobiłem już wcześniej. To Harriet miała braki w wykształceniu.

- Och, ja nigdy się tą maścią nie smaruję - zapewniła go nonszalancko Harriet. - Zostawiam ją wyłącznie dla pyszałków, którzy nie doceniają czynionych na ich rzeczy wysiłków.

- I nauczył się pan zachowywać bardziej sympatycznie - dodała promiennie Sophia. - Mama właśnie mówiła, że wyobrazić sobie nie potrafi kolacji bez pana opowieści o stolicy i jej mieszkańcach, chociaż ja nadal nie potrafię uwierzyć, by lord Byron nie jadał niczego oprócz kartofli z octem.

Chase westchnął, chociaż kąciki ust nie przestawały unosić mu się w uśmiechu, jakby je ktoś łaskotał. Ofelia zmarszczyła brwi.

- Gdzie mamy szukać Derricka, żeby powiedzieć mu, że czeka na niego robota?

Stephen, który opierał się o furtkę z żerdzi, wyprostował się i chwycił za kule.

- Będzie w bibliotece, na pewno tam czyta. Sam go przyprowadzę.

Harriet skinęła głową i popatrzyła na Ofelię i Sophię.

- Pomóżcie matce posprzątać po lunchu. Chase i ja pójdziemy do stodoły naostrzyć nożyce i wszyscy

spotkamy się tu za godzinę, kiedy parobcy przypędzą następną partię owiec.

Siostry pokiwały głowami i odbiegły, po drodze śmiejąc się i rozmawiając.

Harriet patrzyła za nimi, wciąż jeszcze chciało jej się śmiać. Pozbierała nożyce i ruszyła w stronę stodoły. Chase zrównał z nią krok.

Kiedy podeszli do wrót, ukradkiem na niego spojrzęła. Maszerował u jej boku, koszulę miał otwartą pod szyją, rękawy podwinęte, słońce już opaliło go na jasnobrązowy kolor. Wiatr bawił się jego włosami i zwiewał mu je na czoło.

Uświadomiła sobie nagle, że wygląda inaczej niż ten mężczyzna, którego znalazły w lesie, i zaczęła zastanawiać się, dlaczego.

Nie miał takiej posepnej miny. Tak gniewnej.

- Czy jest pan szczęśliwy?

Popatrzył na nią.

- Szczęśliwy?

Nie zamierzała wypowiedzieć tego pytania na głos. Ale skoro już to zrobiła...

- Tak. Czy jest pan szczęśliwy? To dosyć proste pytanie.

- Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. - Wydał wargi. Panna Ward starała się im nie przyglądać, ale nie zdołała się powstrzymać. To te wargi ją całowały, poznawały, podbiły ją bez reszty, nigdy sobie nie wyobrażała, że potrafią pieścić na tyle sposobów.

Zauważył jej spojrzenie i oczy mu natychmiast pociemniały. Pochylił się i szepnął Harriet do ucha:

- Niech pani tak na mnie nie patrzy, jeżeli nie jest pani gotowa ponieść konsekwencji.

Powiedział to takim tonem, że Harriet dreszcz przeszedł po plecach.

- Wcale nie patrzyłam na pana w żaden szczególny sposób.

- Nie?

- Nie.

Chase wysunął rękę, objął ją w tali i jednym szarpnięciem wciągnął do stodoły. Nożyce posypały się na ziemię. Harriet zdążyła tylko mrugnąć, a Chase już zamknął wrota i opuścił ciężką antabę.

Potem oparł się o wrota, a usta wykrzywiły mu się w szelmowskim uśmiechu.

- Teraz mam cię. Dokładnie tam, gdzie chciałem.

## 23

*Wyjeżdżamy, jak tylko się rozjaśni. I bardzo mi przykro z powodu twojego nowego dywanu.*

Pan Devon St. John do swego brata Marcusa,  
markiza Treymount, w Treymont House w Mayfair

- Co... co pan robi? - zapytała Harriet; obiekcje i podniecenie walczyły w niej ze sobą o lepsze.

- Chcę mieć pewność, że nikt nam nie będzie przeszkadzał. - Chase sprawdził raz antabę, potem odwrócił się i podeszedł do panny Ward. Pod jego butami trzeszczało rozsypane na podłodze siano, mięśnie na udach napinały się za każdym krokiem.

Niech ją nieba mają w swej opiece... nikt inny na świecie nie ma tak pięknych ud. Na wspomnienie, że obejmowała te uda swoimi, oczy same jej się przymknęły i przebiegł ją gorący dreszcz.

Chase podeszedł i przesunął palcem po jej policzku.

- Od pierwszego dnia, kiedy się u was pojawiłem i twoje rodzeństwo zaczęło we mnie wmawiać, że upodobałem sobie tę stodołę, chciałem ją odwiedzić razem z tobą.

Chwycił za wiązadła kapelusika Harriet. Oplótł palce niebieskimi, spłowiałymi wstążkami, a potem delikatnie przyciągnął dziewczynę bliżej do siebie.

Oczy Harriet się rozszerzyły, odchyliła się i jedną ręką przytrzymała kapelusik.

- Ja... to chyba nie jest konieczne.

Była zgrzana, suknię miała w nieładzie, kosmyki włosów wymykały się jej spod nakrycia głowy i lepiły do wilgotnych policzków i szyi. Zarumienioną skórę pokrywała podobna do rosy wilgoć, która aż się prosiła, by jej pokosztować.

Chase nigdy jeszcze w życiu nie znalazł się równie blisko kobiety zaangażowanej w tak ciężką pod względem fizycznym pracę. Pociągnął nieco mocniej za wiązadła. Harriet przysunęła się z oporami o krok bliżej, a on puścił jedną z wstążek i wolną ręką pogładził ją po policzku.

- Jesteś niewiarygodna.

Powietrze wokół nich zgęstniało, stężało, wydawało się, że od upału ziemia zwolniła obroty. Harriet oblizwała wargi, które nagle zaschły. Chase z trudem opanował się, patrząc na ruch jej różowego języczka.

Panna Ward rozejrzała się w popłochu, jakby chciała szukać ratunku u pól, a może u owiec.

- My... ja... ty...

Chase uniósł w górę brwi.

- Powinniśmy napić się wody. - Odwróciła się i sztywno, jakby szła na szafot, pomaszerowała do wiadra, które zwisało z podpierającego stryszek słupka.

- Masz rację. - Wyprzedził ją i zanurzył czerpak w wiadrze. Ciemna smuga kurzu plamiła twarz Harriet od skroni do brody. Cerę miała zarumienioną jak dojrzała brzoskwinia. Zobaczył, że przesuwając językiem po dolnej wardze, jakby już cieszyła się na chłodny napitek. Chase wyciągnął rękę i strącił jej kapelusik.

- Co... - zamrugła oczami.

Uniósł czerpak i wylał jej wodę na głowę. Spłynęła kaskadą po twarzy, przemoczyła ramiona, ochłodziła rozpaloną skórę.

- Co ty... dlaczego... - wybełkotała.

- Zgrzałaś się. - Zaczepnął znowu wody i tym razem wylał ją sobie na głowę. Woda natychmiast ochłodziła go i oczyściła.

Otworzył oczy i zobaczył, że Harriet patrzy na niego, a spojrzenie jej robi się ciepłe od szczerzego rozbawienia.

- Jesteś niemożliwy.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Chciałem tylko pomóc. - Nappełnił znowu czerpak i podał jej. - Pij.

Przez króciutką chwilę spoglądała mu w oczy, w ciemnym brązie tęczy migotały iskierki wesołości. Ku jego zaskoczeniu słowem się nie odezwała, tylko wyciągnęła ręce, objęła chłodny metal oboma dłońmi i zaczęła pić.

Chase nagle uświadomił sobie, że stoi zbyt blisko niej. Zbyt blisko, by zdołał się powstrzymać. Zanim uświadomił sobie, co robi, jego zaciśnięte w pożądaniu dłonie rozluźniły się i już ją obejmował, już do siebie przyciągał.

Przyłgnęła do niego, ciepła i chętna, usta jej wygięły się w zniewalającym uśmiechu.

Wyjął dziewczynie czerpak z osłabłych dłoni i wyciągnął rękę, by zanurzyć go w wiszącym za jej plecami wiadrze.

Harriet powiodła wzrokiem za jego ręką. Oczy jej się rozszerzyły, kiedy Chase zaczął czerpak podnosić w górę.

- Nie ośmielisz...

Odwrócił czerpak do góry dnem. Zimna woda oblała im głowy, ramiona i plecy.

Gęste krople czepiały się rzęs Harriet, skapały policzki, ochłodziły je tak, że czerwień zmieniła się w róż. Uniosła twarz, z jej mokrych warg wyrwał się chichot.

- To było boskie. Ale wiesz co, gorszy jesteś niż Stephen. On zawsze oblewa Derricka wodą, kiedy ten biedak najmniej się tego spodziewa. Derrick straszenie się przy tym wścieka, bo Stephenowi zdarza się porządnie ochlapać również jego książki.

- Moi bracia i siostra bardzo byli podobni - wymamrotał, wyciągając spinki z jej włosów.

Oddech Harriet troszkę się przyspieszył, ale zdołała zapytać:

- A czym dokuczało ci twoje rodzeństwo?

- Nigdy tego nie zdradzę.

Słyszając wyzwanie, Harriet potrafiła się na nim poznać.

- Nie zdradzisz? - Oparła się o Chase'a, przywierając mokrą suknią do jego przemoczonej koszuli, i przeciągnęła mu z boku palcem po szyi. - Nawet gdybym cię do tego zachęcała?

Chase'owi wzrok się na to roziskrzył, oczy zapłonęły nagłym ogniem, na którego widok Harriet dech zaparło.

- A w jaki sposób zamierzasz mnie zachęcić? Czy zechciałabyś na przykład... zdjąć dla mnie to? - Przesunął palcami po dekolcie sukni.

Harriet gwałtownie zaczęła powietrza, kiedy palce Chase'a zsunęły się w pobliże jej piersi... a potem się oddaliły.

- W zamian za co?

Chase opuścił rękę.

- W zamian za przezwisko, którym dokuczało mi moje rodzeństwo.

- Musiało być to przezwisko naprawdę okropne. Hmm. Doprawdy, kuszysz mnie. - Spojrzała na marszczoną pod szyją suknię. Jak wszystkie tego rodzaju stroje, miała ona bardzo duży dekolt, przez który przewleczona była wstążka. Kiedy się ją ściągnęło i zawiązało, suknia robiła się całkiem skromna.

Wystarczy, że rozwiąże tę wstążkę, lekko pociągnie i cała suknia opadnie z jej ramion. Ciało Harriet napięło się na tę myśl. Chase powodował, że czuła się... jakoś bardziej swobodnie. Radosna i smakowita jak tort, i dekadencja jak lód w środku lata.

- Zdradź mi swój sekret.

- A ty?

Przełknęła, świadoma, że ręce i nogi jej drżą.

- Zdradź mi swój sekret, a ja ci pokażę mój.

Uśmiechnął się szeroko.

- Przezywali mnie Żaba, co zakrawało już na czyste kpiny, bo nigdy w życiu nie udało mi się nauczyć pływać.

- Żaba? Tylko tyle? I to jest ten twój okropny sekret?

- Miałem sześć lat. Wydawało mi się to wtedy straszne.

Harriet musiała się uśmiechnąć.

Chase wyciągnął rękę i przesunął palcami po skraju dekoltu sukni, delikatnie muskając przy tym skórę.

- Teraz twoja kolej.

- Tak. Ale... jakoś mi się to nie wydaje sprawiedliwe, żebym tylko ja została bez ubrania.

Jeszcze nie zdążyła zaczerpnąć tchu, a on już ściągnął przemoczoną koszulę przez głowę. Harriet zachichotała.

- Człowiek czynu. Podoba mi się to.

Chase z szerokim uśmiechem oparł się o jeden z podtrzymujących stryszek słupków i ściągał buty.

- Nigdy się nie lubiłem ociągać, oczywiście poza pewnymi okolicznościami - jego promienny uśmiech był szelmowsko znaczący. - A wtedy potrafię ociągać się aż do świtu.

- Chwalipięta.

- Nie mnie o tym sądzić, tylko damie. - Ogarnął ją takim spojrzeniem, jakby potrafił wzrokiem przeniknąć przez suknię, powiódł nim po piersiach, brzuchu i udach. A w każdym z miejsc, na które spojrzał, budziło się migotliwe ciepło, jakby posypał je gorącym popiołem.

Oddech Harriet gwałtownie się przyspieszył. Powietrze było ciepłe i słodkie, zapach siana i paszy łaskotał ją w nos. Bywała w tej stodole codziennie. Codziennie widywała stosy siana, puste boksy, skromne ściany z desek. Codziennie migotał czerpak, kołysząc się przy zawieszonym na słupku wiadrze z wodą.

Widywała te wszystkie szczegóły codziennie, a przecież nie widziała niczego. Ale przeczuwała, że po tym, co się tu dzisiaj stanie, wewnątrz stodoły wryje jej się na zawsze w pamięć i od teraz będzie je widziała z zaskakującą wyrazistością.

Chase jednym szarpnięciem ściągnął z siebie przemoczone spodnie. Odrzucił je takim samym niedbałym gestem, jakim wcześniej odrzucił stare, znoszone buty i koszulę. Stanął przed Harriet rozebrany, czarne włosy opadały mu na czoło, patrzył na nią tak zachłannie, jakby już jej dotykał, jego silnie umięśnione ciało połyskiwało w ukośnych smugach światła, które przecinały stodołę.

Niepomny na to, że Harriet na niego patrzy, wyciągnął z komórki na uprzęż stary koc i rzucił go na siano. Potem z szelmowskim błyskiem w oczach odwrócił się twarzą do niej.

- Wolałbym coś bardziej luksusowego, no i ty na większy luksus zasługujesz, ale przynajmniej jest nasz.

Nasz. Było coś nieopisanie pięknego w tym słowie. Harriet próbowała przełknąć, ale nie zdołała. Chase był taki urodziwy. I na ten jeden bezcenny moment należał do niej.

Spuściła wzrok na dłoń, na której połyskiwał pierścień-talizman, srebrnym pasemkiem opasując palec. Wiedziała, że przyjdzie dzień, kiedy Chase St. John, arogancki potomek mającej rodziny, może jednej z najbogatszych w kraju, zrzuci z siebie na zawsze przebranie kapitana Frakenhama i

wróci znowu do prawdziwego świata, swojego świata. Świata, który nie ma nic wspólnego z Harriet ani z Wardami, ani z Garrett Park.

Ale to bez znaczenia, pomyślała, mocno zaciskając dłoń na wstążce, przy czym pierścień wpiął jej się w ciało. Ważny jest tylko on, jego pieszczoty, jego smak. Pociągnęła za wstążkę i suknia się rozluźniła. Harriet zsunęła ją z ramion, pozwoliła, by opadła na ziemię, a potem z niej wyszła.

Chase w życiu nie widział czegoś równie pięknego. Harriet stała na środku stodoły w samej koszulce. Koszulka była skromna, te, które Chase zwykle oglądał, ozdobione bywały dużo większą ilością guziczków i kokardek. Uszyto ją z cieniutkiego materiału i, jak wszystkie ubrania rodziny Wardów, była schludna, porządna, skrupulatnie czysta i w tej chwili doprowadzała Chase'a St. John do szaleństwa z niecierpliwością.

- Jesteś piękna - wyszeptał. - Taka piękna.

W odpowiedzi położyła mu dłonie na piersiach i podeszła bliżej, unosząc ku niemu twarz. Mokre włosy zwijały jej się na ramionach i lepiły się do zagłębień na szyi. Ciepło dłoni wywoływało gorące mrowienie, miejsce, gdzie opierał się pierścień, paliło żywym ogniem.

Chase wyciągnął do niej rękę, serce waliło mu jak młotem. Nigdy już nie miał przypomnieć sobie, jak rozsznurowywał jej koszulę. Ani jak ją zdejmował i odrzucał na bok. Pamiętał tylko, co poczuł, kiedy przyłączył się do niej na kocu i miał już tę kobietę pod sobą. Harriet uniosła rękę i przyciągnęła jego głowę, tak że usta ich się połączyły, a równocześnie oplotła nogami biodra Chase'a.

Chase zatracił się w niej, takiej rozpalonej, takiej gotowej. Zamknął oczy, całe ciało mu płonęło, a mięśnie się napinały, kiedy poruszał się w jej wnętrzu. Harriet była stworzona dla niego. Ta prawda stała się dla niego objawieniem, a równocześnie przedstawiała sobą konkretny fakt, tak pewny i niewzruszony, że chłodził i uspokajał w pełnej wrzących namiętności chwili, pobudzając ducha i dając siłę rozżegnionemu sercu.

Niedługo będzie musiał wyjechać. Tego się umknąć nie da. Po prostu nie może tu zostać. Nie ma dla niego miejsca w Garrett Park, a przynajmniej nie będzie go, kiedy Harriet dowie się o błędach, jakie popełnił w przeszłości. Tu, u Wardów, królowało dobro, szczególnie w samej Harriet. A jemu tak wiele brakowało do tego, czym powinien być.

Kiedy to pomyślał, chwila bieżąca wydała mu się tym słodsza. Świadom był, że na swój sposób stara się zostawić jej takie wspomnienie o sobie, które nigdy nie zblednie. Pogrążył się w niej głęboko. Harriet krzyknęła cicho, nogi jej zwały się jeszcze mocniej wokół niego.

Chase wodził ustami po jej szyi, po gardle, dłonie jego ani na moment nie zwalniały, nie zamierały. Chciał, by do końca swego życia pamiętała tę chwilę, ten moment.

Nagle wygięła się w łuk, w powietrzu rozległ się krzyk rozkoszy. Chase zaciął zęby, kiedy przyłgnęła do niego mocniej. Boże, ależ ona jest słodka, ale nie pozwoli sobie na zaspokojenie, jeszcze nie.

Po krótkiej, przejmującej chwili odprężyła się pod nim, urywany oddech owiał mu szyję.

- Jesteś boska - udało mu się powiedzieć. Piersiami przywierała do jego torsu, biodrami do bioder. Ta kobieta była zagadką. Stał i jedwab z aksamitem w jednym ciele.

Pochylił się i pocałował ją, smakując słodkie od wody usta.

Harriet nie poruszyła się, nie mogła. Była taka chwila, kiedy miała wrażenie, że żar namiętności spopielił jej umysł i że opuściły ją ostatnie resztki zdrowego rozsądku. Z pewnością to musi być sen, wywołany upałem i napięciem kilku ostatnich dni.

Nie, to chyba jednak nie sen... przecież Chase całuje ją w usta, gorąco i natarczywie, prawdziwymi wargami.

Dłoń Chase'a, która wcześniej spoczywała łagodnie na jej łokciu, przesunęła się w górę, na ramiona, i przyciągnął ją, bliżej, aż oparli się o siebie piersiami.

Zmiłuj się, Boże, ależ on jest uroczy. W każdym przystojnym, frustrującym calu swego ciała. Łaknęła tego. Chciała, żeby ją całował. Zapragnęła choć przez chwilę być jedyną kobietą, o której będzie myślał Chase St. John.

Ta myśl pobudziła ją do działania. Przesunęła rękami po torsie Chase'a, zachwyciła się muskulaturą brzucha i ramion. Obudziło się w niej nowe pragnienie. Zapłonęła chęcią, by doprowadzić go do tego, żeby zmąty tracił z pożądania, tak jak przed chwilą stało się z nią. Chciała obdarować go tym samym, co otrzymała od niego.

- Co... - Przygryzła wargę, szukając słów. Pocałował ją w policzek, w szyję.

- Co, co? - zapytał.

- Co ty lubisz? - Jej szept był urywany, niepewny. Chase, słysząc pytanie, przestał ją całować i uniósł głowę; spojrzenie miał mroczne, badawcze.

Objęła dłońmi jego twarz po obu stronach i przyciągnęła bliżej, by spojrzeć jej prosto w oczy.

- Czego ty chcesz?

Na ustach Chase'a rozkwitł powolny, zmysłowy uśmiech.

- Z tobą... wszystkiego. - Uśmiech zniknął, oczy zapłonęły jaśniej. - Absolutnie wszystkiego.

Pocałował ją znowu, ale tym razem z pełną napięcia natarczywością. Harriet poczuła, że pod jego pieśczętą się rozplywa, że serce jej wzbija się jak na skrzydłach i ulatuje w niebo razem z duszą. Wargi Chase'a, przesuwane się od szyi w dół, na dekolt i jeszcze niżej, zostawiały na jej ciele delikatny, ognisty ślad. Całe ciało napięło się, kiedy zamknęły się na jednym sutku, potem na drugim, a potem znowu wróciły na szyję i do wrażliwego miejsca za uchem.

- Czy wiesz - zapytał, ocierając się nosem o jej szyję - Gdzie najbardziej lubię całować kobietę?

Serce Harriet tłukło się jak młotem, myśli mąciły się w głowie. I jak tu z nim rozmawiać?

- Gdzie? - udało jej się wykrztusić. Uniósł się na łokciu, by popatrzeć na nią.

- Będziesz się musiała odwrócić.

Odwrócić? Ostry dreszcz przebiegł jej po skórze. Bez słowa przekreśliła się na brzuch.

Przez moment czuła się obnażona na jakiś zupełnie nieznaną dotąd sposób. Może dlatego, że nie widziała już twarzy Chase'a. A może dlatego, że sytuacja była taka nowa. Wszystko jedno, dlaczego, ale całe jej ciało dygotało. Poczuela, że Chase przysuwa się bliżej, potem opuszcza niżej.

Poczuela jego oddech na krzyżu.

- Najbardziej lubię kobietę całować... tu. - Musnął wargami sam dół pleców.

Harriet sprężyła się cała na tę pieśczętę. Co za niepokojące, intrygujące uczucie, leżeć nago przy mężczyźnie, zwłaszcza w takiej pozycji. Nic na to nie mogła poradzić, że czuła się bezbronna, obnażona. Ale Chase nie dał jej czasu, by na to zareagowała. Wędrował ustami po ciele Harriet, przemierzając je delikatnie krętą ścieżką, obsypywał gorącymi pocałunkami od samego dołu pleców aż po ramiona, kark...

Przygniótł ją jego ciężar, poczuła, jak twarda męskość napiera na jej nogi.

- Moja ukochana Persefono - wyszeptał jej do ucha. - Chcę ci coś pokazać. - I powiódł wargami z boku po szyi.

Harriet niemal myśleć nie mogła. Pragnęła go do szaleństwa, całe jej ciało stało już teraz w ogniu. Chciała odwrócić się na plecy, opleść go nogami, chciała, by ją wypełnił. Ale Chase przyciskał ją do koca brzuchem do dołu i dręczył, całując przeciągle i niespiesznie w najbardziej niedelikatne miejsca.

- Unieś biodra - wyszeptał. Harriet zmarszczyła brwi.

- Ale jak mam się odwrócić...

- Unieś je dla mnie, moja słodka. - I objąwszy ją rękami w talii, dźwignął lekko jej biodra.

Podporządkowała się jego życzeniom. Już wcześniej czuła się obnażona, a co dopiero teraz, tak nieprzyzwoicie wypięta, z pośladkami w powietrzu.

Chase ukląkł za nią, twarda męskość odnalazła wilgotną, nabrzmiętą kobiecość. Harriet drgała lekko pod nim, doprowadzając go do szaleństwa z pożądania.

Rozpostarł palce na jej plecach, zachwycając się widocznymi na nich mięśniami. Była istnym wcieleniem urody kobiecej i siły, delikatności i egzotycznego podniecenia. Odsunął się odrobine, a potem pograżył w Harriet, nie odrywając ust od jej pleców, które skubał i drażnił.

- Och... Chase! - Harriet uniosła biodra wyżej, przywarła mocniej. Boże, taka jest rozpalona, taka ciasna i tak gotowa, by go przyjąć. Jej gorące, wilgotne wnętrze obejmowało aksamitnym uściskiem oręż Chase'a, była to równocześnie rozkosz i niemiłosierna udreka. Krople potu zrosiły mu górną wargę, kiedy zanurzył się w niej głęboko, potem niemal wysunął.

Harriet jęknęła i przyłgnęła do niego mocniej, jakby doczekać się nie mogła, by podjął przerwana czynność. Chase zagłębił się w niej znowu. I znowu. Za każdy razem wychodziła mu na spotkanie, ponętne się pod nim poruszając. Odgadywał narastające w niej podniecenie, czuł, jak drga, kiedy głęboko się w nią wbijał. Walczył o samokontrolę, ale im silniej starał się zapanować nad sobą, tym silniej go Harriet rozogniała. W końcu wykrzyknęła cicho jego imię, niwecząc resztki opanowania Chase'a. Porwała go ze sobą i razem wzniesli się na szczyty rozkoszy.

*Jeżeli narobiliśmy sobie tyle kłopotów tylko po to, by znaleźć Chase'a, moszczącego się w pościeli z jakąś damą, to osobiście wywlokę go na zewnątrz i będę bił i patrzył, czy równo puchnie.*

Marcus St. John, markiz Treymont, do swego brata, pana Devona St. John, kiedy wsiadali do powozu Treymontów

Chase padł na koc, tuląc Harriet w ramionach i starając się chwycić oddech albo chociaż odzyskać zdolność myślenia. Nigdy w życiu nie trafił na tak zmysłową kobietę. Nigdy.

Ucałował ją mocno w kark, a potem odwrócił twarzą do siebie. Miała oczy mocno zaciśnięte, oddech urywany.

- Harriet? - wyszeptał z ustami tuż przy jej nagiej skórze. Dziewczyna zadygotała.

Chase ujął jej dłoń i splótł ich palce, potem pochylił się i lekko pocałował Harriet w kącik ust.

- Jesteś wspaniała.

Na te słowa rozchyliła powieki i, ku jego uldze, leciutko się uśmiechnęła.

Chase też się uśmiechnął i pocałował ją jeszcze raz tuż pod uchem.

- I chyba Kocham... - Urwał.

Niewiele brakowało, a byłby wyznał... Niemożliwe! Co go, u wszystkich diabłów ogoniastych napadło, że niemal wypowiedział takie słowo? Harriet zamrugła, oczy miała teraz szeroko otwarte.

- Co... co ty powiedziałaś?

- Nic - zapewnił pospiesznie. Podparł się i przegarnął palcami włosy, nie mając chęci przyznać, jak czuje się wstrząśnięty, że mu się niemal to słowo wymknęło. - Chciałem powiedzieć, że... że Kocham twoje pocałunki.

Harriet z niedowierzaniem uniosła brwi do góry.

- Moje pocałunki nie są niczym szczególnym.

- Wręcz przeciwnie, są. - Odgarnął Harriet włosy z czoła i zauważył przy tym, że słońce, pieszcząc jej policzki, ozdobiło je jeszcze większą ilością piegów. Przesuwał czubkiem palca od jednego piega do drugiego. Niedługo przyjdzie pora odjechać, a Harriet zostanie tu i będzie dla swoich sióstr i braci walczyła, by Garrett Park był majątkiem, który funkcjonuje i żyje. - Martwię się o ciebie.

- O mnie? Dlaczego, na Boga, miałabyś się martwić o mnie?

- Za ciężko pracujesz.

Jej uśmiech zniknął.

- Nie pracuję ciężiej niż pozostali. Chase, nie rób ze mnie świętej. Obciążona jestem stanowczo zbyt wielką ilością wad, by uznać mnie za cokolwiek innego niż zwyczajnego człowieka.

- A jakież to masz wady?

Harriet prychnęła.

- Zobaczmy. Jestem porywczą. Nie lubię żadnej domowej roboty. Mama przed laty już straciła nadzieję, by moje akwarele i hafty mogły się do czegoś nadawać. No i... - Zerknęła na niego z błyskiem w oku. - Bez wątplenia nie jestem również kobietą cnotliwą.

Chase się wzdrygnął.

- Nie przeszkadza mi to wcale - dodała pospiesznie. Objęła dłońmi jego twarz. - Naprawdę cieszę się, że mogliśmy razem spędzać czas. Każda sekunda przynosiła mi radość. Zwłaszcza dziś.

- Dziś?

- Tak. Po tej ostatniej rundzie jestem... w pełnej euforii.

Mimo obaw Chase musiał się uśmiechnąć.

- Ja czuję się tak samo.

- Wiem. Zorientowałam się. - Przyglądała mu się przez chwilę. - No i?

- No i co?

- Ja wyznałam, jakie mam niedociągnięcia. A co z twoimi?

Boże, dałby wszystko, by móc odpowiedzieć na to pytanie.

- Wszystkim nam się zdarzały postęпки, z których nie byliśmy dumni.

Harriet podniosła na niego wzrok, w jej brązowych oczach płonęła ciekawość.

- Powiedziałaś to niemal... smutno.

Było mu smutno. I przykro. Musi się ruszyć, wstać. Podparł się i dźwignął na nogi.

- Harriet... są w mojej przeszłości postęпки, z których nie jestem dumny. Zwłaszcza... zwłaszcza z jednego.

Spojrzała na niego poważnie, ku jego zaskoczeniu nie zobaczył w jej twarzy potępienia.

- Jakiego?

Już otwierał usta, żeby jej powiedzieć, ale nie wydostały się z nich żadne słowa. Tyle miesięcy milczał, nie patrzył prawdzie w oczy, że teraz to milczenie wrosło w niego i już nie potrafił się od niego uwolnić.

Harriet uniosła się na łokciach, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Chase'a.

- Obojętne, co zrobiłeś, czy zrekompensowałeś jakoś ten swój postępek?

- Czy zrekompensowałem? - Chwycił spodnie i wciągał je nerwowo. - Tego się nie da niczym zrekompensować.

Panna Ward usiadła i objęła się rękami za kolana. W przyćmionym świetle, z brązowymi, rozsypanymi na ramionach włosami, z szeroko otwartymi, poważnymi oczami, wyglądała jak jakiś elf.

- Ale próbowałeś go naprawić?

Kiwnął raz głową, nienawidząc siebie za to, że wdał się w tę rozmowę, i to właśnie z Harriet. Cholerny świat, życie jest niesprawiedliwe. Znalazł koszulę i gwałtownym ruchem wciągnął ją przez głowę.

Wzruszyła ramionami.

- A więc nic więcej zrobić nie mogłeś.

Chase schylał się właśnie po but. Zamarł w pół ruchu i odwrócił się do niej.

- Wierzysz w to?

- Jeżeli zrobisz wszystko, co w twojej mocy, nikt nie może żądać od ciebie więcej.

St. John przyglądał jej się przez dłuższą chwilę.

- Bardzo chciałbym móc w to uwierzyć. Niewykłuczone, że takie twierdzenie jest prawdziwe w odniesieniu do innych ludzi, ale ja jestem St. Johnem, ja urodziłem się w rodzinie uprzywilejowanej pod każdym możliwym względem. Dla moich czynów nie ma usprawiedliwienia.

- A co dokładnie zrobiłeś?

- Ja... - Słowa tłoczyły się jedno przez drugie, błagając, by je uwolnił. Przełknął, potem przymknął oczy. - Zabiłem kogoś.

Milczenie. Przemógł się, otworzył oczy, przygotowany na to, że wyczyta w jej twarzy potępienie. Harriet pobladała, ale nie spuściła wzroku.

- Nie naumyślnie to zrobiłem - wychrypiał. - Naprawdę. Rozbijałem się po pijanemu po ulicach Londynu w moim nowym powozie. Przejechałem kobietę. Ona... - Bezradnie wzruszył ramionami, oczy zaczęły go palić.

Oczy Harriet już były mokre.

- Och, Chase, tak mi przykro - wyszeptwała.

- Mnie też. Byłem z... nie z przyjacielem. Ale z pewnym znajomym. Kiedy ten wypadek się zdarzył, ściągnąłem lejce i już zaczynałem wysiadać, żeby zobaczyć, czy kobiecie nie trzeba jakoś pomóc. Mój towarzysz wpadł jednak w panikę i zaczął na mnie wrzeszczeć, żebym jechał dalej. Byłem pijany, przerażony... i pojechałem.

- Czy wróciłeś tam?

- Jak tylko wytrzeźwiałem na tyle, by zrozumieć, co się stało. Ten człowiek, z którym byłem, pomagał mi jej szukać. On odwiedzał szpitale, a ja rozmawiałem ze wszystkimi napotkanymi na ulicy ludźmi, ale nigdy tej kobiety nie znaleźliśmy.

Odwrócił się plecami do Harriet i zaczął nakładać buty. Chyba nie zniósłby rozczarowania, które na pewno zobaczyłby w jej oczach. - Miałem właśnie wyjechać z kraju, kiedy trafiłem do was.

- Z kraju... dlaczego?

- Ten znajomy, z którym byłem tamtej nocy, od czasu wypadku stale wyciągał ode mnie pieniądze. Doszedłem do wniosku, że przyszedł czas, by spojrzeć w twarz moim demonom.

- Uciekając?

- Chroniąc rodzinę przed skandalem. Moi bracia i siostra nie znają prawdy. Nie potrafiłem im jej wyznać. - Chase podniósł suknię Harriet i jej koszulę i zawiesił je na skraju boksu.

- Powinieneś im powiedzieć.

- Lepiej, żeby nikt się nie dowiedział.

Patrzyła na niego bacznie.

- To ty mi powiedziałeś, że nie oddaję przysługi rodzinie, jeżeli otaczam ją nadmierną opieką. Może powinieneś zastosować się do własnej rady.

Chase przesunął dłonią po oczach. To prawda, powiedział tak. I w przypadku Harriet rada była sensowna. Ale w jego przypadku?

- Nie jestem pewien, dlaczego ci o tym powiedziałem. Nikomu innemu nie mówiłem.

- Może to była wprawka przed rozmową, którą odbędziesz z rodziną. - Zaszleściło siano. Wstała i poszła do wiadra z wodą. Kiedy się myła, grube krople wody pluskały o podłogę.

Chase przyglądał się Harriet w milczeniu, zauważając pociągającą linię jej pleców, jędrne mięśnie łydek. Kiedy myła się w wiadrze, przywodziła mu na myśl nimfę z dawnych legend. Ukośne promienie słońca, które wpadały przez pęknięcia w ścianach stodoły, malowały jej kremową skórę w paski i budziły złote błyski we włosach. Cała zewnętrzna uroda panny Ward mamiła i kusila Chase'a, ale tym, co go podbiło, co go chwyciło za serce i nie pozwalało się uwolnić, była uroda jej wnętrza. Czuł się do głębi duszy zraniony, tak niesprawiedliwe było jego położenie. Niech to diabli, dlaczego trafił na nią akurat teraz, kiedy nie ma wyboru i musi wyjechać? Odwrócił się do wrót, w piersiach go ścisnęło.

- Powiniennem pójść i zobaczyć, czy Stephenowi i Derrickowi nie trzeba w czymś pomóc.

- Powinieneś zrobić coś innego - powiedziała Harriet tonem rzeczowym, który nie dopuszczał żadnej dyskusji. - A mianowicie spakować się i jak najszybciej pojechać do domu. Przecież wiesz, że nie zdołasz przed sobą samym uciec. - Rozległ się cichy szelest: brała ubrania z miejsca, gdzie je wcześniej powiesił, i zaczynała je na siebie nakładać.

Chase zeszywniał.

- Ja wcale nie uciekam. Tylko...

- Uciekasz.

Miała rację i St. John o tym wiedział.

- Popełniłeś błąd, Chase. Wszystkim nam zdarza się popełniać błędy.

- Nie takie, za które ludzie płacą życiem.

- To prawda. Ale obojętne jakie to były błędy, nie popełniliśmy ich ze złej woli. Wydarzyły się, bo byliśmy nieostrożni albo nie uświadamialiśmy sobie, jakie będą konsekwencje naszych czynów.

- To nie jest takie proste.

- Nie jest? - Stała przed nim, spokojnie upinając włosy. - A więc powiedz mi, co robiłeś od czasu tego wypadku.

- Co robiłem? Nie wiem. Chyba piłem. Starłem się zapomnieć...

- Rozczulałeś się nad sobą. I to był twój najpoważniejszy błąd.

Chase'owi zabrakło słów. Harriet wyglądała na tak cholernie nieugiętą w swoich przekonaniach. Zazdrościł jej w tej chwili, zazdrościł spokojnej pewności, z jaką podchodziła do życia, zazdrościł hartu ducha i tego, że nie pozwalała, by życie napełniło goryczą jej duszę. Zastanawiał się, jak to możliwe, by szczęście tak mu dopisało, że na nią trafił.

- Jesteś, Harriet Ward, wyjątkową kobietą.

Policzki Harriet zapłonęły rumieńcem.

- Nie jestem niczym szczególnym - odparła szorstko.

- Naprawdę? Czyż nie zarządzasz w pojedynkę całym tym majątkiem?

Roześmiała się, w ukośnych smugach światła oczy jej rozbłysły.

- Nie. Garrett Park zarządzany jest wspólnie. Derrick odpowiada za naprawy w domu. Ma wielką smykałkę do majsterkowania. Stephen pilnuje utrzymania budynków gospodarczych w porządku. Zawsze miał dobrą rękę do koni, chociaż większość z nich musieliśmy trzy lata temu sprzedać.

- Co za szkoda.

- Tak, Stephen był zrozpaczony, chociaż wzbraniał się do tego przyznać.

- A co robią twoje siostry?

- Sophia pomaga przy prowadzeniu księgowości. Niemal równie dobrze radzi sobie z rachunkami jak z pisaniem sztuk. - Usta Harriet złagodniały w uśmiechu. - A właściwie nawet lepiej, chociaż nigdy jej tego nie powiem.

- A twoja matka?

- A jak myślisz, kto dba o to, żebyśmy co tydzień mieli świeże płótna? Żeby mięso było dobrze przyrządzone, a podłogi zawsze wyszorowane? To ona pilnuje, żeby starczyło wszystkiego, żebyśmy mieli co jeść przez całą zimę, i to ona rozpieszcza nas, własnoręcznie szyjąc nam ubrania.

Chase nie zastanawiał się wcześniej nad tym problemem, ale kiedy już to zrobił, z podziwu wyjść nie mógł, że rodzina Wardów, pozostawiona niemal w nędzy i pozbawiona środków do życia, tak potrafiła zewrzeć siły, by swe ciężkie położenie przekuć na sukces. Sama koncepcja była mu jednak dobrze znana: jego bracia również stawali się sobie najbliżsi wtedy, kiedy trzeba było stawić czoło nieszczęściu.

- A czym zajmuje się nasza nieustraszona Ofelia?

- Dbaj, byśmy nie zaniedbali obowiązków, jakie mamy wobec sąsiadów.

Chase zmarszczył brwi. Dowiedział się już, jaki wkład wноси reszta rodziny, i zajęcia Ofelii wydały mu się dużo mniej istotne.

Po jego minie najwyraźniej widać było, co myśli, bo Harriet rzuciła mu ostre spojrzenie.

- Ofelia rok w rok spędza też sporo czasu, pomagając kucharce przy ziołach. I to ona wykonuje gwiazdkowe podarki dla naszych sąsiadów. Robi dużo więcej, niż po sprawiedliwości na nią przypada.

- Podarki? A po co zawracać sobie głowę podarkami?

Harriet odwróciła się do Chase'a i przeszyła go ostrym spojrzeniem.

- Sąsiedzi, panie St. John, są ważni dla nas wszystkich. Kiedy dokładnie w połowie wiosennej orki ochwacił się nam koń, nasz sąsiad z zachodu, baron Whitfield, przysłał jednego ze swoich koni, by zajął jego miejsce. Kiedy Ofelia zachorowała i potrzebowaliśmy lekarstwa, ale nie mieliśmy jak dotrzeć do miasteczka, bo zasy były tak głębokie, że nasza biedna klacz nie zdołała pokonać nawet podjazdu, przyszedł nam z pomocą pan Nash. Owinął się w wełnę od stóp do głów i sam pojechał do miasteczka na starym wozie, żeby przetrzeć szlak.

Zmierzyła Chase'a z góry na dół spojrzeniem, jakby nie mogła się zdecydować, czy go opluć, czy raczej kopnąć w goleń.

- Mogę panu podać jeszcze kilka innych przykładów, jeśli pan chce.

- Nie. Nie, to nie będzie potrzebne. Zapomniałem o tym, że... - Przegarnął palcami włosy. Przecież nie mógł zapomnieć o czymś, czego nigdy nie wiedział. St. Johnowie sami dla siebie tworzyli całą społeczność. A nie tylko jakąś jej część.

Harriet odwróciła się i skierowała do drzwi. Chwyciła antabę, uniosła ją, odłożyła na bok i otworzyła wrota. Stodołę zalało słońce, zmieniając siano w złotą przędzę.

Spojrzenie dziewczyny padło na stos nożyc. Parsknęła śmiechem.

- Prawie o nich zapomniałam.

Chase był oczarowany. Tak ślicznie mrużyła oczy i tak zniewalająco wyginały się jej usta. Przechwycił rozbawione spojrzenie panny Ward i zrobiło mu się niezwykle gorąco w kark.

Harriet wyprostowała się nagle i wpatrzyła w podjazd.

- Ktoś przyjechał. Wydaje mi się... och, to tylko wóz z gospody. Matka musiała poprosić ich, by przysłali trochę wina z korzeniami.

Chase zerknął obojętnie na wóz. Zobaczył, jak Derrick podchodzi, by porozmawiać z woźnicą. Wymienili kilka zdań, potem Derrick pokazał na stodołę. Mężczyzna obejrzał sobie Chase'a i Harriet, skinął raz głową i popędził konie.

Harriet się zachmurzyła.

- Ciekawe, o co tam mogło chodzić?

Derrick stał na podjeździe i przyglądał się, jak wóz z turkotem odjeżdża, potem ruszył w kierunku Harriet i Chase'a.

- To było dziwne - powiedział, kiedy znalazł się przy nich.

- Czego on chciał? - zapytała Harriet.

- Powiedział, że doszły do niego słuchy o kapitanie, i ciekaw był, czy będzie mógł się z nim spotkać.

- Derrick zerknął na Chase'a. - Zastanawiał się, czy jest pan tym samym kapitanem Frakenhamem, pod którego rozkazami pływał dwa lata temu.

- Wątpię - odparł Chase.

- To samo powiedziałem - rzekł Derrick z niepokojem w oczach. - Pokazałem mu nawet pana, sądząc, że dzięki temu zmieni zdanie. Tymczasem nie tylko nie zmienił go, ale zrobił takie wrażenie,

jakby pana poznał.

Teraz z kolei zachmurzył się Chase.

- Jest pan pewien?

- Tak mi się zdaje. Kiwnął raz głową, jakby pana wygląd zgadzał się dokładnie z tym, czego się spodziewał. Ale kiedy zaproponowałem, że mu pana przedstawię, powiedział, że to nie będzie konieczne.

Harriet westchnęła.

- Ciekawe, czy to znowu jakieś sztuczki pana Gowera.

- Nie mam pojęcia, jak by to być mogło - mruknął Chase. - Ale jeżeli nawet tak, to się spóźnił. Jeszcze dwa dni i skończymy strzyżę, a potem już nie zdoła państwu nic zrobić.

Derrick przytaknął, na jego twarzy odmalowała się ulga.

- To prawda. Może więc lepiej wróć do owiec. Czeka mnie trochę strzyżenia. - Chwycił parę nożyc i odszedł, pogwizdując dziarską melodyjkę.

- Muszę się wziąć do pomagania - odezwała się Harriet, zbierając pozostałe nożyce. Odwracała się już, kiedy Chase chwycił ją za nadgarstek.

Na opalonych dłoni panny Ward pierścień połyskiwał jak sadzony klejnotami.

- Założyła pani to, by mnie podenerwować - Harriet przygryzła wargę.

- Prawdę mówiąc, nie udaje mi się go zsunąć z palca. Raz tylko go założyłam i już nie zdołałam zdjąć. - Chwyciła błyskotkę drugą ręką i mocno kilka razy pociągnęła. Pierścień nawet nie drgnął.

Harriet przestała się męczyć i westchnęła. -Próbowałam i olejem, i masłem, ale utknął.

Chase popatrzył na jej palce. Wydawały się takie smukłe pod ciężką, srebrną obrączką. Uniósł dłoń Harriet i delikatnie pociągnął za pierścień. Obrączka przez moment się opierała, jakby nie miała ochoty schodzić z jej palca. A potem ześlizgnęła się z niego z łatwością.

Harriet aż buzię otworzyła ze zdumienia.

- Jak pan... tak bardzo się starałam! Nie mogę uwierzyć, że pan po prostu... Och, do licha!

Chase nie odrywał wzroku od pierścienia. Matka mówiła, że doprowadzi swego właściciela do jego prawdziwej miłości. Czy to możliwe, żeby...

- Harri! - Stephen i Sophia machali rękami z drugiej strony podwórza.

Harriet westchnęła.

- Chyba czas brać się znowu do roboty.

- Tak, już czas. - Przynajmniej jeszcze dziś. - Harriet, jeśli chodzi o ten pierścień... Może powinna pani...

- Nie. On należy do pana.

Stephen i Sophia ponownie ich zawołali i Harriet westchnęła.

- Muszę iść. Porozmawiamy o tym później.

St. John skinął głową i przyglądał się, jak panna Ward podchodzi do siostry i brata. Zastanawiał się, czy pierścień czuje się w tej chwili równie osamotniony jak jego właściciel. Zacisnął palce na talizmanie.

Po chwili wsunął go do kieszeni i poszedł pomóc Derrickowi przy strzyżeniu.

Tym razem Chase przykładał się do pracy ze wszystkich sił, chociaż ani na moment nie przestawał obracać w umyśle drażliwego problemu, z którym się musiał uporać.

Za bardzo zaczynało mu zależeć na Harriet Ward. Musi opuścić Garrett Park. I to szybko.

## 25

*Do jasnej cholery, nie możesz trochę bardziej popędzić tych szkap?*

Pan Devon St. John do Małego Boba, stangreta, kiedy z turkotem pędzili przez mrok

Chase w życiu nie pracował jeszcze tak ciężko jak tego dnia i potem następnego. Derrick na początku pytał go, skąd ten pośpiech, ale szybko poddał się nastrojowi i w dwa wieczory później stali i z ogromną satysfakcją spoglądali na bele wełny, które wypełniały stodołę. Było ich tyle, że konie musieli przeprowadzić na noc do szopy, bo zabrakło dla nich miejsca.

Zostało im już bardzo niewiele do zrobienia. Czas się zbierać w drogę. Chase z westchnieniem powiesił latarnię na gwoździu, wyciągnął z tylnej kieszeni spodni parę rękawic i naciągnął je na ręce. Derrick jęknął.

- Nie musimy chyba dziś wieczorem układać tych beli w stertę?  
Chase popatrzył na porozrzucane kłęby wełny, którymi zasypana była stodoła.

- Zamierzam je przynajmniej posortować do ładowania na wozy.  
- To będzie trwało godzinami.  
- Nie mam nic lepszego do roboty.  
- Ale ja mam. - Derrick oparł dłonie na biodrach, przeciągnął się i stęknął. - Zamierzam zrobić sobie gorącą kąpiel, a potem się położyć. Bo jak nie, to jutro nie będę się w stanie ruszać.  
Chase się uśmiechnął.

- Zamierza pan wrócić do domu i sobie poczytać. I niech pan nie udaje, że jest inaczej.  
- No, dobrze już, dobrze - utyskiwał Derrick z krzywym uśmiechem. - Miałem zamiar troszeczkę sobie poczytać. Ale zamierzałem się też wykąpać, naprawdę jestem obolały.  
- Wszyscy jesteśmy. - Słońce zaszło przed godziną, Chase'owi została już tylko jedna, ostatnia kolacja z Wardami. Sam nie wiedział czemu, ale czuł, że nie będzie w stanie spotkać się z nimi twarzą w twarz. Lepiej się po prostu cichaczem wymknąć. Jego dobry humor pogorszył się trochę, potem jeszcze trochę, aż wreszcie zniknął bez śladu. - Niech pan idzie do domu. Zrobię, co się da, do kolacji, a potem przyłączę się do was.  
- Bardzo dobrze - zgodził się Derrick. Podszedł do wrót i zawahał się. - Nawiasem mówiąc, chciałem powiedzieć, że... no, bardzo pan ciężko pracował, a wcale pan nie musiał.  
- Oczywiście, że musiałem. Trzeba nam dokonać ostatniej spłaty za Garrett Park, czyż nie?  
- Nam. - Derrick uśmiechnął się. - Tak, trzeba nam. Dziękuję panu.  
- Cała przyjemność po mojej stronie. - Chase przyglądał się, jak Derrick wychodzi za próg. Szmer dobiegających z podwórza głosów i światło latarni, migoczące przez szpary między deskami, uprzedziły go, że nadchodzi Harriet. Pojawiła się w chwilę później, ze Stephenem u boku. Jeżeli Chase wyglądał na znużonego, to Harriet tym bardziej. Oczy miała podkrążone, przygarbiła się w ramionach. Niemal czuł promieniujące od niej znużenie.  
Stephen postąpił krok do przodu.  
- Tu pan jest, Chase. Dobrze nam dzisiaj poszło, prawda? Harri powiada, że o cały dzień wyprzedzamy plan.  
- Bardzo dobrze nam poszło. - Chase podniósł kłęb wełny i ułożył go na równym stosie pod tylną ścianą. - Powiedziałbym, że zostało nam na rano nie więcej niż kilka godzin pracy. Na dwa dni przed planowanym terminem mamy przygotowaną wełnę na targ.  
Stephen szeroko się uśmiechnął.  
- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jaką minę zrobi Gower, kiedy wpłacimy ostatnią ratę.  
Chase wyprostował się, starając się nie patrzeć na Harriet, która, milcząc, stała w progu.  
- Stephen, obiecałem panu, że coś wymyślę. I wymyśliłem.  
- Co?  
- Przebierze się pan w ubrania, które wiszą w mojej szafie.  
- A... ale przecież one należą do pana!  
- Bez wątplenia. Ja chodziłem w pana ubraniach, więc najwyższy czas, żeby pan trochę pochodził w moich.  
- Ale... dlaczego?  
- Niech je pan jutro założy, kiedy będzie pan jechał do miasteczka, i niech pan dopilnuje, by zobaczyła pana w nich panna Strickton. Jeżeli takie wrażenie zrobił na niej ten goguś, o którym mi pan opowiadał, to pana widok zbije ją z nóg. Może pan nawet pojechać na moim koniu.  
Oczy Stephena się rozjaśniły.  
- Na Jowisza, trafił pan w sedno! Jest pan pewien, że nie będzie to panu przeszkadzać?  
- Oczywiście, że nie. Moje szafy pękają w szwach od nadmiaru ubrań. - Miał ich tak wiele, że na samą myśl poczuł się niemal zażenowany. Dziwne, jak wszystko się pozmieniało. Jak on sam się zmienił.  
- A nie przeszkadzałoby panu, gdybym teraz rzucił na nie okiem? - pytał z zapalem Stephen. - Chciałbym przymierzyć pana niebieski surdut. I te jasnobrazowe spodnie! Dokładnie o coś takiego chodziło. A kamizelka w kolorze czerwonego wina...  
- Idź pan już! - roześmiał się Chase. - Może je pan wszystkie przymierzyć.  
Stephen odwrócił się i zatrzymał na widok Harriet.

- Och! Prawie o tobie zapomniałem, Harri. Masz. Zostawię latarnię, żebyś miała czym sobie poświecić po drodze do domu. - Wręczył jej latarnię i pospiesznie się oddalił.

Chase znowu zaczął układać bele wełny, zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Co może powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę panowało przykre milczenie, potem Harriet weszła głębiej do stodoły. Postawiła latarnię na ziemi pod słupem i przeciągłym spojrzeniem obrzuciła toboły z wełną.

- Dobrze nam poszła dziś robota.

- Tak, dobrze. - Chase bał się na nią spojrzeć. Nie teraz. Już nigdy.

Milczała jeszcze przez moment, przyglądając się, jak St. John układa bele coraz wyżej. W końcu się odezwała:

- Zobaczą się z tobą przy kolacji.

To nie było pytanie, więc Chase nie udzielił odpowiedzi. Zacinając zęby, nie przestawał układać tobołów z wełną. Boże, strasznie ciężko będzie ją jutro zostawić. Rozstać się ze wszystkim, co było w Garrett Park. Ale cóż innego mógł zrobić?

W chwilę później usłyszał, jak Harriet cicho westchnęła i ruszyła do wrót.

- Harriet... - wyrwało mu się z ust. Odwrócił się twarzą do niej. Stała przy wrotach, plecami do niego.

-Tak?

Głos jej przesiał się przez nocną ciszę miękko, jak szelest jedwabiu. Chase przymknął oczy, w piersiach czuł bolesny ucisk. Ale co mógł powiedzieć? Że ją kocha?

Ta myśl była jak cios prosto w serce, wyssała mu całe powietrze z płuc. Kochał Harriet. Kochał ją tak bardzo, że odczuwał fizyczny ból na myśl, iż będzie się z nią musiał rozstać. Kochał ją i potrzebował jej, ale miłość to za mało. A jeżeli rodzina Wardów nie udzieli mu wybaczenia za popełnione grzechy? A jeżeli zostanie wyrzutkiem, pariasem? Nigdy nie obarczy takim brzemieniem nikogo innego.

A zwłaszcza Harriet.

- Dobranoc, Harriet. Nie pojawię się dziś przy kolacji.

Stała bez ruchu tak długo, że zaczął się zastanawiać, czy go usłyszała. Ale potem westchnęła i skinęła głową. I już jej nie było.

Chase jakby wrósł w ziemię. Wieczór zrobił się wilgotny i chłodny, wiatr się wzmógł i dmuchał przez szczeliny w ścianach. St. John przeciągnął dłonią po twarzy, ze zdumieniem stwierdził, że ma mokre policzki. Zaklął i odwrócił się, by poukładać pozostałe bele wełny.

Zanim skończył, zrobiło się bardzo późno. Czuł się tak znużony, że z trudem się poruszał. Zdjął rękawice i położył je na ławie przy drzwiach, żeby następnego dnia ich nie szukać. Jeszcze jeden dzień... to wszystko, co mu zostało.

Odwrócił się po latarnię. Kiedy ją podnosił, gwóźdź, na którym wisiała, obluźował się i spadł na ziemię. Chase zaklął i się schylił, by go podnieść. Kiedy to zrobił, zobaczył, że w rozsypanym sianie coś leży.

Co to jest? Odgarnął kilka ździebeł siana i znalazł pierścień-talizman St. Johnów. Skąd on się tutaj wziął? Podniósł go i obracał w dłoni. Pierścień leżał na niej zimny i matowy. Musiał mu wypaść z kieszeni...

Za jego plecami powietrze przemieściło się leciuteńko, jakby ktoś się tam poruszył. Chase odwrócił się gwałtownie, ale już było za późno. Świat eksplodował oślepiającą mieszaniną kolorów i bólu. A potem... nie było już nic.

Zegar wybił północ, zanim Harriet poddała się w końcu i przestała udawać, że śpi. Wstała i zapaliła świecę. Czuła się zmęczona i obolała, oczy miała piekące i suche. Niech diabli wezmą Chase'a St. John. Nie dość że skradł jej serce, to jeszcze odebrał spokój ducha.

Westchnęła. Nie była sprawiedliwa i zdawała sobie z tego sprawę. Zrobił dużo więcej, niż ktokolwiek miał prawo po nim oczekiwać. Tylko że ona pragnęła czegoś, co było niemożliwe: pragnęła, żeby ją kochał i żeby pokochał Garrett Park.

Przejrzała się w lustrze nad toaletką i skrzywiła się na widok cieni pod oczami. Potarła policzki, oczekując, że pojawi się na nich choć odrobina rumieńca. Panie Boże, blada była jak widmo. Opadła na wyścietany fotelik i zaczęła czesać sobie włosy.

I co z tego, że były gęste, skoro kolor miały smętnie brązowawy. Kiedyś w dzieciństwie chodziła całe lato bez kapelusza w nadziei, że nabiorą od słońca jakiejś ciekawszej barwy. Myślała, że może

pojawi się w nich zaskakujący rudawy odcień, ale udało jej się tylko lekko opalić sobie twarz, oczywiście na jasny brąz, co raczej nie było zmianą na lepsze. A na dodatek - co za pech! - na grzbiecie nosa pojawiło się kilka piegów.

- Brązowe, brązowe, wszystko bez wyjątku brązowe - mamrotała niezadowolona do swego odbicia w lustrze, szarpiąc szczotką jakiś wyjątkowo nieustępliwy kołtun. Może gdyby miała lniane włosy i policzki jak jabłuszka, a nie nudne, brązowe kłaki i chudą twarz, to Chase pokochałby ją nad życie i na zawsze. Jak księżę z bajki.

Boskie marzenie. Harriet wyobrażała sobie, jakby to było, gdyby takiego człowieka jak Chase St. John miała tylko dla siebie. Serce ją rozboleło na tę myśl.

Nagle ktoś zaczął dobijać się do drzwi.

- Harri! - usłyszała głos Stephena, podniesiony w przerażeniu.

Boże! Co mogło się stać? Harriet pospieszenie otworzyła. Stephen opierał się na kulach, ubrany był w strój nocny. Spojrzenie miał dzikie, twarz spopieląła.

- Stodoła się pali! Wełna... - Głos mu się załamał.

Dobry Boże, tylko nie to! Harriet podbiegła do okna i jednym szarpnięciem odsunęła zasłony. Jaskrawoczerwona poświata rozjaśniała panujący przed świtem mrok.

Oczy Harriet napełniły się łzami. Nie mogła w to uwierzyć. Jak się coś takiego mogło...

- Chase! - Okręciła się twarzą do Stephena. - Widziałeś go?

Stephen zamrugał.

- Nie. Nie widziałem. Czy sądzisz, że to on podłożył...

- Nie, głupcze! Został w stodole. Sam. Jeżeli upadł albo... -Harriet precyzyjnie się obok brata i popędziła korytarzem do pokoju Chase'a. Zastukała raz, potem szarpnęła za klamkę.

Pokój był rozpaczliwie pusty, na łóżku nikt się tej nocy nie kładł.

- Nie dopuść, Panie - wyszeptwała Harriet. Nie pamiętała potem, jak zbiegła ze schodów, przemknęła przez hol i wypadła za próg. W jednej chwili przyglądała się nienaruszonej pościeli Chase'a, a w następnej stała na podwórzu i patrzyła na stodołę, z której z rykiem wydobywały się olbrzymie płomienie. Cały budynek trzeszczał i syczał, jakby srożył się na czarne, rozpięte nad nim niebo.

Derrick podbiegł do Harriet, za nim Sophia i Ofelia. Ofelia narzuciła na nocną koszulę grubego szlafrok, ale Sophia okryła tylko ramiona kocem.

Harriet rozglądała się jak szalona, serce łomotało jej boleśnie w piersiach.

- Chase jest w środku, musimy go uratować. Będę potrzebowała...

- Nie - przerwał jej stanowczo Derrick. - Nie możesz. Spójrz tylko na to.

- Ale Chase...

Sophia objęła Harriet ramieniem.

- Na pewno go tam nie ma. Pewnie jest w tej chwili w domu. Może poszedł do kuchni napić się albo...

- Sprawdzałam w jego pokoju! Pościel na łóżku jest nienaruszona! Proszę, musimy...

- Może siedzi w bibliotece - podsunęła z desperacją Ofelia, chociaż głos jej drżał, a po policzku spłynęła łza.

- Nie! - krzyknęła Harriet, serce waliło jej jak młotem. Boże, zmiłuj się, musi go znaleźć. Musi.

- Popatrz! - zawołała Sophia, obejmując siostrę mocniej. -Ktoś nadjeżdża! Może nam pomoże.

Wszyscy odwrócili się i na podjeździe zobaczyli zbliżającego się pana Gowera. Na widok pożaru ściągnął wodze. Potem odwrócił się, przyjrzał się im kolejno i przez długą chwilę wpatrywał się Harriet w oczy.

Nawet z tej odległości wyczuła, że się znacząco, z wyższością uśmiecha.

- Pewnie zobaczył płomienie ze swego domu - powiedziała Ofelia. - Mieszka tuż za granicą.

- Będzie mógł pomóc szukać St. Johna - dodał Derrick i odwrócił się, jakby chciał podejść do bankiera. Ale zanim zdążył postąpić dwa kroki, ten zatoczył koniem i spokojnie, stępą, oddalił się podjazdem.

Derrick zatrzymał się, dłonie zacisnęły mu się w pięści.

- Co za tchórzliwy sukinsyn!

Harriet oderwała się od Sophii i chwyciła brata za rękę.

- Musimy to zrobić sami. Chodź, Derricku. Sophio, daj mi ten koc.

Sophia odwinęła sobie koc z ramion.

- Co chcesz...

Starsza siostra wyrwała jej koc z rąk i popędziła do koryta pod płotem. Wrzuciła przykrycie do zimnej wody i wpełchnęła głęboko, by się dobrze zamoczyło. Potem wyjęła je i owinęła wokół ramion. Zimna woda przemoczyła koszulę nocną do suchej nitki i Harriet się rozdygotała.

Derrick chwycił ją za rękę, Stephen i matka podeszli tuż za nim.

- Co ty sobie wyobrażasz? Co chcesz zrobić? - pytał Stephen, podnosząc głos, by przekrzyknąć huczący ogień.

- Muszę mu jakoś pomóc. Układał bele z wełną, będzie w pobliżu drzwi...

- Harriet, nie możemy pozwolić, byś postąpiła lekkomyślnie - powiedziała matka i rozkaszała się, bo ogarnął ich gęsty kłęb dymu.

Derrick ponuro przytaknął.

- Zatrzymamy cię siłą, jeśli będzie trzeba.

- Och, na miłość... Czy kiedykolwiek byłam lekkomyślna? Popatrzcie na tę stodołę! Ogień pali się przede wszystkim z boku. Jeżeli teraz wejdziemy do środka, uda nam się go znaleźć. Jeżeli będziemy czekać, dym bardziej zgęstnieje.

Derrick zawahał się, potem spojrzał pytająco na Stephena.

- Ona ma rację. Moglibyśmy...

- Nie. To szaleństwo. Nie mogę pozwolić...

- Nie do ciebie należy wybór. - Harriet owinęła się mocniej kocem wokół ramion i odwróciła twarzą do stodoły.

Matka wysunęła się przed nią.

- Kochanie, posłuchaj tylko...

Harriet szybko wyminęła rodzicielkę i puściła się biegiem.

Za jej plecami Derrick zaklął, potem jednym szarpnięciem ściągnął z siebie surdut i zanurzył go w korycie.

Jego siostra nie czekała. Zakryła sobie rogiem mokrego koca usta, schyliła się nisko i weszła do stodoły.

Wokół niej kłębił się dym, piekł w oczy i wysysał oddech z płuc. Gdzie może być Chase? Przycupnęła na progu, starając się jakoś zorientować i przypomnieć sobie, gdzie stał, kiedy go opuszczała.

Dym robił się coraz gęstszy, ogień trzaskał i huczał nad jej głową, zachłannie pożerając stareńkie drewno. Ryczał przy tym gardłowo niczym wygłodniały niedźwiedź.

Hałas był taki, że Harriet myśli zebrać nie mogła. Nie miała wątpliwości, że Chase znajduje się gdzieś w stodole. Było to równie pewne jak fakt, że wyczuwała pod dłońmi ziemię i czuła dym w udreńczonych oczach.

I nagle trafiła na niego, leżał rozciągnięty na klepisku. Palce jej zwarły się na włosach Chase'a, na jego twarzy. Potrząsnęła St. Johnem, starając się go obudzić.

- Chase! - wykrztusiła, chwytając z trudem powietrze. - Wstań!

W kłębach dymu pojawił się Derrick, głowę miał obwiązaną mokrym surdudem. Pochylił się nad Chase'em.

Przez moment mu się przyglądał, potem podniósł wzrok i zawołał, przekrzykując ryk płomieni:

- Musimy go stąd wynieść, zanim od ognia zajmie się ta wełna...

- Weź go za ramiona. Ja chwycę za nogi.

Derrick zastosował się do polecenia siostry i razem starali się dźwignąć St. Johna. Harriet musiała wykorzystać wszystkie swoje siły, do ostatniej uncji, ale udało się. Zataczając się, wyszli razem z Derrickiem ze stodoły, krztusząc się po drodze dymem i chrapliwie chwytając powietrze. Na wprost wynieśli, a na wprost wywlekli swoje brzemię na podwórko, a potem padli na ziemię, dysząc ciężko w chłodnym powietrzu.

Matka natychmiast znalazła się przy nich. Popatrzyła na Harriet, potem na Derricka.

- Jeżeli wy dwoje jeszcze kiedyś, chociaż raz, narazicie się lekkomyślnie na takie ryzyko, to ja...

- Mamo - wydyszała Harriet. - Chase jest ranny. Jego głowa... - Zabrakło jej tchu.

Twarz matki złagodniała.

- Zajmę się nim. - Spojrzała na Ofelię, która krążyła w pobliżu. - Przynies bratu i siostrze trochę wody. - Odwróciła się i zaczęła badać Chase'a.

Ofelia przyniosła wiadro i czerpak. Harriet popijała wodę małymi łydkami. Paliło ją w piersi, więc masowała ją sobie i bardzo starała się nie myśleć. Bo kiedy dopuszczała do siebie myśl, że ranny Chase leżał samotnie w stodole, brocząc krwią, a wokół niego trzaskały płomienie, zbierało jej się na płacz. A wiedziała, że jeśli się rozplacze, łzom nie będzie końca. Zamknęła oczy i żarliwie zaczęła się modlić. Był taki wyjątkowy. Tak bardzo jej drogi. Tak mocno go kochała, że... Otworzyła oczy. Kochała go.

Matka zakołysała się na piętach, na jej twarzy malowała się powaga.

- Nie mogę w to uwierzyć.

W Harriet serce zamarło.

- On nie umrze, prawda? - Głos jej się załamał.

- Nie. Oddycha. I wcale nie krwawi zbyt mocno. Ale chodzi mi o to. - Podciągnęła rękawy koszuli Chase'a. - Ktoś go związał, Harriet. Ktoś związał mu nogi i ręce. - Z przerażeniem spojrzała córce w oczy. - Harriet, jego ktoś próbował zabić.

## 26

*Te St. Johny już takie są, że nienawidzą równie mocno, jak kochają. I miarkuję, że zmienić to się oni nie zmienią.*

Mały Bob, stangret, do panny Lucy, pokojówki lady Birlington, podczas schadzki

Doktor Blackthorne potrząsał głową.

- Przykra to sprawa.

Harriet, która kręciła się w pobliżu kanapy, szybko do niego podeszła.

- Dlaczego? Czy nic mu nie jest? Może podać wody? A może powinnam...

- Harriet - przerwała matka, biorąc córkę za rękę i podprowadzając ją do krzesła. - Chodź tutaj, usiądź i pozwól panu doktorowi wykonywać jego obowiązki.

Harriet opadła na krzesło, dłonie mocno zaciskała przed sobą. Odmówiła pospiesznie modlitwę, chociaż nie spuszczała przy tym wzroku z Chase'a. Leżał na kanapie, ubranie i twarz miał usmarowane sadzami, włosy posklejane krwią, i wyglądał tak blado. Doktor Blackthorne powiedział, że zakładać szwów nie trzeba, ale Harriet nie była pewna, czy mu wierzy. Wiedziała tylko, że jeżeli Chase St. John przeżyje, to jej już nigdy w życiu nie będzie niczego brakowało.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Sophia.

- Mamo! Właśnie podjechał jakiś powóz!

- Powóz? - Matka podeszła do okna. - A któż to może być?

Doktor Blackthorne sięgnął do czarnej torby i wyjął matę buteleczkę. Odkorkował ją i przesunął Chase'owi pod nos. Chase niemal natychmiast zacharczał i się rozkaszał.

Potem machnął słabo ręką, starając się odsunąć buteleczkę.

- Na miłość Hery, niech mi pan to zabierze przed nosa!

Harriet chyba nigdy w życiu nie słyszała bardziej urzekającego zdania. Pochyliła się, chwyciła Chase'a za rękę i tuliła ją w swoich dłoniach.

- Dzięki Bogu, nic panu nie jest!

Chase popatrzył na Harriet, potem na stojącego za nią lekarza i na całą resztę Wardów, którzy tkwili szeregami po drugiej stronie pokoju i przyglądali mu się z niepokojem na twarzach. Wrócił wzrokiem do Harriet. Doszło do niego, że panna Ward ma na sobie przemoczony i zaszargany strój nocny z wielkimi, czarnymi plamami sadzy na kolanach. Twarz też miała całą umorusaną.

Ścisnęła mocniej jej dłoń.

- Dobry Boże, co się tobie stało?

Usta Harriet drgnęły w niepewnym uśmiechu, a wielka łza spłynęła po policzku, wypłukując sobie ścieżkę w pokrywanym go brudzie i sadzach.

- Paliło się... w stodole... ty byłeś...

I ku bezgranicznemu zdumieniu Chase'a zalała się łzami. Nie łzami rozczulenia, jakie już wcześniej u niej widywał; wybuchnęła rozzwierającym łkaniem, od którego serce mu pękało. Bez słowa wyciągnął rękę, posadził ją na kanapie i zamknął w mocnym uścisku.

Harriet wtuliła twarz w jego koszulę. Materiał stłumił łkania, od łez zrobiła się na nim ciepła, mokra plama. Chase w milczeniu obejmował dziewczynę, czekając, aż przestanie szlochać.

Napotkał spojrzenie pani Ward. Stali tam pod przeciwległą ścianą wszyscy, to znaczy pani domu, lekarz, Derrick, Stephen, Sophia oraz Ofelia i przyglądali się mu. Zaczerwienił się, ale nie wypuścił Harriet z objęć.

- Ona płacze - powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić.

- Widzimy - uśmiechnęła się lekko pani Ward.

- I słyszymy - dodała usłużnie Sophia. Oczy jej błyszczały od nie wylanych łez, na ustach pojawił się drżący uśmiech.

Chase zacisnął szczęki. Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję na ten temat. Chciał tylko, żeby Harriet przestała płakać. Oparł brodę o jej głowę i gładził ją po plecach.

- Spokojnie - szeptał do niej. - Spokojnie, kochana. Nic mi nie jest. Naprawdę.

Harriet wczepiła się w jego koszulę i rozszlochała jeszcze mocniej.

Drzwi otworzyły się i w progu stanęła chuda gospodyni.

- Ten cały pan Gower znowu przyjechał, a razem z nim dwóch panów z banku.

Stephen wyprostował się w ramionach.

- Proszę ich wprowadzić, Jane. Najlepiej mieć to już za sobą. Straciliśmy wełnę i nic więcej nie da się zrobić.

Ofelia westchnęła i opadła na ławę pod oknem, spódnica wydeła się, a potem rozłożyła szeroko wokół niej.

- Tyle pracy... na nic. - Głos jej zabrzmiał głucho.

- Bzdura - sprostowała Sophia z fałszywą wesołością. - Wspaniale się bawiliśmy i jestem pewna, że nigdy się tak nie uśmieiałam jak wtedy, kiedy zobaczyłam owce pana St. Johna.

Łkania Harriet przerwała czkawka. Wsunęła się z objęć Chase'a.

- Da... dajcie mi chwilę czasu, żebym się opanowała, to porozmawiam z Gowerem...

- Nie, nie rozmawiasz - przerwała jej z energią matka. - Nie jesteś w odpowiednim stanie, by z kimkolwiek rozmawiać. Leż tam sobie na kanapie z panem St. Johnem i pozwól mi uporać się z tą sprawą.

- „Leż na kanapie z panem St. Johnem”? - Harriet z niedowierzaniem popatrzyła na Chase'a, mrugając powiekami.

Chase szeroko się uśmiechnął i przyciągnął ją znowu do siebie.

- Nie sprzeciwiaj się matce.

Pani Ward się rozpromieniła.

- Wprowadzę tu tych panów - oznajmiła Jane gniewnie i z determinacją. - Ale do jedzenia nic im nie podam.

Doktor Blackthorne odłożył sole trzeźwiące do torby.

- Widzę, że do niczego się już państwu nie przydam, więc zabieram się stąd. - Popatrzył na panią Ward. - Wpadnę wieczorem, by upewnić się, czy wszystko jest w porządku.

Pani Ward przytaknęła.

- Serdecznie panu dziękuję. Wyprowadziłabym pana, tylko że...

Lekarz podniósł dłoń.

- Niech pani nawet o tym nie myśli. - Ruszył do drzwi, po drodze przystając przy kanapie. - Będzie pana diabelnie bolała głowa.

Chase wzruszył ramionami.

- Jakoś to przeżyję.

Doktor przyjrzał się wtulonej w niego Harriet.

- Wszystko na to wskazuje. - Mrugnął okiem i już go nie było.

W kilka chwil później pojawiła się Jane, a za nią bankierzy. Stephen postąpił krok do przodu.

- Panowie.

Gower skłonił głowę.

- Stephen. Pan Silverstone, pan Picknard i ja właśnie oglądaliśmy stodołę. Wciąż jeszcze się tli i chyba niczego nie da się uratować.

- Niczego - zgodził się z nim lakonicznie Stephen. Gower z zadowoleniem się uśmiechnął.

- Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jeśli osobiście przywiozę panów na miejsce, żeby na własne oczy obejrzeliby straty.

Chase jeszcze nigdy w życiu nie pragnął tak bardzo dać komuś w ucho.

Stephen uniósł brodę do góry.

- Równie dobrze możemy wszyscy sobie ułatwić tę sytuację. Panie Silverstone, panie Picknard, nie zdołamy spłacić weksła.

Gower się rozpromienił.

- Widzą panowie! Mówiłem panom...

- Panie Gower! - Pan Silverstone ze zmarszczonymi brwiami spojrział na swego asystenta. - Nie należy cieszyć się z cudzego nieszczęścia. To smutna sprawa. Ci ludzie ciężko pracowali.

Chase popatrzył na twarze Wardów, na beznadziejność, która się na nich malowała. Potem przeniósł wzrok na Harriet i pocieszająco ją uściśnął.

- Nie wpadaj w rozpacz.

Harriet uśmiechnęła się na to, chociaż usta jej drżały. Chase wiedział, ile ten uśmiech ją kosztował.

- Nie wpadam w rozpacz. Poradzimy sobie, jak nie w ten, to w inny sposób. Nawet bez Garrett Park jesteśmy nadal rodziną.

Chase'owi zrobiło się ciepło na sercu. Wewnętrzne piękno dziewczyny, którą trzymał w objęciach, było jak błogosławieństwo.

- Nigdy nie spotkałem bardziej wielkodusznej kobiety od ciebie.

Harriet położyła wolną dłoń na jego policzku i delikatnie go pogładziła.

- Kocham cię, Chase St. John. I nic nie jest ważniejsze od tego.

Chase słowa nie mógł wykrztusić. Ani jednego. Serce przepęliła mu radość, dusza się rozśpiewała, ale żaden dźwięk nie wydobył się z ust. Wiedział jednak, że w tym momencie zyskał siłę, która pozwoli mu stawić czoło wszystkiemu, czym może zagrozić świat.

Chwycił wolną ręką dłoń Harriet i przycisnął do niej usta.

- Harriet Ward, kocham cię.

Oczy dziewczyny ponownie wypełniły się łzami. Nie przelały się one jednak na policzki, bo powstrzymał je szeroki uśmiech, który opróżnił jej usta.

- Dość tego! - warknął Gower z poczerwieniałą twarzą. - Przyjechaliśmy tu w oficjalnych sprawach banku. Nie mam życzenia oglądać...

- O Boże! - wykrzyknęła Ofelia ze swego miejsca pod oknem. - To nie do wiary!

- Co - zapytała Sophia. - Co się stało?

- Na podjazd wjechał powóz zaprzężony w osiem koni! Dwa takie powozy! A obydwa mają herby na drzwiach i są tam lokaje, i...

Jane stanęła w drzwiach.

- Jeśli panią zapowie nowych gości, to ja pójdę na górę zmienić pościel.

- Kto to może być? - zapytał Stephen z całkiem zdezorientowaną miną.

Pan Silverstone odchrząknął.

- Panowie, może powinniśmy teraz wyjść, żeby...

- Nie - przerwał mu Chase, podparł się i usiadł. Pociągnął za sobą Harriet, siedzieli teraz na kanapie obok siebie. - Przepraszam cię, kochanie, ale mamy gości.

Harriet wtuliła się w Chase'a, promieniała szczęściem. Zanim zdążyła się odezwać, na próg padł czyjś cień.

Do salonu wszedł mężczyzna. Był wysoki odrobinę tylko wyższy od Chase'a ale emanował taką władczością, że nawet pan Silverstone bardziej się wyprostował. Niespodziewany gość miał na sobie ciemne, ale jak najmodniejsze ubranie, na środku jego krawata spoczywał olbrzymi szafir.

Jak tylko wszedł, natychmiast odszukał wzrokiem Chase'a. Harriet uderzyło nagle podobieństwo obu panów. Czarne włosy i przejrzyste niebieskie oczy, arystokratyczny nos, wrodzona aura wyższości...

Case z trudem pozbierał się na nogi, stanął i się zachwiał.

- Marcus!

Nowo przybyły natychmiast podszedł do niego i chwycił go za ramię.

- Cholerne świat, co się z tobą stało?

Chase pokazał zęby w szerokim uśmiechu.

- Zawsze mówiłeś, że powinienem się zająć interesami, więc wziąłem się za strzyżenie owiec.

- Wygląda to na niewiarygodnie brudną i niebezpieczną robotę. Lepiej usiądź, zanim się przewrócisz.

Chase znowu usiadł, natychmiast przyciągając Harriet do swego boku.

Panna Ward zauważyła baczne spojrzenie Marcusa, policzki jej okryły się rumieńcem. Poczuli się

zaskoczona, bo posiał w jej kierunku lekki, spokojny uśmiech, a potem zwrócił się znowu do Chase'a.

- Przepraszam, że tak długo to trwało, zanim przyjechaliliśmy. Ale sporo czasu zajęło nam odkrycie miejsca twojego pobytu.

- Nam? - zapytał Chase.

W drzwiach natychmiast pojawił się następny gość, tym razem młodszy, chociaż jego czarne włosy i roześmiane, niebieskie oczy wyraźnie świadczyły, że również należy do rodziny.

- Tu jesteś, łobuzie jeden.

- Devon! - Chase się uśmiechnął. - Słyszysz Marcusowi jako chłopiec na posyłki, co?

- Boże, w życiu. Po to przywieźliśmy ze sobą Anthony'ego.

- Przywieźliście naszego przyrodniego brata?

- O, tak. Jest w tej chwili w powozie, pilnuje twojego prezentu.

- Prezentu?

- Taki przedterminowy prezent urodzinowy. - Devon rozejrzał się po pokoju, jego wzrok prześlizgnął się po bankierach i spoczął na Sophii. - A cóż my tu mamy?

Uśmiech Chase'a przybladł.

- Ona ma szesnaście lat, Devon.

- O. Co za szkoda. - Devon wzruszył ramionami. - Gdybym tak nie miał skrupułów!

Policzki Sophii oblały się rumieńcem i pojawiły się w nich uroczę dołeczki.

- Chase - odezwał się cicho Marcus - może dokonałbyś prezentacji?

- Z przyjemnością. Oto panna Harriet Ward. - Tu przytulił Harriet mocniej do siebie. - Harriet, kochana, to są moi bracia, markiz Treymont i Devon St. John.

Harriet udało się skłonić głowę, bo Chase trzymał ją tak mocno, że nie mogła się podnieść. Marcus złożył ukłon.

- Miło mi panią poznać, panno Ward.

- Bez wątpienia. - Devon pochylił się przed nią z galanterią.

Chase nie dał im więcej czasu na nic.

- A to pani Ward, panna Sophia i panna Ofelia. Derrick. I Stephen.

Marcus znowu się ukłonił, potem zmierzył spojrzeniem Gowera, który stał sztywno na środku pokoju.

- A ci panowie?

- Pan Picknard i pan Silverstone z banku oraz ich asystent, pan Gower.

Pan Silverstone odchrząknął.

- Miło mi pana poznać, milordzie. Obawiam się, że nie do końca rozumiem, co tu się dzieje...

- Ja również nie - zapewnił go Marcus z chłodnym uśmiechem. - Ale jestem pewien, że mój brat zdoła nam wszystko wyjaśnić.

- Brat? - Pan Silverstone popatrzył na Chase'a z uniesionymi brwiami. - Pan kapitan jest pana...

- Kapitan? - wpadł mu w słowo Devon, najwyraźniej rozbawiony. - A od kiedy to jesteś kapitanem?

- Wyjaśnię ci później - wymamrotał Chase, usiłując poskromić brata spojrzeniem.

- Wyjaśnij teraz - uciął Marcus, czoło mu się zachmurzyło. - I, jeśliś tak łaskaw, podaj nam wersję skróconą.

Chase westchnął.

- Niedaleko stąd zaatakowali mnie na drodze rozbójnicy. Była to moja wina. Upiłem się i stanowiłem łatwą ofiarę. Tak czy owak kiedy się ocknąłem...

- ... z wielką życzliwością zgodził się udawać mego narzeczonego - wtrąciła Harriet takim głosem, jakby jej brakowało tchu. Napotkała spojrzenie Marcusa i uroczę się zaczerwieniła. - Mój narzeczony tak naprawdę nie istniał. Nazwaliśmy go kapitanem Johnem Frankenhamem. Wymyśliliśmy go, żeby móc stawić opór roszczeniom banku.

Devon wybuchnął śmiechem.

- Tak więc Chase udawał kapitana statku? Na Boga, żywym złotem byłbym zapłacił, żeby to zobaczyć!

- St. John? - wybełkotał nagle Gower. - Zaczekajcie! Trafiłem na to nazwisko u Debretta! Wy chyba... nie chce mi pan wmawiać, że... Nie uwierzę w to.

- Nie musi pan. To nie pana sprawa. - Chase sięgnął do kieszeni i wyjął z niej talizman. Zerknął na

Marcusa. - Chociaż napadli na mnie złodzieje, pierścień na szczęście ocalał.

- Dzięki Bogu - mruknął Marcus. Przez moment przyglądał się pierścieniowi. - A przynajmniej tak sędzę.

Devon zmarszczył brwi.

- Chase, nie chciałbym okazać się wścibski, ale wyglądasz jak nieboskie stworzenie.

- Byłem w stodole i układałem bele wełny, kiedy ktoś dał mi po głowie i podpalił budynek.

Zapadła na moment pełna oszołomienia cisza, potem Devon zachichotał.

- Nigdy się nie potrafisz powstrzymać od żartów, co?

- Nie żartuję.

Harriet spojrzała na surową twarz Chase'a i położyła mu dłoń na ręce. Ucisnęła ją delikatnie.

Rozbawienie Devona się ulotniło.

- Och. Potrafię uwierzyć w to, że ktoś cię zaatakował i że się niemal spaliłeś żywcem... ale układanie wełny? Spodziewasz się, że w to uwierzymy?

- Tak.

- To był atak? - odezwał się z z troskaniem pan Silverstone. - Ktoś na pana napadł?

- Związali go i zostawili, żeby się spalił - wyjaśnił posępnie Stephen.

Derrick popatrzył na Gowera.

- Czy nic pan nie mówił panom o pożarze?

Pan Silverstone zmarszczył brwi.

- Pan Gower ograniczył się do tego, że państwa stodoła spłonęła doszczętnie i że nie uda się państwu dokonać ostatniej spłaty.

Gower machnął ręką.

- Nie wiedziałem, że kogoś związali i zostawili w środku, żeby się spalił...

- Ale wiedział pan, że podczas pożaru ktoś w stodole był - przerwał mu surowo i nieubłaganie Derrick - bo prosiliśmy pana o pomoc, a pan po prostu odwrócił się i odjechał.

Silverstone odwrócił się gwałtownie do Gowera, czoło starszego pana jeszcze mocniej się zachmurzyło.

- Był pan świadkiem ich nieszczęścia i tak po prostu odwrócił się pan i odjechał?

Twarcz Gowera zrobiła się jaskrawoczerwona.

- Nie widziałem potrzeby, żeby...

- Panie... - Szczęki Silverstona się zacisnęły. Spiorunował Gowera wzrokiem. - Bywały już takie chwile, kiedy miałem wątpliwości co do pana charakteru. Widzę teraz, że moje podejrzenia miały solidne podstawy. Od samego początku, jak tylko pojawił się pan w banku, chciał pan, by Wardom się nie powiodło.

Pan Picknard przytaknął.

- Odnoszę wrażenie, że dość już zobaczyliśmy, Silverstone.

- Bez wątpienia. Panie Gower, kiedy wróci pan do banku, proszę natychmiast opróżnić swoje biurko.

Dłonie Gowera zaciskały się i otwierały.

- To nie... ja nie chciałem... ale co z Wardami? Co z ich wekslem?

- To już nie pana sprawa - uciął Silverstone. - Proszę wyjść, Gower. Jest pan zwolniony.

- Aa... ale - zaczął bełkotać Gower.

- Wyjdź pan - rozkazał ponownie Silverstone, tym razem lodowatym tonem. - Albo dopilnuję, by nigdy już nie dostał pan pracy w bankowości. Nigdy.

Poczerwieniały na twarzy Gower zmagął się z własną porywcznością. W końcu przełknął i wykrztusił:

- Tak, sir. - Nietrudno było zorientować się, że miał ochotę powiedzieć dużo więcej.

Silverstone zmierzył swego byłego asystenta spojrzeniem od stóp do głów, potem odwrócił się do niego plecami i półgłosem powiedział coś do pana Picknarda.

Gower nie miał żadnego wyboru. Rzucił ostatnie spojrzenie na Harriet, nacisnął sobie kapelusz na głowę, odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

Chase powiódł za nim wzrokiem. Gdyby nie mała, leżąca na jego dłoni rączka Harriet, poszedłby za tym gburem i pokazał mu, co znaczy naprawdę słowo „honor”.

Matka odchrząknęła.

- Panie Silverstone, bardzo jesteśmy panu zobowiązani. Kontakty z panem Gowerem wcale nie były dla nas miłe. W jednej jednak sprawie nie mylił się. Bez tej wełny... nie zdołamy spłacić ostatniej

raty.

Harriet podupadła na duchu. To było niesprawiedliwe wszyscy tak ciężko pracowali, tak bardzo ciężko. Chase lekko ją uściśnął. Podniosła na niego wzrok, a on przycisnął do ust jej palce.

Pan Silverstone pokiwał głową.

- Gdyby zarząd zaaprobował przedłużenie terminu o miesiąc, może wtedy...

- Nie - wpadła mu w słowo matka. - Obawiam się, że zdobycie tych pieniędzy zajęłoby nam cały rok.

- Rok? - powtórzył z westchnieniem pan Silverstone. - Lękam się, że nie uda nam się nakłonić zarządu, by zgodził się...

- A może dwa miesiące? - zapytał Chase. - Czy taki termin byłby do przyjęcia?

- Oczywiście - przytaknął pan Silverstone. - Jestem pewien, że pan Picknard i ja zdołalibyśmy uzyskać przedłużenie terminu o taki okres.

Pani Ward zmarszczyła brwi.

- Ale co moglibyśmy w ciągu dwóch miesięcy osiągnąć?

- Mógłbym ożenić się z pani córką. - Chase popatrzył na Harriet. - Jeżeli mnie zechce.

Harriet ścisnęło w trochę obolałym jeszcze od dymu gardle. Przełknęła trzy razy, zanim udało jej się ochryple wykrztusić:

- Co... ale ty nie możesz... ty nigdy nie...

Chase odwrócił ją twarzą do siebie, trzymając delikatnie za ramiona.

- Harriet, kocham cię i chcę cię poślubić. Wiem, że są sprawy, które najpierw muszę załatwić, ale sądzę, że, mając cię u boku, zdołam stawić im czoło.

Serce Harriet zatrzepotało się w piersiach.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie pewien.

- Ale wczoraj wieczorem chciałeś wyjechać. Zauważyłam...

- Tylko dlatego, że miałem w Londynie kilka spraw do załatwienia. Nie wyjechałbym jednak na długo. Chociażbym najbardziej tego chciał, nie zdołałbym trzymać się z daleka. A teraz... teraz zdaję sobie sprawę, że mając cię u boku, mogę osiągnąć wszystko.

Oczy Harriet wezbrały łzami. Devon odchrząknął.

- Panie Silverstone, myślę, że uzyskał pan już odpowiedź. Dwumiesięczne odroczenie terminu wydaje się być pożądane. - Devon uśmiechnął się do Harriet. - Nie możemy kazać bankowi czekać, rozumie pani.

Harriet przyłapała się na tym, że odpowiada mu uśmiechem.

- Nie. Nie możemy. - Odwróciła się do Chase'a. - Tak, wyjdę za ciebie. I na dodatek mam już idealne pantofelki.

Chase odchylił do tyłu głowę i się roześmiał, a potem wziął narzeczoną w ramiona i mocno ją przytulił. Pan Silverstone uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mam nadzieję, że dostaniemy zaproszenie.

- O, bez wątpienia - zapewnił go Marcus. - Proszę. Niech pan pozwoli, że pana wyprowadzę. Chciałbym, by dowiedział się pan, co zamierzam dać tej parze w prezencie ślubnym. Jestem pewien, że bardzo to pomoże panu ugruntować się w przekonaniu, iż weksel zostanie spłacony niezależnie od jego wartości.

Marcus wyprowadził bankierów. Harriet uśmiechnęła się do Chase'a.

- Wydaje mi się, że kocham cię już od tak dawna. Chyba od pierwszego momentu, kiedy cię zobaczyłam.

Chase czule spojrzął jej w oczy.

- Obawiam się, że nie mogę tego samego powiedzieć o sobie. Ty kradłaś mi serce po odrobinie, po kawaleczku.

- Och, na miłość boską... - Derrick padł na fotel. - Czy my musimy tego słuchać?

Devon pokiwał głową.

- Aż człowieka mdłości ogarniają, nieprawdaż? Ja osobiście wolę się zalecać na osobności, no ale... może jestem wyjątkiem pod tym względem.

- Och, popatrzcie tylko! - wykrzyknęła Ofelia ze swego stanowiska przy oknie. - Ktoś wnosi do domu wielki dywan!

- Co? - zapytała Sophia.

W pokoju pojawił się znowu Marcus. Za nim przekroczył próg najpotężniejszy mężczyzna, jakiego Harriet w życiu widziała. Wysoki i jasnowłosy, z trudem zmieścił się w drzwiach, zwłaszcza że na ramieniu niósł zrolowany dywan.

Panna Ward przyglądała mu się z otwartą buzią, dopóki Chase nie pocałował jej w brodę i tym samym nie przypomniał, że niegrzecznie jest się tak gapić.

- Przepraszam - wyszeptała.

- To jest Anthony, mój brat przyrodni.

Anthony przystanął na widok Chase'a.

- Dobry Boże, a tobie co się stało?

- Owce. W życiu nie wezmę już do ust baraniny.

- Potrafię zrozumieć, dlaczego. - Anthony rzucił dywan na podłogę przed Chase'em.

- Co to jest?

- Twój urodzinowy prezent - wyjaśnił wesoło Devon. - Rozpakuj go.

Harriet popatrzyła na dywan. Ku jej zdumieniu, zaczął się on wiercić.

- Chase...

- Widzę, kochana. - Chase wstał, chwycił za skraj dywanu i szarpnął. Dywan rozwinął się, coś głucho łupnęło i pod wielkie stopy Anthony'ego wypadła rozchełstana, męska postać. Mężczyzna podniósł wzrok, zobaczył Anthony'ego i wyraźnie się wzdrygnął.

- Arrch!

- Nie martw się, człowieczku - pocieszył go z szerokim uśmiechem Anthony. - Nie będzie więcej przejażdżek w czarodziejskim dywanie, jeżeli tylko okażesz się grzeczny.

- Och, na pewno będzie grzeczny - powiedział Marcus, stając u boku Anthony'ego. - Prawda, panie Annesley?

Mężczyzna przytaknął, oczy miał szeroko otwarte.

- Kto to jest? - zapytała Harriet Chase'a. Sophia i Ofelia wspinały się na paluszki, żeby lepiej widzieć, a Stephen i Derrick przyglądali się scenie z szerokim uśmiechem.

- To - wyjaśnił ponuro Chase - jest ten mężczyzna, o którym ci mówiłem. Ten, o którym sądziłem, że jest moim przyjacielem, ale nim nie był. - Popatrzył na Marcusa. - Zanim cokolwiek zostanie powiedziane, ja muszę zabrać głos. Jest coś... o czym powinniście się dowiedzieć.

- Już wiemy - wpadł mu w słowo Marcus. - Jechałeś swoim faetonem i przypadkiem potraciłeś kobietę.

Chase się wzdrygnął.

- Tak. Nie powinienem był pić, kiedy...

- Zaczekaj. - Marcus uniósł nogę i szturchnął nią Harry'ego. - Powiedz mu.

Harry potrząsnął głową.

- Ze mnie nie zrobi pan głupka, Treymont! Żądam...

- Starczy - przerwał mu Anthony z niewzruszonym spokojem. - Wracamy do dywanu.

- Nie! - wykrzyknął Harry, błyskawicznie odsuwając się od jasnowłosego olbrzyma. - Nie! Tylko że ja po prostu... no, nie mogę... czego wy, u diabła, chcecie się dowiedzieć?

- Prawdy - stwierdził Marcus. Devon pochylił się ku Stephenowi.

- Istnieją dwa sposoby, by się czegoś nauczyć: łatwy oraz trudny - powiedział półgłosem. - Tak się składa, że ten trudny chyba się niektórym wydaje bardziej pociągający.

Harry westchnął.

- A niech to piorun spali! Nie mogę wprost uwierzyć... Wiecie, że mógłbym udać się na policję i...

- I co? - zapytał Marcus, najwyraźniej rozbawiony. - Powiedziałyby pan im, że zmusiliśmy pana, byś przez jeden dzień jeździł powozem, zawinięty w dywan?

- To było dłużej - mruknął defensywnie Harry.

- Ale pozwoliliśmy ci napić się wody - powiedział Anthony.

- I nakarmiliśmy cię - dodał Devon. Popatrzył na Stephena. - Ja głosowałem przeciw, ale Marcus ma w sobie żyłkę humanitaryzmu.

- Och, dobrze! - warknął Annesley. - Czy mogę przynajmniej wstać?

Anthony wydawał się głęboko nad tym zastanawiać.

- Nie.

- Nie? A dlaczego nie?

- Mógłbyś się rzucić do ucieczki. A chociaż wiem, że złapałbym cię bez trudu, to niedawno jadłem i nie mam ochoty zakłócać sobie procesu trawienia.

- Nie będę uciekał - zapewnił wyniośle Annesley.

- Bardzo dobrze. Ale jeżeli spróbujesz... - Anthony zacisnął potężną pięść i uderzył nią w drugą dłoń. Annesley przełknął nerwowo.

- Nie ma potrzeby uciekać się do czegoś takiego. - Pozbierał się na nogi. - Powiem wam wszystko, chociaż uważam, że to gruba niesprawiedliwość.

- Niesprawiedliwość? - zapytał Chase. Annesley wzruszył ramionami.

- Winien ci jestem przeprosiny. Nie powinienem był wyludzać od ciebie pieniędzy.

Wszyscy czekali.

- I? - ponaglił Marcus, przeszywając Annesleya zimnym spojrzeniem.

Łajdak potarł sobie ze znużeniem kark.

- I nie było żadnego... no wiesz.

- Czego nie było? - zapytał Chase.

- Żadnego wypadku. No nie, wypadek był, ale kobiecie nic się nie stało.

- Co? - Chase już chciał się zerwać, ale Harriet przytrzymała go na kanapie.

Annesley westchnął.

- Rankiem po wypadku zacząłem jej szukać i odnalazłem. Leżała w pierwszym szpitalu, do którego zaszedłem. Zapłaciłem tej kobiecie dziesięć funtów, żeby znikła.

- Czy stała jej się jakaś krzywda?

- Była podrapana w jednym czy dwóch miejscach. Nic więcej. - Annesley spojrzał Chase'owi w oczy i smętnie wzruszył ramionami. - Nie mogłem przegapić takiej okazji, wydawała się za dobra.

- Opowiedz mu, co zrobiłeś potem - przynaglił go Devon. Annesley rzucił młodszemu St. Johnowi zjadliwe spojrzenie. Devon uniósł brwi, jego spojrzenie pochłodziło.

- Kto cię pierwszy wpakował do tego dywanu?

Szczęki Annesleya się zacisnęły. Odwrócił się do Chase'a.

- Pożyczyłem sobie twój rachunek od White'a i wykorzystałem go, by sporządzić oblig.

- Na dwadzieścia tysięcy funtów - dodał Anthony. Harriet wyczuwała narastającą furię Chase'a. Przytrzymała mocniej jego dłoń.

- I? - odpowiedział Devon, a oczy mu się zwęziły. - Jest jeszcze coś więcej.

- Co więcej? - zapytał Annesley, śmiejąc się nieszczerze.

- Wiem, co więcej - powiedział Chase. Ujął dłoń Harriet, ucałował ją i stulił palce narzeczonej. - Popilnuj mi tego, kochanie. - Podszedł do Annesleya. Kiedy stanął tuż przed nim, zakasał rękawy. Nadgarstki miał otarte do krwi od więzów. - Ktoś mnie w stodole zaatakował i związał, po czym stodołę podpalił. Nie wiesz przypadkiem czegoś o tym?

Annesley zrobił urażoną minę.

- Ja tylko poprosiłem, żeby cię zatrzymano. To wszystko. Mogę być do pewnego stopnia krętaczem, ale nie jestem mordercą.

- Nie zgadzam się. Właśnie takiego potwora jak ty byłoby na taki postępek stać. To twoja wina, że mnie zaatakowano. Twoja wina, że spalona została stodoła, a wełnę trzeba spisać na straty.

- Nic nie wiem o żadnej wełnie ani...

Chase grzmotnął go pięścią. Annesley okręcił się wokół własnej osi, a potem wylądował twarzą w dół na dywanie.

- Dobra robota! - wykrzyknął Devon. Lekko klasnął w dłonie. Sophia i Ofelia przyłączyły się do niego, a Stephen i Derrick z aprobatą kiwali głowami.

Anthony znowu zrolował dywan i dźwignął go na ramię.

- Odłożę to do powozu, a potem, po drodze do miasta, dostarczymy na posterunek rulon z zawartością oraz nazwisko człowieka, którego najął Annesley, żeby opóźnić twój powrót do Londynu.

- Tylko żebyście mi porządnie zawiązali ten dywan. Nadmiar powietrza mógłby Annesleyowi zaszkodzić.

Anthony pokazał zęby w uśmiechu i wyszedł za próg, po drodze silnie zawadzając dywanem o framugę drzwi.

Chase odwrócił się znowu do Harriet. Po raz pierwszy w życiu miał szczęście w zasięgu ręki.

Marcus ruszył do wyjścia.

- Devon, chyba na nas już pora.

- Tak szybko?

- Teraz - potwierdził stanowczo Marcus.

Devon westchnął. Ukłonił się wszystkim, ucałował dłoń pani Ward, potem puścił oko do Sophii.

- Życzę szczęścia, przyjaciele! Chase, zobaczymy się w mieście?

- Tak. Muszę przecież zaplanować swój ślub.

Devon się skrzywił.

- U mnie nie szukaj pomocy. Wiesz, jakie mam nastawienie do ślubów. - Z sympatią uśmiechnął się do Chase'a. - Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku.

Chase odpowiedział mu uśmiechem.

- Ja również.

Marcus zaczekał, aż Devon wyjdzie z pokoju, i dopiero wtedy odwrócił się do brata.

-Jeżeli potrzebowałbyś pomocy przy załatwianiu specjalnego zezwolenia...

- Jeżeli będę potrzebował pomocy, poproszę o nią. -Chase uśmiechnął się do Harriet. - Przynajmniej tyle nauczyłem się podczas pobytu w Garrett Park.

Kącki ust Marcusa się uniosły do góry.

- Może więc to, że dostałeś po głowie, dobrze ci zrobiło. -Ukłonił się pozostałym. - Do widzenia. Już się cieszę na spotkanie z państwem podczas ślubu. - I zniknął za drzwiami.

Stali wszyscy w milczeniu, dopóki turkot kół nie zamarł w oddali.

Sygnal do opuszczenia kurtyny dała Ofelia.

- Ojej - westchnęła z wniebowziętym wyrazem twarzy. Pani Ward zerknęła na Chase'a i Harriet, a potem odchrząknęła.

- Sophio i Ofelio, czy mogłybyście pomóc mi w pokoju śniadaniowym?

Sophia zmarszczyła brwi.

- W pokoju śniadaniowym? Teraz? Dlaczego...

Pani Ward spokojnie poprowadziła ją do drzwi, Ofelia poszła za nimi.

- Stephen i Derrick - ciągnęła z determinacją pani Ward -wydaje mi się, że jesteście potrzebni w kuchni.

- W kuchni? - zachmurzył się Derrick. - Chciałem sobie posiedzieć tu i poczytać...

- Chodź, Derrick. - Stephen chwycił brata za ramię i pociągnął za sobą na korytarz. - Możesz poczytać w kuchni.

- Tak, ale... - Przekroczyli próg. Pani Ward wyszła zaraz potem. Drzwi się za nimi zamknęły.

I oto salon stał cichy i pusty, poza Harriet i Chase'em. Chase ciężko westchnął i potarł brodą o włosy Harriet.

- I co teraz? - zapytała, obejmując go w pasie i mocniej się przytulając.

Rzeczywiście, co teraz. Życie leżało przed nimi, jasne i promienne, i pełne nadziei. Chase sięgnął do kieszeni i znalazł pierścień-talizman. Ujął dłoń Harriet i delikatnie wsunął go narzeczonej na palec.

- Och, nie! Nigdy mi się go nie uda zdjąć!

Chase ucałował ją w policzek.

- Ależ nie, zdejmiesz go. W dzień naszego ślubu. A jeżeli nie zejdziesz ci z palca, to będziemy skazani na niego na zawsze.

Uśmiechnęła się i podniosła na narzeczonego promieniejące czułością oczy.

- Na zawsze, mój ukochany, to jeszcze może być za krótko.

### Epilog

*O rany, co za przystojny mężczyzna! Nie taki, jak któryś z braci St. John, ale to zrozumiałe. Od nadmiaru przystojności glob ziemski mógłby się rozpęknąć na pół.*

Panna Lucy, pokojówka lady Birlington, do madame Blanchard, francuskiej garderobianej, kiedy przyglądały się nowemu lokajowi

Devon St. John rozparł się wygodnie w wyściełanym aksamitem powozie, wyciągając nogi w najdalszy jego kąt. Powóz kołysał się i podskakiwał, biorąc zakręty z zawrotną szybkością. Pędził przez wiejską okolicę i kierował się na północ, do Szkocji.

Devon doszedł do wniosku, że Szkocja będzie bezpiecznym miejscem. Odwiedzi tam swego przyjaciela, wicehrabiego Strathmore, spędzi u niego kilka tygodni, a potem, kiedy znikną wszelkie przeszkody, wróci do Anglii. Ale dopiero, kiedy będzie pewien, że droga jest wolna.

Życie, doszedł do wniosku Devon, jest piękne. Właśnie udało mu się uniknąć najgroźniejszej pułapki, w jaką mógł wpaść mężczyzna, a zwłaszcza St. John. Gdzieś tam, w małym miasteczku Stickle-By-The-River, które zostawił za sobą, jego brat Chase brał w kościele ślub. Właściwie... Devon wyciągnął zegarek i popatrzył na tarczę. Ceremonia zakończy się pewnie za dziesięć minut albo coś koło tego. Potem, jak zacznie się wesele, wszyscy się rozejrzą i zobaczą, że Devonowi udało się jednak uciec. A Chase, na którego już spadło przekleństwo pierścienia, w związku z czym był żonaty, uświadomi sobie, że w pobliżu został tylko jeden z braci St. Johnów: Marcus, najstarszy. Chase znajdzie się wtedy w sytuacji bez wyjścia i będzie musiał jakimś podstępem nakłonić Marcusa, by ten przyjął pierścień, gdy tymczasem Devon będzie wesoło brykał sobie w Szkocji.

Uśmiechnął się sennie. Czasami sam siebie zaskakiwał własną inteligencją. Naprawdę okazało się to aż nazbyt łatwe. Wtulił się w kąt powozu, skrzyżował ręce i przymknął oczy.

W kilka godzin później powóz minął granicę Szkocji. Devona obudził zdecydowany chłód, powietrze zrobiło się rześkie. Zastanawiał się, czy by nie kazać stangretowi się zatrzymać, ale się rozmyślił. Jechali w takim dobrym tempie.

Wyciągnął rękę i chwycił leżący w kącie na siedzeniu, porządnie złożony koc. Kiedy przyciągał go do siebie, usłyszał, jak coś głośno brzęknęło. Raz, potem drugi i trzeci, jakby jakiś mały, metalowy przedmiot podskoczył kilkakrotnie po podłodze, a potem poturlał się i zatrzymał.

- Nie! - Devon zamknął oczy, nie chciał nawet na to patrzeć. Chase St. John zostawił mu jednak ten zatracony pierścień, zawinawszy go starannie w koc, który brat miał przygotowany w powozie. A Devon, oddalwszy się o wiele mil od domu, był teraz na talizman skazany, pierścień należał do niego.

Nie wybroni się. Chyba żeby wymyślił jakiś sposób, by przechytryć magiczny wpływ pierścienia.

Nadzieję widział tylko i wyłącznie w jednym: musi odtąd unikać kobiet. Wszystkich. Zastanowił się ponuro nad tym, co mu opowiadano o Szkotkach, z natury namiętnych i płomiennie pięknych, i w tej samej chwili uświadomił sobie, że nic go nie uratuje.

Absolutnie nic